

— ANNA STRYJEWSKA —



• SAGA KLONOWEGO LIŚCIA •

KANADYJSKI RAJ

SKARPA
WAR
SZAW
SKA

ANNA STRYJEWSKA

• SAGA KLONOWEGO LIŚCIA •

KANADYJSKI
RAJ



SKARPA
WAR
SZAW
SKA

Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

CZĘŚĆ PIERWSZA

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

CZĘŚĆ DRUGA

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Rozdział 36

Rozdział 37

Rozdział 38

Podziękowania

Przypisy

Redakcja
Agnieszka Czapczyk

Korekta
Bożena Sigismund

Skład i łamanie
Agnieszka Kielak

Projekt okładki
Anna Slotorsz

Zdjęcie wykorzystane na okładce
©Luengo_ua/AdobeStock, Karamysh/ AdobeStock

© Copyright by Skarpa Warszawska, Warszawa 2023
© Copyright by Anna Stryjewska, Warszawa 2023

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie

Wydanie pierwsze
ISBN 978-83-83292-71-7



Wydawca

Agencja Wydawniczo-Reklamowa
Skarpa Warszawska Sp. z o.o.
ul. Borowskiego 2 lok. 24
03-475 Warszawa
tel. 22 416 15 81
redakcja@skarpawarszawska.pl
www.skarpawarszawska.pl





Konwersja: [eLitera s.c.](#)

Dla Larsa, Damaris i Saveo

CZĘŚĆ PIERWSZA



Rozdział 1

Dorodne klony rosnące wzdłuż gościńca zaczynały już gubić liście. Te zaś, za każdym podmuchem ciepłego wiatru, kołując, spływały majestatycznie na ziemię i ścieliły się na niej rdzawobrunatnym dywanem. Była jesień tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego ósmego roku. Bradford o tej porze zamierało ciszą. Położone w hrabstwie Simcoe, nad rzeką Holland, godzinę na północ od Toronto, służyło głównie z pól marchewkowych, które ciągnęły się w dal tysiącami hektarów ziemi. Mówiło się, że zachorowalność na raka w tej okolicy jest wyższa niż gdziekolwiek z powodu sypania upraw ogromną ilością nawozów sztucznych. Przeważała tutaj ludność portugalska, która z kolei szczyliła się ogródkami warzywnymi i owocowymi drzewami zarastającymi ich skromne, niewielkie posesje. W ostatnim czasie przybyło w te okolice wielu Holendrów, ci głównie zakładali gospodarstwa i dołączali do grona rolników zajmujących się uprawą roślin okopowych.

Do Julii dotarła intensywna woń zgnilego jajka połączonego z czosnkiem, będąca wydzieliną skunksa zamieszkującego stadnie te tereny. Przyzwyczała się już do tego nietypowego zapachu, dlatego jedynie zmarszczyła nos i z głową zasłoniętą kapturem przydużej kurtki, rękami wciśniętymi w kieszenie, plecakiem przerzuconym niedbale przez ramię zmierzała szybkim krokiem Lee Ave w stronę domu. Zastanawiała się, co tym razem powie matce, jaką wymyśli historyjkę, aby odwrócić uwagę od kilku niepozornych godzin, które spędziła w piekarni, usiłując tam dorobić do kieszonkowego. Dziewczyna miała plan, układała go w głowie od kilku lat, niemalże od chwili, kiedy wylądowali z całą rodziną na płycie lotniska

w Toronto. Początkowo mieszkali kątem u kuzynostwa, dopiero kiedy rodzicielka zdobyła pracę, mogli sobie pozwolić na luksus i wziąć kredyt na zakup niewielkiego domu z ogródkiem, który stanowił namiastkę ich ukochanego Lipowa. Oszczędności zabrane z Polski już dawno się rozeszły, pobyt w Niemczech nie tylko ich doświadczył na wiele sposobów, ale też pozwolił na weryfikację podjętych decyzji.

O ile dla rodziców bariera językowa nadal stanowiła problem, o tyle ona i Tośka nauczyły się niemieckiego w mig. Świergotały płynnie nie tylko w znienawidzonym przez Polaków języku, ale też coraz lepiej szedł im angielski. Jeszcze gdy byli w Hamm, ojciec wiele razy zabierał Julię ze sobą do urzędów, aby zastępowała mu tłumacza, z czym całkiem nieźle sobie radziła. Za każdym razem chwalił jej postępy, co sprawiało, że napawała się dumą. Z czasem jednak zaczęło ją to irytować, ponieważ o pomoc prosili nagminnie inni emigranci zamieszkujący wspólnie dom w dzielnicy górniczej, do której zostali przydzieleni. Pełno tam było Hindusów, Irańczyków, Turków, Ukraińców, ale też rodaków, choć zawarte z nimi znajomości nie przetrwały próby czasu.

Julia zbliżała się do niewielkiej posesji z kwadratowym domem z czerwonej cegły, z garażem w bryle budynku, na którym usytuowany został pokój dla niej i Tośki, a także ze skromnym ogródkiem obsadzonym przez ulubione kwiaty mamy. Były tam hortensje, różaneczniki, a także kępy ozdobnych traw. Nie miał ogrodzenia jak większość otaczających ich działek, grodzienie się nie leżało bowiem w zwyczaju Kanadyjczyków.

– Gdzie byłaś tak długo? Obiad dawno wystygł!

Już w korytarzu drogę zastąpiła jej rodzicielka, która z zaciętą miną domagała się wyjaśnień.

– U Cheryl. Uczyłyśmy się do klasówki z matematyki – skłamała na oczekaniu.

– Ostatnio ciągle wysiadujesz u tej Cheryl! – odparła Alina z naganą w głosie. – Jej rodzice nie mają ciebie dość?

– Nie, skąd... Lubią mnie nawet. Ostatnio prosili, abym im coś przetłumaczyła na niemiecki – dodała, co akurat było zgodne z prawdą.

Zdjęła kurtkę i odwiesiła ją na wieszaku.

– Tato gdzie? – zapytała.

– A gdzie może być? – sarknęła matka, wzruszając bezradnie ramionami.

– Siedzi w salonie...

– Trzeźwy?

– Nie za bardzo... – mruknęła oskarżycielsko.

Julia westchnęła ciężko i popatrzyła na rodzicielkę wzrokiem pełnym współczucia i żalu, po czym złożyła na jej policzku powitalnego całusa.

– Tośka u siebie?

– Tak, odrabia lekcje. Chodź do kuchni, odgrzeję ci zupę! Pomidorowa, taka jak lubisz!

– Dzięki, mamó, zaraz zejde, Pójdę się przebrać, odświeżyć i przywitać z siostrą.

Alina omiotła ją czułym spojrzeniem, z jej twarzy zniknęły nagana i srogość.

– Ach, zapomniałabym! Przyszedł list do ciebie!

– Od kogo? – spytała, a jej serce zdradziecko zabiło szybciej.

Mama wyjęła ze skrzyneczki na klucze zieloną kopertę i podstawiała Julii pod nos.

– Z Niemiec, czyli od niego. – Mrugnęła porozumiewawczo. – Ma chłopak zacięcie! Minęło już tyle lat, a on wciąż pisze.

Dziewczyna zarumieniła się na te słowa, chwyciła list i nie mówiąc nic więcej, pomknęła drewnianymi schodami w górę, wprost do swojego pokoju.

Odświeżona, w piżamie, z ujarzmionymi gumką włosami, pojawiła się chwilę później na dole. Mama już tam czekała z talerzem podgrzanej pomidorówki i szklanką gorącej herbaty.

– Cześć, tato! – Julia weszła do salonu i przywitała się z ojcem, który rozłożony w pluszowym fotelu, gapił się w telewizor. Na okrągłym, szklanym stoliczku stała napoczęta butelka koniaku i do połowy napełniony pękaty kieliszek.

– Cześć, córeczko – odparł, podnosząc się na rękach i całując ją w policzek. Natychmiast poczuła mało przyjemną ostrość jego kilkudniowego zarostu. – Gdzie byłaś tak długo?

– U Cheryl! Uczyłyśmy się do klasówki! – powtórzyła poprzednie kłamstewko z jeszcze większą łatwością.

Obrzucił ją uważnym spojrzeniem, ale nie powiedział nic. Na jego zmęczonej twarzy pojawił się cień dumy wymieszanej z czułością.

– Co oglądasz?

– Porucznika Colombo.

– A, tak... – przytaknęła, wpatrując się przez moment w ekran, na którym mężczyzna w pogniecionym prochowcu wchodził właśnie do czyjegoś pięknego domu. Pełno było w nim antyków, stylowych mebli, bibelotów. Odruchowo rozejrzała się po ich niewielkim salonie, nowoczesnie urządzonym, z rozłożystą kanapą, dwoma fotelami i prostym, kwadratowym kominkiem.

– Julka, zupa stygnie! – dobiegł do jej uszu matczyzny, niecierpliwy głos.

– Już idę! – krzyknęła, kładąc rękę na ramieniu taty i zaciskając ją lekko.

– Nie pij za dużo. Jutro rano musisz wstać.

Zerknął na nią spod krzaczastych brwi i nie powiedział nic. Wzruszyła więc tylko ramionami i podreptała do kuchni. Dość przestronnej, z zestawem brązowych szafek, mocnym dębowym stołem i beżowymi ścianami obwieszonymi ulubionym Włocławkiem^[1] mamy.

Tośka nadal wkuwała, Julia zdążyła więc tylko zamienić z nią kilka słów i wróciła do siebie. Prawdę mówiąc, nie mogła się już tej chwili doczekać. W pokoju było chłodno, toteż owinęła się kocem i z kubkiem gorącej her-

baty usiadła na tapczanie. Za każdym razem, kiedy otrzymywała od Bena list, celebrowała skrzętnie ten moment. Teraz, rozerwawszy niecierpliwie kopertę, wysunęła z niej zapisaną drobnymi literkami kartkę. Z wnętrza wypadło coś jeszcze. Była to kolorowa fotografia, na której została uwieczniona twarz ładnego, na oko dziewiętnastoletniego chłopca. Blondyna, z dużymi niebieskimi oczami, w których zastygł jakiś zagadkowy uśmiech. Przyglądała mu się długo, zanim przystąpiła do czytania, wtopiła się w to zawieszony w niewidocznym punkcie spojrzenie, nie mogąc uwierzyć, jak bardzo zmienił go ten czas. Był już dorosłym mężczyzną, ale w jej sercu nadal tym samym uroczym chłopcem, z którym połączyła ją jeszcze w Hamm niezwykła zażyłość. Spędzali ze sobą ogrom czasu, spotykali się zaraz po lekcjach i włóczyli bez celu po mieście, o co jej rodzice nierzadko miewali pretensje. Przeczytała list kilka razy, zakodowała w głowie niemal każde, pełne uwagi słowo i złożyła na zdjęciu uroczysty pocałunek. Potem przycisnęła je do piersi, zamknęła powieki i odpłynęła daleko w przeszłość.

Znów była w Hamm, w górniczej dzielnicy pełnej emigrantów, przemierzając odległość z domu przeznaczony dla uchodźców, tak zwanego Heim, do szkoły, w której właśnie poznała Bena. Ich znajomość zaczęła się dość prozaicznie, wpadli na siebie pewnego dnia na korytarzu tak niefortunnie, że zderzyli się głowami i nabili sobie nawzajem guzy. Najpierw na niego nakrzyczała, robiąc się czerwona ze złości, a kiedy spojrzał na nią tymi swoimi niewinnymi, wielkimi oczami – coś w niej zaczęło topnieć. Od tej pory wypatrywała go na przerwach, ich wzrok nieustannie się krzyżował, co sprawiało, że robiło jej się tak jakoś ciepło i lekko na duszy. Wreszcie podszedł po lekcjach i zaproponował w ramach przeprosin za tamto zdarzenie, że ją odprowadzi do domu.

Dzięki Benowi pobyt w Hamm nie był już taki straszny, choć musiała przyznać, że od początku nie znosiła miejsca, w którym przyszło im spędzić trzy lata. Budynek, gdzie przydzielono im jeden jedyny pokój, wybudowany był z brązowej, klinkierowej cegły, wyglądał na bardzo stary, a niektórzy nawet twierdzili, że wpisany był w rejestr zabytków. Pomieszczenia w nim były wysokie, z wypukłymi sufitami pełnymi ozdób. Poza tym lokum

mieli do dyspozycji wspólną łazienkę w korytarzu, z której korzystali mieszkańcy całego piętra Heimu, co jednocześnie stanowiło dla wszystkich nie lada dyskomfort.

Zapamiętała też ogromną, wspólną kuchnię, która przypominała jakiś narodowy tygiel. Mieszały się tam języki, kolory skóry, smaki i aromaty. Gwar i ścisk towarzyszył codziennemu funkcjonowaniu w tym miejscu. Jedni wchodzili, inni wychodzili, a jeszcze inni siedzieli przy stole i dyskutowali. Rodzice zaprzyjaźnili się z Hamidem – poczciwym, jak wówczas myśleli, Hindusem, który ożenił się z Polką o imieniu Wanda. Miłą, gadatliwą kobietką, z niezamykającą się buzią. Wszystkiego była ciekawa, a już najbardziej przygotowywania potraw przez ojca. Może nawet się w nim podkochiwała, kto wie? Uwielbiała patrzeć, jak Antoni sprawnie szatkuje warzywa, następnie miesza składniki, zachowując odpowiednie proporcje. Hamid w tym czasie wiele opowiadał o swoim kraju, kulturze, kuchni, a także mentalności rodaków, którzy wciąż przybywali do Niemiec. Wspólnie z ojcem Julii przygotowywali tradycyjne potrawy, używając do tego celu kurkumy, szafranu, kminu rzymskiego i wielu innych przypraw nadających daniom wysublimowany smak. Wymieniali się doświadczeniami, uczyli nawzajem, porozumiewając się na migi, łamanym polskim lub podobnie łamaną angielszczyzną. Było też polskie małżeństwo – Grażyna i Michał. Ona – niska, drobna, z ładniutką twarzą – chciała się wszystkiego nauczyć, zapisywała przepisy i pilnie słuchała rad Ostrowskiego, znanego wszystkim tu obecnym jako kucharski mistrz. Jej mąż dla odmiany był wielki, brzydki, zarośnięty jak małpa. Stanowili jednak bardzo zgraną parę. Antoni uczył ją, jak trzymać nóż, ćwiartować cebulę, miażdżyć czosnek i przechowywać zioła tak, aby nie zaszły pleśnią. Grażynka, ku jego zadowoleniu, pochłaniała tę wiedzę w mig, potrafiła też bez skrzępowania pukać o różnych porach dnia do ich pokoju i beztróskim uśmiechem na twarzy wyciągać stamtąd ojca.

– Antoni, udało mi się kupić ładne mięso! Kiedy zejdiesz do kuchni?

Do tego miała piskliwy, drażniący głos, ale mimo tych drobnych przywar wszyscy uwielbiali tę kobietę, której trudno było odmówić uroku i tego cze-

goś, co mają tylko wybrani.

W kuchni pojawiali się także dwaj panowie z Turcji, obaj osmaleni, wysocy, z czarnymi przydługimi włosami. Smażyli te swoje ukochane bakłażany i pomidory na wiele sposobów, do tego serwowali paćki z ryżu i musy z ziaren sezamu. Raczej mało się odzywali, tylko obserwowali, dlatego Julia nie lubiła tam wchodzić bez towarzystwa siostry bądź któregoś z rodziców.

Mieszkali na drugim piętrze, ich pokój miał duży balkon z widokiem na ulicę i sterczący, długi szyb z pobliskiej kopalni. Każdego dnia widziała z tego miejsca maszerujących do roboty górników. Piętro wyżej, tuż nad nimi, zamieszkiwała pewna Polka o imieniu Zyta. Kobieta miała problem alkoholowy. Jej mąż, idąc do pracy na czarno, zamykał ją niekiedy w mieszkaniu, przekręcając drzwi na klucz. Wtedy jego pomysłowa żonka czekała tylko na moment, aż zniknie za rogiem budynku, następnie spuszczała na sznurku siatkę z pieniędzmi. Zaczepiała ludzi i nawoływała sąsiadów, by kupili jej butelkę wódki. Tak się składało, że zawsze znalazł się ktoś chętny do spełnienia jej prośby. Na dole była buda z papierosami i alkoholem, właściciele tego przybytku dorobili się fortuny na handlu z uchodźcami, choć sklepik na zawsze w jej wspomnieniach pozostał niepozornym budynkiem przypominającym szopkę na narzędzia. Po każdej takiej akcji, którą wraz z siostrą obserwowały z balkonu, pękały niemal ze śmiechu, trzymając się za brzuchy. Sąsiadka, wciągając na górę butelkę, zerkała w ich stronę ostrzegawczo, rzucała pod nosem jakieś obelgi, popiół z palonego papierosa, którego zwykle trzymała w kąciку ust, spadał im na ubrania, ale one nic sobie z tego nie robiły.

Po mieście kręciło się pełno emigrantów, w tym rodaków Ostrowskich, którzy niestety owiani byli złą sławą, bo podobno zbyt kombinowali i kradli. Oczywiście nie wszyscy, niektórzy godzinami okupowali budki telefoniczne, chcąc w ten sposób zaspokoić tęsknotę za ojczyzną i bliskimi, których tam zostawili.

Tak czy siak, Julia nie znosiła tego parszywego mieszkania, z jednym podwójnym łóżkiem, drugim piętrowym, ciężką szafą, biurkiem, stołem

i drewnianą podłogą, która dudniła jak studnia, kiedy się po niej chodziło. Trudno w nim było o jakąkolwiek prywatność.

Wspólna łazienka, gdzie były również prysznice i umywalki, dawała się wszystkim we znaki, zawsze w kolejce, chcąc nie chcąc, nasłuchując różnych odgłosów, z własną rolką papieru toaletowego. Następnym koszmarem było korzystanie po kimś z ubikacji, zwłaszcza że niektórzy mieli problem z pozostawieniem po sobie czystości. O mało wdzięcznym zapachu wołała raczej zapomnieć.

Gorzej być nie mogło, tym bardziej że starzy zaczęli się coraz częściej kłócić, wypominać sobie to i owo, a potem późnym wieczorem godzić się w łóżku. Do uszu Julii docierały wtedy ciche szepty, westchnienia, tłumione krzyki, a także chrzęst ugniatanego materaca. Zatykała wówczas uszy albo nakrywała głowę poduszką. Jej siostra, szczęściara, spała zwykle jak suseł, a ona tęskniła za ukochaną babcią Stefcia, mieszkaniem na Jelonkach, koleżankami z podwórka, domkiem w Lipowie, a za Maksem, który zdechł zaraz na początku pobytu w obcym kraju. Najadł się czegoś i zatruł. To był kolejny powód, aby w jej sercu budowała się coraz większa niechęć do tego miejsca, ludzi, którzy ją otaczali, zwyczajów, upodobań. Nierzadko zaciskała pięści i płakała w poduszkę. Dziewczyny z klasy irytowały ją, wszystkie wydawały jej się takie głupie i małostkowe. Lepszy kontakt miała z chłopakami, jednakże dopiero kiedy poznała Bena, poczuła, że świat nieco łagodnieje i nabiera ładniejszych kolorów.

Rodzice nie mogli pracować legalnie, zabraniały tego przepisy, natomiast otrzymali od rządu niemieckiego zasiłek, który w znacznym stopniu rekompensował ich potrzeby. One natomiast zostały zapisane do szkoły. Nauka języka od początku szła im znakomicie, już po roku umiały płynnie posługiwać się niemieckim. Do tego jeszcze nauczycielka języka obcego, pani Greta, była kochaną, przystępną i przemiłą osobą. Traktowała ją niemalże jak matka, umiała wysłuchać, doradzić, pocieszyć. Jej mąż uczył natomiast historii, jednak ten przedmiot nie budził już takiego zainteresowania większości, mimo ogromnych starań nauczyciela.

Zapamiętała klasy z wielkimi oknami, drewnianymi ławkami, harmider i zapadającą w jednej sekundzie ciszę dwudziestki dzieci, kiedy wchodziła pani Greta. Nie musiała nic mówić, wystarczy, że pojawiła się w drzwiach, jak zawsze uśmiechnięta, zycziwa i otwarta na nowe rozwiązania. Wszyscy ją wręcz uwielbiali. To jej Julia zawdzięczała tak szybkie oswojenie się z językiem, a także długie rozmowy po lekcjach, kiedy zwierzała się ze swoich problemów. Przyjaźń z tą kobietą przetrwała do tej pory. Nadal korespondowały, wymieniały się doświadczeniami, a z czasem to porozumienie stawało się coraz trwalszym ogniwem.

Po niespełna trzech latach otrzymali wreszcie pozwolenie na wyjazd do Kanady. W Polsce nastąpiły już ogromne zmiany, upadł komunizm, władzę przejęła Solidarność. Naród cieszył się wolnością i zaczynał raczkować w powoli następującym kapitalizmie. W nocy z dziewiątego na dziesiątego listopada osiemdziesiątego dziewiątego roku upadł mur berliński, który oznaczał symboliczny koniec zimnej wojny, a tym samym rozbudził nadzieję na zjednoczenie Niemiec.

Obie z siostrą namawiały gorączkowo rodziców na powrót do kraju. Niestety, oboje zgodnie stwierdzili, że nie po to przeszli przez to wszystko, by się teraz wycofać. W Kanadzie czekało na nich inne życie – eldorado, które nijak się miało do warunków w Polsce.

Antoni siedział w fotelu przy kominku, wpatrując się nieruchomym wzrokiem w trzaskający ogień. W jednym ręku trzymał szklanekę z whisky, a w drugiej papierosa. W domu panowała cisza, wyciągnięty na dywanie Rudi leżał u jego stóp. Tymczasem Alina z córkami udały się do położonego nieco dalej Barrie, gdzie znajdowała się większa liczba sklepów.

Mężczyzna pociągnął kolejny łyk trunku, czując, jak wypełnia go zba-wienne, błogie ciepło. Jednocześnie głowa stała się jakaś lżejsza, a myśli zo-bojętniałe. Po kolejnym zaciągnięciu się grzesznym płynem przestała go dręczyć codzienność, to cholerne bycie tutaj i ci wszyscy ludzie, którzy go irytowali do granic wytrzymałości. Ich mentalność, nawyki, do których on

nie był w stanie przywyknąć. Żona zarzucała mu, że nie chce się przystosować do nowych warunków, nie uczy się języka, nie próbuje pokonywać barier, które zamiast maleć, wciąż nabierały kolosalnych rozmiarów. Może i miała rację...

Westchnął, strzepnął popiół i zgasił peta w popielnicy. Potem pochylił się i dorzucił dREW do paleniska. Ogień strzelił w górę, ogłaszając swój triumf, tymczasem on znów leniwie upił ze szklanki.

Gdyby Alina wiedziała, jak bardzo tęsknił za swoim krajem, za pracą w restauracji, gdzie wciąż coś się działo, gdzie czuł się potrzebny, a wręcz niezastąpiony. Brakowało mu przyjaciół – Ryśka, Generała, jego żony... Cholernie brakowało mu tamtego życia, które umknęło gdzieś bezpowrotnie i stało się tylko jakimś mglistym wspomnieniem. Kim był tutaj, jeśli nie zwykłym pacholkiem na usługach? Nikt nie liczył się z jego zdaniem, nie cenił wielu lat doświadczenia i pracy w zawodzie. Wszyscy ci nowi właściciele, pożał się Boże, u których w ostatnim czasie pracował, nie dorastali mu do pięt. A mimo to musiał ich słuchać, podporządkować się, spędzać długie godziny w kuchni, wśród unoszących się gęstych oparów, od których można było tylko zwymiotować. Ileż razy w duchu pożałował swej decyzji, że posłuchał Aliny i dał się wyciągnąć z kraju, który był dla niego całym światem. Jak wyglądałoby ich życie, gdyby wtedy postawił się i nie zląkł się grózb i próśb. A tak...

Bokser podniósł łeb i w skupieniu przyglądał się panu, więc Ostrowski prześlizgnął palce po jego mięsistej, wałkowatej szyi obrośniętej krótką, gęstą, rudawą sierścią.

– Ty jeden mnie rozumiesz... – mruknął i znów napełnił pustą szklankę.

Z tego wszystkiego jednak najbardziej tęsknił za matką. Nie mógł sobie wybaczyć, że wyjechali bez wcześniej przeprowadzonej rozmowy, pożegnania, choć już będąc w Hamm, wielokrotnie dzwonił do niej z budki i opowiadał o tym, co się wydarzyło. Kiedy płakała, serce ścisnęło mu się z żalu, gniewnie zaciskał pięści i obiecywał sobie, że zrobi wszystko, by wrócić. Pragnął najbardziej na świecie wziąć ją w ramiona jak niegdyś, poderwać do góry i usłyszeć: „Przestań, wariatuńcio kochany!”.

Potrzebowała go, zwłaszcza teraz.

Robiło mu się miękko na piersi już na samą myśl, dlatego nieustannie projektował w głowie plany, licząc, że któregoś dnia spełni się jego marzenie i znów stanie na polskiej ziemi, obejmie matkę, szepnie jej do ucha kilka magicznych zaklęć, na co ona starym zwyczajem prychnie uszczęśliwiona i nazwie go pieszczotliwie: Lolek.

Rozdział 2

N ekropolię na Ogrodowej w Łodzi zaczął spowijać półmrok. Pałace się gdzieś znicze rozświetlały go od dołu jaśniejszą, powłóczyłą łuną. Stefania podniosła wzrok znad betonowej płyty, napotykając gąszcz rozpiętych nad jej głową koron drzew. W tej samej chwili przejął ją nieprzyjemny chłód. Jakiś ptak zafurkotał w gałęziach, jakiś cień przemknął się po cmentarnej alei, wiatr zerwał się z nienacka i zachrząścił w pobliskich zaroślach. Drgnęła, rozglądając się na boki, spostrzegając w tej chwili, że niemal zrobiło się ciemno. Ile więc minęło godzin, odkąd tutaj przyszła? Kolejny raz straciła poczucie czasu, pogrążając się w tęsknocie, bólu i żalu. Wspominając ostatnie spędzone wspólnie chwile, zastanawiała się gorączkowo, czy mogła go jeszcze uratować, wszystko bowiem potoczyło się tak szybko.

Sytuacja w kraju stale się pogarszała, dlatego pod koniec lat osiemdziesiątych wybuchła kolejna fala strajków, w których Feliks brał czynny udział. Te zaś mocno zaniepokoiły komunistyczne władze, dlatego zdecydowały się podjąć negocjacje z przedstawicielami Solidarności. Ten ruch społeczny opowiadający się za niezależnością i suwerennością państwa polskiego, a także sprzeciwiający się dyktaturze Związku Radzieckiego, zjednoczył sobie w ostatnich latach ponad dziesięć milionów Polaków.

Jej mąż wracał z pracy coraz bardziej zmęczony i zdenerwowany. Ta niepewność, pomieszana ze strachem, ich dobijała, dopiero obrady okrągłego stołu, które odbyły się w lutym osiemdziesiątego dziewiątego roku, przyczyniły się do zakończenia okresu komunistycznego. Najpierw komuniści zgodzili się na dopuszczenie do wolnych wyborów, co w konsekwencji do-

prowadziło do miażdżącego zwycięstwa Solidarności. Nowym premierem Polski został mianowany przedstawiciel ruchu – Tadeusz Mazowiecki. Ogłoszenie wyborów miało stać się dla ich rodziny nowym rozdziałem w życiu, o taką ojczyznę walczył Feliks przez długie lata, dla niej przelewał krew, cierpiał głód, zimno i choroby. Tymczasem ten moment okazał się dla nich katastrofalny w skutkach.

Stefania akurat prasowała w pokoju, telewizor był włączony, nadawano dziennik, a w nim najnowsze informacje. Z wrażenia żelazko wypadło jej z rąk, na chwilę zamarła, lecz na szczęście zdążyła je podnieść i zapobiec w ten sposób spaleni dywanu. Rzuciła się do korytarza, gdzie zamontowany był telefon. Chciała jak najszybciej zadzwonić do fabryki i poinformować męża o tym, co usłyszała, kiedy jakiś kobiecy głos poinformował ją, że zaraz go odnajdzie, bo pewnie jest w hali. Długo czekała, przestępując z nogi na nogę, niecierpliwiąc się, aż wreszcie w słuchawce ponownie zachrząściło i dotarły do jej uszu te straszne słowa.

– Pan Stroiński ma problemy z oddechem. Pogotowie już jedzie...

Nogi się pod nią ugięły, słuchawka wypadła z ręki, zakołowała się nad podłogą i Stefania upadła. Nie miała pojęcia, ile leżała na zimnym gumoleum, ale kiedy się ocknęła, każdą część ciała miała obolałą. Zebrała w sobie wszystkie siły i zadzwoniła ponownie do fabryki. Jakiś mężczyzna poinformował ją ciężkim głosem, że właśnie zabrali Feliksa do szpitala.

Nie wiedziała, co było potem, ale w ciągu pół godziny była już w Barlickim. Tam dowiedziała się o najgorszym. Jej ukochany miał rozległy zawał, a to oznaczało, że nie było żadnych szans na uratowanie go.

Nie spodziewała się takiego ciosu od życia, dlatego stojąc na środku szpitalnego korytarza zaczęła krzyczeć z bezradności. Jej rozpaczliwy głos niósł się echem po kamiennej posadzce, ścianach, wpadał do zaludnionych sal. Wreszcie jakiś pan doktor w białym fartuchu objął ją żelaznym uściskiem i zaprowadził do swojego gabinetu. Tam usiłował wytłumaczyć zawilość sprawy, próbował ją pocieszyć, że przecież pacjent nie cierpiał, odszedł spokojny i szczęśliwy, bo doczekał się nowej, wolnej ojczyzny. Ktoś musiał mu donieść o zaistniałej sytuacji. Jednak żadne słowa jej nie uspo-

kajały i nie przynosiły otuchy. Głośny szloch jeszcze długo niósł się po wnętrzu szpitalnej instytucji i nic nie było w stanie go uciszyć.

– Mamo! Nie możesz tak długo tutaj przesiadywać! Przeziębisz się! – do-
tarł do jej uszu pełen wyrzutu głos córki.

– Nic mi nie będzie – odparła głucho, jednocześnie zerknęła przez ramię.
Za jej plecami stali Weronika i Zbyszek. Córka pochyliła się nad Stefa-
nią, chwyciła mocno za ubraną w cienką rękawiczkę dłoń.

– Zmarzłaś na kość! Chodź, pojedziemy do domu! Jest już bardzo późno.
Starsza kobieta, zrezygnowana, omiotła spojrzeniem ciemną płytę na-
grobną. Przez półmrok przebijały się wpatrzone w nią oczy Felka.

– Wystarczy już, kochanie. – zdawały się mówić. – Nie możesz tutaj zo-
stać. Twoje miejsce jest teraz przy dzieciach.

– Łatwo ci mówić! – mruknęła w stronę fotografii.

Wstała, czując promieniujący ból w kolanach i kręgosłupie. Z trudem,
postępując cicho, wyprostowała plecy. Zięć objął ją wpół i pomógł zrobić
pierwszy krok.

– Ostrożnie, mamo, tutaj jest wysoki krawężnik – ostrzegł.

Ciepło jego ramienia dało jej ukojenie, córka dotrzymywała im kroku,
utyskując co chwila, nie szczędząc jej słów krytyki.

– Mamo, ja rozumiem twój ból, ale czy, na Boga, my już się nie liczymy?
– zawołała głosem pełnym pretensji. – Jesteś sobie w stanie wyobrazić, co
przeżyliśmy, szukając ciebie?

– Przepraszam... – wydukała.

– Dobrze, że Małgosia wpadła na pomysł, że możesz być na cmentarzu.
Obdzwoniliśmy wszystkie twoje koleżanki i sąsiadki. Żadna nie potrafiła
nam powiedzieć, gdzie mogłabyś przebywać o tej porze. Byliśmy nawet
w kościele!

– Przepraszam... – powtórzyła, garbiąc się pod naciskiem tych słów.

Potem wsunęła się do nagrzanego auta i wtulona mocno w ciepłe ra-
miona zięcia, nie wiedzieć kiedy – zasnęła.

– Mamo, w tej sytuacji powinnaś przenieść się tutaj – oświadczyła Weronika, patrząc na matkę oskarżycielsko.

– Jak to? – Stefania oplotła dłońmi gorącą szklankę z herbatą i na chwilę podniosła wzrok.

– Chciałabym, żądam, abys przeprowadziła się na Piotrkowską!

– Na Lipowej jest nasz dom. Przeżyliśmy tam razem tyle wspaniałych chwil – zaoponowała cicho, nie podnosząc głosu.

Omiotła wzrokiem córkę, która w ostatnich latach nieco straciła na wadze. Ścięła też długie włosy, szcycąc się teraz krótką, dziewczęcą fryzurką, odejmującą jej lat. Zrewidowała też styl na bardziej sportowy, zamieniła spódnicę na wygodne spodnie, a elegancką bluzkę zastąpiła luźną, ozdobioną lampasami bluzą.

– Wiem, ale nie chcę, abys tam mieszkała sama.

– Nie mieszkam tam sama! Mam koleżanki, sąsiadki. Z Halinką byłam wczoraj na lodach w Hortexie. Naprawdę nie mogę narzekać na samotność – oświadczyła buńczucznie.

– To dlaczego wciąż wysiadujesz na cmentarzu? – Córka nie wierzyła tym zapewnieniom. – W końcu doprowadzisz do jakiegoś nieszczęścia.

– Niby jakiego? – sarknęła Stefania, nie kryjąc drwiny. – Jestem dorosła i wiem, co robię. Poza tym... tak mnie naszło. Wczoraj mieliśmy rocznicę ślubu.

– Ojej, zapomniałam – odparła Weronika. – Przykro mi, mamo...

– Już dobrze. Odpuśćmy sobie ten temat i zostawmy to tak, jak było. Przynajmniej na razie, dopóki Małgosia się nie usamodzielni i nie wyjdzie za mąż. Jak tak się stanie, przeniesie się na Lipową, a ja wrócę do was.

– Jesteś pewna?

– Tak, córciu. A teraz nalej mi coś mocniejszego – zaproponowała, wprowadzając Weronikę w zdumienie. – Z Felkiem lubiliśmy sobie wieczorkiem

nalać po kieliszku nalewki. Tak dla kurażu... I od razu robiło nam się cieplej na sercu – dodała w zamyśleniu.

– Zaraz czegoś poszukam – odparła Weronika. – W sumie dobrze ci to zrobi po tym zmarznięciu na kość.

Po chwili usiadła przy stole, postawiła na blacie dwa kieliszki i butelkę wiśniowej nalewki.

– Proszę, mamó. – I zaraz dodała: – Antek dzwonił wczoraj. Mówił, że tęskni za Polską. Chciałby przyjechać, ale nadal się boi. Mówi też, że Alina nie chce wracać.

– Nie ma już czego. To wolny kraj! – powiedziała z dumą Stroińska i połknęła jednym haustem zawartość kieliszka.

Weronika przytaknęła, przyglądając się uważnie rodzicielce. Mimo tylu nieszczęść, które w ostatnim czasie spadły na jej głowę, pomimo licznych zagłębień i plam na skórze – nadal wyglądała zdrowo. Jedynie włosy stały się niemal całkiem siwe. Matka nie próbowała tego zmieniać, oświadczając z dumą nieraz, że starzeć trzeba się umieć z godnością.

– Na początku miałam ogromny żal do nich. Wyjechać tak, bez żadnego słowa wyjaśnienia, pożegnania... – zaczęła niespodziewanie Stefania. – Ale potem, kiedy zadzwoniła Julia i opowiedziała mi wszystko, coś we mnie pękło. – Westchnęła ciężko. – I Antoni zadzwonił, Alina, a potem telefonowali już niemal codziennie...

– Mamó, oni to zrobili wyłącznie z troski o ciebie! – wtrąciła Weronika. – Nie słyszałaś, że rodziny uciekinierów były nękanie przez służby?

– Coś mi się obilo o uszy, tylko że moje matczyne serce było złamane do granic. Nie umiałam wówczas myśleć racjonalnie. Każdy się wtedy bał mówić o czymkolwiek głośno. Co to były za czasy – sarknęła, następnie dodała: – Po tym, co przeszli, należy im tylko współczuć. Gnieździli się w jednym pokoju przez tak długi czas, a teraz ta Kanada... Czy tam naprawdę jest taki raj, jak mówią? – rzuciła z powątpiewaniem.

– Czy ja wiem? Pojadę, to będę widziała, a tak?

– Masz tam zamiar pojechać?

– Chciałabym... kiedyś... A ty nie?

Matka machnęła lekceważąco ręką.

– A gdzie ja się nadaję na takie podróże? To już nie dla mnie! Tyle godzin w samolocie? W życiu! – zaprotestowała, krzyżując w powietrzu obie dłonie.

Weronika w odpowiedzi uśmiechnęła się kącikiem ust.

– A ja bym chciała. Marzy mi się taka podróż. Raz tylko leciałam samolotem do Bułgarii, kiedy zostałam wysłana na pokaz mody. Ale to był bardzo krótki lot. Nie zdążyłam się zmęczyć, choć widok z góry był oszałamiający. – Westchnęła, zamknęła powieki i przywołała w pamięci tamten obraz.

– To jaki problem? Dzwon do brata i niech ci przysyła zaproszenie! – oznajmiła pospiesznie Stefania. – A ja w tym czasie zaopiekuję się dziećmi. Przynajmniej tyle.

Córka zerknęła na nią znad krawędzi kieliszka i mrugnęła w jej kierunku porozumiewawczo.

– Dzięki, mamó. Antek na pewno się ucieszy.

Rozdział 3

Julia uwielbiała takie chwile jak ta, kiedy wieczorem we trzy siadały na niewielkim tarasie usytuowanym z przodu budynku. Zapalały świece w lampionach i rozstawiały je na parapecie okna oraz w kilku punktach na podłodze. Z dali docierały do nich przytłumione dźwięki zapadającego się w nocne rozleniwienie Bradford. Cichy wiatr swawolił w pobliskich zaroślach.

W kurtkach, opatulone kocami, z kubkami gorącej herbaty zajmowały ulubione fotele i gapiły się w niebo. Białe, migoczące punkciki ułożone w konstelacje przywodziły na myśl ciepłe wspomnienia, wprowadzały w rozmarzenie i nostalgię.

– Ciekawe, jak teraz wygląda Wielka Niedźwiedzica w Hamm? – spytała starsza siostra, na co młodsza mruknęła lekceważąco:

– Pewnie tak samo!

– A nie jest odwrócona do góry nogami?

– To Wielki Wóz – wtrąciła Alina. – Jest tylko fragmentem Wielkiej Niedźwiedzicy. Tworzy go siedem jasnych gwiazd.

Podniosła rękę i wyprostowała palec wskazujący.

– Najjaśniejsze gwiazdy Wielkiego Wozu przypominają bryczkę lub wóz konny ze złamanym dyszlem. Gwiazda znajdująca się w części złamania nosi arabską nazwę Mizar. Podobno spojrzenie na tę gwiazdę stanowi dobry test jakości widzenia.

– Wow! – jęknęła Tośka, nie kryjąc zachwytu.

– Obserwator obdarzony ostrym wzrokiem dostrzeże bez trudu słabiej świecącą gwiazdę w bezpośredniej bliskości nazwaną Alkor – ciągnęła Ostrowska.

Skierowała palec w inną stronę.

– A tam jest Gwiazda Polarna, która wskazuje północny kierunek, wokół niej obraca się całe sklepienie niebieskie.

– Mamo? Skąd ty to wszystko wiesz? – zdziwiła się Tośka. – Studiowałaś astrologię?

Rodzicielka roześmiała się perliście.

– Nie, interesowałam się tylko troszkę. Opowiedzieć wam legendę o Wielkim Wozie?

– Tak! Tak!

Upiła łyk herbaty, która zdążyła już nieco wystygnać, pogłaskała Rudiego rozłożonego między nogami i zaczęła recytować fragment jakiegoś dzieła.

*Nieco wyżej Dawida wóz, gotów do jazdy,
Długi dyszel kieruje do polarnej gwiazdy,
Starzy Litwini wiedzą o rydwanie owym,
Że niestusznie pospólstwo zwie go Dawidowym,
Gdyż to wóz Anielski. Na nim to przed czasy,
Jechał Lucyper. Boga gdy wezwał w zapasy.
Mlecznym gościńcem pędząc w cwał w niebieskie progi,
Aż go Michał zbił z wozu, a wóz zrzucił z drogi.
Teraz popsuty między gwiazdami się wala,
Naprawić go Archanioł Michał nie pozwala.*

– Bravo! – pisnęła młodsza córka, klaszcząc soczyście w obie ręce.

– A wiecie, skąd pochodzi ten fragment? – spytała Alina, uśmiechając się tajemniczo.

– Nie mam pojęcia – odparła Tośka strapiona.

– Mickiewiczem mi tu jakoś zaleciało... – mruknęła Julka, która, dotychczas zamyślona, poruszyła się w fotelu, chwyciła za kubek stojący na parapecie okna i przytknęła krawędzią do ust.

– Zgadłaś! – pochwaliła ją mama. – „Pan Tadeusz”. Księga ósma.

Rudi podniósł łeb, potrząsnął nim i ziewnął, potem dźwignął swoje potężne cielsko na przednie łapy i trącił panią nosem. W odwecie na tę zaczepkę, Ostrowska przeczesła palcami jego krótką sierść.

Tymczasem Julka zerwała się z fotela.

– Wybaczcie mi. Pójdę się położyć. Późno się zrobiło. Może jeszcze przeczytam książkę? – dodała.

– Ja też – zawtórowała Tośka. – Zgasić świece, mamo?

– Nie gaś jeszcze, skarbie. Weźcie psa i idźcie do domu. Ja jeszcze chwilę posiedzę. Zaczekam na tatę. Pewnie niedługo wróci z pracy. Bar chodzi najdłużej do jedenastej...

– Zrobić ci herbaty? – zaproponowała młodsza córka.

– Dziękuję, kochanie, nie trzeba. Jeszcze mam.

Dziewczyny cmoknęły ją kolejno w policzek, następnie pomknęły do siebie. Alina zaczęła, aż zamkną się za nimi drzwi, po czym odstawiła kubek na parapet. Oparła głowę o oparcie bambusowego fotela i ponownie zapatrzyła się w gwiazdy. Nagle coś w rodzaju tęsknoty szarpnęło jej ciałem, że aż zabolalo w piersiach. Nie wiedzieć czemu, pod powiekami zakłuło, słone łzy potoczyły się po policzkach, więc odruchowo otarła je wierzchem dłoni.

Zamknęła oczy, zanurzając się we wspomnieniach. Domek w ukochanym Lipowie, Antek i ona. Pojechali tam któregoś wieczora, by sprawdzić, jak idzie budowa. W środku nie było jeszcze żadnych mebli, schodów na górę, wyszlifowane, polakierowane deski intensywnie pachniały. Zmierch zdążył otulić okolicę, kiedy wyszli na taras i oparli się łokciami o balustradę. Niebo usiane było wówczas gwiazdami, gdzieś obok pohukiwała sowa, z wioski zaś raz po raz dochodziło szczekanie psów. Wpatrywali się w niebo jakiś czas, pokazując sobie z ożywieniem znane konstelacje, wdy-

chając zapach zroszonej trawy oraz żywicy z pociętych bali, których robotnicy nie zdążyli jeszcze zaimpregnować. W pewnej chwili Antoni objął ją ramieniem, jego palce powędrowały wokół szyi i dotknęły płatka ucha. Poczowała słodki dreszcz biegnący wzdłuż pleców, kiedy dotyk przerodził się w subtelną pieśczętę. Chwyciła jego dłoń i przyłożyła do ust. Wysunęła język, oblizując z czułością wnętrze jego dłoni. Przysunął ją do siebie i przywarł wargami do jej twarzy. Zrosił pocałunkami powieki, nos, policzki, potem niecierpliwie wdarł ręce pod jej spódnicę i pozbawił bielizny. Następnie podciągnął wyżej i posadził na balustradzie. Oparła plecy o pionową deskę podtrzymującą całą konstrukcję, chwyciła palcami jego głowę wtułoną między piersi, kiedy on niepostrzeżenie wsunął się pomiędzy jej uda. Syknęła, bo niewygładzona deska wżynała jej się w pośladki. Niezrażony tym, pchnął w nią swoją całą naprężoną męskość. Potem jeszcze raz, jeszcze raz i kolejny. Doszli jednocześnie, powietrze przeszył okrzyk spełnienia, w koronach drzew załopotwały skrzydła spłoszonych ptaków.

Bez słowa pomógł jej przyjąć wygodniejszą pozycję, postawił na tarasie i przytulił mocno. Niewiele wówczas potrzebowali, by się dobrze zrozumieć.

Zatem jak to się stało, że tamte chwile minęły bezpowrotnie? Z dnia na dzień stawali się sobie coraz bardziej obcy. Żadnego porozumienia, tylko ciągle pretensje i żale.

Zaczęło się już w Hamm. I nie chodziło o jeden pokój, brak prywatności, wspólną kuchnię i łazienkę. Nawet nie o to, że nie mogli pracować, choć ona zdobyła dorywcze zajęcie w postaci sprzątnia. Niewiele z tego było, jednak zawsze coś. Dziewczynki dorastały, miały coraz więcej potrzeb, a ona nie chciała ruszać odłożonych pieniędzy. Spędzali ze sobą dużo czasu, najczęściej na dole wśród innych emigrantów. Kwitło tam życie towarzyskie, bo oprócz gotowania było też sporo picia i rozmów na różne tematy. Hamid pokazywał im stare mapy i prowadząc palec po kontynentach, opowiadał o tradycjach, obyczajach panujących w Indiach. Kasty, przynależności, pojęcie czystości i nieczystości. Słuchając tych opowieści, nie mogła sobie wyobrazić takich podziałów i zależności. A jednak kiedy

oni opowiadali o tym, co się wydarzyło w Polsce – słuchacze nie posiadali się ze zdumienia.

– Wszyscy przyjechaliśmy tutaj w jednym celu – podsumował któregoś razu Hamid. – Chcemy żyć normalnie i z godnością. Chcemy równości, sprawiedliwości, wolnego słowa. Chcemy tylko pracować i żyć. Czy to aż tak dużo?

Coraz lepiej rozumiała angielski, którym większość się tutaj posługiwała. Czasem tłumaczyli sobie na migi, pokazywali poszczególne przedmioty i nazywali je. Było to dla niej kolejne, nowe doświadczenie, choć Antoni nie chciał się uczyć. Uważał, że wystarczy, jeśli umie rosyjski, choć ona twierdziła, że to zdecydowanie za mało, co też stawało się częstym powodem do sprzeczek. Kolejnym była praca. O ile ona załatwiła sobie to sprzątnięcie, o tyle mąż nie zamierzał podejmować żadnego zajęcia. Jego życie skupiało się teraz głównie na gotowaniu dla całej grupy uchodźców, wymianie myśli, degustacji, spożywaniu trunków. Z trudem mogła go wyciągnąć na spacer po mieście, bo zdarzały się chwile, że i ona miała dość tego towarzystwa. Chciała złapać oddech i побыć sam na sam w obecności męża. Ciągle go kochała, ciągle pragnęła, dlatego te baby, które nieustannie do niego lgnęły, stały się kolejnym przyczynkiem do ścięć. Pierwsza była Grażyna, ta pod byle pretekstem przyłączyła się do ich mieszkania i wyciągała Antoniego na dół. Wolą nie myśleć, co się dzieje, kiedy jej nie ma, dlatego szła do pracy wtedy, gdy w domu były córki. Przesadzała? Może tak, ale wolą, jak to mówią – dmuchać na zimne. Jednak w życiu Julki pojawił się uroczy chłopak, rok od niej starszy Ben, dlatego dziewczyna coraz częściej zniknęła i była poza zasięgiem jej wzroku. Z jednej strony cieszyła się, że znalazła sobie kogoś, z kim mile spędzała czas, z drugiej – wciąż się o nią martwiła. Tosia uczęszczała do niższej klasy i zaprzyjaźniła się z Kasią, córką polskiej pary emigrantów z parteru. Dzięki temu po szkole wracały razem do domu, następnie uczyły się wspólnie, na zmianę, najpierw u jednej, potem u drugiej. W tym przypadku, ku jej zadowoleniu – wszystko miała pod kontrolą.

Na szczęście wiedziała, że ten stan jest tylko przejściowy, że w końcu dostaną to cholerne pozwolenie i będą mogli opuścić to przekłete miejsce.

Zanim jednak do tego doszło – wiele razy podejmowała próby rozmów z Antonim. Usiłowała z nim rozmawiać na różne tematy, choć mąż bardzo często okazywał znudzenie. Ziewał, patrzył w okno bądź przerywał w najmniej odpowiednim momencie, informując ją, że idzie do toalety. Mimo to nie traciła nadziei, że będzie tak jak kiedyś, a dzięki porozumieniu ustrzegą się przed popełnieniem kolejnych błędów. Gdy zostawali sami w pokoju, zaciągała go do łóżka, ale nie były to już tak ekscytujące i porywające zbliżenia jak w Polsce. Odniosła wrażenie, że wszystko działa się jakby poza nią i na niektóre sprawy nie miała już wpływu. Często też słyszała, że przecież dzięki jej decyzji są tu, a nie gdzie indziej, co akurat było zgodne z prawdą. Jednak bolało, cholernie bolało. Nawet nie miała się komu wyżalić... Ukochana teściowa miała ciche pretensje, że wyjechali bez uprzedzenia, a potem to nieszczęście. Jej tata nagle poczuł się gorzej, a po kilku tygodniach, ku rozpaczy matki – zmarł. Nawet nie mogła być na jego pogrzebie, co było dla niej straszne i nie do wytłumaczenia. Wypłakała tyle łez, nie mogąc pozbyć się wrażenia, że to wszystko, co się dzieje złego, to wyłącznie jej wina. Może ojciec umarł ze zgryzoty? – myślała wielokrotnie i popadała w jeszcze większe przygnębienie.

Wśród nowych znajomych nie miała nikogo, komu mogłaby bezgranicznie zaufać. Napięcie między nią a Antkiem rosło, a ona marzyła już tylko o wyjeździe do Kanady, wierząc, że to miejsce uzdrowi ich relacje. I tylko ta jedna myśl rozświetlała Alinie ponurą, panującą w Hamm rzeczywistość...

Słyszając znajome kasłanie, oderwała myśli od wspomnień. W głębi ulicy oświetlonej lampami dostrzegła zbliżającą się energicznym krokiem sylwetkę. Mąż trzymał w palcach papierosa, bo rozżarzony punkcik migotał w oddali, przemieszczając się z miejsca na miejsce. Zerwała się z fotela, odwinęła z koca i wybiegła mu na powitanie.

– Jesteś, kochanie! Pewnie zmęczony? – zawołała, zbliżając się do niego szybkim, tanecznym ruchem.

– Bardzo... – przyznał, cmokając ją odruchowo w policzek.

Poczuła w nozdrzach znajomy zapach wody kolońskiej, choć zrobiło jej się jakoś żal, że nie pocałował jej w usta jak kiedyś.

– Zaraz sobie odpoczniesz. Zrobię ci herbaty.

Skrzywił się.

– Wolałbym coś mocniejszego.

– W takim razie... napiję się z tobą. Jutro sobota, mam wolne.

Uśmiechnął się krzywo.

– Szczęściara! – mruknął. – A ja muszę zasuwać. Mam czasem dość tego grubasa!

Nie skomentowała tych słów. Antoni zbyt często zrażał się do pracy i przełożonych.

Nie mógł sobie poradzić z tym, że to nie on był właścicielem, że to nie on zarządzał, tylko wykonywał polecenia. W ten sposób każdy jeden pracodawca zaczynał go ostatecznie irytować. W ostatnim czasie już trzy razy zmienił miejsce pracy.

Jej też nie było łatwo w fabryce, pochylona przy śrubkach, przez osiem godzin na nogach. A jednak miała świadomość, że jest przecież kredyt do spłacenia. To, co im zostało z pobytu w Niemczech, dołożyli do wkładu własnego, dlatego oszczędności już nie było. Zresztą, z większości zostali okradzeni w Hamm. Żyli, można powiedzieć, z dnia na dzień, choć nie wiodło im się najgorzej. Praca była w tej sytuacji wartością nadrzędną.

– Będzie mi idiota tłumaczył, jak się robi musakę! – warknął wściekle.

W dowodzie solidarności i aprobaty uścisnęła mu ramię.

– No, naprawdę. Ciebie?

– Śmieszne, co?

– Bardzo śmieszne! – zawtórowała. – Dlatego nie przejmuj się takim ignorantem. To głupiec!

Weszli do domu. Przyjemne ciepło osiadło na ich przemarzniętych policzkach.

– Idź do łazienki, a ja napalę w kominku. Potem zrobię dwa drinki i posłuchamy sobie muzyki. Boney M, A-ha, Depeche Mode... – zaczęła wyliczyć – Co ty na to?

Skrzywił się.

– Wolę coś polskiego...

– Jasne, nie ma problemu – zgodziła się natychmiast. – Mogą być polskie przeboje. Mnie jest wszystko jedno!

Dziewczynki u siebie?

Zawsze nazywał je dziewczynkami, choć już dawno przestały nimi być.

– Tak, już śpią. Oglądałyśmy gwiazdy i przemarzły na kość.

– W takim razie pójdę się odświeżyć i przebrać. Zaraz do ciebie dołączę.

Powiodła za nim wzrokiem. Wciąż był atrakcyjnym, przystojnym mężczyzną, choć z jego twarzy coraz częściej biło jakieś zniechęcenie. Wszystko go drażniło, a już najbardziej mentalność ludzi, którzy ich otaczali. Nie czuł się tutaj jak u siebie, czego od początku nie ukrywał. Coraz częściej dopadała go frustracja, której nawet jej starania nie były w stanie wyciszyć. Wtedy zwykle sięgał po alkohol, a za tym szły wykrzyczane w gniewie słowa, które tak bardzo ją raniły i długo bolały. Dziś postanowiła napić się razem z nim, może ten sposób okaże się bardziej skuteczny? – myślała na pocieszenie.

Niedługo później siedzieli w swoich ulubionych fotelach przy zgaszonym świetle, trzaskającym wesoło kominku, ze szklankami napelnionymi whisky z colą. Z głośników zakupionej niedawno wieży dochodziła muzyka lat osiemdziesiątych, którą oboje bardzo kochali, ponieważ kojarzyła im się z najlepszymi latami, jakie wspólnie przeżyli. Przeboje Budki Suflera, Lombardu, Bajmu, Perfectu i innych polskich grup umilały im czas. Co prawda, Alina próbowała czasem przemycić coś zagranicznego, ale i tak z reguły przegrywała z kretesem. Pływały więc porywająca *Jolka, Jolka*, nostalgiczne *Latawce, dmuchawce, wiatr* czy *Przeżyj to sam*, do którego i ona miała szczególny sentyment.

Wkrótce Rudi przyczłapał także, rozwalił się między ich nogami i posapując, cicho spał. Kilka drinków rozluźniło im myśli, które nagle stały się jakieś jasne i przejrzyste, spadło też napięcie, a otaczający ich świat przestał być szary i ponury. Rozmawiali o przeszłości, ale także o przyszłości, o remoncie w domu, wymianie stołu w jadalni, kolejnej wyprawie nad wodospad Niagara. Wszystko nagle wskoczyło na równe tory i pomknęło w tym samym kierunku. Alina po raz pierwszy od dawna uśmiechała się zaczerwienioną od ognia i alkoholu twarzą, z nadzieją, że jeszcze nie wszystko stracone.

Rozdział 4

Stefania najbardziej interesujących rzeczy dowiadywała się od zaprzyjaźnionej sąsiadki Halinki Przytułskiej, do której bardzo często wpadała na poranną kawę i ciasto. Oczywiście ona też nie pozostawała dłużna, dlatego dzieliła się tym, co ugotowała, upiekła albo otrzymała w prezencie. Halinka gościła też u niej, zwykle popołudniami. Grały wtedy w karty, układały tarota albo dla odmiany szydełkowały. Lubiła te wspólnie spędzone, wdowie chwile. Można powiedzieć, że połączył je podobny los, bo straciły mężów niemal w tym samym czasie. Dużo ze sobą rozmawiały, wspominały, ale też wymieniały się najnowszymi nowinkami. Tego wieczora było podobnie.

– Widziałam ostatnio twojego byłego z tą... Bajeczką. – Skrzywiła się, wypowiadając jej pseudonim. – Jak ona ma właściwie na imię?

– Hanna – odparła Stefa. – Hanna Rozenberg.

Sąsiadka nałożyła na szydełko kolejne oczko i zacisnęła wargi, przeplatając włóczkę, jakby ta czynność sprawiała jej ogromną trudność.

– Strasznie wyglądała. Chuda jak palec. Sama skóra i kości.

– Zawsze była chuda – oświadczyła nieco złośliwie Stroińska. – Kiedy była młoda, ta szczupłość wydawała się atrakcyjna, ale jak Bajeczka się zestarzała, już nie.

– No właśnie – podjęła rozemocjonowana Halinka. – Ona raczej wyglądała na chorą. – Twój były mąż trzymał ją pod ramię, jakby bał się, że zaraz się przewróci. Ledwie szła, utykała, twarz miała mizerną i bladą.

– A włosy? – zaciekawiła się.

– Nie widziałam włosów, była w chustce.

Kobieta podniosła część wyszydełkowanej robótki i przyglądała się krytycznie własnemu dziełu.

– Ciekawe, kto w tym będzie chodził? Chyba ja sama. Córka nie lubi takich rzeczy, woli tureckie. Ostatnio pojechała z mężem do Tuszyna i nakurowali tyle rzeczy! – Skrzywiła się pogardliwie. – Gdybyś to wszystko widziała? Swetry, spodnie, sukienki... Pamiętasz czasy, kiedy wszystko było szyte na miarę? A teraz sama masówka. Cała Łódź chodzi jednakowo ubrana.

Halina przytaknęła, przyznając jej rację. Świat się zmieniał na ich oczach, nabierał kolorów, ale niestety stawał się coraz bardziej tandetny. Stefani nasunęła się myśl o warsztacie ojca. Dziś, pewnie nie miałby co robić. Ludzie kupowali obuwie z Chin, które było coraz gorszej jakości, a jednak znacznie tańsze.

– Moja wnuczka też woli rzeczy importowane, na szczęście Józia ceni wszystko, co ma duszę. Myślę, że jej będzie się taka chusta podobała. Jadę do niej niedługo, jak chcesz, zrobię jej prezent od ciebie. Równie dobrze możesz pojechać ze mną.

– Wspaniale! – Ucieszyła się. – Dorobię jeszcze frędzelki, będzie ładniej. A ty co robisz?

– Beret – odparła krótko Stroińska, po czym znów nawiązała do poprzedniej rozmowy. – Może ona naprawdę jest chora? Muszę zapytać Weroniki, powinna coś wiedzieć... – dodała zaraz.

Zegar na ścianie wybijał właśnie godzinę osiemnastą. O tej porze roku za oknem było już całkowicie ciemno. Pracowały przy lampce, którą Stefania ustawiła na stole w pokoju. Górne światło też było zapalone. Obie miały okulary na nosie, obie coraz gorzej widziały. Halinka należała do kobiet szczupłych, niskich, pomysłowych i niezwykle energicznych, dzięki czemu jej sąsiadka nie mogła narzekać na nudę. Poznały się dawno temu, jeszcze wtedy kiedy żył Felek. Przytułska przyszła do niej pożyczyć kilogram mąki, bo już zarobiła drożdże na pączki, była sobota po południu, sklepy pozamykane i stworzył się nie lada problem.

Powiedziała wówczas:

– Uratowała mi pani życie.

Oczywiście to stwierdzenie było mocno przesadzone, natomiast już następnego dnia Halinka zapukała do drzwi z miską tłusciutkich, zarumienionych pączuszków. Tak zaczęła się ich znajomość, która przetrwała do dnia dzisiejszego.

Nie minął miesiąc od tej rozmowy, o której szczerze mówiąc, dość szybko zapomniała, gdy zadzwonił do niej sam Tadeusz.

– Hanna nie żyje – oznajmił tak przejmująco, że zrobiło jej się bardzo smutno.

– Przykro mi – odparła, co akurat było zgodne z prawdą. – Kiedy zmarła?

– Godzinę temu.

W słuchawce zapadła niezręczna cisza.

– W szpitalu?

– Tak.

– Mogę ci jakoś pomóc?

– A chciałabyś? – Zaskoczył ją pytaniem. – Z niczym sobie nie radzę... Muszę załatwić dokumenty, wybrać trumnę, kwiaty, sukienkę, bieliznę... To jest ponad moje siły.

– Dobrze – oświadczyła. – Przyjadę jutro z samego rana.

Usłyszała w słuchawce głośnie stęknienie.

– Dziękuję – powiedział cicho, zduszonym głosem.

Następnego dnia z samego rana udała się do Tadeusza. Dziwnie się czuła, jadąc do niego tramwajem, ubrana jak zawsze starannie, w wełniany płaszcz i skórkowe trzewiki, które wiele lat wcześniej otrzymała w prezencie od Feliksa. Oczywiście zgodnie z panującym przesądem zapłaciła mu za nie złotówkę. Mawiano bowiem, że dawanie butów źle wróży, bo para wkrótce się rozstanie. Nie wierzyła do końca w te gusła, jednak przezornie

wręczyła mu monetę – mąż najpierw chuchnął, a następnie wrzucił pieniądze do kieszeni.

– Na szczęście – powiedział wówczas i pocałował czule, choć dwa lata później już go nie było. Znow na tamto wspomnienie ból przeszył jej pierś, szybko jednak opanowała ten stan, zaciskając palce na pasku torebki i patrząc przez szybę na ożywające z każdą chwilą miasto. Buty wciąż były dobre, niezniszczone, może dlatego, że dbała o nie szczególnie. Pastowała i polerowała szmatką, dokładnie tak jak uczył ją tatko. Tej nocy spadł pierwszy śnieg, ulice były więc rozjeżdżone, na maskach przesuwających się obok aut widniała biała, puchowa warstwa. Ludzie starym zwyczajem opatuleni w szale i grube czapki tłoczyli się na przystankach.

Zastała byłego męża całkowicie rozsypanego. Ostatni raz widziała go w podobnym stanie tuż po śmierci teściowej, czyli osiem lat wcześniej. Wszak Irena miała już swoje lata, była dobrze po dziewięćdziesiątce, odeszła podczas snu, z uśmiechem na twarzy, całkowicie pogodzona z losem. To był już czas, kiedy zrezygnowała z wychodzenia z domu, a towarzystwo mężczyzn przestało ją interesować.

Otworzył jej drzwi, będąc jeszcze w piżamie i kapciach. Twarz mu się zapadła, a pokryta kilkudniowym zarostem wydawała się brudna i stara.

– Zrobię ci herbaty.

– Nie! – zaprotestowała. – Sama sobie zrobię. A ty się w tym czasie ogol i ubierz. Pojedziemy najpierw do szpitala po dokumenty, a później do urzędu.

– Dziękuję – bąknął, spoglądając na nią z tłącą się w oczach wdzięcznością, po czym szurając kapciami, oddalił się do łazienki.

W kuchni zastała istny armagedon, żeby zrobić sobie coś do picia, musiała najpierw wyłowić szklankę ze zlewu i porządnie ją umyć. Stwierdziła więc, że skoro już zamoczy ręce, zmyje wszystko. Właśnie kończyła wycierać ostatnie naczynie, gdy pojawił się Tadeusz. Był ogolony, ubrany w czyste spodnie i sweter. Zapach wody kolońskiej rozpląnął się w niewietrzo-
nym pomieszczeniu.

– Nie musiałaś tego robić.

– Czego?

– No tego! – Zerknął w stronę wysprzątanego zlewu i blatu. – Tak mi wstyd! – jęknął przepraszająco.

– Daj spokój!

Wytarła ręce w czystą ściereczkę i odwiązała fartuch.

– Jedziemy?

Skinął w odpowiedzi i zgarbiony, z wciśniętą w ramiona głową, przeszedł do korytarza, by założyć palto i buty.

Wrócili po kilku godzinach okropnie zmęczeni. Zdążyli załatwić większość formalności związanych z pochówkiem, choć zostało im jeszcze kilka ważnych spraw, między innymi wybranie ubrania do trumny. Zjedli resztki zalewajki, którą Tadeusz ugotował dwa dni wcześniej, wypili kawę, nakarmili koty i przystąpili do kolejnych czynności.

– Twoja żona lubiła czerwień – stwierdziła Stefania, podchodząc do szafy w pokoju. – Każda kobieta chciałaby ładnie wyglądać w trumnie, kto powiedział, że trzeba być ubranym na czarno? – Otworzyła drzwi mebla i ze znanstwem zaczęła przeglądać garderobę.

– Masz rację. Hanna ostatnio bardzo schudła, rak płuc ją całkowicie wyniszczył. Czerń jeszcze by ją postarzyła.

– Myślę, że ta będzie najlepsza. – Stroińska wyciągnęła wieszak z sukienką o prostym kroju, odciętą w pasie i ozdobioną paskiem z metalową sprzączką. Przesiąknięta była dymem z papierosów i oklejona sierścią kotów, jak większość ubrań w szafie.

Tadeusz omiół ją spojrzeniem i twierdząco pokiwał głową.

– Tak, to jej ulubiona... – bąknął, przetykając głośno ślinę. – Zamówię makijaż i założymy jej perukę – dodał jeszcze ciszej głosem pełnym bezmiernego bólu.

– Miała piękne włosy, zawsze ich trochę zazdrościłam – oznajmiła w pewnej chwili Stefania, patrząc na zaskoczony tym wyznaniem Tade-

usza.

Nie powiedział nic, tylko odwrócił wzrok. Wyjął z paczki papierosa i wcisnął między wargi. Zrozumiał przesłanie tych słów, choć w tej chwili wszystko nabrało innego znaczenia. Hanny już nie było, zostały wspomnienia i poczucie winy. Tyle lat krzywdził rodzinę, tyle lat...

– Wypiorę ją ręcznie, a potem wyprasuję – rzekła, odrywając wzrok od mężczyzny. – Boję się, że w pralce straci fason. Naszykuję też bieliznę i buty.

Przytaknął bez słowa, ponownie zaciągając się papierosem. Ręce mu drżały.

– Powiadomiłeś Urszulę?

– Jeszcze nie – bąknął w odpowiedzi.

– Więc musisz to zrobić jak najszybciej. Pogrzeb już za cztery dni.

– Wiem...

– Dobrze, w takim razie posprzątam mieszkanie. Przyjadą ludzie, trzeba będzie przygotować dla nich poczęstunek. Nie mogą zastać takiego bałaganu.

Były mąż nie skomentował tych słów, tylko wstał, podszedł do okna i spoglądając na ruchliwą o tej porze aleję Włókniarzy, dalej zaciągał się dymem carmena.

W pewnej chwili Stefania mimo woli skierowała wzrok w stronę pluszowego fotela, na którym spały koty. Dopiero teraz zwróciła uwagę, że leżał tam przerzucony przez oparcie szlafrok Bajeczki, a zwierzaki wtulone w materiał, stłoczone obok siebie, sprawiały wrażenie, jakby pilnowały tej rzeczy. Dziwnie się poczuła, patrząc na nie, plecy przejął nieprzyjemny dreszcz.

Nawet jeśli dusza nie potrzebuje ubrań, to i tak każda z tych pozostawionych rzeczy staje się namacalnym świadectwem na istnienie człowieka. Odzwierciedleniem jego nawyków, starań, słabości... – pomyślała.

– To ja już pójdę, Tadek. Pewnie chcesz pobyć sam ze sobą?

Odwrócił się na te słowa i rzucił błagalnie:

– Nie! Proszę, zostań jeszcze!

– No, nie wiem... – bąknęła, na co on w sekundzie do niej dopadł i chwycił za rękę.

– Stefka, proszę. Nie zostawiaj mnie teraz samego! Nie zniosę tego!

Przestąpiła z nogi na nogę, po czym wyrwała dłonie z mocnego, bezwiednego uścisku.

– No, dobrze... Posiedzę jeszcze z tobą dwie godzinki, zadzwonimy do Urszuli i do paru innych osób, a potem wrócę do siebie, zgoda?

Popatrzył na nią z wdzięcznością i skinął twierdząco głową.

Rozdział 5

Odkąd mama chodziła do fabryki Chryslera, piątkowe popołudnie wiązało się z mnóstwem obowiązków i prac Julii i Tośki. Obie współczuły rodzicielce, która nie była przecież przyzwyczajona do ciężkiej roboty polegającej na segregacji śrubek, wstawania o piątej rano, ośmiogodzinnych zmian z zaledwie kilkuminutowym odpoczynkiem. Budynek głównej siedziby fabryki był ogromny, mieścił się w samym Brampton w prowincji Ontario, miał mury z czerwonej cegły, wieżę z zegarem przypominającym brytyjski Big Ben i ogromne hale fabryczne, w których produkowano obicia do samochodów, siedzenia i inne części. Matka pracowała natomiast w Newmarket, gdzie również znajdowały się wielkie hale produkcyjne i magazyny. Z tym miastem miała też połączenie, wystarczyło, że wsiadła w samochód, wyjechała na Yonge Street i w ciągu zaledwie kilkunastu minut była już na miejscu. Spały jeszcze, kiedy wymykała się cichutko wczesnym rankiem, za to gdy wracała, bywała okropnie zmęczona, choć w domu czekały na nią kolejne obowiązki. Dziewczyny więc postanowiły, że każdego piątku będą sprzątały dom, czyściły podłogi, listwy, poręcze schodów, szorowały łazienki, pucowały garnki i prały. Bywało, że sprzeczały się przy tym, zwykle to na Julię spadało więcej czynności, choćby z racji wieku i umiejętności.

Powrót mamy za każdym razem wynagradzał córkom cały wysiłek i poświęcenie. Stawała w progu z torbą wypchaną zakupami, w tym kasetą wideo z filmami dla Tośki, płytą CD z piosenkami dla Julki, słodyczami, jogurtami, butelką coli i wina. Istna rozpusta. Czasem kupowała dla nich inne drobiazgi, takie jak ozdoby do włosów, czapki, kolorowe rajtuzy czy

skarpetki. Dla ojca też coś się zawsze znalazło. Nowy krawat czy spinki do koszuli. Radości było co niemiara, dlatego kiedy po orzeźwiający i odświeżający prysznicu podawały jej uroczyście obiad, robiły herbatę z miodem i cytryną, a na deser nalewały lampkę dobrego trunku. Przynosiły też ulubioną książkę z biblioteczki, nakazywały jej się wygodnie przed kominkiem, włączały ulubioną muzykę, aby w ten sposób się relaksowała. W ciepłe dni wygrzewała się w słońcu na tarasie, oczywiście w towarzystwie boksera Rudiego, który uwielbiał spać przy jej nodze.

Oczywiście po kilkunastu minutach lektury zamykała książkę, wołała je do siebie, a one siadały wraz z Rudim na podłodze, nalewały sobie po szklance coli i rozpoczynały rozmowę na różne tematy. I na ten moment czekały najbardziej. Tośka opowiadała o koleżankach z klasy, o tym, która ją wkurza, a z którą jej się dobrze gada, o chłopakach, ciuchach, muzyce, za to Julka prychała dla odmiany, że w jej szkole to same Czereśniaki, czyli tacy, od których należy się trzymać z daleka.

– Obciach byłoby się z takim pokazać! – mawiała często, śmiejąc się do rozpuku. Sama nie wiedziała, kiedy przejęła to określenie, kojarzyło jej się z czymś daleko odstającym od podstawowych norm zachowania, czymś, co powinno się traktować z wyższością, wręcz pogardą, jednak zdecydowanie nie wpłynął na to uwielbiany przez młodzież PRL-u serial rodzinny *Cztery pancerni i pies*. Nadawali go jeszcze w Polsce, Ostrowscy mieszkali wówczas na Jelonkach w Warszawie, w czasach, gdy w mniemaniu Julii wszystko tak pięknie się układało i stanowili wówczas szczęśliwą, cudowną rodzinę. Tata wracał zwykle późnym wieczorem, najczęściej sfrustrowany, nalewał sobie szklankę whisky i po kilku takich solidnych porcjach szedł spać. W niedzielę zaś, kiedy już wstawał wypoczęty, nieco spokojniejszy, szli we troje bądź we czworo na spacer do najbliższego parku, gdzie przy dobrej pogodzie grywali w badmintona i piłkę ręczną. Teraz ich życie zminimalizowało się do niewielkiego terytorium Bradford i okolic, z którego w weekendy rzadko wystawiali nosy, bo po ciężkim, wypełnionym pracą tygodniu, mama pragnęła wolny czas spędzać z książką lub w swoim ulubionym ogrodzie. Czasem oczywiście dała się namówić na mały wypad do Toronto,

buszowanie po sklepach i podziwianie tego nowoczesnego miasta, w którym za każdym razem coś nowego odkrywali. Nad Niagarą byli tylko dwa razy, w tym raz z kuzynostwem, zaraz na początku ich przyjazdu do Kanady. Zachłysłeni się wówczas rozmiarem wodospadu, wspaniałymi widokami i miasteczkiem obok, pełnym knajp, kasyn, hoteli i turystów. Częściej za to udawali się na pobliskie jeziora, które tutaj miały płaskie, piaszczyste brzegi i przypominały wręcz morza. Jak okiem sięgnąć w dal, woda ciągnęła się aż po sam horyzont i nie miała końca. Najgorsze były jednak zimy, wtedy temperatury spadały nawet poniżej czterdziestu stopni, mróz skuwał warstwę wody grubym lodem, śnieg nieustannie prószył, tworząc zaspę, natomiast ogrzewanie w domu w postaci nadmuchu nie nadawało już rady. Opatuleni w koce i grube skarpety, spędzali wolne wieczory przy kominku. Miasteczko wówczas zapadało w zimowy letarg, stawało się leniwe, ludzie opieszali, i tylko dzięki dobremu połączeniu z Toronto najdłuższą ulicą świata o nazwie Yonge Street, która liczyła sobie tysiąc osiemset dziewięćdziesiąt sześć kilometrów, łączyła brzegi jeziora Ontario z brzegami jeziora Simce, mogli wychylić nosa poza obręb Bradford i zobaczyć inne życie.

Alina uwielbiała prace w ogrodzie. Zawsze po krótkim odpoczynku celebrowała chwile, oddając się z całym zaangażowaniem pielęgnacji roślin, które po pewnym czasie wynagradzały jej ten trud obfitym kwitnieniem. Oprócz iglaków i krzewów na niewielkiej, bo liczącej sobie niecałe czterysta metrów powierzchni rosły drzewka owocowe, między innymi rozłożyła czereśnia, śliwka i jabłoń. Trawa była równo przystrzyżona, rabaty zadbane, chwasty wyrwane. To miejsce stanowiło jej dumę, nie omieszkała się nim chwalić przy każdej okazji, kiedy do ich domu wpadali znajomi i dalsza rodzina. Antoni dla odmiany zajmował stanowisko w kuchni, gotował, tworzył, improwizował, wprawiając towarzystwo w zdumienie i zachwyty. Każdy wiedział, że podczas wizyty u Ostrowskich nie zabraknie dobregojadła i napojów. I nie chodziło o ilość, ale o jakość. Gospodarz dbał

o swoich gości, jakby ta sprawa była dla niego jakimś celem nadrzędnym. Zdarzało się, że to nastawienie konfliktowało małżonków, ponieważ Alina, zmęczona po pracy w fabryce, oczekiwała spokoju i wytchnienia, tymczasem jej mąż do życia i funkcjonowania potrzebował nieustającego gwaru. Musiało coś się dziać, musieli go otaczać ludzie, którzy go nieustannie chwalili, klepali po ramieniu, prawili komplementy. To go uskrzydlało, w przeciwnym razie markotniał i stawał się zgryźliwy.

W tym natłoku spraw i wzajemnych pretensji zdarzały się jednak chwile porozumienia i czułości. Udawali się wtedy zgodnie na spacer.

Szli wówczas spokojną, otoczoną dostojnym starodrzewem Lee Ave, przy której mieszkali, aż docierali do Yonge Street, do usytuowanych na odcinku w centrum niskich dwupiętrowych domów z kilkoma sklepikami, restauracją, pubem, piekarnią i dwiema kawiarniami. To tam rozsiadali się zwykle w przydrożnym ogródku, Alina zamawiała kawę, Antek piwo i smakując łyk po łyku, nie śpiesząc się, obserwowali mieszkańców tej miejscowości, których większość stanowili rolnicy – prości, spracowani ludzie z ogorzalymi twarzami i pochylonymi plecami. Portugalskie kobiety należały do kobiet temperamentnych, młodsze nosiły się zgodnie z obowiązującą modą, te starsze przypominały wyglądem Cyganki, wyróżniały się charakterystycznym regionalnym strojem, nosiły haftowane chusty, którymi okręcały plecy lub głowy, za to często głośno się kłóciły, albo okupowały pobliski róg i plotkowały. Przewijali się też Meksykanie z charakterystycznym kolorem skóry i rysami twarzy. Przybywali do miasta w poszukiwaniu pracy, można ich było spotkać sezonowo, najczęściej na niekończących się polach marchwiowych, gdzie biorąc udział w zbiorach, zarabiali na życie. Mimo to – wszystko tutaj było jakieś nijakie, smutne, a nawet nudne. Brakowało tych kontrastów, niedostatków, tej codziennej walki o przetrwanie, która wrosła w ich mentalność i nie pozwalała o sobie zapomnieć.

I kiedy tak Antoni z papierosem w palcach wciąż rozmyślał, Alina wiedziała, że tęskni za krajem, za matką, zostawioną tam rodziną i życiem w Warszawie, dlatego czasami ostrożnie podejmowała temat ewentualnego powrotu. Bardziej dla stworzenia pozorów i wybadania gruntu. Ona

już nie chciała wracać, uznała, że nie było do czego. Przyzwyczała się do tego miejsca, do tych ludzi, znalazła na siebie sposób i osiągnęła w pewnym sensie swój cel. Miała teraz męża tylko dla siebie, posiadali – co prawda kupiony na kredyt – ładny dom, a obie córki uczyły się dobrze i nie sprawiały problemów wychowawczych. Wydawałoby się, że do szczęścia nie brakuje im nic, ale odkąd sytuacja polityczna i gospodarcza w Polsce zmieniła się na lepsze, dla niebojących się ryzyka, kreatywnych, przedsiębiorczych ludzi otworzyły się nowe perspektywy – mąż coraz częściej przebąkiwał o wyjeździe.

– Sprzedamy dom, spłacimy kredyt, będziemy na czysto – przekonywał.
– Wyremontujemy letnisko w Lipowie, przerobimy je na całoroczne... Wystarczy przecież założyć ogrzewanie i ocieplić budynek – kontynuował, coraz bardziej rozgorączkowany.

– A co z pracą? – przerywała bezlitośnie. – Co ja tam będę robić?

– Jak to co? Otworzymy restaurację, będziemy ją prowadzić razem!

– Nie sądzisz, że to wielki wstyd. Co powiedzą ludzie? – rozsiewała w dalszym ciągu wątpliwość. – Ooo! Wrócili. Bez grosza przy dupie. Miało być eldorado, a była kupa Nic! Już słyszę te przepełnione drwiną, pogardliwe głosy.

– A co mnie obchodzą ludzie? – irytował się Antoni. – Mam ich wszystkich gdzieś!

– A za co założysz tę restaurację? Wszystkie oszczędności nam się rozeszły. Tutaj żyjemy na bieżąco. Chcesz coś jeszcze dodać?

Ten ostatni argument sprawiał, że mężczyzna milkł. Zawiesił wzrok w próżni, wyciągnął kolejnego papierosa, którego nerwowo odpalił.

– Wybacz. Wiem, że nie lubisz być nikomu podporządkowany, że marzy ci się własny biznes, ale przecież tutaj też możemy spróbować. Trzeba tylko chcieć! – Nie ustawała w przekonywaniach.

W odpowiedzi sarknął żałośnie, strzepnął popiół z papierosa i zmiażdżył niedopałek na dnie popielniczki.

Już wiedziała, że to koniec rozmowy, że czas wracać do miejsca, które nazywali domem, gdzie jej mąż znów sięgnie po alkohol i upije się nim do nieprzytomności.

Rozdział 6

Z adzwonił do niej dwa tygodnie po pogrzebie. Stefania wróciła akurat ze spaceru do mieszkania na Lipowej, zdążyła zdjąć płaszcz, otrzepać buty ze śniegu i ustawić je w przedpokoju. Od razu pobiegła do saloniku, by dołożyć do pieca. Na szczęście jeszcze nie wygasło, resztki żaru tliły się nadal na ruszcie, więc dorzuciła kilka suchych szczap i zaczęła, aż ogień wystrzeli w górę. Przyjemne ciepło liznęło ją po policzkach, kiedy pochyliła głowę nad podłogą. Sypnęła kilka bryłek węgla i dopiero wtedy poszła do łazienki. Dźwięk brzęczącego telefonu kazał jej skrócić toaletę, niestety ta z racji wieku zajmowała jej coraz więcej czasu. Drepcząc do aparatu, z żalem skonstatowała, że przecież jest już po siedemdziesiątce i z czasem będzie jej coraz trudniej.

– Możesz do mnie przyjechać? – usłyszała w słuchawce stłumiony, znajomy głos.

W pierwszej chwili ogarnęła ją wściekłość. Dopiero wróciła, za dwie godziny była umówiona z Halinką na wieczorne szydełkowanie, chciała przygotować sobie coś do zjedzenia, upiec ciasto i uprzątnąć bałagan po wczorajszych gościach. Odwiedziły ją wnuki. Małgosia z Filipem, który w tym roku kończył trzynaście lat. Podobny był do ojca, wysoki blondyn z przydługimi włosami i pociągłą twarzą. Małgosia z kolei – istna kopia matki – stała się już niemal dorosłą kobietą. Właśnie kończyła technikum krawieckie i zamierzała zdawać na Akademię Sztuk Pięknych. Jednym słowem – szła w ślady rodzicielki. Przynieśli jej wałówkę przygotowaną przez Weronikę – leberkę swojej roboty, wędzony boczek, ćwiartkę wiejskiego chleba i mendel jaj. Przywieźli to wszystko z Kalinka pod Rzgowem, gdzie miesz-

kała najbliższa rodzina zięcia. Ładnie ze strony córki, że zawsze o niej pamiętała – pomyślała z czułością, kiedy odbierała wiktuały ułożone w wiklinowym koszyku wyłożonym serwetką.

– Tadeusz? Czy coś się stało?

– Nie, a właściwie tak. Źle mi... – jęknął bezradnie.

– Dzwoniłeś do Weroniki? Może ona mogłaby cię odwiedzić? – próbowała się jakoś wykręcić.

– Nie chcę jej zawracać głowy, obarczać swoimi problemami... – wyznał ze skruchą. – Odkąd otworzyła własną firmę, ma tyle pracy i obowiązków.

To akurat była prawda. Córka, idąc za przykładem swojej koleżanki z pracy, zwolniła się z Telimeny i wynajęła budynek gospodarczy od ciotecznej siostry Zbyszka na wsi niedaleko Kruszowa. Szokując rodzinę i znajomych, postanowiła spróbować szczęścia na swoim i otworzyła własną działalność. Posunięciem tym przewróciła życie domowników do góry nogami. Zarywając dni i noce, poświęcała się pracy, na szczęście biznes od początku kręcił się pełną parą. Głównie projektowała i szyła sukienki, rzadziej proste płaszczyki i spodnie. Na początku zainwestowała tylko w nóż do krojenia, overlock i stebnowkę, następnie zatrudniła krojczego i dwie szwaczki. Jej kolekcje były dość niepowtarzalne, dlatego szybko znalazły odbiorców. Pozyskała kilku kontrahentów z Ukrainy i dwóch pośredników ze stolicy, którzy wysyłali towar w dużych ilościach na Wschód. Stefania nigdy nie przypuszczała, że Weronika zdecyduje się na tak odważny krok.

Westchnęła ciężko do słuchawki.

– Jest już późno, zaczęło się ściemniać. Mam jeszcze trochę pracy... Może w takim razie ty przyjedziesz do mnie? – zaproponowała ostrożnie. – Adres znasz.

– Dobrze. – Ożywił się. – Będę za niecałą godzinę.

Szybko ogarnęła mieszkanie, następnie zeszła na dół do sąsiadki, by odwołać zaplanowane wcześniej szydełkowanie. Ta uśmiechnęła się łobuzersko, podnosząc głowę znad kolorowej gazety i puszczając do Stroińskiej

konspiracyjne oczko. Siedziała na okrytej narzutą w pasy wersalce, przy zapalanej lampce na długiej, drewnianej nodze z kremowym abażurem. Już na pierwszy rzut oka widać było fascynację kwiatami doniczkowymi, bo ich przeważająca ilość zalegała niemal każdy skrawek pomieszczenia. Niektóre z nich były bujne i rozłożyste, zwłaszcza palmy, draceny i fikusy.

– Były mąż, powiadasz? Czuje się samotny? Zapowiada się ciekawy wieczór!

– Nie wyobrażaj sobie zbyt wiele! – ucięła kwaśno. – Wpadnij o osiemnastej na herbatę, to sama się przekonasz.

– Nie omieszkałam – odparła Halinka, poprawiając okulary i odkładając prasę. – Drugi raz taka gratka może się nie zdarzyć. – Zachichotała.

– Oby. – Stefania machnęła lekceważąco ramieniem, po czym poszła do siebie przygotować jakiś posiłek.

Tadeusz już od jakiegoś czasu siedział przy stole, w tle grał stojący na szafce nakrytej koronkową serwetą telewizor, a na blacie stała rozlana do połowy butelka cytrynowki, którą były mąż przytargał ze sobą. Gospodyni przyniosła szklanki z gorącą herbatą, koszyczek z pieczywem, półmisek z wyrobami, pokrojony ogórek konserwowy i masło. Towarzyszyła im Halinka, która zgodnie z planem zapukała do drzwi punktualnie o osiemnastej. Na szczęście sąsiadka należała do osób rozmownych, dlatego niezręczna cisza nie stała się zmorą tego wieczoru.

Stefania miała zarumienione policzki, opróżniła już kolejny kieliszek nalewki i lekko kręciło jej się w głowie. Zastanawiała się, kiedy Tadeusz zechce wrócić do siebie, nawet próbowała go o to zagadnąć, lecz on za każdym razem odpowiadał wymijająco.

– Mam zaprzyjaźnionego taksówkarza, pracował kiedyś w mojej firmie. Wystarczy, że zadzwonię do centrali, i zaraz będzie.

– A gdzie ci się spieszy? – wtrąciła rozochocona sąsiadka, której trunek jeszcze bardziej rozwiązał język. Wciąż paplała, opowiadała bzdurne histo-

ryjki, ale w tej sytuacji było to zbawienne.

Dla odmiany były mąż niewiele mówił, jego zachowanie wskazywało jednak na to, że ta wizyta jest mu bardzo potrzebna i czuje się w towarzystwie obu kobiet wyjątkowo dobrze.

Słuchał uważnie, czasem wtrącał jakieś zdanie, ale zawsze elegancko, bez wywierania nacisków. Gospodyni zauważyła, że od pogrzebu jego wygląd nieco się poprawił, twarz wygładziła, obciął włosy, ogolił się, ubrany był czysto i jak zawsze przyjemnie pachniał.

Dochodziła dwudziesta druga, kiedy Stroińska przeprosiła gości i oznajmiła, że chce się położyć. Tadeusz zerwał się jak oparzony, poczuł się nieco zmieszany jej zachowaniem, jakby spodziewał się, że zaproponuje mu nocleg. Szybko ubrał się, podziękował za gościnę i wyszedł. Nawet nie zadzwonił po taksówkę. Halinka tylko mrugnęła do niej starym zwyczajem i potruchtała do siebie.

Stefania nareszcie odetchnęła z ulgą, zebrała ze stołu naczynia, zaniósła do kuchni, potem poszła do łazienki się obmyć, a na końcu rozścieliła łóżko. Krótko przed snem uklękała przed obrazem Najświętszej Pani, zmówiła modlitwę i dopiero wtedy, spoglądając krótko na zdjęcie Feliksa, wyłączyła światło, telewizor i położyła się spać.

Rozdział 7

Właściciel piekarni, pan Rob Kutner, przeliczył pieniądze i wręczył Julii niewielki plik. Dziewczyna odebrała banknoty i niedbale wepchnęła je do kieszeni kurtki.

W pomieszczeniu panował gorący buchający z rozgrzanych pieców, twarz właściciela zakładu była mocno zaczerwieniona, pokryta też kropelkami potu, które raz po raz zgarniał rękawem koszuli wystającej spod poplamionego mąką fartucha.

– Szkoda, że już nie możesz przychodzić – oznajmił ze smutkiem. – Dobrze się spisywałaś.

Młoda uśmiechnęła się na dźwięk tych słów. Taki komplement sprawił jej przyjemność.

– Dziękuję panu. Muszę niestety na jakiś czas wyjechać. Nie będzie mnie. Może jak wrócę, to wtedy...

Twarz mężczyzny ożywiła się.

– Miejsce dla takiej pracowitej dziewczyny zawsze się znajdzie! – oświadczył w tej samej chwili. – Nawet nie musisz pytać.

Otaksował ją badawczym spojrzeniem zatrzymując wzrok na wielkich, intensywnie niebieskich oczach, w których coś nieznacznie błysnęło.

– Zapamiętam. Dziękuję też za dzisiejsze pieczywo. Rodzice się na pewno ucieszą. Ma pan najlepszy chleb w miasteczku.

– To się chwali! – Ucieszył się. – O to przecież chodzi, by ludzie kupowali mój chleb, a nie od konkurencji.

– Przecież pan tutaj nie ma żadnej konkurencji! – zaznaczyła głosem pełnym przekonania. – Inni pieką, ale glinę! – Zaśmiała się, ukazując piękne białe zęby z niewielką przerwą na przodzie.

Pan Rob w odpowiedzi poklepał ją z uznaniem po ramieniu, po czym odprowadził do samych drzwi. Na pożegnanie uścisnął rękę i potrząsnął nią kilka razy.

– Bądź silna i walcz, dziewczyno! I uważaj na siebie! Takie jak ty niepotrzebnie zwracają na siebie uwagę.

– Niepotrzebnie? – zdziwiła się.

– Lepiej czasem nie rzucać się w oczy, a z twoją urodą to raczej trudne – dodał z powagą.

Zamrugła oczami, nie wiedząc, co powiedzieć, następnie wspięła się na palcach i cmoknęła mężczyznę w zarośnięty, zgrzany policzek.

– Jeszcze raz dziękuję, wszystkiego dobrego!

Mówiąc to, zrobiła zwrot na pięcie, zarzuciła plecak na ramię i pogwizdując pod nosem, ruszyła różnym krokiem przed siebie.

Julia nie znosiła koleżanki Tośki, Marii, córki pewnych portugalskich emigrantów, którzy dołączyli do grona rolników uprawiających marchew. Była żywiołowa i nader wścibska. Wpadała bez pukania do jej pokoju i obwąchiwała wszystkie kąty.

– Po jakimu napisana jest ta książka? – spytała pewnego razu, widząc na łóżku przełożoną zakładką powieść Stefana Żeromskiego.

– Po polsku – mruknęła Ostrowska na odczepne – Znasz?

– Pierwsze słyszę... – bąknęła tamta i odrzuciła książkę z odrazą, jakby była obłana trucizną. – Umiesz czytać po polsku? – upewniła się jeszcze.

– Umiem! – sarknęła nieuprzejmie.

– To przeczytaj mi jedno zdanie!

– I tak nic nie zrozumiesz... – mruknęła, krzywiąc się złośliwie, potem otworzyła powieść na pierwszej stronie i zaczęła czytać.

Dzieje grzechu

W czasie powrotu do domu Ewa miała oczy spuszczone. Wszystkimi siłami starała się nie patrzeć na przechodniów i unikać ich wzroku.

– Nic nie rozumiem, co za dziwny język! – prychnęła lekceważąco Maria i podeszła do biurka.

Tego było już za wiele. Leżał tam ostatni list od Bena, którego nie zdążyła jeszcze przeczytać.

– Korespondencja z Niemiec? – zdziwiła się tamta, oglądając z każdej strony kopertę. – To musi być coś bardzo interesującego.

– Nie twoja sprawa, Maria! – syknęła Julka, nie kryjąc już irytacji. – To mój pokój i moje zabawki! – zagrzmiała ostrzegawczo. – Przyszłaś do mnie czy do Tośki?

– Tośka zeszła na dół. Miała przygotować coś do zjedzenia – pospieszyła z odpowiedzią Portugalka.

Ostrowska omiotła wzrokiem tę rozpuszczoną, wścibską nastolatkę, wyglądającą na góra czternaście lat. Szczupłą, niewysoką brunetkę o ciemnych, orzechowych oczach i oliwkowej cerze. Była nawet ładna, ale charakterek miała okropny. Powinna zachowywać się jak dorosła, a zachowywała jak smarkula.

– To może jej pomożesz? Sama będzie wszystko niosła na górę?

– Nic jej się nie stanie, schudnie trochę! – zripostowała złośliwie i prześmiewczo.

– Okropne dziewczuszyko! – podsumowała Julka w myślach. – A to Tośka znalazła sobie kumpelę. Lepszej już nie mogła?

– Wyjeżdżasz? – rzuciła tamta w pewnej chwili, spoglądając na stosik ubrań leżących na oparciu krzesła.

– Ja? No coś ty? Skąd taki pomysł?

– Moja mama tak segreguje ciuchy przed podróżą – oznajmiła Maria, patrząc na nią z wyższością. – Nie jestem głupia, jak ci się wydaje.

– Nic mi się nie wydaje! – burknęła Julka, zrywając się z krzesła. – Wystarczy tego, schodzimy na dół! – wydała komendę i otworzyła szeroko drzwi.

Tamta fuknęła wzgardliwie, zrobiła obrót na pięcie i z obrażoną miną wyszła.

– Nie zrobisz tego! – zawołała płacząco Antonina, rzucając ze złością list pod nogi.

– Zrobię, a tobie nic do tego! – odcięła się Julka. – Proszę cię tylko o jedną przysługę. Abyś oddała tę wiadomość rodzicom za trzy dni. Przez ten czas zdążę się bezpiecznie ewakuować. Zanim się zorientują, już mnie tutaj nie będzie.

– Błagam! Nie zostawiaj mnie!

Złożyła obie ręce jak do modlitwy i uklękła przed siostrą.

– Zostań w domu, proszę. Nie chcę być tutaj sama!

Julka pochyliła się nad nią i objęła mocno.

– Nie płacz, wstań! Nie zniosę tego! – bąknęła bezradnie. – Ja już postanowiłam. Muszę jechać, w przeciwnym razie on ożeni się z tą lalką Barbie. Nie rozumiesz? Ben to całe moje życie, nie wyobrażam sobie innego faceta obok siebie!

– Nie możesz znaleźć sobie kogoś tutaj? Pełno jest wokół fajnych chłopaków. Na przykład ten Pol. Widziałaś, jak na ciebie patrzy?

– Ten Czereśniak? Nie żartuj! Spójrz na jego zęby! Dramat jakiś!

Tośka usiadła na krawędzi łóżka, ukryła twarz w dłoniach i zaczęła szlochać. Znajdowały się w pokoju Julki, walizka była już spakowana, na biurku leżał paszport i rozdarta koperta z ostatnim listem od Bena, w którym donosił, że poznał wspaniałą dziewczynę i zamierza jej się oświadczyć.

– Myślałam, że on mnie kocha, a tymczasem traktował mnie jak przyjaciółkę. Wyobrażasz sobie?

Siostra podniosła głowę, mrugnęła zażawionymi oczami i pociągnęła nosem.

– Myślałaś, że jedenastoletni chłopak jest w stanie zakochać się w dzieściołatce? Byliście wówczas dziećmi! To jasne, że traktował cię jak kumpla. Całkowicie go rozumiem. Poza tym ty jesteś tu, a ona tam.

– Mądralińska! – syknęła Julka, wsuwając paszport do wewnętrznej kieszeni kurtki. – Nie wiem, jakbyś próbowała, nie przekonasz mnie! Jadę i już! Wierzę w to, że jak mnie zobaczy, zapomni o tej lali w sekundę!

Tośka nie odpowiedziała, tylko trzymając oburącz głowę, nadal pochlipywała.

– Twoim zadaniem jest trzymać buzię na kłódkę do momentu, aż wsiądę w samolot. Później dasz rodzicom ten list. W razie czego, o niczym nie wiedziałaś. Tak będzie dla ciebie lepiej.

Kucnęła, pogłaskała siostrę po mokrych policzkach i pocałowała ją w nos.

– Wrócę, obiecuję. Załatwię tylko sprawę.

– Z nim? – Chlipnęła.

– Oczywiście, że z nim. A ty dbaj o mamę. Potrzebuje twojej pomocy.

– Dlatego sobie jedziesz? – wycedziła drwiąco.

– Dobrze wiesz, że gdybym mogła, zostałabym. To jest ważne. Zbierałam na ten bilet od dawna. Harowałam w tej piekarni po szkole. A teraz kiedy wreszcie ukończyłam osiemnaście lat, mam upragniony paszport i pieniądze – już nic mnie nie zatrzyma.

– Jesteś okropnie samolubna! – warknęła gniewnie. – Jak możesz sobie jechać w takiej sytuacji? Oni kłócą się coraz częściej, ojciec pije coraz więcej. Nic cię to nie obchodzi?

Julka wstała, zrobiła po pokoju kilka okrążeń.

– Zapamiętaj sobie! To ich problem! Tak sobie ułożyli i tak mają. Ja mam swoje życie, poza tym jestem już dorosła.

– Tylko ci się wydaje – mruknęła dziewczyna, odwracając wzrok. Potem zerwała się gwałtownie z łóżka i wybiegła z pokoju. – Rób, co uważasz! – ci-

snęła gniewnie przez ramię, zanim trzasnęły głucho drzwi.

Rozdział 8

Warszawskie mieszkanie Józi przeszło ostatnio remont. Zniknęły ze ścian mięsiste, kolorowe tapety, a także elementy z boazerii, zastąpiła je natomiast gładź, która została pomalowana czystą, białą farbą. Ta jasność przełamana brązem ciężkich mebli stanowiła teraz kwintesencję elegancji i dobrego smaku. Potęgowała również poczucie przestrzeni, dlatego już na samym wejściu Stefania wydała z siebie cichy okrzyk zachwytu.

– Jak tu pięknie, a jak subtelnie! – zawołała, stojąc na środku salonu, który wydał jej się nagle o połowę większy.

– Prawda? – przytaknęła przyjaciółka, wodząc za nią wzrokiem. – Wreszcie czuję, że oddycham. Nie wiem, jak mogłam dotąd żyć zamknięta w tych przytłaczających kolorach.

– Zdjęłaś obrazy?

– Nie wszystkie. Część kazałam powiesić w pokoju muzycznym. Tam prezentują się znacznie lepiej. Zmieniłam też zasłony i firany. Postanowiłam zakupić coś lżejszego, cieńszego. Wyrzuciłam też stary dywan, parkiety zleciłam wycyklinować...

– Wspaniale! – podsumowała Stefka, robiąc obrót wokół własnej osi. – Ach, zapomniałabym! Wszystko przez te emocje – zreflektowała się po chwili. – To dla ciebie!

– A co to takiego? – zdziwiła się Wróblewska, odbierając pakunek. – Bombonierka z pralinami, szampan... rozumiem, ale po co prezent?

– Nie wiem, czy będziesz zadowolona... Ostatnio znalazłam w księgarni – bąknęła niepewnie Stroińska. – Nie chciałabym być nietaktowna... To książka o łódzkim getcie.

Przyjaciółka wstrzymała oddech, jej twarz znieruchomiała.

– Chętnie przeczytam – odparła wreszcie, wypuszczając z płuc powietrze. – Minęło już tyle lat. Rany dawno się zabiłiły. Zweryfikuję to, co jest napisane, z tym, co osobiście przeżyłam. A jak dostrzegę konfabulację, pozwę autora do sądu! – dodała z sarkazmem.

– Mam nadzieję, że cię nie uraziłam – pospieszyła z wyjaśnieniem. – Napisał to jakiś Żyd, który tam wtedy mieszkał. Może nawet go znasz...

– Nie skąd, nie uraziłaś... Dziękuję. – Józia podeszła i uściskała Stefkę. – Wiem, że chciałaś dobrze. Zobaczymy, może naprawdę go znam? – mruknęła i zamyśliła się. – A może to nie Żyd? Może to moja siostra? – Wargi jej zadrżały.

– Nie, to na pewno mężczyzna – uspokoiła ją Stroińska.

– To dobrze... Nie chciałabym przechodzić przez to jeszcze raz. Róża zaproponowała mi nawet przesłanie jednego egzemplarza tych wspomnień, ale wykręciłam się jakoś... Powiedziałam, że jak się spotkamy, to wręczy mi go osobiście, choć do tej pory nie było okazji. – Wzruszyła bezwiednie ramionami.

– Rozumiem... To może jednak nie czytaj tych wspomnień. – Stefania podeszła i chciała wyrwać jej pakunek z ręki.

– Nie! – zaprotestowała Józefa, cofając dłonie. – Myślę, że jestem już na to gotowa. Teraz, po tylu latach, nie będzie już tak bolało, jak wtedy kiedy obie wchodziłyśmy do naszego mieszkania. Ale wówczas to wszystko było jeszcze świeże, inaczej to odczuwałam. Traktowałam ten krok niemal jako święty obowiązek wobec mamy. Wiesz, o czym mówię?

Stefania westchnęła ciężko w odpowiedzi, kiwnęła twierdząco głową.

– Dziś pewnie będę już tylko widzem, bo niektóre wydarzenia pamiętam jak przez mgłę. Twarze rodziców już dawno zatarły mi się w pamięci...

– Jesteś sama? – spytała Stroińska, chcąc zmienić niewygodny temat, który sama nieświadomie rozpętała. – Pusto jakoś tutaj.

– Tak, chwilowo tak! Ale nie szkodzi, zrobię ci zaraz kawy i podam ciasto. Chodź do kuchni! Tam też się trochę zmieniło!

– Pelagii nie ma?

– Chora biedaczka. Jakies problemy z kręgosłupem. Wzięła kilka dni wolnego.

Weszły do kolejnego pomieszczenia, w którym Stefania bywała bardzo rzadko, zwykle urzędowała tutaj gospoia.

– Ojej! Co za zmiany? Nowe meble?

– Tak, postanowiłam wyrzucić te stare graty. Ledwie się już trzymały kupy. Założyłam też na podłodze nowe płytki i kazałam umalować sufity.

Stefania patrzyła na wielką przestronną kuchnię wyposażoną w biały zestaw szafek tworzących literę C. Podłoga przypominała teraz szachownicę.

– Pięknie! Masz świetny gust! – dodała z uznaniem, następnie omiotła wzrokiem przyjaciółkę, której czas wyjątkowo służył.

– Podpisałaś pakt z diabłem? – rzuciła z uznaniem.

– Ja? Ale o co chodzi?

– Wcale się nie starzejesz. Wyglądasz tak samo, jak dwadzieścia lat temu.

– Chyba żartujesz! – wycedziła kwaśno Józia. – Na szczęście mam lustro i wiem, jak wyglądam.

Stroińska prychnęła lekceważąco i usadowiła się przy stole.

– Nie widziałyśmy się chyba ze sto lat – stwierdziła. – Pamiętasz, kiedy ostatnio?

– Trzy lata temu. Przyjechałaś z Weroniką, jej mężem i dziećmi. Chciałaś się zobaczyć wtedy z matką Aliny. Zapomniałaś?

– Ach, tak... – przytaknęła. – Kawał czasu.

Józia zakręciła się przy lodówce i wyciągnęła z niej dwie kremówki. Rozłożyła na talerzyki, zanim zalała wrzątkiem zmieloną kawę. Tymczasem Stefa dodała:

– Nie gniewaj się, ale bez Antka i jego rodziny to już nie jest ta sama Warszawa. Poza tym... Nigdy nie lubiłam tej Aldony. Okropna baba, za to

jej mąż to był złoty człowiek. Szkoda, że już nie żyje. Tak szybko się zawi-
nął.

– Wszyscy wokół umierają, a my trzymamy się nadal. Czy to nie jakaś
ironia losu? Po tym, co przeszliśmy?

Stefania przytaknęła, mieszając kawę łyżeczką. Zamyśliła się na mo-
ment, wspominając męża.

– Obie zostałyśmy wdowami – powiedziała Wróblewska, odgadując jej
myśli. – Ale teraz nie czas na żałobę, tylko na czerpanie z życia, ile można.

– Ale jak?

Wzruszyła ramionami.

– Nie wiem... Karierę muzyczną zakończyłam bezpowrotnie, nawet bez
żału, ale kiedy Rozalia oświadczyła, że wyjeżdżają do Stanów, coś we mnie
pękło.

– Nie chciałaś jechać z nimi? Mogłabyś się zobaczyć z siostrą.

– Nie – odparła głucho. – Tutaj jest mój dom.

– A Gustaw? Skończyłaś z nim?

Józia podniosła pytająco brwi.

– Powiedziałam coś takiego?

– Pytam, bo nic nie mówisz...

– Musiał wyjechać na kilka dni, ale generalnie nadal jesteśmy razem.
W tym wieku trzeba się wspierać i szanować, a także umilać sobie życie
drobnymi przyjemnościami, których sobie nie odmawiamy. Wyjście do ka-
wiarni, kina, teatru... wystawy, wyjazdy...

– I słusznie – potwierdziła stanowczo Stroińska.

Długo jeszcze rozmawiały, wspominając chwile dawne i obecne, nie-
rzadko śmiały się do rozpuku, opowiadając sobie różne sytuacje, które
przeżyły u boku swych mężów. Robiło się coraz później, wcześniej już usta-
liły, że Stefania zostanie u Józi na noc.

– Jutro w Pałacu Staszica jest koncert chopinowski. Może pójdziemy ra-
zem? Będą grać największe pianistyczne sławy. Zresztą... – jej twarz zalała

się szelmowskim uśmiechem – kupiłam już bilety. Nie masz wyjścia.

– Ojej! Cudownie! – Stefania klasnęła w dłonie w wyrazie aprobaty.

– A po śniadaniu udamy się na spacer, później na obiad do mojej ulubionej restauracji. Serwują tam wspaniałą kaczkę z borowiną. Palce lizać.

– I miałabym odmówić? – Stroińska się zaśmiała. – Widzę, że zaplanowałaś cały dzień. Jestem pod wrażeniem!

– Skoro wiedziałam, że przyjeżdżasz... To raczej oczywiste, chyba że gdzieś ci się spieszy...

– Ależ skąd! – zaprotestowała. – Zarezerwowałam sobie specjalnie kilka dni. Nigdy nie czułam się taka wolna jak teraz! – wyznała. – Wnuki są już duże, nie muszę ich niańczyć. Całe szczęście, bo mam coraz mniejszą cierpliwość do dzieci – dodała, chichocząc.

– Ja też – potwierdziła Józefa. – W takim razie wyciągam z lodówki szampana i uczymy to spotkanie, jak należy.

Stroińska dawno nie czuła się tak swobodnie i lekko. Towarzystwo przyjaciółki okazało się jak zawsze zbawienne.

Dobrze jest wrócić wreszcie do domu – pomyślała Stroińska, stawiając niedużą torbę podróżną w korytarzu. Kiedy zdjęła płaszcz, poczuła nieprzyjemne zimno zgrzytające w powietrzu. Westchnęła, wsuwając na nogi wychłodzone kapcie, i od razu skierowała kroki do pokoju, gdzie w rogu czekał na nią w milczeniu kaflowy piec.

Kilka minut później po pomieszczeniu zaczęło się rozchodzić miłe dla ciała ciepło. Stefania zaparzyła sobie herbatę z cytryną i miodem, usiadła w fotelu, nakryła kolana wełnianym kocem i kołysząc się leniwie, czekała, aż temperatura wzrośnie. Za ścianą u sąsiadów toczyła się głośna rozmowa. Niecenzuralne słowa przebijały się przez zbyt cienką ścianę i zakłócały błogi spokój, na który liczyła. No cóż... idyllicznie to tam nie było. Sułki kłócili się niemal każdego dnia, on nie wylewał za kołnierz, stawał się agresywny, a ona nie pozostawiała mu dłużna, drąc się, jakby ją ze skóry obdzie-

rali. Kiedy żył Felek, Stroińscy wielokrotnie interweniowali, dzwoniąc na milicję, jednak za każdym razem Sułkowa odmawiała zeznań, twierdząc, że jej mąż jest grzeczny jak śpiące niemowlę. Po kilku takich sytuacjach postanowili więcej nie wtrącać się do małżeńskich spraw, co z perspektywy czasu okazało się słuszne. Para raz się kłóciła, raz się godziła, za każdym razem głośno i bez żadnych hamulców. Stroińscy przyzwyczaili się, choć były momenty, zwłaszcza w nocy, kiedy odgłosy zza ściany budziły ich i stawały się nie do zniesienia. Wówczas opuszczała łóżko, podgrzewała mleko i dodawała miodu. To był jedyny skuteczny sposób na ponowne zaśnięcie.

Krzyki na chwilę ucichły, w mieszkaniu zrobiło się cieplej, dlatego odwinęła koc, zsunęła się z fotela i podreptała do korytarza. Wykręciła numer do sąsiadki, chcąc sprawdzić, czy jest u siebie.

W tym samym momencie zaterkotał dzwonek do drzwi.

– No, nie! Ściągnęłam cię myślami! – zawołała, otwierając zamek i odchylając z rozmachem ciężkie, drewniane skrzydło. – To ty? – zdziwiła się, kiedy zamiast Halinki ujrzała zafrasowaną twarz Tadeusza w czapce i płaszczu obsypanymi drobinkami śniegu.

– Wybacz, przechodziłem tędy akurat... Dzwoniłem rano, ale nie odbierałaś.

– Byłam u Józki. Dopiero wróciłam, zdążyłam rozpalić w piecu. Wchodź! – rzuciła przez ramię, zostawiając za sobą otwarte drzwi.

Ogarnęła ją złość, nie zdążyła jeszcze rozpakować torby, przebrać się po podróży, nawet się odświeżyć.

– Byłeś u Bajeczki? – rzuciła na odczepne.

– Wczoraj, dziś za bardzo padało... Alejki na cmentarzu są zasypane...

Zatrzymał się na środku kuchni w samych skarpetkach, na jednej z nich dostrzegła sporej wielkości dziurę. W ręku trzymał materiałową torbę czymś wypchaną.

– Poproszę Weronikę, żeby zakupiła ci na rynku całą paczkę. Przecież nie ma ci kto zacerować.

– Przepraszam, nie zauważyłem... – spuścił wzrok, a dostrzegłszy ten wstydlivy detal, odruchowo podwinął palec, co wydało jej się nieco zabawne.

– W szafce na buty są kapcie. Możesz się sam obsłużyć? Ja tymczasem zrobię coś do zjedzenia.

– Przyniosłem coś dobrego – zreflektował się. – Wystarczy odgrzać.

– Tak? Co takiego? – zdziwiła się.

Postawił torbę na stole i wyciągnął z niej metalowy garnek okręcony foliową torebką i zabezpieczony gumką. Do tego dołączył butelkę pigwowej nalewki.

Rzuciła okiem na te wiktuały nie wiedząc, co ma zrobić.

Podniosła pokrywkę i zmarszczyła brwi.

– Gulasz? I mam ci uwierzyć, że przechodziłeś tędy przypadkiem?

Tadeusz, zrobiwszy zakłopotaną minę, chrząknął niewyraźnie:

– Cóż... Zawsze umiałaś mnie rozgryźć.

Potem jednak dodał zdecydowanie.

– Tak, sam ugotowałem, z myślą, że zjemy razem.

– Niosłeś to wszystko taki kawał drogi? Nie mogłeś pójść do jakiejś sąsiadki? Pewnie niejedna chciałaby z tobą spędzić miły wieczór! – sarknęła złośliwie.

– Pewnie tak – odparł spokojnie. – W bloku są trzy, które chętnie zajęłyby miejsce Hanny. Dzwonią już od rana, chcą zaglądać na kawę, przynieść mi obiad albo zrobić pranie.

– Iii? – prychnęła, nie kryjąc ciekawości.

– I nic – rzekł obojętnie. – Minęło dopiero kilka tygodni od pogrzebu, Hania jeszcze nie wystygła, a one już robią podchody. Nie sądzisz, że to trochę niestosowne?

– Niestosowne?

Nie wiedzieć czemu, zrobiło jej się głupio. Poczwała gorąc na policzkach. Nagle zrozumiała, że Tadeusz nie ma złych zamiarów, traktuje ją jedynie

jak przyjaciółkę, której można zaufać i spędzić z nią przyjemnie czas. W chwili kiedy to sobie uświadomiła, odczuła nawet satysfakcję. Przecież nie robiła nic złego, spędzanie czasu z byłym mężem mogło się mieścić w kategoriach dobrych i poprawnych stosunków. W kamienicy nikt oprócz Halinki nie wiedział, kim tak naprawdę jest pan Ostrowski. Uśmiechnęła się sama do siebie na tę myśl.

Józia powiedziałaaby: Bierz życie za rogi, nie oglądaj się za siebie! Korzystaj z każdej przyjemnej chwili!

– Dziękuję, że pomyślałeś o mnie. – Zrobiła niewinną, chytrą minkę, zanim odpaliła palnik na kuchence. – Zaraz odgrzeję, zobaczymy co z ciebie za kucharz! Czyżby jakiś ukryty talent? – ironizowała.

– Na pewno – stwierdził kwaśno, wyczuwając drwinę w jej głosie.

– Może Antek odziedziczył tę umiejętność po tobie? Nie miałam pojęcia, że lubisz gotowanie – spuentowała, widząc jego nasrożoną minę.

– Nie lubię – powiedział szczerze. – Ale i tak nie mam w domu co robić. Nakarmię koty, posprzątam trochę, wyniosę śmieci... Odkąd jestem na emeryturze, wszystko nabrało innego wymiaru. Czas nagle spowolnił.

– To prawda... – przyznała z westchnieniem. – Dzień stał się dłuższy i noc nie ma końca.

Wyciągnęła z kuchennej szafki dwa kieliszki na wysokich nóżkach. – Specjalne do nalewki – wyjaśniła. – Ostatni zakup na pchlim targu.

– Piękne!

Były mąż odkorkował butelkę i rozlał równo słusne porcje.

– Za krótsze noce! – Roześmiał się.

– O, tak! – przyznała mu rację, chichocząc jak mała dziewczynka.

Zaraz na stole znalazły się dwa talerze i wiklinowy koszyczek z chrupiącym pieczywem, jakie zakupiła w drodze do domu. Niedługo później jedli gulasz i choć mięso było niedogotowane, a warzywa zbyt miękkie, Stefania pochwaliła dokonania byłego męża.

– Jest w tobie potencjał, biorąc pod uwagę, że kuchnia nigdy nie była twoją mocną stroną.

– No nie – przyznał, a potem dodał zaraz: – Urszuli też nie, a jednak życie samo narzuciło swoje warunki.

– Właśnie, co u niej? Widziałam ją na pogrzebie, zamieniłyśmy zaledwie kilka zdań. Nie wygląda niestety najlepiej, gdzież jej do tej zbuntowanej, pewnej siebie dziewczyny? – Westchnęła demonstracyjnie.

– Po staremu... – mruknął. – Jej mąż jak chłał, tak chła, ona ledwie wiąże koniec z końcem... choć zaczęła podnajmować pokój mamy studentom, dzięki czemu ma dodatkowy dochód. Joasia jest już dorosła, ale nadal chorowita. Ostatnio znalazła sobie jakiegoś chłopaka. Ula mówi, że dobry materiał na męża.

– To dobrze... – Przytaknęła głośno, nie kryjąc żalu nad jej ciężkim losem.

– Miłość... – mruknął Ostrowski, przyglądając się uważnie Stefanii. – Jak potrafi zmylić i zniszczyć ludziom życie.

Zerknęła na niego spod uniesionych brwi, zastanawiając się nad sensem tych słów. Nie powiedziała jednak nic, tylko ułamała kawałek świeżego pieczywa i w zamyśleniu włożyła do ust.

Rozdział 9

Alina znalazła na strychu pudło z bombkami po dawnych właścicielach domu przy Lee Ave 18. Miały urocze wzorki z mieniącego się brokatu, były kolorowe i w różnych kształtach. Zniosła je na dół do salonu i położyła na podłodze obok ubranej częściowo choinki. Za oknem obficie padał śnieg, w domu pachniało czystością wypranych firan, płynów do czyszczenia mebli i tapicerki. W kominku wesoło trzaskał ogień, z wieży płynęła cicha muzyka. Pochyliła się, aby chwycić jedną z nich i powiesić na gałązce, kiedy kolejny raz wstrząsnął nią szloch. Usiadła w fotelu, ukryła twarz w dłoniach i zaczęła płakać.

– Mamo, co się dzieje?

Obok niej zmaterializowała się sylwetka Antosi. Dziewczyna dotknęła ramienia mamy, usiłując zmusić, by Alina na nią spojrzała. Ta podniosła zaczerwienioną od emocji twarz, patrząc przed siebie bezradnie.

– Dlaczego to zrobiła? Jak mogła? Żle jej tu było z nami?

Tosia kucnęła obok matki i chwyciła za rękę.

– To nie twoja wina, to przez Bena. Ubzdurzyła sobie, że jak tam pojedzie, wybije mu tę dziewczynę z głowy.

– Dlaczego nas nie uprzedziła? Wyjechała tak bez pożegnania, bez jednego słowa wyjaśnienia... – zawodziła dalej Alina. – Przecież tak nie można!

– Dlatego wołała zostawić list. Wiedziała, że jej nie pozwolicie, że zrobicie wszystko, by wyperswadować jej ten pomysł z głowy.

– To prawda... – przyznała cicho Ostrowska.

Tośka wstała i podeszła do choinki.

– Ale ładne bombki! – zawołała, przyglądając się cudёнkom z pudła. – Kupiłaś?

– Nie, skąd... – bąknęła. – Znalazłam na strychu... Możesz zawiesić, jak chcesz, kochanie.

Córka tymczasem, wspinając się na palcach z wyciągniętą w dłoniach bombką, wycedziła przez ramię:

– Nie martw się, mamó. Jak szybko pojechała, tak szybko wróci. Zobaczysz...

– Obyś miała rację, tylko te święta bez niej już nie będą takie same.

Nastolatka przytaknęła, wzruszając ramionami.

– Nie będą, to prawda. Ale przecież możecie zaprosić ciocię Ewę i wujka Ryśka. Na pewno chętnie przyjdą. Nie zamierzam teraz płakać! – dodała z nutą pretensji. – To wybór Julki. Sama jestem na nią wściekła, nie chciała mnie słuchać. A tak ją prosiłam.

Alina wstała, wytarła rękawem swetra twarz i podeszła do córki. Objęła ją ramieniem.

– Wybacz, kochanie. Wiem, że tobie również jest bardzo przykro. Nie mówmy już więcej o tym. Mam tylko nadzieję, że jest bezpieczna. Nigdy nie sądziłam, że ten chłopak jest dla niej taki ważny. Nie mówiła mi o tym.

– O wielu rzeczach ci nie powiedziała! – sarknęła bezlitośnie Tośka. – O tym, że pracowała w piekarni po lekcjach, bo chciała odłożyć na bilet, też nie. Najpierw odliczała dni, aż ukończy osiemnaście lat, a potem – aż uzbiera odpowiednią kwotę...

Matka tym razem nie powiedziała nic, tylko mocniej zacisnęła palce w pięści. Ból zawodu i rozczarowania przeszył jej pierś. Młodsza córka miała rację. Julka tak wiele przed nimi ukrywała, tylko jak do tego doszło? Robiła przecież wszystko, by dobrze wychować dzieci, by niczego im nie brakowało. Poświęcała im obu wiele uwagi, starała się być zawsze na wyciągnięcie ręki, wsłuchiwała się w ich głosy, skargi, zażalenia. Wydawało jej

się przez moment, że obie są zadowolone z wyborów, jakich dokonali, a jednak...Tak bardzo się myliła.

Patrząc na zielone drzewko przystrojone ozdobami i anielskim włosom, wróciła myślami do Hamm. To miasteczko miało być tylko przystankiem w ich skomplikowanej drodze do wolności, a stało się jakimś cholernym przekleństwem. Wszystko, co złe, wydarzyło się właśnie tam.

Wspomniała mimo woli dzień, kiedy w ich przytułku wrzało jak w ulu. Polacy przygotowywali się właśnie do świąt na wygnaniu, pragnęli, by ten czas choć odrobinę przypominał Gwiazdkę w rodzinnym domu. Jedne kobiety ugniatały ciasto na pierogi, inne smażyły farsz z grzybów i kapusty, a Antek sprawnie kroił warzywa do ryby po grecku. Grażynka dokazywała swoim piskliwym głosem, a Alina, ocierając płynące po policzkach łzy, kroїła w kostkę cebulę. W piekarniku dochodziły makowce, na stole stała już przygotowana kutia. Wspólna choinka w kuchni była skromna. Mała, z kilkoma bombkami, obwieszona anielskim włosom i cukierkami. Dzieci raz po raz podbiegały do niej, wrzeszcząc i kłócąc się o miejsce na gałązce, chcąc dowiesić ozdoby, które same wykonały. Nastrój wydawał się doniosły, klimat potęgowało wspólne podśpiewywanie kolęd. Nawet sąsiadka z góry, Zyta, nie piła tego dnia, uśmiechnięta i ładnie ubrana gotowała makaron do zupy grzybowej, która już w dużym garze stała na kuchni. Świąteczne zapachy ulatywały w górę i snując się po pomieszczeniu, zwiastowały niezwykle czas. Za kilka godzin wszyscy mieli zasiąść do wspólnej wigilii, podzielić się opłatkiem, złożyć sobie życzenia, rozdać prezenty, a może nawet uronić kilka łez. Hamida nie było, ulotnił się gdzieś na kilka dni, za to Irańczycy i Turkowie wpadali tylko po swoje rzeczy z lodówki, zerkali z zaciekawieniem, rzucali krótkie „sorry” i wychodzili, nie chcąc przeszkadzać. Właśnie wtedy, godzinę przed zaplanowaną wigilią, gruchnęła jak zdetonowany granat wiadomość. Przyjechali po sąsiadów z dołu, zakuli ich w kajdanki i deportowali do granicy. Ktoś doniósł, że oboje pracują na czarno. Kto mógł być takim potworem? Po zebranych w kuchni przeszła fala wzburzenia i grozy. Popatrzyli po sobie nieco podejrzliwie.

– Obcy tego nie zrobił, tylko swój – oświadczył ponuro Antek. – Zaczynam się zastanawiać, czy ta osoba jest wśród nas.

– Myślisz o tym samym co ja? – zapytała Alina.

Mruknął, kiwając głową. Oboje podejrzewali Turków, którzy od początku nie budzili ich zaufania. Byli jacyś tacy odcięci od reszty.

– A może to Deniz i Su? – jęknęła bojaźliwie Grażynka.

– To nie oni – wtrąciła się nagle Tośka, która dotychczas zajęta była lepieniem łańcucha z papieru.

– Nie, a kto? – spytała Polka.

– Widziałam kiedyś, jak pan Hamid rozmawiał z policją – oświadczyła nagle bez cienia wątpliwości.

– Że co? – Po zebranych przeszedł pomruk oburzenia.

– To na pewno był Hamid? – spytała z niedowierzaniem Alina. – Nie pomyliłaś go z kimś innym? Hindusi są bardzo do siebie podobni... – Próbowała walczyć o dobre imię znajomego.

Obrażona córka zmarszczyła nos i wydeła pulchne wargi.

– Chyba wiem, jak wygląda pan Hamid – oznajmiła z powagą i pretensją w głosie.

Wszyscy wstrzymali oddech, nastąpiła niezręczna chwila ciszy, którą przerwał Antoni:

– Kochani, to jeszcze nic nie znaczy! Nie możemy na podstawie tych informacji budować negatywnego wizerunku człowieka. Trzeba to najpierw sprawdzić.

– Zgadzam się – odezwał się ponuro Wojciech. – Jednak trzeba być czujnym i uważnym. Odtąd będziemy się mieli na baczności. Żadnych zwieżeń, żadnych informacji. Zrozumiano?

Kiwnęli głową na znak zgody, choć w tym momencie każdemu z nich różne myśli przychodziły do głowy.

– Hamid? Ten poczciwy, uczynny człowiek? – Alina potrząsnęła głową z niedowierzaniem. – Naprawdę mógłby to zrobić?

– Łapał mnie za tyłek, jak wchodziłam sama do kuchni – usłyszała z kąta przy piecu przygaszony głos Julki. – Za każdym razem powtarzał, że to tylko niewinna zabawa – dodała, podnosząc głowę znad sterty kolorowej bibuły. Wspólnie z młodszą siostrą postanowiły wykonać kilka ozdób na choinkę.

– A to ci łajdak! – syknął tym razem Antoni, nie kryjąc wściekłości.

Wyznanie córki poruszyło go do głębi. Hamid kreował się na przyjaciela rodziny, tymczasem powoli wychodziło z niego drugie ja.

– I jak dalej żyć? – zadał sobie pytanie, na które sam nie umiał znaleźć odpowiedzi.

Zjedli kolację wigilijną w milczeniu, ponieważ w gęstym, przepelnionym zapachami powietrzu wisiała ciężka atmosfera. Następnie rozpakowali przygotowane prezenty i próbowali się nimi cieszyć. Trudne to jednak było po tym, czego się dowiedzieli...

– Mamo, ktoś do ciebie!

Tośka przyniosła słuchawkę na długim, skręconym kablu, wytrącając Alinę ze smutnych wspomnień.

– Kto dzwoni?

Wzruszyła ramionami, patrząc na nią jakoś dziwnie zmieszana.

– Sama się przekonaj! – mruknęła, robiąc niewinny dzióbek, oddalając się do kuchni, by zaparzyć herbatę.

Ostrowska przejęła telefon i przytknęła do ucha.

– Mamo? – usłyszała po drugiej stronie znajomo brzmiący głos.

– Julka? Dziecko moje! Wszystko u ciebie w porządku?

– Tak, mieszkam chwilowo u Greta. Przygarnęła mnie. Pamiętasz ją?

– No pewnie, że pamiętam! – Alina pospieszyła z odpowiedzią, czując nadal ścisk w gardle. – Nauczycielka niemieckiego!

– Tak, dokładnie, jestem bezpieczna!

– Czyli jesteś w Hamm?

– Nie, w Münster... – padła krótka, lakoniczna odpowiedź.

- Co tam robisz?
- Greta z mężem mieszkają w Münster, dojeżdżała codziennie do Hamm, poza tym... zatrudniłam się w restauracji. Trochę kelneruję.
- A Ben? Znalazłaś go?
- Jeszcze nie...
- Kiedy zamierzasz wrócić? – dopytywała Ostrowska.
Usłyszała w słuchawce głośnie przetykanie śliny.
- Jak wszystko sobie poukładam...
- Ale kiedy? – spytała z naciskiem.
- Mamo, jestem już dorosła!
- Jasne! – skwitowała gorzko. – Stara śpiewka! Nie masz pojęcia, jak my się tutaj o ciebie martwimy – dodała.
- Niepotrzebnie. Doskonale daję sobie radę.
Chciała coś dodać, ale gardło znów się zakleszczyło.
- Mamo, muszę kończyć. Nie mam już więcej drobnych. Chciałabym złożyć wam świąteczne życzenia. Zadzwońię niedługo.
- Kiedy? Nie przerywaj jeszcze! Chciałabym ci powiedzieć, że...
- Przepraszam... – usłyszała Alina, po czym z głębi urządzenia wydobył się głuchy, ciągły sygnał.
- Nie, tylko nie to! – jęknęła i klapnęła bezradnie w fotelu. Twarz miała mokrą od łez, bo te niepostrzeżenie wypłynęły jej spod kłujących powiek.
- Najważniejsze, że u niej wszystko w porządku, prawda? – Tośka kucnęła obok i złożyła jej głowę na kolanach
- To prawda... – przytaknęła zduszonym głosem zatroskana matka, po czym przyłgnęła wargami do włosów młodszej córki.

Rozdział 10

Julia nasunęła kaptur na głowę, po czym zdecydowanie pchnęła szklane drzwi telefonicznej budki. Patrząc z zachwytem na udekorowaną świątecznymi ozdobami, oświetloną rzęsiście ulicę Prinzipalmarkt, energicznym krokiem ruszyła w kierunku restauracji, w której znalazła zatrudnienie. Znajdowała się w samym centrum średniowiecznego Münster, z przepiękną starówką, ratuszem w stylu gotyckim, katedrą Świętego Pawła, a także starym bazarem kupieckim. Architektura tego miasta wprawiała ją nieustannie w zachwyt, a już zwłaszcza teraz, przed świętami Bożego Narodzenia, kiedy to nad ulicą zwisały sznury lampek, a sklepy prześcigały się w pomysłach na przyciągnięcie uwagi. Zatrzymała się przed jedną z witryn: manekin ubrany był w czerwoną, koronkową mini z lekko rozkloszowanym dołem, rękaw od łokcia do nadgarstka też przypominał kształtem dzwonek, dzięki czemu rzecz nabrała wyjątkowej formy. Pomyślała, że kupi ją za pierwszą wypłatę, a potem umówi się z Benem i pójdą razem do dyskoteki. Westchnęła, ruszając ponownie do przodu. Mijały ją elegancko ubrane Niemki, wyprostowane, z podniesioną brodą i chłodnym, powłóczystym spojrzeniem. Lubiała na nie patrzeć, wyglądały tak atrakcyjnie w tych swoich stylowych płaszczach, kołnierzach z futerka i zgrabnych nakryciach głowy. Zupełnie odmiennie niż Polki, które zapamiętała, mieszkając jeszcze w Warszawie. Tam elegantkami były tylko nieliczne, większość nosiła się skromnie i bezbarwnie.

Odkąd tu przyjechała, nieustannie ją coś pozytywnie zaskakiwało. Najpierw Greta, która wyjechała po nią aż na samo lotnisko, a potem zawiozła do siebie, udostępniła jeden z trzech pokoi swego stylowego mieszkania.

Nie spodziewała się takiego przyjęcia i życzliwości z jej strony, może dlatego w pierwszej chwili popłakała się ze wzruszenia.

– Możesz tu mieszkać, ile będziesz chciała – zwróciła się do niej, otwierając opróżnioną szafę na ubrania.

– Danke... – wydukała, nie mogąc opanować pierwszej fali emocji.

– Nie płacz, kochana. – Kobieta objęła ją ramieniem. – Idź do łazienki, a ja tymczasem przygotuję coś do zjedzenia. *Gut?* Mam czas, wzięłam kilka dni urlopu. Specjalnie, abym mogła się tobą zaopiekować.

– *Gut* – mruknęła dziewczyna z wdzięcznością.

Czuła się zmęczona po kilkunastu godzinach lotu, ubrania miała zmięte i przepocone, niemal jednocześnie rozpieęły ją jakaś niesamowita energia i ciekawość. Patrzyła na niewysoką, drobnej postury nauczycielkę języka niemieckiego, z którą czas obszedł się tak łaskawie. Nadal była ładna, miała wysportowaną sylwetkę, tę zaś zawdzięczała codziennemu uprawianiu joggingu.

Pan Karl, mąż Grety, przypominał nieco wyglądem samego Einsteina. Rozwiane włosy, duży nos, lekko zgarbiony. Dołączył do nich późnym popołudniem, kiedy wrócił ze szkoły, przywitał się wylewnie, a następnie wyszedł na balkon wypalić papierosa.

Mieszkanie usytuowane było na trzecim piętrze w kamienicy w samym sercu miasta. Z okna wylewał się widok na deptak, którym każdego dnia spacerowało tysiące ludzi.

– Wspaniałe miejsce! – lubiła powtarzać Julia, stojąc na niewielkim balkonie i obserwując toczące się w dole życie.

Pracę na dobry początek załatwiła jej Greta. Poleciała ją swojemu koledze, który w Münster, zaledwie dwie przecznice od jej miejsca zamieszkania, prowadził restaurację o zobowiązującej nazwie Mozart. Na przyuczenie do obowiązków kelnerki dostała zaledwie kilka dni. Okazało się, że tyle jej wystarczyło, aby nie tłuc zastawy, nosić tacę, nie rozlewając kawy, ustawiać na nią umiejętnie brudne naczynia czy swobodnie rozmawiać z gośćmi

i wczuć się w ich potrzeby. Wyszło na to, że wrodzony wdzięk jest mocną stroną Julii.

Jedyny cel, jaki zamierzała osiągnąć, przyjeżdżając tutaj, czyli spotkać się z Benem – do tej pory nie został zrealizowany, ponieważ chłopak wyjechał na kilka dni do Berlina. Pozostało jej czekać i tęsknić, choć w głowie tworzyła przeróżne projekcje i scenariusze, które miały na celu przygotowanie jej do tego wyczekiwanego, niezwykłego momentu.

Rozmowa z matką przyniosła jej spodziewaną ulgę. Dobrze, że po pewnym czasie zdobyła się na ten telefon. Strach mieszał się z poczuciem winy, dopiero Greta ostatecznie przekonała ją, że tak trzeba.

– Twoja mama nie zasłużyła sobie na takie traktowanie. Pewnie umiera teraz z niepokoju o ciebie – powiedziała jej któregoś dnia. – Poza tym nie możesz jej obwiniać o wszystko. Każdy ma prawo do własnych wyborów.

– Jasne! – Julia skrzywiła się na te słowa. – Tylko że przez te wybory cierpi teraz cała rodzina.

– Nie możesz tak myśleć – zaproponowała. – Dzięki temu poznałaś Bena, mnie, nauczyłaś się języka. Twoje życie jest o wiele barwniejsze, niż ci się wydaje...

Zastanowiła się. Gdzie by teraz była, gdyby jej rodzice nie wyjechali z kraju. Pewnie dalej na osiedlu Jelonki, a może ówczesne władze zamknęłyby ojca i zabraliby im mieszkanie? Któż to mógł wiedzieć?

Zagryzła wargi. Greta miała rację. Dzięki decyzjom rodziców jest tu, gdzie jest, nie boi się niczego, zna niemiecki, angielski... Żyje z poczuciem, że poradzi sobie wszędzie, nawet w najbardziej niesprzyjających okolicznościach.

– Tego się właśnie trzymaj! – podsumowała Greta, widząc jej twarz i odgadując poplątane myśli Julii.

Restauracja Mozart usytuowana była na parterze wiekowej eleganckiej kamienicy przy Prinzipalmarkt. Wnętrze przypominało wyglądem stary dworek, znajdowało się w nim dużo ciemnego drewna, ciężkie stoły pokryte były białymi obrusami, a wahadłowe drzwi do kuchni nieustannie skrzypiały od popychania ich. Ogromny taras przylegający do budynku wychodził na Bazar Kupiecki, gdzie wciąż panował gwar.

Serwowano tutaj befsztyki wołowe, sznycle, zrazy cielęce, kaczkę i zapiekane kartofle. Ruch zaczynał się już po czternastej, potem z godziny na godzinę potęgował. Julia w tym czasie krążyła z tacą od kuchni do bufetu, z bufetu do głównej sali. Jej zmienniczką była Anita, jednak pomimo swojego doświadczenia tej drugiej – Polka w niczym jej nie ustępowała. Kilka dni wystarczyło, aby nie czuła się pod tym względem od niej gorsza. Za barem drinki serwował Oliwier – wysoki, przystojny Niemiec o niebieskich oczach.

Pomimo jego uroku – nie zapalali do siebie sympatią. Wciąż się o coś sprzeczali, czasem o drobiazgi, czasem o sprawy większej wagi. Julia dała się poznać jako bojowa dziewczyna z Polski, która nie pozwoliła sobie w kaszę dmuchać. W krótkim czasie stała się ulubienicą szefa, który nie spuszczał z niej wzroku, a nawet stwierdził kiedyś, że byłaby idealną żoną dla jego jedyne go syna, Paula.

Julia nic sobie nie robiła z tych sugestii, tęskniła za Benem, który napisał jej w ostatnim liście, że przyjedzie do Münster zaraz po świętach. Pracując, spędzając wolny czas na zwiedzaniu miasta, a także wzorem Grety – na pokonywaniu wczesnym rankiem kilku kilometrów – czekała na ten moment z biciem serca. Zadzwo niła też do Polski. Jak dobrze było znów usłyszeć babcię Stefanię. Złożyła życzenia i obiecała, że w przyszłym roku na pewno przyjedzie z wizytą.

Rozdział 11

Jeszcze pięćdziesiąt! – oznajmiła Weronika, odliczając na stole kolejną rzecz. Była to wiosenna sukienka w drobne kwiatuszki uszyta z sześciu klinów.

– Jeszcze tyle? – zdziwiła się Stefania, odkładając na uchwyt parowe żelazko. – Myślałam, że to koniec. Poza tym... sukienka prawie letnia, a my mamy zimę. Kto to kupuje? – zachnęła się.

– W zamówieniu było pięćset sztuk, a spakowanych jest czterysta pięćdziesiąt – odparła Weronika rzeczowo. – Mamo, to jest kolekcja wiosenna, zima już się nie sprzedaje.

– Nie? – Matka westchnęła ciężko i pokiwała głową. – I ty to wszystko ogarniasz, córeczko?

Młoda kobieta uśmiechnęła się z przekąsem.

– Rynek dyktuje zapotrzebowanie. Wystarczy mieć trochę nosa i dobrze liczyć. Telimena mnie wiele nauczyła...

Stroińska pokiwała głową i wróciła do prasowania.

– Kto to słyszał zawracać głowę ludziom przed świętami – mruknęła pod nosem. – Mało to jest roboty w domu?

– Mamo? – Córka spojrzała na nią z naganą. – Klient nie będzie się zastanawiał, czy święta, czy nie. Poza tym oni mają święta dopiero w Trzech Króli.

– A u nas za dwa dni. Jak ten czas szybko leci! – Stefania westchnęła, stojąc przygarbiona przy desce. – Gdyby coś, wszystko już przygotowałam.

Pierogi ulepione, makowce upieczone, sernik też. Namoczyłam śledzie, więc też zrobię. Takie jak lubisz, z cebulką i jabłkiem.

– Wspaniale, w takim razie wyślę po ciebie Zbyszka. Mam nadzieję, że na całe święta zostaniesz u nas.

– Na całe nie – oznajmiła. – W drugi dzień umówiłam się z sąsiadką. Obejrzymy sobie koncert życzeń w telewizji, a potem pójdziemy do katedry na mszę.

– Sąsiadka ważniejsza od nas. No ładnie! – Córka zaśmiała się pobłaźliwie. Zapakowała kolejną paczkę sukienek i ulokowała ją w kartonie.

– No dobrze, zróbmy sobie przerwę. Harujemy od samego rana. Czas na herbatę i coś na przekąskę!

Matka zgodziła się bez słowa protestu. Też była zmęczona. Stanie przy desce przez kilka godzin przy prasowaniu odzieży okazało się czynnością niezwykle wyczerpującą. Wyciągnęła wtyczkę z gniazdka i wyprostowała plecy. Mimo rozgrzanego żelazka w pomieszczeniu było dość chłodno, ponieważ sporej wielkości hala ogrzewana była jedynie grzejnikiem olejowym.

– Czuję, że nieźle zapłacisz za prąd – zauważyła Stefania.

– Mam nadzieję, że mi się zwróci z nawiązką. Szkoda tylko, że na ludzi nie można liczyć. Jak potrzeba coś zrobić, to nagle wypada jakaś choroba albo pilny wyjazd. I tak na okrągło – bąknęła Weronika, nie kryjąc żalu.

– Takie to życie, córeczko – przyznała matka, strzepując pyłki z dołu sukienki. – Oby tylko nie było wojny, zdrowie dopisywało, a z resztą będzie dobrze.

– Mamo! Tamte straszne czasy już nie wrócą! Nie mówmy już o tym! – zaoponowała Weronika, wyraźnie poirytowana. – Teraz kraj chce się odbudować, ludzie pragną żyć inaczej.

– Oby – mruknęła z przekąsem, a po chwili zapytała, zmieniając temat: – Kogo jeszcze zaprosiłaś na kolację?

Młoda kobieta postawiła wodę na jednopalnikowej kuchence gazowej, po czym sięgnęła do szafki po szklanki.

– Ojca, wuja Staszka z rodziną, rodziców Zbyszka... – wymieniała. – I tak naliczyłam jakieś szesnaście osób.

Stefania mruknęła z aprobatą. Zapowiada się interesujący wieczór – pomyślała.

Usiadła przy stole tworzącym prowizoryczną jadalnię.

– Wczoraj dzwoniła Julka – oznajmiła. – Nie uwierzysz. Uciekła z Kanady do Niemiec. Jest tam od kilku tygodni.

– Jak to uciekła?

– Zwyczajnie – odparła Stroińska, nie podnosząc wzroku znad szklanki z herbatą. – Uzbierała pieniądze na bilet, wyrobiła sobie paszport i wyleciała bez słowa wyjaśnienia. Zostawiła tylko list pożegnalny.

– Jejku! – bąknęła z niedowierzaniem córka.

– Niemożliwa jest ta dziewczyna.

– I odważna.

– Niewątpliwie. Po babci chyba – mruknęła, nie kryjąc dumy.

– Tak czy owak, musiała zrobić niezłego psikusa Antkowi i Alinie. To niebywałe! Rozumiem, żeby chciała wrócić do kraju, do swoich, ale dlaczego tam, do Niemiec? – skonkludowała zgryźliwie Weronika.

Stefania westchnęła ciężko.

– W pierwszej chwili też nie mogłam tego pojąć. Teraz wiem. Chodzi o jakiegoś chłopaka, poza tym... ona się tam czuje jak ryba w wodzie. Te lata na wygnaniu zrobiły swoje – podsumowała ponuro.

Weronika pokręciła głową.

– Współczuję bratu. Musi mu być bardzo ciężko. Julka od zawsze była jego oczkiem w głowie. A tu taki afront.

– Koniecznie muszę z nim porozmawiać. – odezwała się po chwili Stroińska.

– Koniecznie – przyznała Weronika, zawieszając wzrok w próżni.

Stefania z coraz większym trudem klękała na chodniku przed łóżkiem, nad którym wisiał święty obraz przedstawiający oblicze Jezusa Chrystusa. Kupili go kiedyś podczas pieszej pielgrzymki na Jasną Górę, udali się na nią we dwoje, zaraz po ślubie. Chcieli w ten sposób podziękować Bogu za ten cud, który im się zdarzył, bo przecież tylko tak można było nazwać szczęśliwy powrót do domu po tylu latach tułaczki. W pochodzie do sanktuarium uczestniczyło kilka setek ludzi, najczęściej młodych, spragnionych życia, co chyba najbardziej pokrzepiało i dodawało otuchy. Podczas drogi niemal przez cały czas wszyscy śpiewali, wywołując tym samym mieszkańców wiosek z domów. Ci stali wzdłuż drogi, machając do nich, odpowiadali na pozdrowienia albo dla odmiany podchodzili z dzbankiem i kubkiem wody. Dzieci piszczwały, trzymając się maminych spódnic, a niektóre chciały iść z nimi. Po kilkudziesięciu kilometrach docierali do punktu zbiórki, najczęściej były to kościoły. Tam ksiądz odprawiał krótką mszę, następnie przekazywał instrukcje, a potem wszyscy rozbiegali się po okolicy w poszukiwaniu noclegów. Zdarzyło im się spać na stogu siana w stodole, co wydawało się nawet urocze i romantyczne, w szopie ze szparami, przez które widzieli rogal księżycy, raz w domu na podłodze, a raz niczym królowie w prawdziwym łóżku i prawdziwej bawełnianej pościeli. Wodę użycjali ze studni albo z hydrantu, a toalety dokonywali w ukryciu, używając mydła i blaszanej miski. Ach! – westchnęła z rozrzewnieniem, wspominając tamte czasy.

Ale najwspanialsze było wejście na sam szczyt Jasnej Góry. Ze śpiewem na ustach, z bijącym sercem. Zmęczeni, ale szczęśliwi. Doznała wtedy po raz pierwszy poczucia cudownej nieziemskości, czegoś, co unosi w powietrzu i sprawia, że na wszystko patrzy się przez pryzmat nieskończonej jasności.

Skończyła odmawianie modlitwy, wykonała na piersiach znak krzyża, po czym z trudem podniosła się z kolan. W kościach strzeliło, w biodrze zabolowało, kręgosłup odmówił posłuszeństwa.

– Widzisz, Felek... – mruknęła w stronę ślubnej fotografii, na której oboje promienieli szczęściem. – I po co mi takie życie? Bez ciebie?

Podreptała w kierunku zdjęcia, przyglądając mu się krótką chwilę. Potem przesunęła opuszką palca po jego twarzy.

– Mam nadzieję, że chociaż tobie jest dobrze... i trzymasz dla mnie miejsce – dodała smutno, przenosząc się, pochylona, w stronę pieca.

Postanowiła jeszcze dorzucić kilka drewna, zanim ogień na dobre wygaśnie. Do rana było jeszcze kilka dobrych godzin.

– A tu ciągle coś się dzieje... – westchnęła cicho, kładąc się na powrót do łóżka. – Jak nie urok, to przemarsz wojsk. – Nie dadzą mi spokojnie umrzeć.

Przewróciła się na bok, pogładziła poduszkę, na której zwykle głowę kładł jej mąż, po czym wyłączyła lampkę i przymknęła powieki w oczekiwaniu na sen.

Rozdział 12

Właśnie kazano jej przynieść zamówienie do stolika pod oknem. Piwo i frytki. W restauracji wrzało jak w ulu, niemal wszystkie stoliki były zajęte, w powietrzu mieszały się aromaty wydawanych potraw, parzonej kawy i mocniejszych trunków. Julia miała spięte włosy, na zaczerwienionej od duchoty twarzy nie było ani grama makijażu. Sztywny od krochmalu, granatowy fartuch szeleścił przy każdym ruchu, napuchnięte od biegania stopy dawały o sobie znać.

Tymczasem na jej widok zerwał się z miejsca szczupły, wysoki mężczyzna o płowych włosach i pociągłej twarzy z mocno zarysowaną szczęką. Dziewczyna zadrżała, a wypełniona taca niemal wyślizgnęła jej się z rąk.

– Nie wierzę! Ben, to ty?

Usiadła, nie mogąc opanować emocji.

– Co tutaj robisz? Miałaś być dopiero po świętach!

– Chciałem ci zrobić niespodziankę. Nie mogłem dłużej czekać – wyznał, szczerząc zęby i otwierając szeroko ramiona. – Chodź, przytulę cię! Tak długo o tym marzyłem!

Wyprostowała się znad stolika i pozwoliła objąć.

– Ty moja mała wojowniczeko! – szepnął czule, całując czubek jej głowy. Był od niej sporo wyższy. Poczowała ciepło jego rąk i zmieszała się przez moment. Nie tak wyobrażała sobie to spotkanie, choć w środku serce zdradziecko załomotało.

– Skąd wiedziałeś, gdzie jestem? – drążyła uparcie, podnosząc wzrok i marszcząc zadziornie brwi.

- Od pani Grety – wyznał prostodusznie. – Posiedzisz przy mnie?
- Nie mogę! Muszę pracować. Kończę zmianę za godzinę. Zaczekasz?
- No pewnie! – zgodził się ochoczo.
- W takim razie do zobaczenia za godzinę! – odparła z radością, zrobiła obrót na pięcie i wkręciła się między stoły.
- Co to za gość cię tak obściskiwał? – rzucił zaczepnie Oliwier, kiedy odbierała z baru zamówienie.
- Nie twoja sprawa! – odcięła się gniewnie i ruszyła w stronę kolejnych gości.

Miasto zanurzało się w lekkim półmroku, śnieg prószył nieustannie, kiedy nad ich głowami rozbłysły sznury lampek, a z ukrytych głośników popłynęły dźwięki brzęczących dzwoneczków. Podążali główną ulicą w stronę ratusza, gdzie ulokowany był kiermasz świąteczny. W pewnej chwili Ben zatrzymał się, chwycił ją za rękę i rozłożył szeroko.

– Jakaś ty piękna! – jęknął, nie spuszczając z niej rozpalonego wzroku.

Julia w odpowiedzi zmrużyła oczy, spoglądając na niego spod uniesionych, gęstych brwi, uśmiechnęła się całą sobą, oblizała pełne usta, licząc na to, że teraz nastąpi ten oczekiwany długo moment. Obejmie ją i pocałuje. Ileż razy o tym marzyła, ileż razy zasypiała w swoim łóżku, projektując w głowie tę scenę, a teraz wreszcie miała go przed sobą. Wysokiego, cholernie przystojnego, w brązowej pilotce z podpinką z barana. Z jasną czupryną i tymi nieziemskimi oczami wpatrzonymi w nią tak intensywnie.

Wspięła się na palcach i rozchyliła odruchowo usta.

Uśmiechnął się tak jakoś dziwnie nieporadnie, potem pochylił się i lekko musnął jej policzek. Otulił ją przez moment jego świeży zapach wody toaletowej.

Poczuła zawód. Odsunęła się na kilka kroków, podniosła dumnie głowę i ruszyła do przodu.

– Opowiadaj, jak jest w tej Kanadzie?

Wzruszyła ramionami.

– A jak ma być? Beznadziejnie! – sarknęła krótko, nie zwalniając ani trochę.

– Zaczekaj! – chłopak dogonił ją i przytrzymał. – Dokąd tak biegniesz? Spiesz ci się gdzieś?

– Nie, dlaczego? – mruknęła, udając zdziwienie.

Nie zwolnił uścisku, dlatego znów napawając się jego bliskością, szła posłusznie, dotrzymując mu kroku.

Dotarli do placu, na którym stały oświetlone, obwieszane różnymi towarami budki. Dostrzegła ręcznie robione szale i czapki, wiszącą na stojakach biżuterię, grube, wełniane swetry, a także pęta pachnącej czosnkiem kiełbasy. Przy jednym stoisku rozlewano gorące wino z przyprawami korzennymi.

– Napijesz się?

– Chętnie – bąknęła w odpowiedzi.

Ben zapłacił sprzedawcy i po chwili przyniósł do stolika dwa kubki.

– Pyszny! – skwitowała, smakując pierwszy gorący łyk trunku o cynamonowo-goździkowym smaku.

– Co roku organizują w tym miejscu kiermasz, zjeżdżają się rękodzielnicy z całej Nadrenii, a mieszkańcy Münster nigdy nie zawodzą. Sama zresztą zobacz...

– To prawda... – przyznała w jakimś dziwnym roztargnieniu, obserwując tłumy przelewające się po alejkach. Nie wiedzieć czemu ogarnął ją smutek.

– Co ci jest? – spytał chłopak, przyglądając jej się uważnie. – Myślałem, że mój widok cię ucieszy. Byliśmy najbardziej zgraną parą przyjaciół, pamiętasz? Wszyscy wokół nam zazdrościli.

W ramach tego oświadczenia chwycił jej rękę opatuloną w wełnianą rękawicę i zacisnął uścisk. Zajrzała mu ponownie w oczy, w których dostrzegła tym razem znajomy błysk.

– Brakowało mi ciebie przez te wszystkie lata... – wyznała nieśmiało.

– Mnie ciebie też – odparł i palcem wskazującym musnął jej rozgrzany policzek, potem odgarnął pukiel włosów opadających na twarz.

– Jesteś taka piękna! – powtórzył zduszonym głosem.

Znów zaszklily jej się oczy, chciała powiedzieć coś więcej, ale nagle znalazł się obok niej. Objął w sekundzie, chwycił rękami jej twarz i przylgnął do niej zwilżonymi wargami. Nie trwało to jednak długo, bo zanim cokolwiek poczuła, oderwał się od niej jak oparzony.

– Przepraszam – bąknął zmieszany i odwrócił wzrok.

Przy sąsiednim, ubranym świątecznie kramie zrobiło się tłoczno. Sprzedawca w białym fartuchu serwował gorące gofry z bitą śmietaną polaną sosem karmelowym. Aromat pieczonego ciasta wypełnił mroźne powietrze i ściągnął amatorów tego przysmaku. W ciągu kilku minut przed budką utworzyła się spora kolejka.

– Ale za co? – Julia nie kryła zdziwienia. – To było bardzo miłe, Ben...

– Chcesz gofra? – spytał, dopijając grzańca. – Wyglądają bardzo apetycznie.

– Nie, dziękuję. Zasłodziłam się tym winem.

– To chodźmy dalej – zaproponował. – Niedaleko powinna być szopka. Zobaczmy, jak ją w tym roku ubrali!

– Jasne! – zgodziła się i oderwała od wysokiego stolika.

Zanim dotarli do stajenki, minęli jeszcze świeżo wylane lodowisko, na którym kilka nastolatek wywijało piruety.

– W Polsce dużo jeździłam na łyżwach – odezwała się po chwili milczenia. – razem z mamą i siostrą... – westchnęła głośno, chowając odruchowo głowę w kołnierzu kożucha okrytym wełnianym szalem.

– Następnym razem możemy sobie wypożyczyć łyżwy. Co ty na to?

– Czemu nie? – odparła, ciesząc się w duchu z tego następnego razu.

Jak to optymistycznie zabrzmiało – pomyślała, napełniając się ponownie nadzieją.

– Super! W takim razie jesteśmy umówieni. Przyjadę zaraz po świętach.

Doszli do niewielkiego placu, na którym stała szopka betlejemska. Wokół niej kręciło się kilkoro dzieciaków. Głównie ze względu na zwierzęta stojące w upozorowanej stajni przy paśniku z sianem. Niektóre z nich podchodziły do ogrodzenia i próbowały je dokarmiać. Były tam osiołki i owieczki, ale największe zainteresowanie budził kucyk. Biegał po niewielkim terenie i wtulał łeb między sztachety. Julia wyciągnęła rękę i pogładziła go po gładkim pysku. Zarżał, stuknął kopytem o klepisko.

– Jest taki słodki...

– Nawet zabawny, spójrz, jak strzyże uchem! – dodał chłopak.

– Kiedyś, gdy jeszcze mieszkaliśmy w Polsce, tata chciał mnie i siostrze kupić konia. Ojciec znał kilka stadnin. Często też jeździliśmy z całą rodziną na Służewiec, gdzie odbywały się wyścigi. Tata zawsze wiedział, na którego konia postawić, aby wygrać. Rzadko się mylił. Dla nas to było niezwykle przeżycie, dlatego byliśmy tym pomysłem zachwycone. Eksodus był koniem czystej krwi arabskiej. Miał na koncie wiele zwycięstw, właśnie przechodził na emeryturę. Tata upatrzył go sobie dużo wcześniej, pokochał go, jak tylko go pierwszy raz zobaczył. No ale... – zachnęła się – nie był tani. Wizerunek takiego konia gościł w tamtych czasach na wielu widokówkach. Można je było nabyć w każdym kiosku Ruchu. Miałyśmy ich kilka, wisały nad łóżkiem na słomiance. Pojechaliśmy nawet do tej stadniny. Eksodus był piękny! Czarny, błyszczący, z długą, gęstą grzywą. Wniebowzięte, piszczaliśmy z zachwytu. Niestety, mama się sprzeciwiła.

– Dlaczego? – spytał zdziwiony Ben.

– Ze względów praktycznych. Mieliśmy wtedy taki drewniany domek za miastem. Ale tam nie było miejsca na stajnię i wybieg... „Na balkonie w Warszawie go będziesz trzymać?”, powiedziała wówczas, nie kryjąc drwiny, i cały misterny plan runął.

– Aaa, rozumiem... – mruknął. – Przykro mi.

– Było, minęło – skwitowała. – Jak będę kiedyś miała dom i dzieci, to kupię im konia. Obiecuję! – Podniosła uroczyście palec w górę.

Rozdział 13

Ulica polska w samym centrum Toronto nosiła nazwę Roncesvalles. Mieściły się tam różnej maści sklepy, gdzie sprzedawano polskie produkty, a także kawiarnie i restauracje o swojsko brzmiąco nazwach, serwujące tradycyjne, ojczyźniane dania. Znajdowała się tam również księgarnia, można było w niej zakupić rodzime publikacje, a także płyty z nagraniami czy kolorowe gazety i poradniki. Strefy te obsługiwane były również przez rodaków, co dodawało jeszcze mocniejszego kolorytu, a jednocześnie budziło nostalgię za dobrymi, starymi czasami. To właśnie tutaj najczęściej można było usłyszeć ojczysty język, spotkać kogoś ze znajomych, porozmawiać i powspominać.

Alina z mężem uwielbiali te dni, kiedy mogli przybyć do tego miejsca, zrobić większe zakupy i obowiązkowo zjeść obiad w zaprzyjaźnionej knajpie. Chleb zakupiony w piekarni smakował niemal identycznie jak na Jelonkach, szynka pachniała wędzonką, a zwykła konserwa z paprykarzem przypominała szczenięce lata i czas wypraw w góry. Tak się składało, że często spotykali te same osoby, dlatego nawiązywały się tutaj długoletnie przyjaźnie i znajomości. Antoni czuł się jak ryba w wodzie, za każdym też razem przywoził do domu nowe doświadczenia i pomysły. To spotkał kolegę, z którym planował rozwinąć biznes, najlepiej otworzyć restaurację, to znów dowiedział się różnych, ciekawych rzeczy. Po każdym takim powrocie wrzucał na wyższy bieg, naładowany był energią, snuł plany i marzył, że od nowa zbuduje swoją przyszłość.

– Jeszcze sery, wędliny i wracamy do domu! – zdecydowała Alina, pakując do bagażnika torby z prezentami.

– A nie pójdziemy na obiad?– zdziwił się Antoni, stojąc przy aucie z tłącą się końcówką papierosa.

– Mamy mało czasu, jutro wigilia, a ja mam jeszcze tyle rzeczy do zrobienia! Chciałam też pójść do kosmetyczki zrobić sobie paznokcie.

– Zdasz, pomogę ci – zadeklarował uroczyście, obejmując ją w pól. – Umówiłem się w Krakowiaku z Krzyśkiem. Mamy omówić jedną kwestię. To nie potrwa długo, obiecuję.

Skrzywiła się. Znała te mężowskie sprawy. Zamiast skupić się na konkretnej pracy, on wciąż żył marzeniami. Zwykle kończyło się wielkim rozczarowaniem, a co gorsza, finansową klapą. Zaciągał długi, które ona musiała później spłacać.

– Robi się coraz później, a przed nami szmat drogi – rzuciła niepewnie, obrzucając wzrokiem ulicę. Właśnie rozbłysły rozpięte między niskimi budynkami sznury lampionów. Z ozdobionych sztucznym śniegiem witryn sklepowych krzyczały oświetlone napisy „Wesołych Świąt!”. Widok ten sprawiał, że od razu robiło się ciepło na sercu.

– Nie bądź taka... – szepnął, całując ją w zaczerwieniony od mrozu policzek. – Pół godziny, góra godzina. Zamówimy sobie ciepłą zupę, najlepiej gulaszową.

Zatrzasnęła klapę bagażnika i sarknęła głośno.

– No dobrze... Przekonałeś mnie tą gulaszową. Ja pójdę do sklepu po wędliny, a ty złóż już zamówienie. Niedługo do ciebie dołączę.

W Krakowiaku czas zatrzymał się w miejscu. Królowała tu boazeria, pastelowe kolory, a okna zdobiły zielone zasłony z frędzelkami. Drewniane, prostokątne stoły nakryte były lnianymi obrusami, na każdym z nich stał maleńki, szklany dzbanuszek ze sztucznym kwiatkiem. Centralnym miejscem był oczywiście bar z półką zastawioną alkoholem, za to na jednej ze ścian element dekoracyjny stanowił ogromny malunek przedstawiający parę w tańcu ubraną w regionalny, krakowski strój. Z kuchni ulatywały za to zapachy smażonego oleju, kiszzonej kapusty i stopionego masła z cebulą.

Krzysiek Menelski, kumpel z dawnej pracy, zdążył już wyłożyć Antoniemu rzecz, namawiając go do wspólnego interesu związanego z gastronomią. Miała to być przewoźna budka ze smażonymi rybami, których nad jeziorem w okresie letnim nie sposób było uświadczyc.

– Praktycznie żaden nakład, jakaś buda z demobilu, dostawczak, urządzenie do smażenia ryb – przekonywał – a w sezonie będzie można zarobić na tym krocie.

– Taaa... – mruknęła Alina, bardziej do siebie niż do zaaferowanych pomysłem mężczyzn. Kończyła już zupę, zagryzając ją pieczywem z chrupiącą, spieczoną skórką. Tymczasem Antoni już wyciągnął swój sekretny zeszyt i zaczął w nim robić notatki. W matematyce wszystko musiało się zgadzać. Zaczekała, aż skończy to suche, niepoparte niczym liczenie, po czym dyskretnie szturchnęła go w bok.

– Gdzie wam się spieszy? – zaproponował Krzysztof, widząc jej zniecierpliwienie. – Musimy jeszcze omówić finanse. Troszkę nam to zajmie – oświadczył. Jednocześnie skinął na kelnera z zamiarem zamówienia jeszcze po pięćdziesiątce wódki.

Alina zerknęła porozumiewawczo w stronę męża. Przecież się umówili.

Westchnął ciężko.

– Następnym razem – oznajmił Ostrowski, wstając niechętnie od stołu. – Jutro wigilia, żona ma jeszcze tyle pracy... – tłumaczył. – A jeśli zaczniemy, to i tak dopiero najwcześniej od lutego – przekonywał potencjalnego współnika.

– Okej – przyznał mu rację kolega, jednocześnie dodał, że z biznesplanem nie można czekać aż tyle czasu.

Umówili się na pierwszy tydzień po Nowym Roku, po czym pożegnali się w pośpiechu i opuścili restaurację. Alina z ulgą wsiadła za kierownicę, ciesząc się w duchu, że poszło w miarę sprawnie. Śnieg zaczął znów prószyć, gęsty zmierzch już otulił okolicę, kiedy, zmęczona, usiadła za kółkiem i uruchomiła silnik. Mąż był już po paru kieliszkach, więc prowadzenie w jego stanie nie wchodziło w grę.

– I co o tym sądzisz, kochanie? – spytał, kiedy już wyskoczyli na zakorkowaną o tej porze Yonge Street.

Zagryzła wargi. Nie chciała wszczynać kolejnej awantury. Wszystkie tego typu pomysły męża kończyły się źle, natomiast miała świadomość tego, że bez nich mogłoby być jeszcze gorzej. Czasem zwyczajnie siadała mu psychika, dlatego te dodające energii działania zdawały się jedynym lekarstwem na wyzdrowienie.

Miała jednak nadzieję, że przez te kilka tygodni, cały misterny plan rozjedzie się po kościach.

– Czemu nie? – bąknęła, usiłując nadać głosowi pozytywny wydźwięk, choć to było bardzo trudne. – Do odważnych świat należy.

– Prawda? – podchwycił Antoni z nadzieją, nie słysząc w jej odpowiedzi negacji i zwątpienia.

Kolacja wigilijna przebiegła bez zbędnych komplikacji. Goście dopisali, dlatego przy stole oprócz nich, Gosi i Ryśka zasiedli jeszcze wujostwo Graczykowie oraz ich dwoje nastoletnich dzieci. To właśnie ci ludzie w głównej mierze przyczynili się do ich przyjazdu w te strony. Przekonali wówczas Alinę, że w Kanadzie jest jak w raj, co tylko połowicznie się potwierdziło. Owszem, rysowały się jakieś perspektywy, samochód, dom na kredyt, praca, czas wolny, jednakże mentalność tych ludzi daleko odbiegała od polskich standardów. Graczykowie wprawdzie przesiąkli już tym klimatem na wskroś, od dłuższego czasu nie mieli problemów z własnym poczuciem tożsamości. Ostatnio Edmund wszedł w poważny biznes związany z filtrami do wody. Kontrahentów mu przybywało, dlatego miał coraz więcej powodów do dumy. Jego żona, Regina, pracowała ostatnio z Aliną w fabryce Chryslera, ale coraz częściej przebąkiwała o rezygnacji.

Zdążyli podzielić się opłatkiem, złożyć sobie życzenia i zjeść grzybową z makaronem. W piekarniku dochodził upieczony przez Antoniego karp, będący jego popisowym daniem. Woda na pierogi zaczynała wrzeć, męż-

czyźni raczyli się wódeczką, a kobiety wstały od stołu i krzątały się pomiędzy salonem a kuchnią, znosząc jedne naczynia, a rozstawiając nowe.

Ten świąteczny rodzinny nastrój sprawił, że Alinę znów zakłuło pod powiekami, a serce ścisnął piekący ból. Tak bardzo brakowało jej w tym gronie starszej córki. To prawda, że ukończyła niedawno osiemnaście lat, była już dorosłym człowiekiem, ale w jej odczuciu nadal jej ukochaną małą córeczką. Do dziś nie mogła się pogodzić z decyzją Julki, choć starała się ją zrozumieć. Usiłowała za wszelką cenę zachować pozory spokoju, za maską uśmiechu i radości krył się jednak wielki żal, który jak cierń ranił jej i tak obolałe serce. Trzymając w ręku wazę z resztą zupy, powiodła wzrokiem po salonie, w którym główną rolę pełniła dziś wielka, bo sięgająca sufitu, ubrana w bombki i gwiazdki choinka. Pod nią leżały, czekając na rozpakowanie, prezenty. Trójka nastolatków, Tośka, jej starszy kuzyn i jego młodsza siostra, siedzieli na kanapie i przeglądali najnowszy komiks, który jej mąż nabył ostatnio w księgarni. Dyskutowali przy tym, wskazując palcem na poszczególne rysunki, czasem wybuchali śmiechem.

– Julka dzwoniła? – zagadnęła Regina, zupełnie jakby odgadła jej myśli.

– Tak, wczoraj... – bąknęła bezradnie.

– Wszystko u niej w porządku?

Wzruszyła ramionami.

– Mówi, że tak. Ma pracę, mieszka u swojej dawnej nauczycielki niemieckiego, spotkała się ze swoim przyjacielem Benem...

– Jak załatwi swoje sprawy, zamierza wrócić? – podjęła z zainteresowaniem kuzynka.

Tego pytania Alina obawiała się najbardziej. Nie знаła na nie odpowiedzi albo raczej miała świadomość, że nie jest to takie oczywiste.

– Nie wiem... – odparła zgodnie z prawdą. – Zamierza złożyć papiery na uniwersytet...

– Chce przez tyle następnych lat siedzieć na głowie nauczycielki? – oburzyła się rozmówczyni, potrząsając głową, na której upięty był misternie jasny, tleniony kok...

– Rozmawiałam z panią Gretą – sarknęła w odpowiedzi Ostrowska. – Ona nie ma nic przeciwko temu, mówi, że Julka nie sprawia żadnych problemów, jest bardzo zaradna. Pracuje, pomaga jej przy sprzątanii mieszkania, a w wolnej chwili spotyka się z przyjaciółmi.

– Chyba że tak... – mruknęła kuzynka, wyławiając pierogi z wody.

Przez to całe pomaganie czuła się teraz bardzo ważna i potrzebna. W dodatku uzurpowała sobie prawo do pouczenia i wytykania błędów. Alina powoli miała tego dość. Każda z nich miała prawo do własnego życia, a wsadzanie nosa w nie swoje sprawy robiło się już nieco męczące.

– Gotowe! Chodźmy do stołu! – zaproponowała, chcąc uciąć niesprawiającą jej przyjemności, wręcz drażniącą rozmowę.

Postawiła na białym, wykrochmalonym obrusie półmisek z dymiącą rybą, po czym podeszła do wieży, aby włączyć kolędy.

– Młodzież zapraszam na karpia i kapustę z grochem. Chyba że wolicie pierogi.

– Pierogi! – odkrzyknęli chórem.

– A potem prezenty!

– A potem prezenty – potwierdziła bez entuzjazmu, uśmiechając się oszczędnie. Chciała, żeby ten wieczór wreszcie się zakończył, aby goście wrócili do swoich domów. Potrzebowała ciszy. Wtedy będzie mogła usiąść przy kominku ze szklanką z drinkiem, zapatrzeć się bez celu w trzaskający ogień, w palące się za oknem lampiony na choinkach i o wszystkim przez chwilę zapomnieć.

Nikogo nie było w domu, więc po powrocie z pracy i ugotowaniu obiadu postanowiła się zrelaksować. Zabrawszy z biblioteczki powieść polskiej, poczytnej w ostatnim czasie autorki, usiadła w salonie w fotelu i włączyła cicho muzykę. Nie było jeszcze ciemno, jednak litery dziwnie jej się rozmywały, treść nie wciągała. Zrezygnowała więc z czytania, rzuciła okiem za okno, gdzie na jednym z drzew wisiał karmnik. Właśnie był oblegany przez

ptactwo, ponieważ zdążyła kilka minut wcześniej wysypać tam ziarno. W Lipowie też mieli karmnik – pomyślała z rozrzewnieniem. – Zbudował go jej tata, który do nich często wówczas zaglądał. Był większy, prostokątny, z otworem w kształcie koła i maleńkim dyszelkiem z przodu. Zimą wieszala na nim słoninę, nic więc dziwnego, że wciąż zlatywały się sikorki i sójki.

Zrobiło jej się smutno na samą myśl, że ojca już nie było, a jeszcze gorzej, kiedy uświadomiła sobie, że nawet nie uczestniczyła w jego pogrzebie. Mieszkali jeszcze wtedy w Hamm, kiedy otrzymała telegram od matki, informujący o tym, że ojciec miał udar. Natychmiast do niej zadzwoniła, a ta roztrzęsionym głosem oświadczyła, że właśnie zmarł kilka dni wcześniej. Korespondencja przyszła z opóźnieniem, ale i tak nie było szans uczestniczenia w ceremonii pożegnalnej. Do dziś nie umiała sobie tego wybaczyć, dlatego każde wspomnienie o tacie budziło ból nie do zniesienia.

Tyle razy usłyszała od najbliższych o niesłuszności swojej decyzji, tyle razy została obwiniona o to, że złamała im życie. Do dziś zastanawiała się, co chciała wówczas osiągnąć. Wtedy podjęcie takich działań wydawało się jak najbardziej zasadne, dziś, z perspektywy czasu, zakrawało niemal na szaleństwo. Ostatecznie ustrój socjalistyczny zakończył się w Polsce, a życie toczyło się dalej. Generał nie utracił swojego stanowiska, przeszedł jedynie na zasłużoną emeryturę. Ryśkowi Gilowi też działo się nie najgorzej. Wychował i wykształcił dzieci, zmienił kolejny samochód i wiódł w miarę dostatnie życie. Marta wraz z mężem wyjechali do Stanów. Tam miała niezłe płatną pracę w szpitalu, mieszkanie na kredyt i poczucie, że jest we właściwym miejscu. Weronika zwolniła się z Telimeny i otworzyła własną firmę. Z relacji teściowej wiedziała, że działo jej się bardzo dobrze. Firma prężnie się rozwijała, do tego stopnia, że oboje ze szwagrem zakupili działkę za miastem. Postanowili wybudować sobie mały domek na starość. Tylko ona tu tkwiła z tym cholernym poczuciem winy, nie mogąc związać końca z końcem.

I to miał być ten kanadyjski raj? – zaszumiało jej w uszach i znów poczuła ból w piersiach.

Dobrze, że chociaż Antonina okazała się mniej roszczeniowa, tkwiła przy niej bez względu na wszystko. Nie zniosłaby, gdyby i młodsza córka wpadła na pomysł, by stąd wyjechać. Jej życie straciłoby wówczas sens. A tak... mając przy sobie młodsze dziecko, spróbuje przynajmniej zawalczyć o przyszłość dla niej, która jednak, prawdę powiedziawszy, malowała się przed Aliną ledwie widocznym konturem. Do tego jeszcze ostatni pomysł Antka z wyjazdem do Polski mocno ją zaniepokoił, jednakże w pewnym momencie uznała, że to już koniec z wymuszaniem na najbliższych posłuszeństwa. Ich życie, ich droga i wolny wybór. Co miała zrobić, już zrobiła. Reszta w rękach opatrności.

Rozdział 14

Stefania wyszła na balkon i trzymając się poręczy, uważając na śliską nawierzchnię podłoża, przyglądała się pogrążonej w mroku Piotrkowskiej. Rozświetlały ją jedynie palące się gdzieś latarnie, podświetlone witryny sklepowe, czasem jakiś uszkodzony neon. Jeden z nich tkwił kiedyś na Domu Buta i był widoczny z tej odległości. Ten narożny, imponujący budynek z ciekawą historią został ostatnio odbudowany, ponieważ niemal całkowicie spłonął w wyniku pożaru w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym roku. Dawno temu funkcjonowała w nim apteka, od tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego drugiego roku magazyn konfekcyjny Emila Schmechela, a od dziewięćset sześćdziesiątego pierwszego roku mieścił się tam państwowy dom obuwniczy. To dlatego przyłgnęła do niego potoczna nazwa – Dom Buta. Wędrujące buciki na elewacji były znakiem rozpoznawczym tego miejsca.

Łódź zmieniała się, wiele państwowych przedsiębiorstw upadło, a budynki po nich nie tylko świeciły pustkami, ale straszyły, stając się miejscówką dla szukających nocnych wrażeń band, za czym szły wybite szyby, sterty butelek po alkoholu, zgniecione pety, a nawet zużyte prezerwatywy. Wiele obiektów nie miało wyprowadzonego stanu prawnego, dlatego kolejne chude lata sprawiały, że budynki popadały w ruinę. Łódź – słynące niegdyś na całą Polskę miasto włókiennicze – straciło swój dawny sznyt. Tysiące ludzi zostało bez zatrudnienia, robotniczym rodzinom włókienników zaczynało doskwierać bezrobocie. Żal jej było patrzeć na to, co kiedyś żyło, a teraz powoli umierało. To wszystko, co tak mocno pokochała, co wiązało się z jej młodością, dawnym życiem, teraz odchodziło w zapomnienie.

nie. Ten dawny koloryt panujący tu czy tam, te niedobory w codziennym życiu, kolejki, kartki, zdobywanie pożywienia, mebli, a nawet podstawowych artykułów do higieny miało przecież swój urok. Ileż zawarła znajomości, stojąc w kolejkach, ileż odbyła ciekawych rozmów? Westchnęła, zatapiając wzrok w ulicznym zatrzymaniu. Święta były tym razem bezśnieżne, plucha i szarość wprowadzały w jeszcze większe przygnębienie.

Chrząknięcie i dźwięk otwieranych drzwi balkonowych wyrwały ją z odrętwienia.

– Czas wycofać się i ustąpić miejsca innym! – mruknęła pod nosem, widząc wsuwającego się na balkon Tadeusza. Trzymał w ręku kraciasty pled i nie pytając o zdanie, zarzucił go jej na ramiona.

– Nie powinnaś rozgrzana wychodzić na mroźne powietrze. Może ci to jeszcze zaszkodzić.

– Dziękuję, nie trzeba było... – bąknęła. – Co może zaszkodzić komuś, kto już jedną nogą jest na tamtym świecie? – spytała, choć w jej głosie tkwiła gorzka drwina.

– Nie mów tak! – zaprotestował. – Jesteś nam potrzebna!

– Nam?

– Tak, właśnie nam – odparł na tyle pewnie i zuchwale, że nieco ją zirytował. Po tym, jak przez wiele lat ją oszukiwał, teraz nagle próbował pokazać, jaki jest wspianiały i dobry. Cynik, przemknęło jej przez myśl, ale nie powiedziała nic. – Wejdźmy do środka, Stefcu. To nie są żarty, przeziębisz się.

Omiotła go wzrokiem. Stał przed nią, wysokiej postury, z lekko zgarbionymi plecami, pociągłą, naznaczoną pionowymi bruzdami twarzą i włosami przyprószonymi siwizną.

– Czy tak musi być, Tadek? – rzuciła głucho.

– Czyli jak?

– Że starzejemy się, stajemy się słabi, bezbronni, świat wokół zmienia się i traci na wyrazistości.

Zamyślił się, przyglądając jej się uważnie, potem rzekł:

– To wszystko zależy przecież od nas samych, nie sądzisz? Widzimy świat takim, jakim go chcemy zobaczyć. Jest odzwierciedleniem naszej duszy, przeżyć i doznań.

Pochylił się nad barierką. Zerknął w dół, wyciągając palec i wskazując na idącą chodnikiem, wtuloną w siebie parę.

– Widzisz? Dla nich, zakochanych, świat jest piękny. Nawet ta beznadziejna pogoda nie jest w stanie niczego zmienić.

Przełknęła głośno ślinę, ponownie ogarnęła ją złość.

– To dlaczego ty, do jasnej cholery, nie byłeś w stanie cieszyć się każdym dniem, kiedy byliśmy młodzi i nasze dzieci były małe? Powiedz mi to wreszcie! Mogliśmy być tacy szczęśliwi, obserwować ten cudowny świat z tego balkonu, patrzeć, jak rosną nasze dzieci, wychowywać je wspólnie, uczyć miłości. I co zrobiłeś z naszym życiem, co?

Zgarbił się jeszcze bardziej, wcisnął głowę w ramiona. Zabolały go te słowa.

– Przecież wiesz... – bąknął nieporadnie.

– Że co?

– Nic już tego nie naprawi. Wiem, że byłem cholernym głupcem. Straciłem ten wspaniały czas dla kilku chwil uniesienia, dla jakiegoś chorego poczucia, że wszystko mi wolno.

– Kilku? – zadrwiła. – Czy aby na pewno kilku?

Podniósł głowę i utkwiał w niej mocne spojrzenie.

– Masz rację. To nie było kilka chwil – wyznał szczerze. – Hanna miała to coś, czego nie miałaś ty, za to ty miałaś coś, czego nie miała ona. Dlatego tak trudno mi było podjąć decyzję. Byłem samolubnym draniem. Wybacz mi.

Westchnęła ciężko, przeniosła ciężar ciała z nogi na nogę, potem ostrożnie przesunęła się wzdłuż barierki.

– Zostawmy to. Są święta. To już i tak niczego nie zmieni – oświadczyła chłodnym tonem. – Lepiej napijmy się wiśniówki – dodała gorzko.

Weszli do salonu, otuliło ich przyjemne ciepło i zapach wigilijnych dań. Przy stole siedziało kilkoro ludzi, w tym Staszek z Ewą, Weronika ze Zbyszkim, jego rodzice, jacyś znajomi z pracy i sąsiedzi. Młodsze pokolenie po kolacji i rozdaniu prezentów rozpierzchło się po innych pomieszczeniach.

– Jesteście, nareszcie! – odezwał się Staszek. Miał zaczerwienioną od alkoholu twarz, zarówno jemu, jak i jego ślubnej mocno się przytyło. Oboje mieli podwójne podbródki i okrągłe twarze z nalanymi policzkami. Ich dwójka dzieci nie przyszła. Pojechała do rodzin swoich połówek.

Stefania objęła się rękoma.

– Brrr! Zimno! – zawołała.

– Siadaj, mamó. Nalać ci barszczyku? – zaproponowała córka.

– Chętnie się napiję.

Tadeusz podszedł i odsunął jej krzesło. Zerknęła na niego przez ramię. Miał minę zbitego psa, choć próbował się uśmiechnąć. Kiwnęła w jego stronę na znak ugody, co nie uszło uwadze Weroniki i Zbyszka. Szturchnęli się porozumiewawczo, wymienili spojrzenia.

Ze sztucznej choinki stojącej na stoliku, przybranej w świecidelka, mrugały lampki przyczepione żabkami do gałązek. Miały już dobre kilka lat, a wciąż były sprawne, choć wymagały corocznego uzupełnienia żarówek. Owinięte złotym łańcuchem, oplecione anielskim włosem drzewko przypominało zbyt wystrojoną pannę. Popijając barszcz, Stroińska spoglądała na drzewko, które przypominało jej piękne lata spędzone z Feliksem.

– Jutro wybieram się na mszę, a potem na cmentarz, kto pójdzie ze mną?

– Ja mogę iść – oznajmiła Małgosia, która akurat wyszła ze swego pokoju i podeszła do stołu. Pochyliła się i objęła babcię ciasno ramionami.

– Kochana wnusia – szepnęła wzruszona Stefania i odwzajemniła uścisk.

– I ja – wtrącił Tadeusz, patrząc w jej stronę wyczekująco.

Stroińska spojrzała zaskoczona, a następnie rzuciła lekko:

– Będzie nam bardzo miło, prawda, Małgoś?

– No pewnie – odparła dziewczyna i położyła drugą dłoń na ramieniu dziadka.

– Lolek? – Stefania przyłożyła do ucha słuchawkę i zacisnęła na niej kurczowo zeszywniałe palce. – To naprawdę ty, synku? – Głos ze wzruszenia uwiązał jej w gardle.

– Tęsknię, mammo. Tak bardzo tęsknię. A teraz kiedy jeszcze Julka, no wiesz... Nie mogę sobie wręcz poradzić – wyznał prostodusznie.

– Mój wariatuńcio! – jęknęła. – Tak bardzo chciałabym cię przytulić.

Stała w korytarzu, w mieszkaniu przy Lipowej, nie zważając na przenikający ją chłód. Nie zdążyła jeszcze rozpaścić w piecu, ledwie weszła i przekroczyła próg, zdjęła czapkę i rękawiczki, postawiła wypchane torby, kiedy zabrzączał telefon.

– Chcę kupić bilet i przylecieć do Polski. I to jak najszybciej.

– A co na to Alinka?

– Nie jest zadowolona, ale trudno – odparł. – Ona nie może niestety przylecieć. Ma pracę w fabryce...

– Szkoda...

– Szkoda, ale co zrobić? Najważniejsze, że niedługo się zobaczymy.

– Ojej, to cudowna wiadomość!

– Wiem, mammo, nie widzieliśmy się tyle cholernych lat...

– Ano nie. – Stłumiła w sobie ból niedobrych wspomnień, po czym dodała:

– Jesteście zdrowi? Co u Tosi?

– Dobrze. Uczy się, przyjaźni nawet z jakimś chłopakiem. Ma na imię Rob. To już duża, bardzo ładna dziewczyna. W przyszłym roku skończy piętnaście lat.

– Wiem, synku. Widziałam zdjęcia. Jeszcze trochę, a nie opędzi się od adoratorów.

– A Alinka?

Westchnął.

– Dobrze. Pracuje, zajmuje się domem...Mamo, muszę kończyć! Dam znać co i jak. Trzymaj się!

– To czekam i uważajcie na siebie! – zdążyła krzyknąć do słuchawki, kiedy odpowiedział jej długi, skrzeczący sygnał.

Zrobiło jej się jakoś nieprzyjemnie i źle. Tęsknota zawładnęła duszą, dlatego nie rozbierając się z płaszczem, podeszła do zdjęcia, z którego spoglądał na nią czujnie ukochany mąż.

– Widzisz? Zadzwoił – mruknęła w jego stronę. – A mówiłeś, że jest bezduszny. Poglądziła palcem jego twarz. – To mój syn z krwi i kości, dlatego nie może być zły. – Chlipnęła, nie mogąc opanować płaczu. – On jest nieszczęśliwy w tej Kanadzie. Ja to przecież słyszę!

Felek patrzył na nią w milczeniu, z tym swoim nieznacznym, tajemniczym uśmiechem na twarzy, więc machnęła ręką i poszła do pokoju rozpałić w piecu. Wysuszone drzewo poukładane na stosiku leżało obok, węgiel stał w wiadrze.

– Zbyszek tu był – zauważyła z wdzięcznością, zanim pochyliła się, aby otworzyć ruszt. – Dobrze, że ma takiego dobrego zięcia. Córka już wiele razy namawiała ją na przeprowadzkę, ale ona wciąż odmawiała. Tylko tutaj czuła się w pełni szczęśliwa i swobodna, w dodatku tylko tutaj odnajdywała obecność Felka intensywniej niż gdziekolwiek. No, może oprócz cementarza, ale przecież tam nie mogła zamieszkać. Na razie – dodała do swoich myśli.

Rozdział 15

Julia biegła coraz szybciej. Ubrana w dres, adidas, czapkę i szalik, mijała kolejne narożniki ulic, zabytkowe budynki, trawniki i skwery. Policzki miała mocno zaczerwienione, palce przemarznięte mimo wełnianych rękawiczek. Zima powoli ustępowała, choć nadal było chłodno. Topniał śnieg, zamieniając się w cieknące poboczem strugi wody, natomiast w rześkim powietrzu czuć było powiew nadchodzącej rychło wiosny. Miała jeszcze do zrobienia jakieś dwa kilometry. Zawsze biegła tą samą trasą, dlatego знаła tu niemal każdy szczegół: ławki, drzewa, przydrożne lampy czy kolory witryn sklepowych. Tego dnia Greta jej nie towarzyszyła, musiała wyjechać wcześniej do pracy ze względu na zapowiedzianą wizytację.

Tymczasem Julię przepelniała wściekłość, dlatego ponad wszystko pragnęła wyrzucić z siebie nagromadzone w krótkim czasie, buzujące w niej złe emocje. Ostatnio odkryła, że jest to jedyny sposób na pozbycie się negatywnych, skrajnych odczuć, poza tym wysiłek ten odpłacał jej nienaganną figurą i wspaniałą formą. Zwykle w powrotnej drodze odwiedzała piekarnię i kupowała świeże bułki dla właścicieli mieszkania. O ile jeszcze byli w domu. Następnie kąpała się, jadła śniadanie, sprzątała kuchnię, łazienkę i wychodziła do pracy. Wszystko układałoby się w miarę dobrze, gdyby nie to, co spędzało jej sen z oczu, czyli zachowanie Bena. Minęły kolejne trzy miesiące, a w zasadzie nic się nie zmieniło, poza tym, że pewnego popołudnia przedstawił jej Klaudię. Biorąc pod uwagę wątpliwą urodę Niemek, dziewczyna ta mogła uchodzić za niezwykle atrakcyjną. Szczupła, wysoka, z długimi do ramion, gładkimi blond włosami. Jej oczy w kolorze czystego nieba często zachmurzały się, kiedy Ben okazywał Julii zbyt duże zainteresowanie.

sowanie. Twarz miała ładną, o regularnych rysach, ale jak na jej gust – bez żadnego wyrazu.

Chłopak przedstawił ją jako swoją dziewczynę, co Julię zabolalo najbardziej. Miała nadzieję, że już dawno wybiła mu tę sympatię z głowy, że ich przyjaźń przeżywa teraz renesans, przeradza się w coś silnego i wyjątkowego, kiedy zdarzyło się właśnie to, czego się nie spodziewała. Przecież pocałował ją wiele razy, na początku nieśmiało, jakoś niezdarne, ale z czasem kleił się do niej coraz częściej i bez zahamowania. Znali się jak dwa bure koty, rozumieli jak nikt inny, wiedzieli o sobie niemal wszystko. A jednak nie do końca, skoro pojawienie się tej dziewczyny zachwiało jej poczuciem wartości, wprowadziło niepokój i co tu dużo mówić... zazdrość. Do tej pory uważała, że ta ich znajomość ma wyższy cel. Była skazana na przerozdzenie się w coś trwałego, nierozzerwalnego. Chciała dać mu czas, ponieważ rozumiała, że ich związek tego potrzebuje. Właśnie tak nazywała w duchu tę znajomość, ponieważ od początku spotykali się regularnie, spędzali z sobą wiele godzin, Ben zabierał ją na wycieczki, do kawiarni, a nawet kiedyś zawiózł do Hamm, gdzie rozpoczęła się ich wspólna droga. Czowała, że jest coraz bliżej osiągnięcia celu, i wtedy pojawiła się Klaudia.

– Myślałam, że już dawno z nią skończyłeś! – rzuciła gniewnie, kiedy na moment zostali sami, bo jego dziewczyna poszła skorzystać z toalety. Znaleźli się w barze piwnym, gdzie oprócz trunków serwowali kielbaski na ciepło i frytki.

Odwrócił wzrok.

– Julia... – zaczął niepewnie, zacinając się przy każdym słowie. – Nigdy nie ukrywałem, że mam narzeczoną. – zatrzymał się na moment, myśląc o czymś intensywnie. – Kiedy przyjechałaś do Niemiec, kiedy ciebie zobaczyłem... oczarowałaś mnie. Nie przeczę...

– Iii? – rzuciła niecierpliwie.

– Z czasem jednak przekonałem się, że nasza znajomość na zawsze pozostanie przyjaźnią. Nie ma między nami tego czegoś, co jest między ludźmi, którzy się kochają. Nic na to nie poradzę... – Chrząknął wymownie.

– Co ty mówisz, Ben? – wdarła się w jego wywód urażonym głosem. – Z każdą przyjaciółką się całujesz, obściskujesz, obwozisz po okolicy? Co to jest, twoim zdaniem, jak to nazwiesz? – dodała z naciskiem.

– Nie przesadzaj! – odciął się. – Nie zaciągnąłem cię przecież do łóżka, a mógłbym to zrobić. Te kilka niewinnych pocałunków nic nie znaczy.

– Nic? – wydukała, robiąc się czerwona jak burak. – Naprawdę nic?

– Nie, to nie tak! – zaprotestował, zdając sobie sprawę z tego, jak to zabrzmiało. – Chciałem powiedzieć, że bardzo cię lubię, nawet bardziej niż bardzo, ale...

– Ale?

– Klaudia jest w ciąży – wyznał, nie patrząc jej w oczy, skubiąc róg papierowej serwetki.

– A więc to tak!

Zerwała się z krzesła i machinalnie uderzyła go w twarz. Zanim zdążył zaprotestować, chwyciła kurtkę i trącając stojące w przejściu krzesła, wybiegła na zewnątrz.

Nie zatrzymał jej, ale to dobrze. Nie chciała tego. Pragnęła być tylko sama, wyrzucić się do woli i jak najszybciej zapomnieć o chłopaku, z którym wiązała wszystkie swoje dotychczasowe nadzieje.

Teraz biegła coraz szybciej, zaciskając pięści i próbując jeszcze raz zrozumieć zachowanie Bena. Oszukał ją, choć z jego ust nie padła nigdy żadna deklaracja. A jednak było między nimi coś, co pozwoliło jej myśleć o ich relacji poważnie. Jego wzrok nie mógł przecież kłamać, jego ciepło rąk i czuły uśmiech. Tak nie zachowuje się przyjaciel, tak nie całuje i mówi do niej głosem ociekającym czułością. A może to wszystko sobie wymyśliła?

Zatrzymała się na skraju parku. Zawsze w tym miejscu robiła kilka skłonów, skrętów i wymachów. Tym razem wypuściła z ust powietrze, które natychmiast zamieniło się w biały obłoczek, zaciągnęła się kolejnym, chłodnym haustem. Potem spojrzała w szare, zawleczone chmurami niebo i nie zwracając uwagi na mijających ją mieszkańców miasteczka, spieszą-

cych do pracy, kopnęła w rosnące obok drzewo, po czym wyrzuciła z siebie twardo i zdecydowanie:

– Już nigdy nie pozwolę się oszukać! Już nigdy!

Z okazji rozpoczęcia wiosny restauracja Mozart wraz z innymi zaprzyjaźnionymi firmami zorganizowała piknik za miastem. Wynajęli od gospodarza teren, na którym obsługa rozpięła namioty, parasole, rozstawiła stoły i ławy, a także bary z piwem i przekąskami.

Pogoda dopisywała, słońce przygrzewało coraz mocniej, zjechała też lokalna grupa muzyczna wynajęta przez szefostwo i zaczęła rozstawiać sprzęt. Zapowiadała się fajna impreza, do tego ze wszystkich zakątków miasteczka zaczęli ściągać goście z całymi rodzinami. Robiło się coraz gwarniej, weselej i ciasniej.

Niemcy lubili się bawić, zwłaszcza przy ich ulubionym piwie, pieczonych kartoflach, kiszzonej kapuście i kielbaskach. Nic też dziwnego, że każdego roku wyczekują z niecierpliwością na święto przypadające na przełom września i października, znane wszystkim jako Oktoberfest. Wyjątkowa atmosfera tego wydarzenia od wielu lat ściąga zwolenników dobrej zabawy nie tylko z rodzimego terenu, ale wręcz z całej Europy.

Julia była zaskoczona rozmachem wiosennej imprezy, krzątała się pomiędzy innymi członkami załogi w czystym, ukrochmalonym fartuchu, ze spiętymi włosami, słuchając pilnie poleceń swojego przełożonego. Miejsce otoczone zazielenionymi pagórkami i pociętymi, świeżo zoranymi paskami pól przypominało jej trochę rodzinne Lipowo, tutaj jednak było wyżej, widok rozlewał się na wszystkie strony, a ciągnące się w dali solidne domostwa z klinkierowej, brązowej cegły z zadbanymi obejściami stanowiły wyraz niemieckiej gospodarności i dyscypliny.

W pewnej chwili podszedł do niej sam szef i właściciel Mozarta, pan Leon.

– Julia, jest u ciebie prawo jazdy? – spytał rzeczowo.

– Jest – odparła zdumiona, nie wiedząc, o co chodzi temu człowiekowi po pięćdziesiątce, niezwykle szarmanckiemu, z wysoką kulturą osobistą.

Nie kłamała, zdążyła zrobić kurs, jeszcze będąc w Kanadzie, zaraz jak tylko ukończyła siedemnaście lat. Zdała wtedy egzamin za pierwszym podejściem, co do dziś napawało ją dumą. Sztuki kierowania nauczył ją tatko. Jeszcze w Lipowie, będąc kilkuletnią dziewczynką, sadowił ją sobie na kolanach, pozwalał trzymać kółko kierownicy i tak jechali do pobliskiego sklepu. Mieszkańcy wioski nie posiadali się ze zdumienia, widząc małą dziewczynkę kierującą pojazdem.

– Nie bój się! – powtarzał jej nieustannie. – Nigdy niczego się nie bój!

Mocno wzięła sobie do serca te słowa.

Zerknęła na szefa, gotowa wypełnić polecenie.

– Trzeba pojechać do hurtowni po beczki z ciemnym lagerem. Chłopacy są zajęci, rozstawiają jeszcze namioty i składają dodatkowe stoły. Nie spodziewaliśmy się takiej frekwencji. – Otarł rozgrzane od słońca czoło, nie kryjąc zafrasowania.

– Nie ma sprawy, już się robi, szefie! – odparła perfekcyjnym niemieckim. – Gdzie ta ciężarówka?

Wskazał ruchem brody terenówkę z odsłoniętą naczepą.

– Mój syn pojedzie z tobą. On wie, gdzie to jest, a niestety jeszcze nie zaliczył egzaminu, poza tym – westchnął zrezygnowany – za dużo dziś degustował piwa.

Chrząknęła wymownie, tymczasem szef rozpostarł bezradnie ramiona.

– Ja muszę przypilnować załogi! – dodał.

– Oczywiście! Już się robi!

Nawet nie zdjęła fartucha, wzięła tylko torbę, w której trzymała dokumenty, i pobiegła we wskazane miejsce. Paul już na nią czekał. Wyszczerezył się szeroko na jej widok, aczkolwiek nie krył zaniepokojenia.

– Julia? Na pewno masz prawko, nie ściemniasz? – niedowierzał.

– Chcesz się przekonać? – wycedziła, odpalając silnik.

Zerknęła na niego z ukosa, kiedy dla bezpieczeństwa zapiął się w pasy. Wydał jej się zabawny w tym lekkim alkoholowym zadurzeniu. Trochę nieporadny, wystraszony, a jednak zdecydowany, aby zaryzykować. Miało to pewien urok, chłopak był niewiele od niej starszy, całkiem niebrzydki, więc spokojnie mogłaby się w nim zadurzyć. I odwrotnie, rzecz jasna. Syn samego szefa? Czemu nie? – przemknęło jej przez myśl.

– Wolę się jednak upewnić, życie mi jeszcze miłe – bąknął niewyraźnie na swoje usprawiedliwienie.

Roześmiała się kpiąco, potem wjechała w szutrową drogę. Jechała wolno, spoglądając na urokliwe okolice, które dopiero teraz miała okazję zobaczyć. Spływające rzęsiście z nieba promienie słoneczne kładły się na polach, ożywiając je magiczną tęczą barw.

– Ładnie tutaj – stwierdziła, zerkając w stronę Paula.

Ten gapił się na nią od dłuższego czasu, oblizał nawet wargi, kiedy się do niego uśmiechnęła, i nagle, ku jej zaskoczeniu, chwycił za rękę, którą trzymała na dźwigni biegów.

– Ooo! – zdumiał ją ten pośpiech, co w pierwszej chwili wydało jej się nawet miłe.

Patrzyła cały czas na pustą, otoczoną z dwóch stron szpalerem drzew drogę, udając, że nie widzi jego zabiegów, wtedy on bezceremonialnie odciągnął jej dłoń w kierunku swojego krocza.

– Zobacz, co ja tu mam... zobacz, jaki jest duży...

Oblizał się pożądliwie, łypiąc w jej stronę. Policzki dziewczyny zalał natychmiast rumieniec zażenowania, w dodatku poczuła pod palcami sztywniejącą w szybkim tempie męskość. Nie tracąc zimnej krwi, nie odrywając dłoni, wycedziła:

– A co ty tu masz? Nic nie widzę!

Potem ze śmiechem wyrwała rękę i natychmiast zmieniła bieg. Chłopak spieszył się w pierwszym momencie, ale kiedy nacisnęła pedał gazu i zaczęła coraz bardziej przyspieszać, zrobił się nagle błądy. Autem rzucało na

wszystkie strony, a tuman kurzu ciągnął się za nimi, kiedy wchodzili w kolejne zakręty, ledwie trzymając się nawierzchni.

– Zwolnij! – krzyknął, nie kryjąc strachu.

– Nie mam zamiaru! – odcięła się. – Pokażę ci, jak się jeździ w Polsce!

Prawdę mówiąc, nie pamiętała, jak się prowadzi w jej rodzinnym kraju, słyszała tylko z opowieści ojca, że tam każdy jeździł, jak chciał. Przekraczanie prędkości na drogach stanowiło normę, co bulwersowało w kraju z taką zachowawczością i przywiązaniem do przepisów.

– Może nie teraz! – rzucił błagalnie Paul, spoglądając na ubitą szosę pełną siwych tumanów ciągnących się spod kół. Otaczający ich na tym odcinku szpaler wysokich drzew stanowił dodatkowe niebezpieczeństwo.

– Czereśniak! – rzuciła pod nosem, widząc, jak ten niebrzydki, atrakcyjny chłopak kurczy się w sobie i trzęsie ze strachu.

– Co powiedziałaś?

– Daleko jeszcze?

– Nie, chyba nie! Jakies dziesięć kilometrów.

– Szkoda! – Odwróciła się w jego stronę i puściła mu konspiracyjne oko.

– Fajna jazda!

Potem zmieniła bieg i kolejny odcinek pokonywała w wolniejszym tempie.

Chłopak przez chwilę odetchnął z ulgą, wytarł chusteczką spocone czoło i nie powiedział słowa.

Po dojechaniu do hurtowni, załadowaniu auta blaszanymi beczkami, już w powrotnej drodze znów dała popis swoich umiejętności nabytych dzięki doświadczeniu taty, który poświęcił córce wiele godzin, by nauczyć ją tak prowadzić.

Kiedy po kilkunastu minutach dotarli na miejsce, Paul wyskoczył z auta, przetarł ponownie zroszone kroplami potu czoło i zatoczył się nad murawą. Jego koszula pod pachami miała ciemniejsze plamy.

– Nigdy więcej! – sarknął.

Roześmiała się, zatrzasnąła drzwi kierowcy, rzucając mu ostentacyjnie kluczyki. Chwycił je w ostatniej chwili.

– Polecam się na przyszłość!

– Jasne! – wycedził drwiąco.

– A jakieś dziękuję czy coś? – stanęła w prowokacyjnym rozkroku i wpatrywała się w niego z wyczekiwaniem.

Skrzywił się.

– Nie ma za co – odparła, całkowicie wyluzowana i już miała wracać do swoich zajęć, gdy zbiegli się chłopcy z pozostałej załogi z zamiarem rozpakowania przywiezionego towaru.

Na widok spoconego Paula zachichotali wymownie. Nic do niego w zasadzie nie mieli, generalnie był w porządku, jednak sama sytuacja wydawała im się zabawna.

– Oliwier! Do roboty się lepiej weź! – syknął syn szefa, wskazując palcem namiot z barem. Goście czekają! A ty, Rob, szoruj do grilla!

Kolega z restauracji chwycił pierwszą beczkę i ściągnął sprawnie z naczepy. Mijając Julię, mrugnął do niej z uznaniem. W odpowiedzi uśmiechnęła się tylko kącikiem ust. Wtedy po raz pierwszy spojrzała na niego inaczej. Zauważyła, że ma umięśnione ramiona, rozbudowaną klatkę piersiową, a w dodatku skrzące na jej widok, jasnoniebieskie oczy. Mimo woli powiodła za nim wzrokiem, stwierdzając ze zdumieniem, że Oliwier to piękny, zarazem interesujący mężczyzna.

Od tamtego popołudnia coraz częściej wodziła za nim wzrokiem, mimo woli przyglądała się jego pracy, odkrywając ze zdumieniem, że chłopak ma niezwykle urok i kulturę osobistą. Wiele razy ich spojrzenia krzyżowały się, wtedy czuła słodkie, biegnące wzdłuż pleców mrowienie, robiło jej się gorąco i natychmiast odwracała oczy. Niestety, zauważyła, że nowo zatrudniona kelnerka o imieniu Lina zaczęła się nim bardzo interesować. Na jego

widok przybierała pozę kulawej czapli, wypinała jedno biodro, strzelała do niego oczami i zbyt często oblizywała usta.

– Co za wiocha! – sarknęła Julka na ten widok, ale nic nie mogła z tym zrobić.

Lina należała do dziewcząt drobnych, niewysokich, ze szczupłą, trójkątną twarzą z krzywym, nieszczerym uśmiechem. Do restauracji przychodziła w coraz krótszych spódniczkach i odsłaniających dekolt bluzkach. Dochodząc do baru, pochylała się prowokacyjnie, odsłaniając w ten sposób dwie wypukłe pęczki biustu i rzucała w jego kierunku powłóczyście spojżenia.

To był czas, kiedy Ben już niemal całkowicie wywietrzał Julii z głowy. Zdała sobie sprawę z tego, że uległa jedynie złudzeniu, choć w rezultacie to zauroczenie tylko jej wyszło na dobre. Zdobyła się na przyjazd do Niemiec, znalazła zatrudnienie i poznała nowych, wspaniałych ludzi. Coraz częściej myślała o dalszej edukacji, jednak miesiąc za miesiącem mijały, a ona nie mogła wybrać odpowiedniego kierunku. Na razie nie planowała powrotu do Kanady. Nie po to stamtąd wyjeżdżała. Tutaj przynajmniej nikt jej nie kontrolował, nie wytykał błędów, nie donosił przy każdej najmniejszej okazji. Tutaj czuła się wolna.

Telefoniczne rozmowy z rodziną musiały jej na razie wystarczyć. Dowiedziała się, że ojciec planuje przylot do Polski, co bardzo ją ucieszyło. Tęskniła, to prawda, ale wmawiała sobie, że jest już dorosła i żeby żyć po swojemu, musi odciąć się od macierzy.

W Kanadzie wszystko ją irytowało, ale chyba najbardziej ludzie, którzy nie umieli się cieszyć życiem i zamykali we własnych domach. Każdy przejaw radości krytykowali i tępili. Potrafili zadzwonić na policję, kiedy u sąsiadów była zbyt głośna impreza, zamiast przyjść, zapukać do drzwi i poprosić o ściszenie muzyki. Brak pomocy z ich strony, życzliwości, w dodatku ta cholerna poprawność polityczna. Powiedzenie w czasie świąt Bożego Narodzenia „Merry Christmas” godziło w uczucia religijne obywateli Kanady innej wiary.

– Fuck! – rzucała gniewnie, kiedy napotykała czasem oburzone spojrzenie. – Pierdolić to! – dodawała po polsku, co na szczęście rzadko było rozumiane.

Nauczyła się w tej sytuacji bluźnić. Dodawało jej to poczucia wyższości, a nawet siły. Nie obchodziły ją inne rasy – Hindusi, Arabowie, Irańczycy, Afroamerykanie. Nawet rdzenni mieszkańcy, Indianie, którzy tak naprawdę funkcjonowali w Kanadzie na zupełnie odmiennych warunkach. Zamknięci w rezerwach, pomimo darmowej edukacji dla dzieci czuli się zepchnięci na margines. Interesował ją własny los.

– Co za kraj! – mawiała nieraz, kiedy wracały z siostrą ze szkoły.

To właśnie tam poczuła się pierwszy raz dyskryminowana. Jej angielski był wówczas bardzo słaby, wprawdzie nauczyła się nim posługiwać niezwykle szybko, to jednak zanim do tego doszło, wiele razy doświadczyła szykan ze strony rówieśników. Niemalże po powrocie do domu namawiały rodziców na powrót do ojczyzny.

– Nie chcemy tutaj być! Tu mieszkają okropni ludzie! Ciągłe się czegoś czepiają, są niewyrozumiali, nie mają szacunku do drugiego człowieka! Wracajmy do Polski! – błagały niemalże na kolanach.

– Co wy żeście znów wymyśliły? – denerwowała się matka, a ojciec tylko słuchał z arcyważną, zamyśloną miną. – Nie mamy już do czego wracać! Tu jest nasz dom! Dorośnięcie, osiągnięcie pełnoletności, to same o sobie zadecydujecie, ale na razie... musimy nauczyć się tutaj żyć.

Więc zadecydowała. Ukuła plan, który realizowała za plecami rodziców, a nawet Tośki. W tym czasie opanowała angielski do tego stopnia, że nie miała już problemu z komunikowaniem się z ludźmi. Jednak niechęć i złe wspomnienia z początków ich życia w Kanadzie pozostały. Pragnęła z całego serca jak najszybciej opuścić ten kraj, ale wcześniej stanąć na płycie lotniska i krzyknąć z całej siły: „Fuck, fuck, fuck!”.

– Co mówiłaś? – zwrócił się do niej Oliwier, kiedy mrużąc gniewnie pod nosem, rzuciła tacą na blat baru.

– Nie do ciebie. – Jej głos złagodniał. – Mam dzisiaj najwyraźniej zły dzień.

– To może pójdziemy gdzieś we dwoje wieczorem? – zaproponował w momencie kiedy dostrzegła Linę krążącą nieopodal i łypiącą w kierunku barmana pożądliwym wzrokiem. Przez te kilka tygodni, odkąd tutaj pracowała, nie udało im się zaprzyjaźnić, dlatego Julia pomyślała, że nie tylko zrobi jej na złość, ale da szansę sobie i Oliwierowi.

– Chętnie – odparła, obrzucając go najpiękniejszym uśmiechem, jaki umiała z siebie wykrzesać.

Rozdział 16

Stefania wychodziła właśnie z bramy cmentarza przy Ogrodowej w Łodzi, kiedy dostrzegła podjeżdżający do przystanku autobus. Przyspieszyła kroku, nie spoglądając pod nogi. wtedy zawadziła o wystający róg płyty chodnikowej, poślizgnęła na rozciapanym błocie i jak długa runęła na ziemię. Torebka zsunęła się z ramienia i potoczyła kilka metrów dalej. Syknęła, bo okropny ból przeszył jej nogę, kiedy usiłowała ją podgiąć pod siebie. w tej samej chwili podbiegła do niej zaprzyjaźniona kwiaciarka, która tuż obok parkanu miała swoje stanowisko. To tutaj wdowa zaopatrywała się zawsze w kwiaty i znicze.

– Pani Stefanio, nic się nie stało? – zawołała, pochylając się z troską nad leżącą na betonie kobietą.

– Chyba nic, ale strasznie boli... – odparła Stefania, cedząc wolno słowa. Ból nie ustępował, a wręcz stawał się nieznośny.

– Może pomogę? – Kwiaciarka wyciągnęła rękę, chcąc pomóc starszej kobiecie wstać, ale noga odmawiała posłuszeństwa.

– Nie dam rady... – wyjęczała. – Chyba trzeba po pogotowie.

– Dobrze, zaraz kogoś poproszę... Rozejrzała się bezradnie na boki. Najbliższy telefon stacjonarny znajdował się w kancelarii parafialnej kilkanaście metrów dalej, która zresztą o tej porze mogła być już zamknięta, ewentualnie po drugiej stronie ruchliwej drogi, w restauracji, w której zwykle odbywały się konsolacje. W ostatniej dekadzie wynaleziono komórki, niektórzy już stali się szczęśliwymi posiadaczami tego wynalazku wszechczasów. Niewielki, plastikowy przedmiot z wyświetlaczem i klawiaturą, który łączył się z siecią. Połączenia były jeszcze bardzo drogie, ale wcho-

dzące na rynek firmy operatorów telefonicznych prześcigały się w oferowaniu jak najlepszych warunków umowy.

– Proszę państwa, trzeba zadzwonić po pogotowie! Ta pani złamała nogę! – zawołała, biegnąc w stronę przystanku.

Ludzie oczekujący na autobus spojrzeli po sobie, większość wzruszyła obojętnie ramionami. Dopiero jakiś młody mężczyzna zmieszał się w pierwszej chwili, potem wyciągnął z kieszeni magiczne urządzenie. Wystukał numer na klawiaturze. Najpierw wyłuszczył problem, a potem zaczął czekać, aż w słuchawce wybrzmi głos dyżurującej.

– Przyjedzie za piętnaście minut. Trzeba niestety poczekać – oznajmił po chwili z obawą w głosie.

– Trudno... – odparła kwiaciarka. – Jak trzeba, to trzeba... Dziękuję za pomoc.

– Może w takim razie przetransportujemy gdzieś tę panią? – zaoferował, targnięty nagłym współczuciem. – Niedobrze, że leży na środku chodnika.

– Obawiam się, że będzie problem, ale spróbujemy. Tam stoi mój składany fotel.

Pogotowie przyjechało pięć minut przed czasem. Kolano, niestety, nie przestawało boleć, a pod ażurem wełnianej rajstopy wystawało sporej wielkości wybrzuszenie.

– Złamanie rzepki kolanowej – zawyrokował lekarz dyżurny po wstępnym obejrzeniu urazu. – Zabieramy panią do szpitala. Wykonał na miejscu zastrzyk przeciwbólowy, po czym zapakowali wystraszoną Stefanię do karetki.

Zanim zniknęła w jej wnętrzu, zdążyła tylko mrugnąć w podziękowaniu życzliwej kwiaciarce i mężczyźnie z telefonem, który stał w sporym tłumku gapiów i bezradnie przyglądał się całej akcji.

– Mamo! Nie możesz teraz mieszkać na Lipowej, nie ma mowy! – sprzeciwiła się Weronika, kiedy Stefania zaraz po wyjściu ze szpitala z gipsem na

nodze usiłowała postawić na swoim.

– Nie mów głupstw, córciu. Halinka mi pomoże... To naprawdę nic wielkiego. Ty jesteś ciągle w pracy, Zbyszek też. Zrobiło się już ciepło, nie potrzebuję palić w piecu – przekonywała. – Wystarczy, że kupicie mi kulę.

– To jakieś szaleństwo! – Kręciła z niezadowoleniem głową. – Jesteś uparta jak osioł! Zostań u nas chociaż przez kilka dni, proszę... Małgosia z Filipem będą ci pomagać. A potem się zobaczy.

– No, dobrze. Tylko na parę dni, umowa stoi?

Weronika zgodziła się, choć nie mogła zrozumieć zachowania matki. Na szczęście w sukurs przyszedł jej ojciec, który obiecał, że zaopiekuje się byłą żoną.

– Też mi coś! – fuknęła tym razem niezadowolona Stefania. – Co ja jakaś królowa jestem? Nie potrzebuję całego orszaku do obsługi.

– Nie bądź niemądra, Stefcu – wtrącił się tym razem Tadeusz, który przyjechał na Piotrkowską jeszcze tego samego dnia. – Nikt nie wymaga od ciebie wielkich poświęceń. Wystarczy, że pozwolisz się sobą zająć.

Uraz wymagał unieruchomienia kończyny na wiele tygodni, potem czekała na Stefanię fizjoterapia, masaże i długa rehabilitacja.

– Nie rozumiem, w czym problem... – usiłowała się buntować, kiedy traktowali ją jak dziecko, przynosząc i odnosząc jedzenie, pomagając przy myciu, ubieraniu i podstawowych czynnościach. – Sama sobie poradzę.

Czuła wstyd i zażenowanie, kiedy wnuczka prowadziła ją do łazienki, pomagała zdjąć majtki i sadzała na ubikacji. Po kilku dniach zażądała, aby ją odwieźć na Lipową.

– Tylko pod jednym warunkiem – zgodziła się tym razem Weronika. – Ojciec dostanie klucze i będzie mógł robić ci zakupy i opiekować się tobą.

Z dwojga złego wolała to niż traktowanie jej jak dziecka.

– Dobrze – zgodziła się, zrezygnowana, bez odrobiny entuzjazmu.

– Byłeś tam i mi nie pomogłeś! – rzuciła w stronę fotografii z lekkim wyrzutem. – Widzisz teraz, co się dzieje! Tylko utrapienie! Na gwałt chcą mi wszyscy pomagać!

W tym momencie do drzwi mieszkania ktoś zapukał, potem przekręcił się klucz w zamku i usłyszała w korytarzu znajome chrząknięcie.

– Jestem, Stefciu! Przyniosłem zakupy i kotlety mielone!

– Mielone? – Skrzywiła się. – Kupne?

– Nie, sam zrobiłem... Sama ocenisz, jak mi wyszły.

Wszedł do pokoju w koszuli w prążki i kamizelce w serek, w rozdeptanych pantoflach po Felku.

Siedziała na łóżku oparta o poduszki. Obok leżała robótka ręczna, kłębek brązowej włóczki i druty. Okulary na jej nosie zabawnie się zsunęły.

– Co robisz?

Wzruszyła ramionami.

– Skarpety dla ciebie. Przecież te, które nosisz, są okropne! Tyle razy mówiłam Werce, by kupiła ci całą paczkę w hurcie. Ciągłe o tym zapomina!

Ściągnął twarz, na której w jednej chwili wymalowało się wzruszenie.

– Zrobić ci herbaty?

– Poproszę, najlepiej z miodem i cytryną. Wszystko znajdziesz w kuchni.

– Wiem, gdzie co jest – sarknął z ironią, podchodząc do łóżka i poprawiając koc na jej kolanach.

– Boli cię?

– Nie, ale swędzi. Gdybyś mógł mi podać ten dłuższy drut. Leży na kredensie.

Rozciągnął wargi w uśmiechu. Podał jej to, co chciała, i poszedł do kuchni. Słyszała, jak się tam krząta, jak tłucze garnkami, brzęczy talerzami i spuszcza wodę z kranu.

Pokręciła głową.

– Przetawi mi wszystko do góry nogami! Ja chyba zwariuję!

Po kilkunastu minutach pojawił się na powrót w pokoju. Na tacy miał przygotowany talerz z ubitymi ziemniakami, ogórkiem kiszonym i kotletem. Obok stała szklanka z kompotem.

Zerknęła na to wszystko znad szkieł okularów.

– Ooo! Nie wierzę! Sam to przygotowałeś?

Kiwnął głową.

– Weź swój talerz i zjedz ze mną – zaproponowała. – Będzie mi lepiej smakowało.

– W takim razie... zaraz wracam – oznajmił i zrobił obrót na pięcie.

Chwilę później siedział obok na taborecie, drobiąc widelcem kotleta.

– Naprawdę smaczny – pochwaliła jego wysiłki, kiedy sięgała po kolejny kęs. – Nie mam pojęcia, kiedy nauczyłeś się tak dobrze gotować.

– Myślę, że nie chciałyś wiedzieć – wycedził.

– Chyba już nic mnie nie zdziwi! Mów, śmiało!

Westchnął. Wziął od niej puste naczynie i odstawił na stół. Zatoczył wzrokiem i przez moment utkwiał spojrzenie w fotografii wiszącej na ścianie.

– On cały czas był między nami – mruknął, zaskakując ją tym stwierdzeniem. – Nawet wtedy, kiedy udawałaś, że jesteś szczęśliwa.

– A nie byłam?

– Staralaś się, Stefcu – potwierdził z przekąsem. – Doceniałem to.

– Nie rozumiem, o co ci chodzi? – Potrząsnęła głową. – Chcesz teraz powiedzieć, że nie czułeś się kochany, dlatego rzuciłeś się w ramiona kochanki? Proszę! Tyle razy to przerabialiśmy! Czy zmarli nie zasługują na odrobinę świętego spokoju?

Utkwiła w byłym mężu uważne spojrzenie, a potem dorzuciła:

– Wiesz co, Tadek? Cały czas mnie zaskakujesz.

– To dobrze? – spytał cynicznie.

– Sama nie wiem – odparła z rezygnacją, kręcąc z niezadowoleniem głową. – Próbujesz wbić mnie w poczucie winy. To już przesada.

– Nic z tych rzeczy! – zaprotestował. – Stwierdzam tylko fakty.

– Cwaniak! – syknęła.

Poczuła jednocześnie, że tamten temat został wyczerpany i już nic nowego nie wniesie w ich życie. Należało się z tym po prostu pogodzić.

Może Tadeusz miał rację? Przecież prawdą było to, że oprócz ojca i syna żadnego mężczyzny nie kochała mocniej niż Felka.

Chwilę milczeli, dźwięk dzwoniących o talerze sztućców zakłócał ciszę, wreszcie odezwała się pierwsza.

– Włączysz telewizor? Zaraz będzie kolejny odcinek *Stawki większej niż życie*.

Wstał i podszedł do odbiornika. Wcisnął przycisk i zaczął, aż obraz przestanie śnieżyć.

Jak za starych dobrych czasów – skonkludowała w myślach i uśmiechnęła się sama do siebie.

Rozdział 17

Julia przejęła cały południowy taras, gdzie w sezonie gości było pełno. Czasem do Mozarta przychodziły całe rodziny, czasem klienci czysto biznesowi, nierzadko liczne grupy chcące dobrze zjeść przy ulubionej muzyce. Miejsce to miało swoją tradycję, potrawy były przygotowane z produktów najwyższej jakości, bardzo smaczne, treściwe, dlatego też nie należały do tanich. Mimo to, knajpa od godziny jedenastej do późnego wieczora miała niemal pełne obłożenie i tętniła życiem.

Na tak zwaną zagryzkę poczekajkę podawano tutaj świeżą, pieczoną we własnym piecu, pokrojoną bagietkę, a do tego aromatyczny smalec ze skwarkami, czosnkiem i majerankiem. taki przysmak niewiele kosztował, a zaserwowane pieczywo w koszyczku wyściełanym serwetką i stopione mięso w ceramicznym, okrągłym naczyniu przyjemnie zaskakiwały gości.

Julia często dostawała napiwki, na jej fartuchu z przodu naszyta była wielka kieszeń, do której wrzucała wynagrodzenie za miłą, fachową obsługę. Z czasem przekonała się, że z tych dodatkowych funduszy można całkiem nieźle żyć, a wypłacaną przez szefostwo pensję – odkładać.

Tego wieczora południowy taras zarezerwowany został dla rodziny i znajomych właścicieli restauracji. Okazją do tej w pewnym sensie rozrzutności stały się urodziny żony pana Leona, Lidii. Kobieta ta stanowiła kwintesencję klasy i urody. Wysoka, smukła, ze szczupłą talią podkreśloną szerokim paskiem. Sukienka uwydatniała ramiona, w których wszyte były tak zwane wkłady barkowe – najnowszy trend mody, który został ochoczo przyjęty przez niektóre elegantki. Do tego koniecznie okazała biżuteria

i jeden ogromny kolczyk w widocznym uchu. Drugie miała zasłonięte prostymi do ramion włosami w kolorze dojrzałego jęczmienia.

Julka za każdym razem zerkiała na nią z podziwem. Nigdy nie będzie miała stu osiemdziesięciu centymetrów, nad czym szczerze niekiedy ubolewała. Natura poskąpiła jej wzrostu, dając za to w zamian całkiem zgrabną sylwetkę, gęstwinę brązowych loków, ładne, zdrowe zęby, intensywnie niebieskie tęczęwki i piękną cerę.

Towarzystwo na tarasie świetnie się bawiło, niektórzy, słysząc włoskie rytmy, ruszyli nawet w tan. Stała z boku z pustą tacą, przyglądając im się z zainteresowaniem, pan Leon w spodniach od garnituru, w błękitnym szetlandzie z dyskretnym znaczkiem cenionej przez niego marki obejmował czule małżonkę, podczas gdy reszta gości bawiła się oddzielnie. Kobiety w pięknych, odważnych kreacjach, mężczyźni w eleganckich garniturach szaleli po wyłożonej granitem podłodze, odstawiając coraz dziwniejsze pozy. Spożyty w sporych ilościach alkohol zrobił swoje. Uśmiechnęła się, patrząc na te zabawne wygibasy, jednak w pewnej chwili ktoś zaszedł ją od tyłu i objął w talii. Drgnęła wypłoszona. Nie powinna stać beczynną, kiedy wokół było tyle pracy.

– Paul? – zmieszała się. – Już idę do baru!

– Nie o to chodzi... – bąknął onieśmielony.

– Nie? – Omiotła go zdumionym spojrzeniem.

Ubrany był w tweedową marynarkę w kratę, czarny golf i spodnie. Modnie przystrzyżona fryzura, firmowe buty i zegarek marki Tissot dopełniały wizerunek żurnalowego chłopca.

Spojrzał na nią zielonymi oczami, w których błąkał się wyraz niepewności.

– Chciałem cię przeprosić za tamto. Głupio mi teraz... – wydukał. – Nie miałem zamiaru cię napastować, to jakoś samo...

– Daj spokój! – przerwała mu. – Było, minęło... Już zapomniałam.

– Naprawdę?

– Jasne! Nie myśl więcej o tym!

Odetchnął z ulgą.

– Dziękuję.

– Nie ma sprawy. Wracaj do swoich! – Zaraz też dodała: – Podziwiam twoją mamę. Wspaniała kobieta!

– Tak... – przyznał. – Jest niezwykła.

Miał sobie pójść, ale zawahał się jednak. Chwytał jej wolną rękę i ścisnął mocno.

– Gdybyś czegoś kiedyś potrzebowała...

Utkwiła w nim zaciekawione spojrzenie.

– Tak?

– Możesz na mnie liczyć.

Kiwnęła głową.

Wracała właśnie do kuchni, kiedy przy barze dostrzegła wdzięczącą się do Oliwiera Linę. Na szczęście dziewczyna zmuszona była zabrać tacę zapelnioną piwem i orzeszkami i wrócić na swój rewir, aby obsłużyć czekających gości.

Przyszło jej nagle do głowy, aby podstawić jej nogę, ale w ostatniej chwili powstrzymała się od tego zamiaru. Mogłoby to się źle zakończyć nie tylko dla niej – stwierdziła z żalem, ale i odrobiną zdrowego rozsądku.

Muzyka grała, Eros Ramazzotti śpiewał o miłości, a ona czekała, aż kucharz wyda jej zamówienie. Nagle poczuła czyjeś dłonie na swoich biodrach.

Odwróciła się, podniosła wzrok i napotkała rozpalone spojrzenie Oliwiera.

– Zatańczymy?

– Tutaj? – Roześmiała się.

– A czemu nie?

Jego poważna mina zbiła ją z tropu, oblało ją zdradliwe gorąco, które sprawiło, że skóra na rękach i pod pachami zwilgotniała.

Pochylił się i musnął wargami jej włosy.

– Pięknie pachniesz – szepnął jej do ucha, czym znów ją onieśmielił.

– Muszę wracać na taras... – mruknęła, przęzając się jak kotka i wspinając na palcach.

Wykonała obrót, wyrrywając się z mocnego uścisku. Zrobił smutną minę, na co ona posłała mu tęsknego całusa.

– Widzimy się później? – zdążył zapytać.

Mrugnęła porozumiewawczo i tanecznym krokiem, z tacą wypełnioną dymiącymi posiłkami, ruszyła w stronę gości.

Po ostatnim spacerze z Oliwierem, kiedy to z Domplatz przenieśli się na Domplate, czyli całotygodniowy targ, gdzie sprzedawano regionalne potrawy, coś między nimi zaiskrzyło. Niby nic wielkiego się nie wydarzyło, Oliwier chwycił ją kilka razy za rękę, ścisnął mocno, głębiej zajrzał w oczy, zapatrzył się na nią dłużej niż powinien, a nawet kilka razy dotknął wargami jej włosów. Nie mówił o swoich uczuciach, za to tematów do rozmów im nie brakowało. Odprowadził ją pod kamienicę, gdzie mieszkali Greta i Karl, uścisnął czule na pożegnanie i musnął wargami jej skroń. Znów wtargnęło w nią to przyjemne, rozkoszne ciepło, które jeszcze jak leżała w łóżku i rozpamiętywała te chwile, wciąż w niej tkwiło i rozniecało pożar, jakiego dotąd nie czuła.

Z dnia na dzień przekonywała się, że to Oliwier jest tym mężczyzną, na którego czekała całe swoje niedługie życie.

– Jestem taka zmęczona! – rzuciła tymczasem Lina, która tuż przed zamknięciem znów pojawiła się w kuchni. Odstawiła tacę, pochyliła się, aby pomasować łydki.

– Może ci pomóc? – zaproponował kucharz, podnosząc głowę znad blatu, gdzie leżały resztki pociętej ryby.

Spiorunowała go wzrokiem.

– Nie, to nie! – Skrzywił się urażony i wrócił do swoich zajęć – trzeba odtransportować Paula. Ściął się biedak. – W otworze kuchni zmaterializował się Oliwier. Był już bez fartucha, miał na sobie czarną kurtkę pilotkę. – Stefan, pomożesz mi?

Dziewczyna westchnęła głośno na jego widok.

– Pewnie, daj mi pięć minut! Ogarnę stanowisko! – odparł ochotczo kolega z pracy, biorąc się szybko do robienia porządków.

– Dobra, zaczekam w takim razie przy barze.

Zdziwiła się, gdy odwiedził ją Ben. Przyjechał późnym wieczorem do domu Grety i Karła, kiedy we troje siedzieli w kuchni, jedząc spóźnioną kolację. Julka miała akurat wolne w pracy, cały dzień przeleżała w łóżku z książką, bolała ją głowa i wszystkie mięśnie. Pijąc herbatę z cytryną i miodem, myślami była przy Oliwierze, który musiał w ten weekend pojechać do rodzinnego miasta – Minden. Jego ojciec kończył właśnie kilkuletnie panowanie w mieście i opuszczał ciepłą posadkę burmistrza, którą uroczyście miał przekazać swojemu następcy. Z tej okazji organizowana była jakaś szczególna uroczystość, w której obowiązkowo musieli uczestniczyć najbliżsi członkowie rodziny.

– Nigdy nie byłam w Minden – powiedziała tuż przed rozstaniem, kiedy stali na dworcu kolejowym, trzymając się za ręce.

– Kiedyś cię tam zabiorę – odparł, wtulając ją zachłannie w ramiona. Musiał się oczywiście głęboko pochylić, bo był sporo od niej wyższy. Zadarła głowę, jej niebieskie oczy w ciemnej oprawie błyszcząły. Już wtedy brała ją grypa, ale Oliwier pewnie pomyślał, że to zasługa wielkiego uczucia, co zresztą nie mijało się z prawdą. Te ostatnich kilka tygodni znajomości sprawiło, że jego osoba stała się dla niej niezwykle ważna. Chciała go nieustannie słuchać, patrzeć na niego, dotykać przy każdej możliwej okazji. Zresztą... z wzajemnością. Czasem swoim zachowaniem budzili konsternację, a nawet zażenowanie wśród znajomych. Byli zdolni do wszystkiego, by tylko być blisko siebie, potrafili wyjść podczas najbardziej żarliwej dyskusji, oczywiście ku zgorszeniu pozostałych, a potem gdzieś za najbliższym rogiem kamienicy całować się żarliwie i zapamiętale. Potem wracali do towarzystwa, śmiejąc się i trzymając za ręce. Lina kilka razy przyłapała ich obściskujących się w toalecie restauracji. To jej wystarczyło, aby skapi-

tulowała. Swoje nieodwzajemnione uczucia musiała scedować na kogoś innego, dlatego jej celem stał się pewnego dnia Stefan.

Tymczasem, wprowadzony przez Karła, Ben stanął w drzwiach kuchni z bukietem kwiatów i bombonierką pod pachą.

– To dla ciebie – oznajmił, patrząc zakłopotany na siedzącą w szlafroku Julkę.

Dla pani Greta przyniósł bombonierkę, a dla jej męża butelkę bawarskiego piwa.

– Siadaj, Ben! – Nauczycielka zerwała się z krzesła i rozłożyła do powitania ramiona. – Dawno się nie widzieliśmy! Spowaźniałeś od ostatniego razu!

– Chrząknął znacząco w odpowiedzi.

Ostrowska obrzuciła go zimnym, obojętnym spojrzeniem. Sama się zdziwiła, że patrząc teraz na niego, poza resztką zawodu niczego nie poczuła.

– Czego się napijesz? – Greta wychodziła jednak z założenia, że każdego gościa trzeba odpowiednio przyjąć. Poza tym... chłopak był bardzo miły, zdolny, znała go od wielu lat i nigdy się na nim nie zawiodła. Sprawa między młodymi nie mogła położyć się cieniem na ich dotychczasowych relacjach.

– Dziękuję, może być herbata – odparł, spoglądając niepewnie w stronę Julii. Może myślał, że dziewczyna proponuje mu rozmowę na osobności.

– Stało się coś? – spytała, nie wstając nawet z krzesła.

– Nie, wszystko w porządku – mruknął. – Chciałem zaprosić państwa na ślub i wesele. I ciebie, Julio, też... – Wstał i wyciągnął z kieszeni dwie małe, sztywne koperty ze złoconymi po bokach.

Spiorunowała go zniesmaczonym wzrokiem.

– Przecież nadal jesteśmy przyjaciółmi – zakomunikował, nie kryjąc żalu, na co Greta tylko się uśmiechnęła.

Julia burknęła coś w odpowiedzi, podciągnęła nogę pod siebie, co zawsze robiła, kiedy czuła się nieco zagubiona.

– Kiedy? – rzuciła w powietrze.

– Za miesiąc, w Hamm, w kościele św. Agnes.

Wypuściła z płuc powietrze.

– Gratuluję! – wycedziła z przekąsem.

– Przyjdiesz? – spytał, nie bacząc na dwoje towarzyszących im ludzi. Zdawał sobie sprawę z tego, że we wszystko byli wtajemniczeni.

– A mogę z osobą towarzyszącą?

– No pewnie! – oświadczył i nagle twarz mu się nieco rozjaśniła.

Julia wyciągnęła rękę i przysunęła do siebie kartonik z zaproszeniem. Wyjęła go z koperty, obejrzała go uważnie z każdej strony.

Nagle uśmiechnęła się do własnych myśli.

– Dziękuję. Przyjedziemy.

Zerknęła na niego, odruchowo zaczesując palcami do tyłu rozpuszczone włosy.

– Będzie mi miło – powiedział Ben i uśmiechnął się do niej ciepło. – A państwo? – zwrócił się w kierunku nauczycieli, którzy nagle zerwali się od stołu.

Popatrzyli po sobie.

– Oczywiście! – odparli niemal równocześnie.

– Tak się cieszę. Dziękuję! – zawołał chłopak, nie kryjąc radości.

– To wspaniale! Taką okazję trzeba koniecznie uczcić! – oświadczył starszy mężczyzna i podszedł do lodówki. Wyciągnął z niej butelkę wódki o nazwie Korn i postawił na stole.

– Ależ nie trzeba... – sprzeciwił się Ben, lekko zmieszany.

– Jak nie trzeba? – zgasiła go Greta, która już stała przy blacie i kroїła kielbasę na zakąskę.

– Ojej, dziękuję – powtórzył kolejny raz zaskoczony mile chłopak i znów skierował spojrzenie ku Julce, która również wstała i dołączyła do nauczycielki, aby naszykować ogórki i chleb.

Rozdział 18

Z lotniska Okęcie w Warszawie miał go odebrać Rychu, kochany, nieoceniony przyjaciel. Antoni był już po kilku drinkach zaserwowanych w samolocie przez urocze stewardesy, w głowie czuł więc lekki zamęt, nie mówiąc o zmęczeniu dziewięciogodzinnym lotem i zmianie czasu. Kiedy wychylił się z samolotu, gdy poraziło go ostre światło dnia, stanął na szczycie schodów, spojrzął w przejrzyste niebo, a potem przed siebie – ogarnęło go takie wzruszenie, jakiego nie czuł chyba nigdy w życiu. Jak tylko dotknął stopami ziemi, oddalił się kilka kroków od ciągu komunikacyjnego, ukląkł i z namaszczeniem pocałował ziemię, na której przed kilkoma minutami szczęśliwie wylądował.

– Jestem w domu! – szepnął ze łzami w oczach, nie wierząc jeszcze, że to się naprawdę dzieje.

Pasażerowie czekający na transport zerkali na niego, nie kryjąc zainteresowania. Widok był wszak niecodzienny, choć jego to teraz niewiele zajmowało. Zaraz po odebraniu z taśmy walizki i przejściu ostatniej kontroli paszportów skierował kroki w stronę wyjścia. Opuszczając halę lotniska, zaczerpnął haust świeżego powietrza.

– Antek? – usłyszał znajomy głos tuż za plecami. – To naprawdę ty?

Odwrócił się. Rzucił walizkę, rozpostarł ramiona.

– A kogo się spodziewałeś, Boy George’a? – zażartował po swojemu, choć przez moment zdławiło go wzruszenie.

– Kopa lat, chłopie! – wymamrotał Rychu, klepiąc go po plecach.

– Oj, tak! Zdecydowanie za długo! Chodźmy gdzieś uczcić to spotkanie!
– zaproponował, przyglądając się wnikliwie koledze. – Prawie nic się nie

zmieniłeś, słowo daję! – bąknął z uznaniem.

– Ty też – odparł Rysiek, schylając się po jego walizkę. – Najpierw zabieram cię do siebie, żona czeka z obiadem, a potem pójdziemy w miasto. Może być?

– No pewnie! – zgodził się Ostrowski ochoczo. – Co ma nie być?

Mieszkanie Gilów przeszło w ostatnich latach remont, dlatego teraz powitały go ściany w kolorze zachodzącego słońca przełamane żółcią i zielenią. Dawno nie widział tak odważnego połączenia barw, za to dowiedział się, że teraz takie w Polsce są modne. Meble też zostały wymienione, zniknęły drewniane szafki z klepek, ceramika z Włocławka zdematerializowała się na rzecz pomarańczowego zestawu i plastikowych, nieco tandetnych ozdób rodem z Chin. W pokoju, do którego został zaproszony, stał trzyczęściowy komplet wypoczynkowy ze skaju. wymienione na plastiki okna zdobiły gęste firanki z frędzlami i misternie udrapowane zasłony w kolorze butelkowej zieleni. Na pokrytej serwetą ławie natychmiast pojawiła się butelka żytniej, kromki chleba w koszyczku na zakąskę i pokrojona w plasterki suszona podwawelska.

Antoni wyciągnął z walizki prezent i wręczył uśmiechniętej od ucha do ucha gospodyni, która przez te lata nic nie straciła z dawnego uroku, poza tym że przybyło jej trochę ciała.

– To dla mnie? Nie trzeba było...

– Trzeba, trzeba... – odparł z naciskiem gość, po czym sięgnął po butelkę whisky. Wręczył ją kumplowi, któremu lekko zeszroniły się włosy na skroniach, a wokół oczu pojawiły się dość głębokie zmarszczki. Poza sporym brzuchem, na którym opinała się koszula w kratę, trzymał się dobrze.

– Ojej! Co za piękny szal! – Kobieta jęknęła z zachwytem i owinęła nim pulchne ramiona. – Dziękuję!

– Cieszę się, że się podoba – mruknął z zadowoleniem Antoni. – Przekażę podziękowania Alince.

Rysiek wyciągnął tymczasem butelkę żytniej i otworzył ją fachowo. Rozstawił na ławie trzy kieliszki.

– Najpierw napijemy się polskiej wódki – oświadczył z powagą.

– No pewnie, nie może być inaczej – zgodził się Antoni.

– Zostawiam was tymczasem! – zawołała Gilowa. – przygrzeję tylko obiad!

Posłała im na odchodnym uroczy uśmiech oraz krótkie całuski.

– Ech, Antek! – Rychu westchnął, spoglądając spod krzaczastych, poszarpanych brwi na kumpla. – Aż trudno w to wszystko uwierzyć.

– Żebyś wiedział! – stęknął ciężko Ostrowski, a potem wzniósł kieliszek.

– To za szczęśliwy powrót do ojczystej ziemi! – zawołał.

– Za powrót! – potwierdził Rychu i wypili całą zawartość do dna.

Kroczył chodnikiem, rozglądając się uważnie dookoła. Ulice grzęzły w korkach, samochody najczęściej zachodnich marek przemieszczały się od świateł do świateł w żółtym tempie. Dokładnie to, o czym wspominał Rysiek. Polacy zaczęli nagminnie ściągać od sąsiadów używane auta, ceniąc je za solidność i niezawodność. Cena przekładała się na jakość, co zostało szybko zauważone przez bardziej przedsiębiorczych rodaków. Interes kwitł, chętnych na „używki” nie brakowało, a efekt tych działań widać było gołym okiem. Przejeżdżające tramwaje straciły swoje kanciaste kształty, stały się bardziej obłe i nie robiły tyle hałasu co kiedyś. Z wielu budynków, witryn sklepowych krzyczały teraz barwne reklamy zachęcające przechodniów do korzystania z wybranych produktów, których na rynku pojawiła się cała masa. Chodnikiem z przeciwka maszerowała grupka młodych, roześmianych uczniów w kolorowych, często zbyt odważnych ciuszkach, tak dalece różniących się od granatowych mundurków, które zapamiętał z czasów swojej młodości. odsunął się na bok, robiąc im przejście. Minęli go, przekrzykując się nawzajem, nie zwracając na nic uwagi.

Młodość – skonstatował Antoni z jakimś niewytłumaczalnym żalem.

Zaroilo się teŹ od budek z frytkami i hot dogami oraz przewoŹnych sprzedawców handlujacych odzieŹą i wyrobami tekstylnymi. Prywatyzacja w mniejszych czy większych odsłonach ruszyła pełną parą. Mimo tych widocznych zmian na lepsze przez krótki moment, gdzieś ze środka, wypływała pałaca tęsknota za tym, co było, a co nieuchronnie stracił. Zresztą... nie tylko on. NiemalŹe całe jego pokolenie walczące o wolną ojczyznę przeŹywało teraz kryzys. Z czego to wynikało? Z upadku państwowych przedsięwzięci, w których mieli zatrudnienie? Z tego teŹ. KaŹdy powtarzał; kiedyś było inaczej. Była praca, wszyscy mieli po równo. Nie trzeba było o nic walczyć, zabiegać. Panowała inna mentalność. Teraz wszystko wywróciło się do góry nogami, świat naleŹał do ludzi odważnych, przedsięwzięci, niebojacych się ryzyka. Antoni zawsze się za takiego uważał, prowadząc restaurację, musiał podejmować trudne wybory, być na stanowisku pracy wczesnym świtem, a schodzić z niego późnym wieczorem. Kochał to, co robił, dlatego nie czuł się z tego powodu gorzej od innych. Przyjechał tutaj z wielkiego świata, z krainy przez wielu Polaków uznawanej za miodem i mlekiem płynącą. Owszem, pod wieloma względami Kanada przerastała do niedawna siermiężną, niemalŹe zatrzymaną w czasie Polskę. Jednak to tutaj czuł się jak w domu, a tam obco i źle. Wypalił kolejnego papierosa, potem zdecydował, Źe zajrzy na Foksal. Zobaczy, co tam się dzieje, moŹe spotka kogoś ze znajomych...

PrzeŹył ogromne rozczarowanie, gdy okazało się, Źe oprócz Łodzi z dawnej załogi nikogo juŹ nie ma. Marcin, któremu przekazał pałeczkę, juŹ dawno skapitulował, zostawiając Stowarzyszenie Dziennikarzy w katastrofalnej sytuacji. Nowego właściciela, dzierŹawcy, nie było w pracy. Podobno rzadko bywał, typując na prawą rękę swojego zięcia. Niestety, rozrzutnego lekkoducha, niemającego do interesu ani głowy, ani serca.

– To miejsce juŹ nigdy nie będzie takie jak za twoich czasów – stwierdziła ze smutkiem Łódzia, gdy znalazła moment, aby z nim pogawędzić na tarasie. Przyniosła mu kieliszek koniaczku, popielniczkę i co chwila

w przerwach między zamówieniami zaglądała i pytała, czy czegoś mu nie potrzeba.

Popijając trunek, spoglądał ze ściśniętym sercem na zaniedbany ogród. Nikt już tu od dawna nie zbierał liści, nie kosił trawy, nie czyścił kamiennych figurek i fontanny, która zresztą była nieczynna. Wspaniały teren, będący wówczas wizytówką tego miejsca, popadał w zapomnienie.

– A piekarnia? – spytał kobiety, która znów na moment przysiadła naprzeciwko i poczęstowana marlboro, chętnie skorzystała i zapaliła.

– A gdzie tam? – wypuściła z ust kłęby papierosowego dymu. – Komu by się chciało utrzymywać cukiernię i piekarnię? Przecież to obowiązek, pracownicy i dodatkowe koszty, chociażby za prąd – prychnęła drwiąco.

– A akwarium? Kto dba teraz o rybki?

Machnęła z rezygnacją ręką.

– Stary Rzecki, co się na tym znał, zmarł jakieś pięć lat temu. Pływały jakiś czas, ale nie było komu wody wymienić, więc zarosło szlamem i wszystko wyzdychało... – westchnęła ciężko, dając upust swojej żalości. – Od pewnego czasu stoi więc puste. Ostatni właściciel wpadł na pomysł, aby je rozebrać albo do czegoś wykorzystać. Na razie nic mądrzejszego nie wymyślił. Kazał je więc zasłonić materiałem i zastawić kwiatami.

– Rozumiem... Dlatego go nie zauważyłem... A goście, kuchnia?

– Cóż... – wydeła wargi. – Raz są, raz ich nie ma. Wszystko popsuło zarcie, które czasem jest pod psem. Na szczęście legenda tego miejsca trwa, dlatego niektórzy przychodzą tu tylko z sentymentu. Generał też czasami bywa – dodała pośpiesznie, wyprzedzając jego kolejne pytanie.

– Koniecznie muszę się z nim zobaczyć – wtrącił Antoni.

– To już nie ten sam człowiek. Schorowany i nieszczęśliwy po odejściu żony.

– Tak, słyszałem... – przyznał ze smutkiem. – Zawsze uwielbiałem Alutkę i cenilem. Była taka pełna życia i radosna! Szlag by to! – sarknął głośno. – Nie miałem pojęcia, że była tak poważnie chora... Rak trzustki, kto by po-

myślał? I to wszystko wydarzyło się w tak krótkim czasie... Jakie to życie jest nieprzewidywalne!

Przytaknęła głośno, z ubolewaniem.

– To prawda...

Przyglądała mu się badawczo tymi swoimi piwnymi, wciąż ładnymi oczami. Mimo niewielkiej urody miała coś w sobie. Coś, co sprawiało, że chciało się być obok niej, rozmawiać z nią i na nią patrzeć.

– A co u ciebie, Lodzia? – zagadnął, omiatając ją przelotnie wzrokiem.

Wzruszyła ramionami, strzepnęła popiół z papierosa i zgasiła go w szklanej, kanciastej popielniczce.

– A co ma być? Mąż umarł, dzieci się rozjechały... Zostałam sama.

– Przykro mi, nie wiedziałem...

– A co u ciebie? – rzuciła zaczepnie. – Wyglądasz bardzo dobrze. – Zwinęła usta w dzióbek i przekręciła wymownie oczami.

Wyprostował się w pierwszym odruchu, komplement sprawił mu przyjemność.

– Dziękuję. W porządku – odparł lakonicznie, nie chcąc rozwijać niewygodnego tematu. Mógłby tej kobiecie powiedzieć, że mieszka w pięknym domu, usytuowanym w uroczym miejscu niedaleko Toronto, wokół jest pełno klonowych lasów, rozległych jezior, pracuje w restauracji, jego żona w ogromnej fabryce, córki dorosły i jest po prostu eldorado.

Ale nie zrobił tego. Uśmiechnął się tylko krzywo, dokończył kieliszek i wyciągnął z kieszeni dziesięciodolarowy banknot.

– Nie trzeba, dziś ja stawiam! – zaprotestowała, krzyżując w powietrzu obie dłonie.

Wstał i objął ją jak dawniej, po przyjacielsku. Nigdy nie miał z nią romansu ze względu na jej chorego męża, choć zawsze czuł do tej kobiety słabość. Poza tym była najuczciwszą kobietą pod słońcem.

– W takim razie... następnym razem ja stawiam. Daj mi swój numer telefonu i jak tylko ogarnę się ze wszystkim, zadzwonię.

Jakkolwiek to zabrzmiało, kobieta zrobiła zakłopotaną minę. Niewiele jednak myśląc, zapisała na kawałku serwetki kilka cyfr.

– Pracuję na zmiany, więc musisz próbować – ostrzegła lojalnie.

– Będę miał na uwadze. Dziękuję i do zobaczenia, Łodziu! – powiedział, pochylił się i cmoknął ją w szorstki policzek.

Zarumieniła się.

– Do zobaczenia! – odparła, odprowadzając go smutnym wzrokiem.

Rozdział 19

Tośka, nie mów tak! Jesteś niesprawiedliwa! – krzyknęła do słuchawki, stojąc w budce telefonicznej niedaleko restauracji przy Printzpalmarkt.

– A ty za to jesteś samolubna!

– Dorośniesz, to sama zrozumiesz! – odcięła się Julia ze złością.

– Jasne! Nigdy tak nie postąpię, możesz być tego pewna! Nie porzucę swojej rodziny dla jakiegoś tam chłopaka. A właśnie. Co z nim? Już ci się oświadczył? – zadrwiła bezlitośnie.

– Nie bądź taka, Tośka. To wcale nie jest śmieszne! – odparła z żalem. – Nie jestem z nim i nigdy nie będę.

– No coś ty? To jakaś nowość! Czyżbyś nie dopięła swego jak zawsze? Nie udało ci się tym razem? – Zachichotała złośliwie.

– Żebyś wiedziała! – warknęła. – Nie udało mi się! Okazało się, że Ben to zwykły palant.

– Ojej! Przykro mi! – zakpiła, nie okazując jej odrobiny litości.

– Harda się zrobiłaś, nie ma co. Nie poznaję cię, siostra! Zero współczucia.

– Twoja szkoła! Jak chciałaś, tak masz!

Julka zachnęła się ze zniecierpliwieniem. Szczerze mówiąc, miała dość tej rozmowy.

– Jak się czuje mama? – zdobyła się jeszcze na pytanie.

– A jak ma się czuć? – przystąpiła ponownie do ataku Tośka. – Ty uciekłaś, ojciec poleciał do Polski.

– Naprawdę? Nic o tym nie wiem... – zdumiała się, choć przecież słyszała wcześniej o tych planach. – Od dawna tam jest?

– Od kilku dni?

W słuchawce zapadła niezręczna cisza.

– Tęsknię za tobą, Tośka... – szepnęła przez ściśnięte gardło. To był ten moment, kiedy poczuła ogromną potrzebę powiedzenia tego, co czuje.

– Taaa, jasne – skwitował głos po drugiej stronie.

Zrobiło jej się przykro. Liczyła na jakieś zrozumienie, na jedno ciepłe słowo. Siostra nie miała prawa jej osądzać. Kompletnie się na tym gruncie nie rozumiały.

– Muszę już kończyć, ktoś dobija do budki. Pa, zadzwonię za kilka dni! Okej?

– Okej – padła zrezygnowana odpowiedź, choć Julia odniosła wrażenie, że Tośka chciała coś jeszcze dodać.

Tak naprawdę nikt nie pukał, tylko ona nie miała już ochoty brnąć w tę wymianę zdań. Wierzchem dłoni otarła załzawione oczy, szarpnęła gniewnie za uchwyt i wyszła z budki.

Przed nią rozpościerał się znajomy widok na starówkę. Piękne, zabytkowe kamienice stojąc obok siebie ciasno okalały z dwóch stron gwarą o tej porze ulicę. Wspaniałe zdobienia, gzymsy i łuki pokrywały ściany, tworząc z nich prawdziwe arcydzieła. Nad tym wszystkim górowały dwie strzeliste wieże katedry św. Pawła, której budowę rozpoczęto już w trzynastym wieku. Połączono tutaj dwa style: późnego romanizmu i wczesnego gotyku, natomiast wnętrza zdobiły dzieła barokowej i manierystycznej sztuki sepulkralnej. teraz te wiekowe mury, wznosząc się nad ożywionym miastem, milczały w zadumie nie tylko nad ulotnością chwili, mijającym czasem, ale też nad kruchością każdego życia. Przetrwały przecież tyle stuleci, były świadkiem niejednej ludzkiej tragedii.

Tymczasem słońce grzało mocno, oświetlając jasnym pasmem wewnętrzny pas ulicy. Chodniki i pobocza kamienic, gdzie ulokowane były gwarne kafejki czy ogródki piwne skrywały się teraz w ich cieniu. Niektóre

z nich miały parasole albo zdobne markizy. Raz po raz mijały ją pobrzękujące dzwonkami rowery, których na ulicach Münster było coraz więcej. Taki sposób przemieszczania się po mieście stał się w ostatnim czasie niezwykle popularny, dlatego władze miasta zainwestowały w liczne ścieżki rowerowe i dobre oznaczenia.

Wystawiła twarz ku promieniom, zastanawiając się, w którą iść stronę. Miała jeszcze trochę czasu, pracę zaczynała dopiero za godzinę. Postanowiła więc pójść do parku, by tam w chłodzie szumiących cicho drzew pomyśleć o przyszłości.

Wróciła myślami do siostry. Tośka od zawsze umiała wszystkich rozweselić, nie tylko głupią miną, odzywką, ale całą swoją osobowością. Wystarczyło, że zrobiła zęza, zmarszczyła nos, wydeła usta albo dorobiła sobie wąsy, by nagle w domu rozlegał się śmiech. Recytując wiersze Brzechwy i Tuwima, nie szczędziła gestów, tonacji głosu, czym wzbudzała zachwyty publiczności. Potrafiła parodiować Chaplina, przemierzając salon, kiwała się charakterystycznie na boki, jedną rękę trzymała w kieszeni, a drugą wymachiwała kijem od szczotki. Do tego była zwinna jak kocica, kiedyś, widząc płaczącą mamę, udała, że się przewraca, wywinęła fikołka na podłodze, potem zaś podniosła się i wykonała zgrabny głęboki ukłon. Alina natychmiast przestała płakać, a jej twarz rozjaśnił piękny uśmiech.

Julka tęskniła nie tylko za tymi wygłupami, ale przede wszystkim za obecnością siostry. Czuliła jednak, że na powrót jest jeszcze za wcześnie. Nie załatwiła wszystkich spraw, nie osiągnęła celu, poza tym tutaj było jej naprawdę dobrze. Tośka jest już dużą dziewczynką, poradzi sobie – przekonywała samą siebie, usprawiedliwiając tym samym decyzję i snując dalsze plany na przyszłość. A miała ich wiele.

Jednym z nich było samodzielne mieszkanie. Niedaleko stąd, przy Klemensstrasse, zwolniło się maleńkie lokum na strychu. Było stosunkowo niedrogie, może z powodu konieczności wejścia na ostatnie piętro dość stromymi, drewnianymi schodami. Liczyło zaledwie dwadzieścia pięć metrów, ale poza strefą dzienną i miejscem na spanie miało też mikroskopijną łazienkę i aneks kuchenny. Najbardziej jednak urzekło ją okno. Okrą-

głę, z rzeźbioną ramą, przez które widać było szczyty budynków po przeciwległej stronie. Przywodziło jej na myśl gdańską starówkę i fikcyjną postać z powieściowej *Panienki z okienka*. Uwielbiała tę książkę, a jeszcze bardziej film ze znakomitą rolą pięknej Poli Raksy.

Marzyła już o samodzielności, pomimo tego, że u Grety i Karla żyło jej się dobrze i nawet beztrosko. Odkąd jednak poznała Oliwiera, spoglądała na świat nieco inaczej, bo z perspektywy kogoś, kto desperacko pragnie mieć swój dom i tę ukochaną połówkę obok siebie.

– Naprawdę chcesz to zrobić? Żle ci u nas?

Greta usiadła przy stole naprzeciwko i wpatrywała się w Julkę z niedowierzaniem.

– To nie tak! – zaprotestowała dziewczyna. – Jest mi u was bardzo dobrze, nawet za bardzo...

– Co to znaczy za bardzo? Nie rozumiem! – Potrząsnęła głową, wykonując teatralny ruch ręką. – Czy jest coś, o czym nie wiem?

Kuchnię zalewało wczesnopołudniowe słońce, był sobotni, lipcowy ranek. Karl poszedł na rynek po warzywa, później miał się spotkać z kolegą, a one po porannym bieganiu i orzeźwiającym prysznicu postanowiły wspólnie napić się kawy. Julka szła do pracy dopiero na czternastą, prawdę mówiąc – nie mogła się już tej chwili doczekać.

– To przez niego? – drążyła nauczycielka. – Przez tego wysokiego, przystojnego blondyna?

Przytaknęła krótkim kiwnięciem głowy, jednocześnie jej oczy zapłonęły tajemniczym żarem.

– Ach! – Greta westchnęła – Miłość... Dlaczego mnie to nie dziwi?

– Bo kochasz swojego męża? – odpowiedziała Julka pytaniem.

– Tak, kocham. To prawda – zgodziła się. – Od czasów studiów. Wtedy się poznaliśmy. Dokładnie na trzecim roku.

– Opowiedz mi o tym! – zaproponowała.

– Nie zmieniaj tematu! Możesz mi w takim razie powiedzieć, co planujesz?

Dziewczyna upiła łyk kawy i zagryzła ciastkiem. Podwinęła pod siebie nogę, sadowiąc się wygodniej na krześle. Miała na sobie czarny podkoszulek, który podkreślał ładną linię jej ramion, i krótkie, białe szorty. Burzę brązowych loków ujarzmiła gumką.

– Znalazłam mieszkanie niedaleko stąd... Jest niedrogie, a całkiem sympatyczne. – Chrząknęła, gładząc palcem brzeg filizanki. – Nie gniewaj się, ale czas już na samodzielność. Czuję to od jakiegoś czasu. Ślub Bena uświadomił mi tylko, że ja też coś muszę zrobić w swoim życiu. Zrozum...

Greta uśmiechnęła się ciepło i życzliwie. Wyciągnęła rękę i pogładziła wierzch jej drobnej dłoni.

– Rozumiem... – przytaknęła. – Nie musisz się tak naprawdę tłumaczyć. Jesteś już dorosła. To w końcu twoje życie.

– Tyle wam zawdzięczam. Mieszkam tu ponad pół roku. Nie chcę wam dłużej siedzieć na głowie, już i tak wystarczająco się naprzykrzyłam.

– Ty? Żartujesz? – zaprotestowała, a potem dodała ze śmiechem: – No, może troszkę. Gdybyś pamiętała o wyłączaniu żelazka i światła w korytarzu, nie byłoby tak źle!

Julka westchnęła ciężko, mrużąc ze skruchą:

– Jestem strasznie zakręcona, wiem...

– Daj spokój! – wtrąciła szybko Greta. – To były takie żarty! Każdemu się to może zdarzyć!

– Owszem, ale nie trzy razy w tygodniu...

Parsknęły śmiechem niemal jednocześnie, potem nauczycielka wstała i zebrała naczynia ze stołu. Uporządkowała blat, wygładziła obrus i ustawiła równo krzesło.

– To gdzie to mieszkanie? Pójdziemy je obejrzeć?

Dziewczyna odetchnęła z ulgą i zerwała się z miejsca.

– No pewnie. Właściciel mieszka w tej samej kamienicy. Gdyby coś, jest jeszcze jego żona. Ona nie rusza się z domu. Ma problem z nogami.

– To chodźmy! Umieram z ciekawości.

Restauracja w poniedziałki była zwykle zamknięta, dlatego tym razem całe popołudnie postanowili spędzić razem. Mieli w planie kolację i kino, spacer po starówce i może jeszcze wieczorne tańce.

Oliwier mieszkał w Münster już dobrych kilka lat. Przyjechał tu studiować ekonomię i od samego początku dzielił mieszkanie z rówieśnikiem Klausem, który uczęszczał na ten sam kierunek. Chcąc jak najmniej czerpać z korzyści finansowych ojca, chłopak postanowił znaleźć sobie pracę. Imał się wielu zajęć, był kurierem, pomywaczem, kelnerem, aż w końcu awansował na barmana. Lubił to, co robił, wciąż poznawał nowych ludzi, nawiązywał liczne znajomości, a po godzinach – dla relaksu, tężyzny ciała i ducha uprawiał sporty. Zafascynowały go wschodnie sztuki walki, ćwiczenie umiejętności samokontroli, redukcji strachu, wydolności organizmu i samoobrony z użyciem tak zwanej broni białej. A to wszystko za sprawą głośnego filmu „Klasztor Shaolin”, który zobaczył pierwszy raz na ekranie telewizora w dziewięćdziesiątym czwartym roku i zachwycił się nim. Jego ojciec, wówczas szanowany burmistrz Minden, był przeciwny jego zainteresowaniom. Nie wyznawał kultu karate, zdecydowanie wolał piłkę, dlatego ten, wydawałoby się, drobiazg stał się nieodłącznym przedmiotem sporu między tymi dwoma mężczyznami. Mama wstawiała się za synem, ale i tak za każdym razem ponosiła porażkę. Jego rodziciel był twardym, apodyktycznym człowiekiem, który uważał, że tylko to, co on robi, jest słuszne. Tym samym umniejszał dokonania innych, uznając je za gorsze i niewarte uwagi. Kpił sobie ze słabszych, a wszelkie niedociągnięcia mocno krytykował. Stanowisko burmistrza dodawało mu jeszcze splendoru, pewności siebie, dlatego niemal każda wizyta w rodzinnym domu kończyła się ostrą wymianą zdań, a za tym szły gniew i rozczarowanie. Było mu tylko żal matki, która już nie kryła łez, kiedy ją żegnał i tulił do siebie, tłumacząc szeptem, że widocznie tak już musi być.

Dochodziła druga po południu, kiedy Julia kolejny raz zlustrowała swój wygląd, stojąc przed otwartymi drzwiami szafy. Od wewnętrznej strony miały zamocowaną kryształową tafelę, w której mogła obejrzeć się niemal od stóp do głów. Ubrana była w błękitną sukienkę z bawełny w drobne margerytki, lekko rozkloszowaną nad kolanami, dopasowaną w talii. Burzę włosów nawilżyła pachnącym olejkiem, który jednocześnie nadał kosmykom zdrowy wygląd i nieco je ujarzmił. Intensywne słońce ostatnich dni pogłębiło odcień jej skóry, przy czym tęczęwki oczu nabrały wyrazistości. Podobała się sobie, co wyraziła łobuzerskim uśmieszkiem. Zamknęła szafę i rozejrzała się po mieszkaniu. Panował tu względny porządek, choć przy tak małej powierzchni trudno go było utrzymać. Zaledwie kilka dni temu podpisała umowę i odebrała klucze od mieszkania, a już czuła, że jest tu, gdzie być powinna. Jedyny mankament stanowiły schody, te przy ostatniej, piątej kondygnacji robiły się strome i niewygodne. Niestety – windy w budynku nie było. Do tego skąpe doświetlenie, właściwie tylko jedno okrągłe okno, przez które, aby coś zobaczyć, musiała wspiąć się na palce i maleńki lufcik w łazience. Greta miała sporo zastrzeżeń do tego lokum, uważała, że jest za drogie jak na taki standard i niedogodności, a jednak Julia jak zawsze uparła się przy swoim. Na dodatek właściciel, dość miły starszy pan, oznajmił, że na jej miejsce ma już dwóch konkretnie zainteresowanych klientów, dlatego nawet się nie targowała.

– A co tam! Niech się dzieje wola nieba! – zawyrokowała, podpisując dokumenty.

Przecież nie zostanę tu na zawsze – dodała w myślach na pocieszenie.

Rozejrzała się po kuchni, a właściwie niewielkiej przestrzeni między korytarzem a salonikiem, gdzie ustawiono kilka szafek, kuchenkę i lodówkę. Mikroskopijnej powierzchni blat roboczy nie przysparzał problemu, ponieważ i tak zazwyczaj stołowała się na mieście. Płytki w łazience pamiętały jeszcze króla Ćwiczka, za to do dyspozycji miała wannę, nawet całkiem sporą, sedes, bidet i umywalkę.

Odgłosy kroków na klatce sprawiły, że drgnęła i odruchowo poprawiła włosy. Nie miała sąsiadów, a poza Oliwierem nie spodziewała się nikogo. Obiecał, że przyjdzie po nią, zanim wyruszą w miasto. Jeszcze nie miał okazji obejrzenia mieszkania, dlatego z wrażenia zabiło jej serce. W pośpiechu starta blat, dostrzegając na nim w ostatniej chwili kilka okruchów chleba. Chciała jeszcze wymienić ścierkę kuchenną na nową, kiedy usłyszała donośne pukanie. Zerwała się, zrobiła obrót i pobiegła ku drzwiom wyjściowym.

Wszedł, trzymając w ręku bukiet kwiatów, wypełniając swoją wysoką wysportowaną sylwetką maleńkie pomieszczenie. Ubrany bez przesady, zbędnej pretensji, w czerwoną koszulę w kratkę i błękitne, wytarte na przodzie džinsy. Ogolony, z zaczesanymi w jaskółkę włosami, uśmiechnął się jakoś tajemniczo, kiedy ich spojrzenia spotkały się ponownie. Widziała go zaledwie wczoraj w pracy, a czuła, że minęły całe wieki.

– Gotowa? – spytał, pochylając się nad nią i zaglądając jej zawadiacko w oczy. Trąciły ją przyjemne nuty egzotycznych owoców przełamane czymś szalenie zmysłowym.

– Gotowa – bąknęła, czując w środku wzbierającą niezwykle ekscytację. Odebrała kwiaty i spróbowała je powąchać, gdy poczuła dotyk.

Zadrżała, kiedy musnął wargami jej włosy.

– Pięknie pachniesz... – szepnął.

Zadarła podbródek i wspięła się na palcach. Zacisnęła powieki i rozchyliła usta. Czekwała na tę chwilę całą, długą noc.

– Kwiaty... połamię się – mruknął, pokrywając jej powieki pocałunkami.

– W takim razie wstawię je najpierw do wody – wydukała, żalując, że nagle zaprzestał tych działań. Jej ciało szaleńczo pragnęło dotyku, czułości i czegoś jeszcze.

– Dobrze, zaczekam...

Niczym automat wsunęła się w głąb pomieszczenia, wazon schowany był w górnej szafce, toteż niezdarnie chwyciła stółek i podstawiała go sobie

pod nogi. Wspięła się na niego, wygięła plecy i wyciągnęła ramiona ku górze.

Już go miała w rękach, kiedy poczuła, jak Oliwier obejmuje ją za biodra, ściska mocno i gwałtownie ściąga w dół.

– Zostaw to, zrobimy to później! – jęknął błagalnie.

Odwróciła twarz w jego stronę, napotykaając błyszczące gorączkowo oczy.

– Chciałam ci pokazać mieszkanie... – bąknęła, ale on natychmiast zakrył jej usta wargami, nie pozwalając skończyć. Jego dłonie niecierpliwie wdarły się we włosy, poczuła język wsuwający się do środka, wilgotny i ciepły, co wprowadziło ją w jakiś niebywały, cudowny stan nieważkości. Całowali się jakiś czas zapamiętane, nie mogąc się od siebie oderwać ani zaspokoić wzbierającego pożądania. W jakimś dzikim szale rozpięła mu koszulę, odrywając guziki, które tak pieczołowicie pozapinał, potem dobrała się do spodni, czując pod dłonią naprężoną męskość. Jednym, zdecydowanym ruchem ściągnął z niej sukienkę i rzucił za siebie, jakby ta rzecz nic dla niego nie znaczyła. Julia została w samej bieliźnie, którą na tę okazję zakupiła, obowiązkowo czarną, koronkową, niewiele skrywającą, kiedy zaniósł na łóżko i tam powoli, aczkolwiek natarczywie, zaczął zsuwać z niej to, co zostało. Potem smakował centymetr po centymetrze, powodując żar i drżenie na całym ciele. Dopiero kiedy doszedł poniżej brzucha, kiedy rozchylił jej uda i wkradł się niepostrzeżenie w jej intymny świat, nie mogła już powstrzymać krzyku, który wzbił się aż po sam sufit, a ten zaczął zdradziecko wirować.

Tylko gdzieś w strzępach świadomości docierało do niej, że to mieszkanie okazało się najlepszym wyborem, że warto było przebyć tysiące kilometrów, zderzyć się z odrzuceniem, falą smutku i cierpienia, by teraz znaleźć się u boku tego, na którego czekała całe życie.

Wzięli kilka dni wolnego z tytułu przynależnego im urlopu. Zamiast jednak wyjechać gdzieś za miasto na łono natury, cały czas spędzili w miesz-

kaniu na poddaszu przy Klemensstrasse. Zaszli się tam, robiąc uprzednio niewielkie zapasy jedzenia, wody i wina. Tak naprawdę niewiele teraz potrzebowali. Niemalże nie wychodzili z łóżka. Czasem Oliwier zabawiał się w barmana i serwował jej drinki, czasem ona udawała kelnerkę i w szpilkach i fartuszkach podawała mu jedzenie, które wcześniej wspólnie przygotowywali. Świat w tej chwili dla nich nie istniał, liczyli się tylko oni i muzyka, którą odtwarzali z magnetofonu kasetowego. Płynęły więc włoskie i francuskie przeboje, a że oboje uwielbiali taniec, łączyli te pasje, oddając się im bez reszty.

– Nie chcę wracać do pracy – szepnął jej do ucha, kiedy ocknęli się po kolejnym wyczerpującym seksie i sporej dawce alkoholu. – Jest mi z tobą tak dobrze...

– Ja też nie chcę stąd wychodzić. Nie chcę, aby znów się na ciebie gapiły. Nie zniosę tego!

– Kto? – udał zdziwienie.

– Ona! Lina! Jeszcze sobie nie odpuściła. I te wszystkie pozostałe, które się obok ciebie kręcą!

– Daj spokój! – sarknął. – Nawet jeśli, to co? Ona mnie nie interesuje!

– Może ona nie, ale są jeszcze inne.

– A co im zrobisz? – Zaśmiał się łobuzersko i prowokacyjnie. – Skoro jestem taki przystojny.

– Wydłubię im oczy! – warknęła ostrzegawczo. – Jesteś tylko mój!

Zawinął na palec kosmyk jej włosów i przysunął blisko ust.

– A ty moja. Nikomu cię nie oddam, nikomu!

Odwróciła się na bok, chwyciła jego brodę i głęboko zajrzała w oczy, które w zależności od pory dnia zmieniały kolor ze stalowego w niebieski.

– Obiecujesz?

– Obiecuję – odparł z powagą i zaraz dodał: – W następnym miesiącu pojedziemy do Minden. Chcę przedstawić cię swoim rodzicom.

Zmarszczyła brwi i przyjrzała mu się uważniej.

– Jesteś tego pewien?

– Oczywiście. Jeszcze nigdy nie byłem niczego tak pewien – oświadczył z arcyważną miną.

Położyła się na plecach i zamknęła oczy. Wiedziała, że szczęście potrafi być kruche, ale teraz uznała, że zrobi wszystko, aby jej trwało wiecznie. Jakby na potwierdzenie tych myśli poczuła muśnięcie warg na powiekach. Uwielbiała, kiedy tak ją całował, ledwie dotykał, co odczuwała niczym muskanie skrzydeł motyla. A potem wędrowały niżej, po policzkach, ustach, szyi i dekolcie. I dalej, i dalej... I niżej, i niżej...

Pewnego wieczora Oliwier się spóźniał, a kiedy wreszcie przyszedł do jej mieszkania, był jakiś spięty i zmieszany. Julia, mocno zaniepokojona, zapytała, o co chodzi. Przez jej głowę przebiegły różne, straszne myśli, dlatego kiedy wyciągnął z za pleców bukiet kwiatów, a następnie ukląkł przed nią, wręczył jej czerwone pudełeczko i poprosił o rękę, zalała się łzami wzruszenia.

To wszystko zbiegło się z przyjazdem ojca do Münster. Antoni Ostrowski zaskoczył nie tylko ją, ale i Gretę, Karła i Oliwiera, który wreszcie miał okazję poznać osobiście przyszłego teścia. Nie obyło się bez skrajnych emocji, wyrzutów, a także długich i szczerych rozmów. Ostatecznie tata pobłogosławił ich związek, życząc im długiego, szczęśliwego pożycia. Wyraził też nadzieję, że może jednak zdecydują się wrócić do Kanady. Wyznał, że ich obecność uszczęśliwiłaby nie tylko jego, ale również matkę i młodszą siostrę.

– Przemyślimy to, tato, w odpowiednim czasie – obiecała.

Kilka dni spędził z nimi w mieście, następnie we trójkę pojechali do Hamm, aby tam zderzyć się ze wspomnieniami i demonami przeszłości. Dziwna była to wycieczka, zabarwiona sentymentem, tkliwością, jednak pełna bólu, goryczy i źle kojarzących się obrazków, które od tamtego czasu niewiele się zmieniły. Kopalnia nadal funkcjonowała, budka z wódką i papierosami też, choć właściciele już jej nie obsługiwali. Zatrudnili pracowni-

ków i podobno otworzyli sklep w centrum Hamburga. Heim stał na swoim miejscu, choć wydał im się jakiś obcy i odległy. Nie weszli do środka, przemierzali tylko znajome zakątki, zjedli obiad w barze, który ciągle tam istniał, wypili po piwie i wrócili do Münster.

Następnego dnia odprowadzili tatę na dworzec kolejowy, skąd miał połączenie z Warszawą. Smutne było to pożegnanie, choć pełne czułości i roztkliwienia. Patrzyła na oddalający się pociąg z bólem w środku, ale i z nadzieją, że ich drogi jeszcze wiele razy się zejdą, z przekonaniem, że przecież wszystko dzieje się po coś. Była tu, gdzie jest, bo tak chciała. Jeśli kiedyś zechce wrócić do Kanady – to zrobi to i żadna siła jej nie zatrzyma.

Nie spodziewała się takiego tempa, znali się dość długo, ale blisko byli ze sobą zaledwie od kilku miesięcy. Na szczęście Oliwier zdążył ukończyć studia licencjackie, właśnie łapał oddech przed kolejnymi dwoma latami magisterki. Czas upływał w jakiejś dzikiej euforii, zmysłowości i szaleńczym podnieceniu. Celebrowali każdą chwilę bycia ze sobą, zapominając o całym świecie. Aż któregoś dnia zorientowała się, że jest w ciąży.

Wtedy pojechali pierwszy raz do Minden, aby poznać rodzinę jej narzeczonego. Już wcześniej sporo słyszała na ich temat, dlatego bała się zderzenia z rzeczywistością. Wiedziała, że jego ojciec, Maximilian Braun, jest apodyktycznym, twardym i wymagającym mężczyzną, zaś jego żona Ruth – ciepłą, uległą kobietą dbającą o domostwo i rodzinne więzi. Była z zawodu architektem, nadal czynnym, dlatego czas poświęcała nie tylko dbaniu o dom, ale też pracy.

Julia miała cichą nadzieję, że szczerością i urokiem osobistym zdobędzie przychylność i sympatię tych ludzi. I tutaj srodze się zawiodła, bo były burmistrz okazał się zimnym, cynicznym człowiekiem, który na wieść o ciąży ironicznie podsumował dokonania własnego syna. Wytknął mu nieukończone studia, brak planu na przyszłość, nieudolność i niepohamowaną chuch. To ostatnie zabolowało najbardziej i mimo że matka Oliwiera wszelkimi

siłami usiłowała załagodzić sytuację, atmosfera spotkania stawała się coraz cięższa i duszna.

Opuścili eleganckie, przestronne, usytuowane w zabytkowym budynku z widokiem na rzekę Weser mieszkanie Braunów z ogromną ulgą. Na szczęście Ruth zdążyła ich wyściskać na pożegnanie i życzyć wszystkiego, co najlepsze. Ten gest z jej strony dodał im otuchy i nadziei na przyszłość, pozwolił uwierzyć, że nie wszystko stracone i może coś da się jeszcze naprawić albo może ktoś będzie chciał się zmienić.

– Tacy ludzie jak ojciec nigdy się nie zmieniają – skwitował gorzko Oliwier, jakby przeszył jej myśli na wylot.

– Za to twoja mama jest wspaniałą, ciepłą kobietą. I bardzo cię kocha.

– To prawda – przyznał ze smutkiem. – Bo gdyby nie ona, pewnie bym już tu nigdy nie przyjechał.

– Nie rozumiem twojego ojca. Jesteś jego jedynym synem.

– Nikt go nie rozumie – uciął. – Władza i sprawowanie urzędu jeszcze bardziej go zepsuły. Ale co zrobić... Jest przekonany, że tylko on ma rację.

– To smutne – dodała, biorąc go za rękę i ściskając mocno. – Nie martw się. Twój ojciec kiedyś zrozumie swój błąd, a na razie... Jesteśmy my i nasze dziecko.

Przeszli przez Stare Miasto i stanęli nad połyskującą w słońcu Weser. Opasała ją szara wstęga mostu, przerzucona między dwoma brzegami łączącymi miasto. Białe kamieniczki z czerwonymi, dwuspadowymi dachami stały rzędem wzdłuż jednego z nich, idealnie harmonizując z błękitem czystego nieba i lśniącej powierzchni wody, po której z cichym, przyjemnym warkotem przemieszczały się barki.

I właśnie chłonąc ten wspaniały widok, mając obok siebie mężczyznę, którego szczerze pokochała, pomyślała o tym, że ich wspólne życie dopiero się zaczynało i bez względu na okoliczności, na przeciwności losu, nie zamierzała z tego nigdy zrezygnować.

Rozdział 20

Właśnie wybiła dziewiąta i z radia popłynęły *Cztery pory roku* Vivaldiego. Zagłuszały je, co prawda, dźwięki ulicznego zgiełku, który tego dnia wydawał jej się wyjątkowo uciążliwy. Lipowa żyła, a wraz z nią cała Łódź, która w ostatnim czasie nabrała kolorów poprzez liczne reklamy, barwne elewacje osiedli, a także sznury grzęznących w korkach zachodnich aut. Moda też się zmieniła, szarość zniknęła z ulic, chyba że za sprawą obowiązujących trendów, ale te wyznaczał ostatnio rynek, czyli krótko mówiąc, import z Turcji, Włoch i Chin. Łódź zmieniała też swoje włókiennicze oblicze, zamykając fabryki, zostawiając je na pastwę mijającego czasu i hulającego po pustych halach wiatru. Tymczasem prywatyzacja szalała, powstawały mikro, małe i większe przedsiębiorstwa, które zalewały wschodni i lokalny rynek wyrobami tanimi, za to niestety kiepskiej jakości. Firma Weroniki miała się coraz lepiej, zmuszona została do wydzierżawienia dodatkowej powierzchni, zatrudnienia kolejnych szwaczek i zakupienia specjalistycznych maszyn. Jej marzenie o upragnionym domu za miastem nabierało coraz realniejszych kształtów.

Stefania zdążyła zjeść śniadanie, wypić herbatę, kiedy przysła do niej sąsiadka z dołu. Już wcześniej zapowiedziała swoją wizytę, dlatego Stroińska w drodze do kuchni otworzyła drzwi wejściowe.

– Chodź, kochana! Tutaj jestem! – zawołała Stefka, słysząc poruszenie w korytarzu.

Nie musiała długo czekać, bo zaraz w pomieszczeniu pojawiła się drobnej budowy średniego wzrostu kobieta z upiętymi z tyłu w małeńki koczek

włosami. Dobrze jej było w plisowanej spódnicy i bawełnianej bluzce w kwiaty. Twarz pokryta siateczką zmarszczek rozjaśniła się na jej widok.

Halinka przyniosła talerz kruchego ciasta z truskawkami, które uchodziło za jej najlepszy wypiek.

– Owoce wczoraj kupiłam na Barlickim. Świeżutkie, dopiero co zrywane. A jakie słodkie – pochwaliła głośno swój zakup. – Ooo! Widzę, że zdjęli ci gips!

– Tak, wczoraj. Nareszcie! – Stefania stęknęła z ulgą. – Dziwnie się jakoś czuję, jakby to nie była moja noga!

– Przyzwyczaisz się – oświadczyła wesoło Halinka, biorąc nóż z szuflady i sadowiąc się przy stole. Zaczęła kroić ciasto i rozkładać zgrabne trójkącki na przygotowane wcześniej talerzyki.

– Czytałaś gazety? – zaczęła bez zbędnych wstępów.

– Zależy które... – bąknęła niepewnie w odpowiedzi. – Ostatnio w kiosku pokazało się tyle nowych tytułów, że aż trudno się czasami zdecydować. Kolorowe, krzykliwe, pełne plotek o gwiazdach i wielkim świecie. – Skrzywiła się i machnęła teatralnie ręką. – To nie dla mnie!

– Nie o tych mówię, przecież wiesz! Ma powstać w Łodzi pierwszy hipermarket!

– Hipermarket? A co to takiego?

– No, coś chyba większego od marketu.

– A gdzie?

– Przy Kolumny, we wschodniej części Łodzi. Będzie się nazywał Carrefour.

– Jakoś tak francusko się zrobiło, język sobie można połamać! – Stroińska się zaśmiała.

– Nooo... – przyznała koleżanka. – Świat na głowie staje! Kto tam będzie chodził?

– No jak to kto? Łodzianie – odparła z powagą Stefcia, sięgając po kawałek ciasta. – Mogę cię o coś prosić, Halinko? Zrobisz kawy?

– No pewnie!

Kobieta wstała i szurając pantoflami, w których przyszyła, ruszyła, by nastawić wodę w czajniku.

– Gdzie masz kawę?

– W szafce, na górze. Zrób tę nową, w złotym opakowaniu, zięć mi wczoraj przyniósł. Podobno bardzo dobra, waniliowa.

– Ehe – odparła tamta, rozcinając torebkę. – Ładnie pachnie, dobrze się zapowiada – stwierdziła, wsadzając nos do środka i zaciągając się obiecującym aromatem.

Właśnie woda zaczynała szumieć, kiedy rozległo się głośne pukanie do drzwi.

– Siedź! Ja otworzę. To pewnie Tadeusz! – stwierdziła Halinka, nie kryjąc zadowolenia. Robiąc zgrabny obrót, ruszyła w stronę korytarza.

Stefania uśmiechnęła się tylko półgębkiem. Wiedziała, że koleżanka ma słabość do jej byłego. Nie przeszkadzało jej to. Wręcz przeciwnie. Właśnie kosztowała kolejny kawałek pysznego ciasta, kiedy w kuchni pojawił się niespodziewany gość. Zamarła.

Miał na sobie lniany, biały garnitur, w którym prezentował się znakomicie. Postawił na podłodze torbę, którą dotychczas dzierzył w dłoni, zbliżył się i bez słowa ukląkł, obejmując z czułością jej kolana.

– Lolek, synku! – wyrwało jej się z gardła zduszonym szeptem. – Dzięki ci, Boże!

Przykryła rękoma jego głowę, dalej nie wierząc, że ma go przed sobą, dotykała niepewnie włosów, skroni, jakby bała się, że to sen, który za chwilę pryśnie, a ona obudzi się w innej rzeczywistości. Tyle długich, pustych dni, tyle myśli, tęsknot, modlitw, wreszcie – samotności. Gardło ściągnęło się ze wzruszenia, oczy zapiekły od łez, wargi zadrżały, nie mogąc nic więcej wykrztusić.

– To ja już pójdę! – oznajmiła sąsiadka, przyglądając im się dziwnie zmieszana. – Nie będę wam przeszkadzać.

Nie zareagowali, nie zaprotestowali, więc po cichutku, prawie na palcach, nie robiąc zbędnego zamieszania wymknęła się do siebie.

Wkrótce potem siedzieli przy stole, trzymając się za ręce, nie mogąc nacieszyć się swoją obecnością.

– Mamo, jestem taki szczęśliwy, że cię widzę. Tak bardzo za tobą tęskniłem!

– Ja za tobą też, synku. – Chlipnęła, nie mogąc opanować wciąż napływającego wzruszenia. – Tyle razy modliłam się o tę chwilę, że teraz nie mogę uwierzyć... – urwała, nabierając znów powietrza.

– Ojej, zapomniałbym! Mam dla ciebie prezent!

Sięgnął do torby i wydobył z niej piękną chustę.

– Alinka wybierała. Mam nadzieję, że trafiła w gust.

– Jest piękna! – wykrztusiła, nie kryjąc rozczulenia. – Idealna! – dodała, gładząc miękką, mięsistą tkaninę. – Podziękuj jej w moim imieniu.

– Oczywiście, a co z twoją nogą? Słyszałem od Werki, że złamałaś.

– Tak, a w moim wieku zrastanie nie idzie tak dobrze jak kiedyś.

– Jakim wieku? – zaprotestował. – Nadal jesteś młoda i piękna! – Pogłodził jej policzek, który już jakiś czas temu stracił swoją elastyczność i gładkość.

– Wiem, że chcesz być miły, ale mam lustro w domu. Poza tym... ty też się postarzałeś. Takie już jest to życie – odparła, uśmiechając się czule.

Pogroził jej palcem.

– Nie musiałaś tego mówić. – Chrząknął wymownie. – Mężczyźni chcą się czuć wiecznie młodzi.

– Długo zostaniesz w Łodzi? – spytała, nie zważając na jego przekomarzenie się. – Już sama myśl, że wkrótce wyjedzie, wprowadzała ją w stan przygnębienia.

– Dwa, może trzy tygodnie – mruknął i zamyślił się. – A potem wrócę na kilka dni do Warszawy, spotkam z przyjaciółmi i wylot.

– A Julka? – spytała lękliwie. – Nie chciałbyś jej odwiedzić?

– Byłem już u niej – odparł. – Wprawdzie tylko kilka dni, ale zawsze. – Najważniejsze, że jest szczęśliwa. Właśnie się zaręczyła.

– Taak... – przyznała. – Dzwoniła do mnie jakiś czas temu. Mówiła, że jest bardzo zakochana. Dodała też, że tęskni i marzy o przylocie do Polski.

– I co jej odpowiedziałaś?

– Że jest uparta jak osioł, choć z drugiej strony, ma prawo do swojego szczęścia. Jeśli taką drogę wybrała, to niech nią idzie! – Westchnęła. – Co zrobić? Nie zatrzymasz jej przecież.

– No nie – przyznał syn, gładząc wciąż wierzch jej dłoni, a potem dodał lękliwie: – Wybaczyłaś nam?

– Co takiego?

– No wiesz! Tamto.

Machnęła lekceważąco ręką.

– Było, minęło! Wiem, że tak musieliście postąpić. Nie ma o czym mówić! – ucięła krótko. – A co u Alinki i Tośki? Jak one się czują w tym wielkim świecie?

– Wielki świat! – sarknął gorzko. – Jakoś mi z nim nie po drodze.

– Nie? A to czemu? – Na jej twarz spłynął cień niepokoju. – Sądziłam, że jesteście tam szczęśliwi. Wszyscy tutaj myślimy, że tam jest raj. Jak to można porównać z zacofaną Polską?

Antoni milczał chwilę, potem wstał, pokręcił się po kuchni, po czym wyciągnął z szafki butelkę nalewki cytrynowej i dwa kieliszki.

Zdziwiła się, że nawet nie zapytał, gdzie ją może odnaleźć, zupełnie jakby zawsze tu mieszkał i znał każdy zakamarek.

– Napijesz się?

Znów machnęła ręką.

– A wlej! Taką okazję trzeba uczcić! Przestałam już brać leki.

Wypili po kieliszku, potem znów się zamyślił.

– U Tosi wszystko dobrze, uczy się, ma chłopaka, koleżanki... Jest śliczną dziewczyną.

– Cieszę się – odparła, przyglądając mu się badawczo. Zauważyła, że na policzkach syna pojawiły się poprzeczne bruzdy, natomiast czoło pokryło się poziomymi zmarszczkami. Nabrał ciała, we włosach dostrzegła gdzieś niedzie siwe nitki, co jeszcze bardziej ją rozculiło. Jednak mimo tych widocznych zmian wciąż był jej ukochanym Lolkiem i przystojnym mężczyzną.

– A u Alinki? Julka mówiła, że ciężko pracuje.

Westchnął ciężko, zanim znów na nią spojrział.

– To prawda – przyznał gorzko. – To moja wina, bo przecież gdybym zajął się czymś konkretnym i nie przeskakiwał z kwiatka na kwiatek, Alina nie musiałaby tak ciężko harować w fabryce. Mamy kredyt do spłacenia, samochód na raty...

Kiwnęła głową. W tej samej chwili jakiś ból przeszył jej matczyne serce, dostrzegła bowiem w oczach syna ogromny smutek.

– Od dawna się nie rozumiemy... – bąknął. – Żyjemy obok siebie, a nie razem.

– Ale dlaczego? Co się stało?

Wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Może przez to, że ja tam nigdy nie chciałem być. To ona się upierała. Pragnąłem zostać tutaj, zmierzyć się z problemami, niebezpieczeństwem, rzeczywistością. Tutaj czułem się kimś, tutaj miałem swoją przestrzeń, w której odnajdywałem się jak ryba w wodzie. Nie przerażał mnie system, byłem gotów do walki. Ale ona nie pozwoliła mi na to, zrobiła wszystko, aby mnie przekonać do słuszności swojego zdania. A kiedy i to nie pomogło... – zawahał się – użyła szantażu.

Zapadła cisza, tylko czas płynął dalej, co potwierdzał wiszący na ścianie zegar i przesuwające się po tarczy, cykające głośno wskazówki.

Antoni opróżnił kolejny kieliszek, krzywiąc się przy tym nieznacznie. Cytrynówka – wyrób własnej roboty – miała swoją moc.

– Ale jak to? – odważyła się zapytać matka.

– Ech! Co tu dużo mówić? Zagroziła, że jak nie wyjadę z nimi, to już nigdy nie zobaczę dzieci.

Stefania poruszyła się na krześle i stęknęła głośno.

– Przejdźmy do pokoju. Muszę się położyć. Jakoś mi się słabo zrobiło...

– Dobrze, mam, pomogę ci.

– Nie trzeba. Dam radę – zaproponowała i wstała z trudem, usiłując zrobić kilka kroków. Wspierając się mebli, utykając, poczłapała do drugiego pomieszczenia.

– Nie powinieneś tak mówić – zaczęła po chwili, leżąc już na tapczanie. – Ja chyba rozumiem Alinkę. Ona chciała po prostu ocalić wasze małżeństwo. Zawsze bardzo cię kochała. Co w tym dziwnego?

– No... niby nic... – bąknął zmieszany, poprawiając jej poduszkę pod głową.

– Przypominam ci, że to ty zdradzałeś swoją żonę, a nie odwrotnie. Ona i tak miała do ciebie świętą cierpliwość. Jesteś moim synem, kocham cię, ale w tej kwestii muszę być sprawiedliwa.

Antoni mruknął pod nosem, odwrócił się i przyciągnął fotel bliżej łóżka.

– Mogę zapalić? – spytał. – Pójdę do okna.

Kiwnęła głową na znak zgody.

– Przyzwyczaiłam się. Felek też palił. Czasem mi nawet tego brakuje.

Znów odruchowo zerknął na matkę, nie kryjąc jednocześnie podziwu dla jej usposobienia. Do wszystkiego umiała się dostosować, w dodatku zawsze wiedziała, co powiedzieć.

Może miała rację? Zadał sobie pytanie. Może za mało wymagał od siebie, a za wiele od innych?

Podszedł do okna, uchylił je szerzej, oparł łokcie na parapecie, zanim zaciągnął się głęboko marlboro. Odurzyło go gorące powietrze wymieszane

z unoszonym przez wiatr kurzem i spalinami. Gdzieś tam plątał się zapach płynu do płukania tkanin.

Chodnikiem przemierzali się jacyś ludzie, samochody jeden za drugim przemierzały ulicę, warcząc silnikami, chrząkając układami wydechowymi. Z otwartego na oścież okna naprzeciwko wyglądała jakaś młoda kobieta. Tak jak i on paliła papierosa. Miała kolorowe wałki we włosach i choć widział ją tylko od góry, zauważył, że była w samym biustonoszu. W pewnym momencie od tyłu zaszedł ją jakiś mężczyzna z gołym torsem. Objął ją, wciągnął w głąb pomieszczenia. Gdzieś na dole dudniła muzyka disco polo, z boku od sąsiadów dochodziły odgłosy awantury.

– Życie! – Westchnął, poruszony swoimi spostrzeżeniami. – Czy tu, czy tam, wszędzie toczy się tak samo. Ludzie kochają równie mocno i równie mocno nienawidzą.

Po południu przyjechał Tadeusz, znów odbyło się wylewne powitanie i długie rozmowy przy kieliszku, zaś pod sam wieczór wpadła Weronika z mężem i synem. Jak zawsze w biegu, w niedoczasie, ale wyściskała się z bratem, który miał już do tej pory nieźle w czubie.

– Dobrze wyglądasz, braciszku! – uznała, taksując go od stóp do głów. – Czas jest dla ciebie łaskawy.

– Dla ciebie również, siostrzyczko – odparł, patrząc z uznaniem na jej wysportowaną, niemal dziewczęcą sylwetkę. – Jesteś jak dobre wino. Im starsza, tym lepsza.

Chmknął na potwierdzenie tych słów i kolejny raz wzniósł toast.

– Za piękne kobiety!

Weronika uśmiechnęła się na te słowa, mrużąc oczy i spoglądając na niego spod ściągniętych brwi.

– Jestem szczęśliwa, to wszystko – wyznała, spoglądając z dumą na męża i syna.

– To dobrze, miło to słyszeć.

W odpowiedzi Zbyszek objął żonę i przytulił mocno.

– Nie zawsze było różowo. Prawda, kochanie? – rzucił zaczepnie.

– Ano nie zawsze – odparła spoglądając w stronę brata. Ten tylko w odpowiedzi chrząknął wymownie i mrugnął porozumiewawczo okiem.

– A gdzie Małgosia? Nie chciała się zobaczyć z wujem?

– Pojechała ze znajomymi w góry. Spotyka się z taką zaprzyjaźnioną, zgraną paczką. Wróci za dwa dni, więc niedługo.

– Oj, ta Małgosia. Wciąż gdzieś tylko jeździ – rzucił Tadeusz, nie kryjąc zaniepokojenia. – Nie potrafi usiedzieć na miejscu. W jej wieku powinna już dawno mieć męża i dzieci.

– Tato. To już nie te czasy. Kobiety nie wychodzą za mąż w wieku osiemnastu lat. Chcą się usamodzielnąć, skończyć szkołę...

– Jak wszystkie się wyszkoła, to ciekawe, kto będzie pracował? – uciął zgryźliwie. – Poza tym, o ile mi wiadomo, Małgośka ma już trochę więcej lat!

– A ty znów swoje! – rzuciła z pretensją Weronika.

– Fabryki stoją puste, więc zawody takie jak ślusarz, tkacz czy farbiarz pójdą za chwilę do lamusa. Dobrze, że Filip poszedł trochę w dziadka. Samochodówka to przyszłość, moi kochani! Prawda, synu?

Potargał chłopaka po ciemnej czuprynie, wywołując uśmiech na jego twarzy.

– Prawda, dziadku – zgodził się. – Zamierzam pójść do samochodówki.

– Tadeusz westchnął. Podrapał się po głowie i oparł łokcie na zastawionym stole. Okazało się, że każdy coś przyniósł ze sobą i w mig zrobiło się na nim smacznie i kolorowo.

Rozmowy trwały jeszcze kilka godzin, aż Stefania zasnęła niepostrzeżenie na łóżku. Była podekscytowana tym dniem, przez cały czas albo brała udział w rozmowie, albo próbowała coś przynieść z kuchni, albo leżała na tapczanie i przyglądała się w głębokiej zadumie zebranej przy stole rodzinie. Tadeusz, którego zmógł spożyty głównie z synem alkohol, bez pytania o zgodę położył się obok i również zasnął.

– Antoni, chodź do nas. U mamy jest mało miejsca. Nie będziesz przecież spał z nimi w jednym łóżku – powiedziała w pewnym momencie siostra, po czym uśmiechnęła się z czułością na ich widok, trącając jednocześnie męża w ramię. – Ładnie razem wyglądają, prawda?

Mąż przytaknął.

– Nie chcę wam robić kłopotu – wybełkotał brat, ale rad był, że Weronika zaproponowała mu nocleg.

– Żaden kłopot. Pokój Małgośki jest przecież wolny. Zabierz rzeczy i jedziemy. Zbyniu, Filipku, pomóżcie mi uprzątnąć ze stołu! – dyrygowała.

Antoni bez słowa protestu dźwignął się od stołu, zrobił kilka ociężałych kroków i sięgnął po torbę podróżną. Zatoczył się przy tym nad podłogą, na szczęście w ostatniej chwili Filip go przytrzymał.

– Zuch chłopak! – mruknął, łypiąc na niego spod krzaczastych brwi.

– Trzymam cię, wujku. Możesz zawiązać te buty! – odparł bystro młody, widząc, jak starszy mężczyzna zмага się z założeniem obuwia.

Po kilku minutach mieszkanie było względnie uporządkowane, naczynia zmyte i ustawione na suszarce. Mężczyźni sprowadzili Antoniego na dół, posadzili w samochodzie, a Weronika zanim zeszła, nakryła śpiących kocem, omiatając ich czule wzrokiem. Następnie wyłączyła światła i zamknęła drzwi wejściowe, przekręcając skrupulatnie klucz w zamku.

Wczesny ranek otulił rozproszonym półmrokiem wewnątrz pokoju, kiedy obudził się Tadeusz. Jakiś nieprzyjemny chłód wibrował w powietrzu, wbijając się w jego plecy i tył głowy. Na biodrze poczuł leżącą dłoń. Zdumiał się, widząc kontury wyglądających swojsko sprzętów i mebli, jednak dotarło do niego, że to nie jest mieszkanie, które przez lata zamieszkiwał z Bajeczką.

Jak to się stało, że został tu na noc? – przyszło mu na myśl, bo przecież wiele razy usiłował to zrobić, ale jego była żona za każdym razem oponowała. „Felek na nas patrzy – perorowała – co sobie o nas pomyśli?”

A jednak był tutaj i spał na tapczanie obok Stefci, która zarzuciła mu rękę na biodro. Jakież to było urocze – stwierdził z czułością.

Spróbował przypomnieć sobie wydarzenia ostatniego wieczoru i jak przez mgłę ujrzał swoje dzieci i wnuka siedzących przy stole. Antoni przyjechał – dotarło do niego, co nagle wydało mu się takie doniosłe, wręcz niezwykle. Po tylu latach na obczyźnie. Jakieś przyjemne ciepło rozlało się w środku już na samą myśl, że wszystko zaczęło się układać. Chwycił rękę byłej żony i uścisnął ją z tkliwością, uświadamiając sobie z przerażeniem, że jest niemal lodowata. Wcześniej, za każdym razem kiedy próbował przekręcić się na łóżku, stękał, bo czuł ból w kościach. Teraz zrobił pełny obrót, zapominając o swoich schorzeniach. Wzdrygnął się w pierwszej chwili, bo zobaczył bladą, niemal papierową twarz, otwarte, wpatrzone w niego oczy i lekko rozchylone usta.

– Nie! – jęknął rozpaczliwie. – Nie!

Z lękiem wyciągnął rękę w jej kierunku i badając niepewnie, dotknął opuszką palca zimny już policzek. Zerwał się jak oparzony, zapominając o starych, trzeszczących kościach, i gwałtownie szarpnął ramieniem śpiącej.

– Stefanio, kochanie, obudź się!

Nie drgnęła nawet. Z otwartymi oczami, w których zastygło jakieś nieme zdziwienie, leżała na boku bez tchu na tapczanie, z wyciągniętą w jego kierunku ręką. Zupełnie jakby chciała mu coś jeszcze powiedzieć, obudzić, dotknąć... Może czuła, że nadchodzi śmierć?

– Stefanio, nie! – krzyknął i tracąc nagle panowanie nad sobą, zaczął nią potrząsać.

Dotarło do niego wreszcie, że jego ukochana była żona odeszła, znów został sam jak palec i to, na co w duchu głęboko liczył, nigdy się już nie ziści. Dopiero kiedy ochłonął, kiedy się uspokoił, przymknął jej powieki, położył się blisko niej, chwycił jej chłodną, sztywniejącą rękę i patrząc z żalem w woskową twarz, rozplakał się jak dziecko.

CZEŚĆ DRUGA



Rozdział 21

Julia biegła zdyszana poboczem wzdłuż Yonge Street, pokonując tę samą trasę co zawsze. Zwykle było to pięć, sześć, do siedmiu kilometrów, które dzieliła na odcinki. Najpierw Lee Ave, potem szpaler klonów po obu stronach, aż do czerwonego domu w stylu wiktoriańskim. Do tego jeszcze seria skłonów, wymachów, przysiadów. Tego nauczyła ją Greta, od niej przejęła nawyki, z których była nawet dumna, ponieważ świadczyły o tym, że jest zdyscyplinowaną, twardą kobietą, co w konsekwencji wynagradzało formą i zachwycającą figurą. Wracała, zanim jeszcze na dobre się rozwidniło, brała krótki prysznic, zaglądała do pokoju córki i w samej białźnie wskakiwała do łóżka. Uwielbiała przytulać się do rozgrzanego ciała męża, pochrapującego cicho, pogrążonego nadal w twardym śnie.

Cztery lata temu za jej namową zdecydowali się na przyjazd do Kanady, do rodzinnego domu Julki. Byli już po ślubie, który wzięli pewnego sobotniego, zimowego popołudnia, w katedrze św. Pawła w Münster. Na tę uroczystość zeszło się sporo znajomych z restauracji, szefostwo, przyjaciele Oliwiera, a także Ruth Braun, niestety bez męża, Greta i jej mąż Karl. Następnie wszyscy udali się do ich wspólnego mieszkania, które zdążyli wynająć kilka tygodni wcześniej. Wchodzenie w jej stanie na poddasze kamienicy okazało się dość karkołomnym wyzwaniem, poza tym lokum było zdecydowanie za małe, aby pomieścić trzy osoby.

Przygotowali obiad złożony z dwóch dań, kilka przystawek i ciasto. Zakupili też skrzynkę butelek z winem i piwem, nic dziwnego, że humor wszystkim dopisywał do samego końca.

Na początku nie docierało do niej, że wkrótce zostanie matką, będzie musiała zderzyć się z nowymi obowiązkami, poświęcić swój czas tej małej istotce, która już niedługo przyjdzie na świat. Greta wytłumaczyła jej, że ten stan jest błogosławieństwem, który nie jest dany każdemu, dlatego z czasem jednak zaczęła do tej zmiany dojrzewać, a nawet celebrować każdą chwilę bycia w ciąży. Kupowała luźne sukienki, odpowiednio się odżywiała, piła dużo wody i chodziła na długie spacerunki, dopóki pozwoliło jej na to samopoczucie. Oboje zdawali sobie sprawę z tego, że niedługo będzie musiała zrezygnować z pracy i dopóki nie odchowają dziecka z pieluch, całe utrzymanie ich domu spocznie na barkach męża. Na szczęście na wieść o narodzinach wnuczki przybyła do Münster pani Braun, która dość hojnie obdarowała ich dziecią, wręczając im wypchaną markami kopertę.

– Jestem w końcu wziętym architektem – oświadczyła. – Mam tylko jednego syna i jedną wnuczkę. – To taki skromny prezent, nie wielkiego – przekonywała.

– Mamo, nie trzeba – bronił się pierworodny. – Damy sobie radę. Mam w końcu pracę, jestem zdrowy i silny.

– Oj, synku! Jakiś ty głupi – perorowała – Każda matka chciałaby uszczęśliwić swoje dzieci. Nie róbcie mi tego, nie odmawiajcie!

Po wielu naciskach przyjęli prezent, a ich więzi z rodzicielką Oliwiera jeszcze bardziej się zacieśniły. Julka czuła, że kobieta jest po jej stronie, i nawet wpływ apodyktycznego męża nigdy tego nie zmieni.

– Już wiecie, jak jej dacie na imię? – pytała, nie kryjąc ciekawości.

– Tak – odpowiedział ożywiony Oliwier. – Chcemy ją nazwać Laura. Poda ci się, mamo?

Wypuściła z ust powietrze i pochyliła się nad łóżeczkiem.

– Pięknie! – przyznała. – Właściwe imię dla tak uroczej istotki.

Rzeczywiście małeńka Laura przypominała lalkę, taką śliczną z wykrojonymi usteczkami, trójkątną twarzyczką, oliwkową cerą i jasnymi puklami włosów. Od pierwszej chwili skradła serca obojgu rodzicom.

– To niesamowite! – powiedział któregoś dnia Oliwier, zmieniając jej pieluchę. – Nasza krew, nasze ciało. – Nigdy nie sądziłem, że będę w stanie tak kogoś jeszcze kochać.

Julia przytaknęła, uśmiechając się słabo. Od kilku dni leżała wycieńczona w łóżku. Cierpiała na coś w rodzaju depresji poporodowej. Nie miała siły na nic, dobrze, że mąż wstawał w nocy i przejmował część obowiązków związanych z karmieniem i przebieraniem. Do pomocy przyjeżdżała też w wolnych chwilach Greta. Sama nigdy nie doczekała się potomstwa, dlatego wkładając w te czynności całe serce i zaangażowanie, nie kryła radości i entuzjazmu. Na szczęście taki stan nie trwał długo i po kilku tygodniach Julia wróciła do dawnej formy. Zaczęła nawet ćwiczyć brzuszki, chcąc się pozbyć nieestetycznej fałdy, regularnie wykonywać skłony i przysiady.

Laura kończyła roczek, kiedy do Julii dotarło, że jej dom jest tak naprawdę w Kanadzie. W dodatku usłyszała od Tośki, że od śmierci babci z tatą jest coraz gorzej. Nie tylko zaczął jeszcze bardziej nadużywać alkoholu, ale stał się nieuprzejmy wobec mamy, jakiś nerwowy, w dodatku przestał pracować.

Tymczasem siostra miała plany, złożyła papiery do koledżu w Toronto, chciała się usamodzielnic, zdobyć wykształcenie. Ciężała jej też bardzo sytuacja w domu rodzinnym, która z roku na rok stawała się bardziej bolesna i irytująca.

– Może jak przyjedziecie, coś się zmieni – przekonywała Julkę po raz kolejny. – Przemyślcie to sobie.

Do tego wszystkiego sytuacja ekonomiczna w Niemczech zaczęła się zmieniać. Oboje odnieśli wrażenie, że dawna stabilizacja i bezpieczeństwo przestały być czymś oczywistym. Poza tym w restauracji coraz częściej chodziły słuchy o tym, że pan Leon zamierza ją sprzedać. Najpierw, aby wybać teren, zdecydowali się na wyjazd gościnny. Pobyli w Bradford niecały miesiąc, stwierdzając ze zdziwieniem, że mogliby tu się oboje odnaleźć. Młodego Brauna urzekły krajobrazy, piękne klonowe lasy, które szczególnie o tej porze roku, czyli jesienią, zmieniały swoje barwy, przygotowując o zawrót głowy. Do tego przestrzeń, ogromne jeziora przypominające mo-

rza, wspaniałe góry i przycupnięte w dolinach urokliwe miasteczka. Nie przeszkadzał mu nawet smród skunksów.

Podjęli ostateczną decyzję dość szybko, pożegnali swoich przyjaciół i znajomych, oczywiście zmartwioną tym niespodziewanym zwrotem akcji panią Braun, pozamykali wszystkie sprawy, zakupili bilety i wyruszyli pełni entuzjazmu na drugi koniec świata.

Oliwier nie pracował przez pierwszy rok ze względu na słabą znajomość angielskiego, a także z uwagi na obowiązujące w Kanadzie procedury związane z pozwoleniem na pracę. W tym czasie zajmował się dzieckiem, pomagał Alinie w ogrodzie, za jego sprawą po wielu latach wyremontowano wreszcie dom, bo okazało się, że umiał posługiwać się pędzlem, szpachlą i miał niezwykle pojęcie o budowlance. Po kilku miesiącach niewielka posiadłość przy Lee Ave stała się niemalże nie do poznania. Odmalowano ściany, położono nowe podłogi i płytki w kuchni, a nawet odświeżono zewnętrzną elewację. W tym czasie Braun uczył się języka, oglądając bajki dla dzieci, co okazało się niezwykle skutecznym sposobem.

Do pracy poszła natomiast Julia, najpierw do kelnerowania w pobliskiej knajpie, później trafiła jej się posadka w biurze przy wypełnianiu przeróżnych dokumentów. Niezwykle żmudna, ale nawet dobrze płatna.

Młodzi zajmowali powierzchnię nad garażem, mając do dyspozycji dawny pokój Julii, łazienkę oraz chwilowo pokój Tośki, która wpadała w co drugi weekend. Pewne przyjęcie zorganizowane przez rodziców na okoliczność przeprowadzonego remontu sprawiło, że przed Oliwiera otworzyły się nowe możliwości, ponieważ pracę w firmie zaproponował mu wuj Edmund. Okazało się, że od dłuższego czasu miał zakusy na wprowadzenie swoich produktów na rynek niemiecki. Brak znajomości języka i w pewnym sensie obszaru działalności blokował nieco te zapędy aż do czasu, kiedy na jego drodze pojawił się inteligentny, zdolny chłopak, zięć ulubionej kuzynki z Polski – Alinki.

Oliwier trafił więc pod skrzydła wuja, zyskując w bardzo szybkim czasie jego sympatię i zaufanie. Pracował u niego niecałe trzy lata, sporo w tym czasie odłożyli, mając w planach zakup własnego domu. Prawdę mówiąc, i dla nich sytuacja rodzinna stawała się nie do zniesienia. Wydawało im się, że decydując się na przyjazd w te strony, uzdrowią relacje pogubionych przez lata rodziców. Julka jeszcze do niedawna tkwiła w poczuciu winy, że to przez nią dochodzi między nimi do starć i awantur. Po pewnym czasie zyskała słuszne przekonanie, że powód tkwił zupełnie gdzie indziej, a jej osoba nie miała z tym tak naprawdę nic wspólnego. Każde z rodziców uparcie dążyło do swego, próbując w tym czasie znaleźć złoty środek na dojście do kompromisu. Niestety, efekty tych starań były niekiedy żałosne. Alina i Antoni coraz wyraźniej oddalali się od siebie, sprawiając wrażenie coraz bardziej oschłych i sfrustrowanych. Ojciec miewał zmienne nastroje, w jednym momencie potrafił być pomocny, życzliwy, a nawet wylewny, w drugim wszystko wprawiało go w irytację. To zabawki na środku salonu, to za głośny krzyk dziecka, to ubranka wiszące na sznurku w pralni, to niezmyte gary w zlewie. Ktoś nie tak ustawił auto w garażu, nie tak domknął drzwi albo hałasował, wychodząc wcześniej rano do pracy. Do tego wszystkiego doszedł wypijany w zbyt dużych ilościach alkohol, który wprowadzał go albo w euforię, albo w przygnębienie. Mama starała się nie zwracać na to wszystko uwagi, wychodziła do pracy, wracała, zajmowała się ogrodem bądź poświęcała swój czas na zabawę z wnuczką. Dopiero kiedy słyszała zaczepki i zarzuty pod swoim adresem, coś się w niej otwierało i zaczynała buchać gniewem niczym rozgrzany do czerwoności wulkan. Woleli wtedy wziąć dziecko i wyjść na spacer, starali się nie uczestniczyć w tych starciach, zwłaszcza jeśli chodziło o dobro ich córki. Nie musiała słuchać przekleństw, gróźb i brzydkich słów, choć rodzice kłócili się po polsku, a oni z dzieckiem rozmawiali z reguły po niemiecku.

– Mogłabyś nauczyć Laure ojczyściego języka! – wytykał niekiedy wzgardliwie ojciec, nie mogąc już słuchać ich szwargolenia. – To wstyd, że moja wnuczka nie mówi po polsku.

Wolała tego nie komentować. Milczała więc, usuwając mu się zwykle z drogi. Nie było łatwo rozmawiać w domu w trzech językach jednocześnie.

Mama coraz częściej ulegała zniechęceniu, patrzyła na ich dom jak na przyczynę niekończących się problemów. Kredyt, ciężka praca i małżeńskie spory, i problemy dodały jej lat, na jej ładne dotąd, delikatne oblicze wtargnęła jakaś surowość, która ginęła tylko wówczas, kiedy na horyzoncie pojawiała się jej ukochana wnusia albo gdy Alina spoglądała na wypiełgnowane rabaty i biegającego po ogrodzie Rudiego.

Ojciec zaczął też coraz częściej znikać z domu. Nikt nie wiedział, co się za tym kryło, Alina myślała ku swojej rozpacz, że znów wciągnął się w jakieś wątpliwe interesy. Ostatnio kręcił się koło niego dawny kumpel i wyskoczył z kolejną propozycją współpracy. Poprzednia na szczęście nie doszła do skutku, ponieważ Antek wyleciał do Polski. Nie przewidział śmierci swojej ukochanej mamy, dlatego chcąc pomóc przy formalnościach i uczestniczyć w pogrzebie, musiał przedłużyć pobyt. wrócił przybity i nieobecny, a sytuacja między nimi nieustannie się pogarszała.

Alina wypieliliła ostatnią rabatę, wyprostowała plecy, rozmasowała je kciukiem, po czym rozejrzała się po ogrodzie, stwierdzając z dumą, że prezentuje się wspaniale. Różaneczniki w kształcie kul obsypane były kwiatem, iglaki uformowane w zgrabne stożki, a na klombach pyszniły się bielą, nakropioną czerwonymi kulkami owoców, całe wstęgi dereni. Jakby na potwierdzenie tych myśli przybiegł Rudi, zatrzymał się naprzeciwko i z wywieszonym jęzorem, wlepiając w nią swoje ogromne, brązowe ślepia pełne miłości, zaczął głośno posapywać.

– Ja ciebie też, piesku – mruknęła, pochylając się, by pogłaskać go między uszami, bo tego właśnie od niej oczekiwał. Potem jednak zainteresował się hasającym w zaroślach ptactwem i nim się zorientowała, był już w drugiej części posesji. Zdumiewał ją czasem, na co dzień ociężały, powolny, z trudem przemieszczał się między pokojami, ale przychodziły chwile, kiedy wstępowała w niego niesamowita wręcz energia.

Uśmiechnęła się na ten widok, odłożyła do wiadra małe radełko i już zamierzała iść do domu, aby wziąć szybką kąpiel, kiedy dostrzegła zmierzającego w jej stronę męża w towarzystwie kilku kolegów.

– Fuck! – przekląła pod nosem. – Tylko nie to!

Antoni musiał dostrzec jej wściekłą, nieszczęśliwą minę, bo kiedy podszedł i objął ją tylko na pozór czule ramieniem, następnie szepnął zaczepnie, z drwiną w głosie:

– Nie cieszysz się, kochanie?

– Cieszę się – odparła kwaśno, zmuszając się do uśmiechu.

Tymczasem kumple zaczęli ją obcałowywać, ściskać, obsypywać komplementami. Do tego komitetu powitalnego dołączył też Rudi, dla którego obecność gości stanowiła ulubioną rozrywkę.

– Pani Alinka się nie gniewa, usiądziemy sobie w ogrodzie, nie będziemy przeszkadzać!

– Przepraszam, pójdę się przebrać, dopiero skończyłam pracę – próbowała tłumaczyć, choć oni otoczyli ją kołem i nie chcieli wypuścić. Wszyscy już mieli dobrze w czubie, śmierdziało od nich niestrawionym alkoholem, toteż w duchu stwierdziła z wściekłością, że musi jak najszybciej odciąć się od tego towarzystwa.

– Chłopaki, siadajcie na tarasie! Zaraz coś przyniosę! – zarządził tymczasem Antoni, mrugnął do nich konspiracyjnie, nie zważając na udręczony wyraz twarzy żony. – Czujcie się jak u siebie w domu!

Zacisnęła zęby z wściekłości. Była po ośmiogodzinnej zmianie w fabryce, zdążyła tylko w biegu coś zjeść, włączyć pralkę, sprzątnąć kuchnię i zajęła się ogrodem. Liczyła na spokojny wieczór, z czasem na relaks i wypoczynek przed kolejnym wyczerpującym dniem przy sortowaniu śrubek. Julka z mężem i córką wyjechali akurat do Toronto spotkać się z Toską. Zamierzali tam przenocować, w tym celu Oliwier wziął dzień wolny w pracy. Marzyła jej się cisza, spokój, dobra książka i muzyka. Wszystko rozumiała, każdy chce się rozerwać i zabawić, ale na Boga, nawet jej nie uprzedził –

stwierdziła z goryczą. – Ostatnio nic nie robi, tylko prowadzi się z tymi typami. Kim są ci ludzie?

Kompania tymczasem zajęła miejsca na ławkach przy drewnianym stole usytuowanym w kwadracie między wystającą ścianą garażu a szpalerem srebrnych, okazałych świerków. Udekorowała to miejsce glinianymi donicami, kolorowymi lampionami, które każdego zapadającego wieczora zaczynały subtelnie rozświetlać tę część ogrodu. Prezentowało się znakomicie i niewątpliwie miało swój niepowtarzalny klimat. Jeden z mężczyzn wyciągnął zza pazuchy butelkę whisky, drugi colę.

– Zapraszamy do nas! – krzyknął trzeci, zerkając na nią łapczywie.

– Dziękuję, mam jeszcze całe pranie do wyprasowania! – odmówiła, nie kryjąc niechęci.

To już drugi raz w tym tygodniu – dodała w myślach pełna niedobrych przeczuć. Nie oglądając się za siebie, weszła do domu, mijając się po drodze z mężem, dzierżącym pod pachą butelkę z alkoholem i trzymającym w ręku tacę zastawioną szkłem.

– Kochanie, przygotuj coś na zakąskę! Będziemy omawiać ważne sprawy! Szykuje się świetny biznes!

Chciała powiedzieć, że ma gdzieś ten interes i jego kumpli, żeby pocałował się w miejsce, gdzie słońce nie dochodzi, ale tylko zagryzła wargi. Zmierzyła go ostrzegawczym wzrokiem, po czym bez słowa weszła do łazienki.

Kiedy zrobiło się chłodniej, całe rozkrzyczane towarzystwo przeniosło się do salonu. Do tego jeszcze włączyli muzykę z lat osiemdziesiątych i nie szczczędząc decybeli, rozpoczęli dalszy etap zabawy. Krzyki i śpiewy nie ustawały, do sypialni obok docierały wciąż chrapliwe, uniesione głosy. Zasnęła dopiero nad ranem, a kiedy po piątej zmuszona była wstać, czuła się, jakby ją ktoś ściągnął z krzyża. W salonie zastała żalosny widok. Mężczyźni na szczęście sobie poszli, jej mąż spał rozparty w fotelu z niedopitą szklaną whisky w dłoni, Rudi chrapał obok jego nogi, ława była zastawiona pustymi butelkami i szkłem, z przepełnionej popielnicy wysypywały się niedopałki.

Smród panował niemiłosierny, toteż otworzyła okno, wpuszczając do środka litościwie odrobinę świeżego powietrza.

– Czy tylko to zostało z mojego małżeństwa? – zadała sobie półgłosem pytanie.

Wzięła szybki prysznic, ubrała się wygodnie, wypła małą czarną, zapakowała kanapki do torby i niczym automat, potykając się o wszystko, ruszyła do garażu. Będąc już na zewnątrz, w jednej sekundzie oprzytomniała, widząc, że jej świeżo wypielone poprzedniego dnia rabaty zostały doszczętnie zdeptane. Zdusił ją gniew, niczym wyrzucona na brzeg ryba zaczerpnęła haust orzeźwiającego powietrza i odwracając oczy od połamanych kwiatów, wsiadła do samochodu.

Mknęła Yonge Street w stronę fabryki Chryslera, zaciskając kurczowo palce na kierownicy, z radia płynęła tajemnicza, porywająca muzyka Ennio Morricone, utwór Chi Mai. Oczy piekły ją od łez, które niepohamowanym strumieniem sunęły po policzkach. Próbowwała je zetrzeć przedramieniem, ale nie dość, że się rozmazywały, to wciąż pojawiały się nowe. Nikt jej teraz nie słyszał, mogła płakać więc do woli, najgorsze, że za kilkanaście minut będzie musiała wejść do hali, powiedzieć „Good morning”, uśmiechnąć się i udawać, że nic się nie wydarzyło. I nie chodziło jej teraz o połamane kwiaty, ale o to, co zmierzało do nieuchronnego końca. Mijała hektary pól marchewkowych, połacie lasów, spowite mgłą tafle jezior i małe miasteczka otulone jeszcze leniwym zmierzchem.

Mogło być tak pięknie – myślała z goryczą. – Julka wróciła. Znowu stanowili pełną rodzinę, a nawet więcej. Lata tęsknoty zrekompensowało jej pojawienie się ukochanej wnuczki i całkiem udanego zięcia. Czegóż chcieć więcej? Co prawda, odeszła bliska jej sercu teściowa, ale na to już nie miała wpływu. Jej śmieć była dla wszystkich ogromnym ciosem, choć odniosła wrażenie, że jeszcze bardziej pogрузzyła już i tak pogubionego Antoniego. Ale to przecież nie Stefania była powodem rozkładu ich pożycia, to wszystko działo się już od dawna. Przez wiele lat miała nadzieję, że ocali

ten związek, była nawet gotowa podpisać pakt z diabłem, by tak się stało. Nawet wtedy, kiedy mieszkali w Hamm, mimo wielu starć, kochali się i gotowi byli wskoczyć jedno za drugim w ogień. Smutki, rozczarowania, wspólne życie na obczyźnie nie zepsuły ich relacji, nawet zdrada Hamida, który jak się potem okazało, donosił władzom na tych, którzy próbowali sobie coś dorobić na czarno. Stracili przyjaciela, sojusznika, bo wówczas tak im się wydawało, ale nie stracili siebie, własnego zaufania. Hamid pewnego dnia zniknął, z nim część ich oszczędności, które mieli ukryte pod półką w szafie. W kopercie, przyklejone plastrem do sklejki. Nikt o tym nie wiedział, czyżby ich od dawna obserwował? Tośka przyznała się, że kiedyś wszedł do mieszkania podczas ich nieobecności, dziwnie się zachowywał, węszył, rozglądał dookoła, a kiedyś widziała, jak rozmawiał z kimś ważnym pod urzędem. To ustaliła na podstawie relacji dziecka, jednak trochę za mało, aby go oskarżyć o donoszenie i kradzież. Odchorowali tę stratę, dokładając starań, aby ich wspólne życie wróciło na właściwe tory. A kiedy przyjechali do Kanady, wszystko wreszcie wydawało się możliwe. Ona znalazła pracę, kupili dom na kredyt, dziewczynki poszły do szkoły.

– Mogło być tak pięknie! – chlipnęła po raz kolejny, wycierając rękawem koszuli twarz. – Co się stało, że wszystko zaprzepaścili? Może nie powinna pozwolić Antoniemu na wyjazd do Polski? Po powrocie zmienił się nie do poznania, stał się jakiś rozdrażniony, nieobecny, szukający wciąż zwady. Miał pretensje o wszystko – o jej zmęczenie po pracy, o niezadowolenie, kiedy zapraszał do domu obcych ludzi, o jej niechęć, gdy wychodził na piwo, a nawet o rozrzucone zabawki na dywanie.

Co się stało z człowiekiem, którego kiedyś tak mocno kochała? Gdzie podział się ten wspaniały, inteligentny mężczyzna, któremu zawierzyła na śmierć i życie? Czy już nic nie jest w stanie uratować tego związku?

Silnik jeszcze pracował na wolnych obrotach, gdy stojąc na parkingu przed fabryką, Alina usiłowała ochłonać i w lusterku uporządkować twarz, wycierając chusteczką strugi rozmazanego tuszu. Pociągnęła jeszcze wargi pomadką, następnie zgarnęła torbę z siedzenia i wyskoczyła z auta. Kilka metrów przed nią spieszyła do pracy zaprzyjaźniona Indianka o wdzięcz-

nym imieniu Aszta. Ostrowska zawołała na nią, a ta, słysząc jej głos, zwołała. Przywitały się jak zawsze wylewnie, wymieniły parę słów, potem wolnym krokiem ruszyły w kierunku wejścia do ogromnego budynku.

Wróciła do domu zmęczona jak nigdy. Tego dnia było wyjątkowo ciężko, praca jej nie szła, śrubki się myliły, kilka razy zwrócono jej uwagę, że nieprawidłowo je selekcjonuje. Koszmar jakiś! Otrząsnęła się od niedobrych myśli, których miała w głowie aż nadmiar. Co robić, dokąd zmierzać? Jakie powziąć decyzje?

Od dawna żyli ze sobą jak dwoje obcych sobie ludzi, a im mocniej się starała, tym efekty były bardziej opłakane. Najwyraźniej Antoni pragnął od życia czegoś innego, a to, na czym jej zależało, jego nie obchodziło. Co się stało i kiedy? – wciąż zadawała sobie pytanie, na które nie umiała odpowiedzieć. Czy aż tak dużo wymagała od życia? Pracy, szacunku i świętego spokoju?

Mąż uwielbiał gwar, pulsujące wokół życie. Nie znosił spędzać czasu w samotności, pragnął bywać, rozmawiać, wymieniać się poglądami, snuć plany na przyszłość, pić. I jeszcze żyć w poczuciu bycia kimś lepszym. Komplementy, pochwały – to było coś, co dawało mu tlen. Wtedy czuł, że żyje. Tymczasem ją niemal każdego dnia podczas powrotu z pracy do domu prześladowała myśl, czy czasem nie wpadnie mu do głowy znów zaprosić gości. Oddychała z ulgą, kiedy widziała pusty podjazd, ale dla odmiany krew z wściekłości gęstniała jej w żyłach, gdy dostrzegała auta na obcych rejestracjach. Kiedy ona potrzebowała wytchnienia, spokoju, ciszy, on wybierał towarzystwo i wszystko, co się z tym faktem wiązało. Nie docierało do niego, że jest zmęczona, że chce po prostu odpocząć. Wchodząc wtedy do domu z siatkami pełnymi zakupów, z gradową miną, której nie umiała już ukryć, ścigała na siebie coraz większą niechęć nie tylko męża, ale również jego kolegów. Dopiero kiedy dom pustoszał, dochodziło między nimi do ostrej wymiany zdań, oboje obrzucali się błotem, nie oszczędzając sobie nawzajem krytyki i bólu. Wytykali sobie wtedy wszystko, ona

jemu liczne zdrady, alkohol, lenistwo, on jej szalony pomysł z wyjazdem z Polski, zgorzkniałość i chłód. A gdy już wyrzucili z siebie cały jad, gdy emocje nieco opadły, kładli się spać w oddzielnych łózkach, jeszcze bardziej sobie obojętni i obcy. Wiele razy zastanawiała się wówczas, co się stało z ich miłością, przywiązaniem i przyjaźnią. Co się stało z tą uroczą, wrażliwą dziewczyną, jaką niegdyś była? Z tym cudownym, opiekuńczym mężczyzną, u którego boku chciała się zestarzeć?

Z tymi myślami Alina zaparkowała jak zwykle w garażu, wyciągnęła torby z bagażnika i przechodząc obok zniszczonych rabat, kolejny raz przełknęła dławiącą ją bezradność. Zaciśnęła zęby, postanawiając po raz wtóry nie przejmować się takim głupstwami. Głośna muzyka wydobywająca się z salonu znów sprawiła, że wezbrała w niej wściekłość. Postawiła torby w przedpokoju i udała się w głąb zasnutego półmrokiem pokoju, gdzie przy włączonym, rozkręconym na cały regulator telewizorze jej mąż spał w najlepsze, rozwalony w fotelu. Jak zawsze z niedopitą whisky w szklance, którą kurczowo zaciskał w dłoni, jakby to był najcenniejszy skarb, jaki posiadał. Włączyła światło, chcąc zlustrować otoczenie. Rudi leżał u jego nogi, ale na widok pani zerwał się z dywanu i podbiegł do niej. Pogłaskała go po grzbiecie, po czym wyprostowała plecy. Pilot leżał obok na stoliku, dlatego podeszła i niewiele myśląc, nacisnęła czerwony guzik. Zrobiło się cicho, Antek chrapnął w tej chwili głośno, jakby niezadowolony faktem, że ktoś mu śmiał przerwać błogi sen. Zaskoczony, poderwał się w fotelu, spostrzegając stojącą nad nim żonę. Szklanka z alkoholem wypadła mu z ręki i wylądowała na miękkim podłożu. Jej kwaśna mina mówiła sama za siebie.

– Coś ci się nie podoba? – warknął.

– Nie, skąd? – wycodziła – O co ty mnie podejrzewasz?

– Właśnie widzę! – Zaśmiał się drwiąco. – Wróciła królowa z pracy i znów jest naburmuszona.

Alina rzuciła pilot na ławę i bez słowa przeszła do kuchni. Gniew w niej bulgotał. Jak on mógł być taki niesprawiedliwy? W tym momencie dostrze-

gła w zlewie brudne, pozasychane gary, a na wyspie istne pobojuwisko po imprezie.

– A to? – Uniosła głos. – Zostawiłeś dla mnie?

Zaśmiał się drwiąco, co sprawiło, że coś w niej pękło. Nagle wybuchła. Zrobiła obrót na pięcie i ruszyła w jego stronę, nie kryjąc już tego, co czuła w środku.

– Naprawdę cię to bawi? – rzuciła wściekle, rozpętując burzę. – Bo mnie już przestało. Nie mam zamiaru dłużej patrzeć na nieudolnego pijaka, który nic nie potrafi poza uprzykrzaniem komuś życia!

Rudi zerwał się na równe łapy i szczeknął, zaniepokojony jej zachowaniem. Antoni zerwał się z fotela i chwiejnie stanął na wprost żony, gotów do kolejnej niemiłej wymiany zdań. Z jego twarzy biły niechęć i pogarda.

– A ty? – syknął. – Jesteś lepsza? Robota na dwie zmiany w fabryce to wszystko, na co cię stać?

Tego było już za wiele, Alina podniosła rękę, ale w porę się powstrzymała. Zdławiła w sobie kolejny ból upokorzenia, przełknęła ślinę, bo nagle poczuła, że zaschło jej w gardle.

– Kończymy to, panie Ostrowski – wykrztusiła przez ściśnięte gardło. – Już czas, aby każde z nas poszło w swoją stronę!

Antoni uśmiechnął się drwiąco, co jeszcze bardziej ją ubodło i sponiewierało.

– Jak sobie pani życzy – mruknął kwaśno, potem ubrał się, wziął ze sobą psa i zniknął z domu na kilka godzin.

Po tej rozmowie w ich życiu na pozór nic się nie zmieniło, nie wniosła do sądu pozwu o rozwód, choć wciąż biła się z tą myślą. Antoni przestał na jakiś czas zapraszać do siebie kolegów i znalazł zatrudnienie w chińskim barze. Ich relacje można było nazwać poprawnymi. Spali osobno, ale nie waczeli na siebie przy byle okazji. Jednak w powietrzu coraz bardziej gęstniało i Alina nie mogła oprzeć się wrażeniu, że wkrótce bomba wybuchnie.

Rozdział 22

Oliwier wrócił tego dnia z pracy jakiś poirytowany. Wszedł na górę do ich pokoju, gdzie jego żona prasowała ubranka córki. Laura pozostawała w tym czasie pod opieką dziadka, który czasem potrafił być czuły i odpowiedzialny. Pod warunkiem, że nie pił, a dziś tak właśnie było.

– Kochanie, co się dzieje? Dlaczego rzucasz kurtkę?

Odwrócił się, zwinął dłoń w pięść i uderzył nią o ścianę.

– Załatwiłem mu tyłu nowych kontrahentów, postawiłem jego firmę na równe nogi, do Niemiec płynie kontener za kontenerem, a jemu wciąż mało! – wycedził bezradnie.

– To znaczy?

– Poprosiłem go dziś o podwyżkę. To już trzeci raz w tym roku.

– Ii?? Co powiedział wuj?

– Że go nie stać na to! – odparł wściekle.

Odstawiła na deskę gorące żelazko i usiadła z wrażenia.

– Naprawdę? – spytała z niedowierzaniem. – A to ci dopiero sknera!

– A widzisz... Jak to mówią? Z rodziną najlepiej wychodzi się na zdjęciu? – zadrwił. – Ale samochód zmienił, na to go było stać. Dom też wyremontował...

– Czereśniak wredny! – syknęła. – Zawsze wiedziałam, że nie można temu człowiekowi ufać.

Zapadła cisza.

Julka myślała o czymś zawzięcie, siedząc na brzegu łóżka, za to mąż przysiadł się do niej i objął czule ramieniem.

– Przepraszam, że się uniosłem. Nie powinienem był...

– Wiem, że to cię boli. Rozumiem... – Pocałowała jego pokryty dwudniowym zarostem policzek i przymknęła powieki, aby mógł starym zwyczajem odwzajemnić pieśczoły.

Musnął ją ledwie wargami, wywołując delikatne łaskotanie, co ją nawet rozbawiło i wywołało uśmiech na twarzy.

– Ej, nie pozwalałem się ruszać! – mruknął żartobliwie, całkowicie zmieniając nastawienie.

– Wiesz co... – bąknęła, wyrrywając się z jego objęć. – A jakbyśmy sami zaczęli składać te filtry? Myślisz, że dalibyśmy radę?

Wzruszył ramionami, przyglądając jej się uważnie.

– A co w tym trudnego? Mam to wszystko w jednym paluszku.

– W tym? – Zaśmiała się kpiąco, wskazując na jego mały palec.

– Nie, w tym! – odparł z powagą, podnosząc wskazujący.

Omiotła go uważnym spojrzeniem.

– A tak serio, moglibyśmy porozmawiać z rodzicami i zacząć w garażu. Co ty na to?

Podrapał się odruchowo po głowie i zaczął głośno myśleć:

– Odłożyliśmy trochę pieniędzy, ostatnio mama przelała mi na konto część swoich oszczędności. Stwierdziła, że sama ich nie potrzebuje. Mamy od czego zacząć... A może...

– Może? – ciągnęła go za język Julia.

– Może powinniśmy najpierw kupić dom i pójść na swoje? Wiesz, jaki jest twój ojciec. Jego zmienny nastrój bywa taki irytujący...

Kiwnęła głową na znak, że się z nim całkowicie zgadza.

– To prawda – przyznała, wypuszczając z ust powietrze. – Powinniśmy to poważnie rozważyć. Od jutra zacznę czegoś szukać. Najlepiej w tej okolicy.

– Ty moja mała wariatko! – szepnął czule.

– I na tym poprzestańmy – wypaliła, a potem nagle zerwała się z łóżka, bo przypomniała sobie o włączonym żelazku.

Już parę dni później przedstawiła mężowi kilka ofert, które znalazła w ogłoszeniach lokalnej prasy.

– Co o tym sądzisz?

Pochylił się nad zdjęciami i dość oględny opisem.

– Mnie podoba się ten. Wskazał palcem. Taki w sam raz. I cena w porządku. Jeśli jeszcze coś wynegocjujemy, będzie idealny dla nas.

– To w Barrie. Wokół same lasy i jeziora! Tam jest pięknie! – Rozmarzyła się. – I całkiem niedaleko stąd. W takim razie... Co robimy?

– Mimo to warto chyba dla porównania zobaczyć kilka – podjął ożywiony. – Nigdy nie kupowałem domu, to coś nowego.

Roześmiała się, trącając go w ramię.

– A ja kupowałam?

– Nieee? – próbował się przekomarzać. – A myślałem, że już wiele razy!

Pchnął ją lekko na łóżko, na którym siedzieli, a kiedy upadła plecami na poduszki, zaczął pieścić palcami jej piersi.

– Wiesz, są doskonałe – oznajmił. – Jak ty to robisz?

– Jak to co? Biegam, ćwiczę? Bez ciężkiej pracy nie ma nic.

Podwinął jej bluzkę i ściągnął stanik. Pochylił się nad obnażonym biustem.

– Moje wypracowane bułeczki – szepnął z czułością. – Jakże ja je uwielbiam! Mniem, mniem... – Mlasnął, oblizując się lubieżnie.

– Ej, co robisz? Zaraz muszę iść po Laurę do przedszkola!

– Przedszkole nie ucieknie. Mamy jeszcze czas... – jęknął przeciągle i zachęcająco.

Pośliniła wargi, spoglądając na niego powłóczyście spod wytuszowanych rzęs. W jednej sekundzie ściągnęła się z siebie bluzkę, ukazując pięknie

wyrzeźbioną klatkę piersiową, w drugiej dolną część garderoby. Następnie dobrała się do męża spodni.

– Zamknąłeś drzwi? – zdążyła jeszcze zapytać, zanim na dobre zatopiła się w jego ramionach.

W ciągu kolejnego tygodnia obejrzeli pięć domów. Dwa w Bradford, a trzy w Barrie. Jeden z nich całkowicie skradł ich serca. Już od pierwszego spojrzenia zakochali się w miejscu w zakolu cichego odcinka Essa Road, otoczonego z dwóch stron budynkami mieszkalnymi. Nie brakowało tu też zieleni i ciszy, w dodatku dom miał duży garaż i sporą działkę, na której rósł potężny rozłożysty dąb, a także judaszowce. Te niewielkie, ale jakże piękne, reprezentacyjne drzewka miały podobno niezbyt pochlebną historię. Nazwę wzięły od samego Judasza, czyli zdrajcy Chrystusa. Legenda głosiła, iż na tym drzewie właśnie się powiesił. Tak naprawdę chodziło o to, że przywędrowało w te strony z okolic Jerozolimy i określane było mianem drzewa żydowskiego.

Od zewnętrznego pasa ogrodu ciągnął się pas zieleni, nie dobiegały tutaj odgłosy miasta ani codziennego gwaru, za to bliskość do sklepów i przedszkola była imponująca. Sam dom miał ogromny salon z kominkiem, połączony z kuchnią, trzy sypialnie na górze i dwie przynależne do nich łazienki. Na poziomie minus jeden znajdowały się piwnice, gdzie mieściła się kotłownia, pralnia i pomieszczenie gospodarcze. Wystrój utrzymany w jasnych odcieniach beżu i wanilii, białe drzwi, listwy i wykończenie dawały mu elegancji i wytworności.

Julia zatrzymała się na środku salonu, biorąc głęboki oddech. Nie chciała okazywać emocji, ale już siebie tutaj widziała w towarzystwie męża i córki. Przy kominku z płonącym paleniskiem albo krzątającą się w kuchni przy ogromnej wyspie pokrytej brązowym granitem. Wypuszczając z ust powietrze, mrugnęła porozumiewawczo w stronę Oliwiera.

– Zastanowimy się nad wyborem, przedyskutujemy temat i damy znać – oświadczył stanowczo Braun, widząc pełną oczekiwania minę pracownicy

biura nieruchomości.

– Tak, oczywiście – mruknęła, uśmiechając się z wystudiowaną manierą.
– To nie jest łatwy wybór, doskonale państwa rozumiem...

Kobieta zrobiła obrót na pięcie, poprawiła elegancki kostium złożony z granatowej marynarki, białej bluzki z żabotem i ołówkowej spódnicy, po czym zaprowadziła ich do garażu.

– To miejsce zostawiłam na koniec. Jest może najmniej reprezentacyjne, ale niezwykle użyteczne. Proszę spojrzeć, ile tu wolnej przestrzeni. Spokojnie wejdą dwa auta i to wcale niemałe.

– Niewątpliwie – przyznała Julia, chwytając męża za łokieć. Nie powiedziała nic, ale on doskonale rozumiał, co chciała mu przekazać. Niepotrzebne były żadne słowa. Idealny do składania filtrów, zwłaszcza że był wykafelkowany od góry do dołu i miał osobną toaletę z umywalką.

Wychodząc na drogę, pośredniczka zwróciła też uwagę na to, że najbliższe sąsiedztwo jest około pięćdziesięciu metrów dalej. Była więc niemała szansa na prywatność, której oczekiwali. Od razu pomyśleli o hałasujących urządzeniach, zwłaszcza kompresorach wykorzystywanych do tego rodzaju działalności. Było też sporo miejsca na wykonanie manewrów przez auta dostawcze, związanych z zawracaniem.

Zerknęli ku sobie, rozumiejąc się bez słów, słońce akurat przebiło się przez chmury i oświetliło jasnoczerwone korony drzew, które teraz niemal krzyczały nasycone barwami. Cicha, urokliwa uliczka ciągnęła się leniwie aż do połączenia z ulicą główną. Wyposażona w niewysokie lampy i skrzynki na listy, sprawiała wrażenie trochę zagubionej.

Pożegnali się z panią z agencji nieruchomości, zaczekali, aż wsiądzie do swojej nowiutkiej czarnej terenówki i odjedzie, potem długo jeszcze spoglądali na dom otoczony zielenią, oświetlony zachodzącym słońcem, dokonując jednocześnie niezwykłego odkrycia, że właśnie odnaleźli swoje miejsce na ziemi.

Rozdział 23

C oraz częstsze wyprawy na cmentarz przy Ogrodowej w Łodzi stały się dla Tadeusza jedyną rozrywką i niemal codziennością. Nigdy nie przypuszczał, że spędzanie czasu nad grobem pierwszej i drugiej żony przyniesie mu za każdym razem tyle ukojenia. Cierpliwie, wręcz z namaszczeniem czyścił nagrobkowe płyty, wymieniał wodę w wazonach, przynosił świeże kwiaty i zapalał znicze. Jednak najwięcej radości sprawiały mu rozmowy. Lubił siadać na ławce obok, spoglądać na migoczące płomyki świec i zwierzać się ze swoich chwilowych trosk, radości i smutków. Z postępujących chorób, problemów z dziećmi, konfliktów z sąsiadami, a nawet intymnych pragnień, o których niemal w ostatnim czasie zapomniał. Jednak zdarzały się chwile, że odżywały wspomnienia, a w nim zaczynało coś od nowa zdradziecko kiełkować.

– Głupi jestem, co? – frasował się, spoglądając na wyryte w kamiennej płycie imię i nazwisko jego drugiej żony. – W tym wieku myśleć jeszcze o takich sprawach.

A potem niczym wyznawca judaizmu dokonywał ablucji duszy poprzez oczyszczenie jej z grzechu, co przynosiło mu niesłychaną ulgę i spokój.

Inaczej miała się sprawa z grobem Stefci, która spoczęła zgodnie z wolą u boku Felka. Na początku miał nawet o to żal, w końcu doczekali się wspólnych dzieci, wnuków, łączyło ich tyle spraw. No i przysięgali przed Bogiem, w jego oczach nadal stanowili małżeństwo. Nie spodziewał się takiego afrontu z jej strony, podobno jeszcze przed śmiercią ustaliła te rzeczy, wyjaśniając jakie jest jej stanowisko w tej sprawie. Usłyszał, że wiele razy zaznaczała, że chce spocząć we wspólnym grobie z Felkiem. Weronika

co do tego nie miała żadnych wątpliwości, co potwierdził również Antek, a przecież nikt tak jak on nie znał własnej matki.

Z niejakim żalem wspominał ostatnie przeżyte chwile, wspólne rozmowy i śmiechy, oglądanie seriali, obieranie jabłek, spożywanie posiłków, częste wizyty wścibskiej sąsiadki, a nawet kosztowanie cytrynowki. Tęsknił.

Ach, Stefcia! – Wzdychał, patrząc na zrobioną kilka lat wcześniej całkiem udaną fotografię. – Jak ten czas szybko nam zleciał! Zbyt szybko – analizował, a jego wzrok mimo woli przesuwiał się dalej, gdzie naklejona była owalna porcelanka z wizerunkiem jej drugiego męża.

Od początku go nie lubił, nawet kiedy Felek uchodził za zmarłego. Miał wrażenie, że zawsze tkwił między nimi niczym kłujący cień i tak naprawdę w ich małżeństwie nigdy do końca nie było szczerości. A później, gdy się cudownie odnalazł, i z biegiem lat zastąpił jego miejsce – nie cierpiał go wręcz. Taki wycofany, zamknięty w sobie, małomówny, spokojny, jakby nic nigdy go nie denerwowało. Zawsze u boku jego byłej żony niczym jakiś cholerny cień albo stróż. Facet, który nie miał pojęcia o panującej tu rzeczywistości, ale nagle wtargnął w ich życie i wywrócił je do góry nogami.

– Dwulicowiec! – syknął nieprzyjaźnie.

Tadeusz zawinił, to prawda. Nie umiał zrezygnować z namiętności, którą dawała mu Bajeczka. Tych gorących nocy, pocałunków, pieszczot i wyrzucanych w dzikim szale słów. Tego nigdy nie otrzymał od Stefci, mimo jej wielkiej urody, pracowitości, dobrego serca. Nie potrafiła otworzyć się przed nim do końca, pozbyć hamulców, odrzucić barier i sztywnych konwenansów.

Prześladowały ją demony z przeszłości, które pojawiały się w nocnych koszmarach, doprowadzając ją do krzyków, rzucania się przez sen i bolesnego skowytu. Jego obowiązkiem było roztoczyć nad tą kobietą opiekę, sprawić, aby nigdy więcej nie bała się niczego. A jednak... Zamiast tego szukał nieustannie wrażeń i nie potrafił zrezygnować z tej części życia, która mu dawała tę wyjątkową przyjemność. Czasem czuł się taki mały wo-

bec mądrości i czystości swojej pierwszej żony, jej postrzeganiu świata i ludzi. Przy Bajeczce wyglądało to odwrotnie. To ona wciąż mu powtarzała, jaki jest wspaniały, budowała jego rozdmuchane ego, podsycala nieustannie próżność. Nie gasiła jej, twierdząc, że mężczyzna taki jak on zasługuje na wszystko, co najlepsze.

Każda z nich była na swój sposób wyjątkowa – podsumował Tadeusz swoje rozważania i stęknął, pochylając się nad szarą płytą, zbierając z niej rozrzucone przez wiatr liście.

Dwa groby dalej stała kobieta w beżowym płaszczu i filcowym, niezwykle oryginalnym nakryciu głowy. Wyglądała na elegantkę, jej drobna postać odwrócona do niego tyłem wydawała się jakaś krucha i nieoczywista. Zaczynało mżyć. Lato już dawno się skończyło, mijała jesień, która niosła za sobą wiele mglistych, ponurych popołudni.

Nie wiedzieć czemu zatrzymał na niej wzrok na dłużej, zlustrował dokładniej otoczenie, stwierdzając z żalem, że zrobiło się bardzo późno. Znow będzie musiał wrócić do pustych ścian, tych samych mebli, sprzętów i gadającego wciąż to samo telewizora. Znosić nachodzenia wścibskiej sąsiadki, jej wsadzania nosa w nie swoje sprawy, odgłosów majsterkowania sąsiada z boku albo nieustającego płaczu nowo narodzonego dziecka. Już był na to za stary, teraz wszystko go denerwowało. Sąsiadka, pani Anieli, nie była w jego typie, zbyt obszerna jak na jego gust i zbyt gadatliwa. Wolał już sąsiadkę Stefci – Halinkę. Ta chociaż potrafiła zainteresować go rozmową, przy tym doskonale piekła ciasta i jeszcze lubiła od czasu do czasu wychylić parę kieliszków nalewki. Umówił się z nią na kolejny wieczór, choć tak naprawdę się wahał.

A z Anielą, niestety, musi być w dobrych relacjach. W domu jest jeszcze kot, ostatni, jaki się ostał, dwa pozostałe zdechły. Maciej lubił siadać obok Tadeusza na wersalce, wachlować ogonem i mruścić. Mężczyzna dobrze się czuł w jego towarzystwie, choć przez wiele lat ten właśnie zwierzak go najbardziej denerwował, ze wszystkich pupili Hanki ten był najbardziej kapryśny i nieuchwytny. Widocznie potrzebował czasu na ustatkowanie się. I Ostrowski będzie niestety zmuszony poprosić sąsiadkę o zaopiekowanie

się kotem przez czas jego nieobecności w domu. Nie był z tego powodu zadowolony, znów dojdzie mu kolejny powód do okazywania jej wdzięczności, ale nie miał wyjścia. Weronika prosiła go ostatnio, by pojechał z nimi na wieś. Jej dom był już prawie gotowy, dach z pomarańczowej dachówki, którą ściągała aż gdzieś znad morza, położony, instalacje w środku rozprowadzone, gładzie i płytki aż raziły równością i błyskiem. Teraz budowlańcy głowili się, jak zainstalować tak dużą wannę z masażem w łazience, a stolarz robił pomiary mebli. Do uporządkowania została działka, na której po wszystkich wykonanych manewrach, laniu fundamentów, stropów, dostawach materiałów zostały nierówności, chaszczki i pagórki. Zgodził się, że w weekend zabierze się z nimi.

– Świeże powietrze i ruch dobrze ci zrobią, tato – przekonywała córka. – Pochodzisz sobie po terenie, popatrzysz, nikt ci nie każe nic robić. Wystarczy, że sobie pospacerujesz. Niedaleko jest las, może znajdziesz jakieś grzyby? – zachęcała.

Grzyby. – Westchnął. – Zawsze lubiłem je zbierać. Czemu nie? Może jeszcze wam się do czegoś przydam? Rozgarnę ziemię, pozbieram śmieci... – zaczął wyliczać, na co Weronika stanowczo zaprotestowała:

– Tato, ja ci niczego nie nakazuję robić. W twoim wieku to niewskazane. Masz się zrelaksować, to wszystko.

– Ach, córeczko – wtrącił stanowczo. – Nawet nie wiesz, że w moim wieku najgorsza jest właśnie bezczynność. To człowieka zabija, a nie praca.

– Zgoda, zrobisz, co zechcesz, najważniejsze, abyś się nie przeforsował – stwierdziła i na tym zakończyli rozmowę. Umówili się na konkretną godzinę, dlatego niejako z żalem stwierdził, że w sobotę i w niedzielę nie będzie mógł przybyć na groby swoich żon.

Tadeusz stał w kolejce w osiedlowym sklepiku, który od wielu lat nie tracił swojej renomy w trzymaniu jakości. Ostatnio wyczerpały mu się wszystkie zapasy mąki, cukru i kawy, dlatego zmuszony został do wyjścia z domu wczesnym rankiem. Nie wyobrażał sobie początku dnia bez mocnej, parzo-

nej czarnej i kruchego ciasteczka na przekąskę. Właśnie takowe dostrzegł na ladzie, stały w pudle z oderwaną folią, ułożone warstwami, ociekające lukrem i ciemną czekoladą. Ekspedientka tego ranka wyjątkowo leniwie obsługiwała klientów, nigdzie jej nie się nie spieszyło, a w dodatku z każdym ucinając sobie niezobowiązującą pogawędkę. Przeszłoby się niecierpliwie z nogi na nogę, miał już ochotę zwrócić jej uwagę, mogłaby się pospieszyć, zaraz będzie nadawany jego ulubiony program publicystyczny, a on tkwił w tym śmiesznym miejscu jak za karę. Sam nie wiedział, czemu wszystko go dziś tak drażni, może z powodu bólu kręgosłupa, może z powodu sąsiadki, która się u niego zasiedziała, marnując mu w ten sposób cały poprzedni wieczór. Z grzeczności jej nie wyprosił, a były momenty, że chciał to zrobić. Już na samą myśl o tym dostawał skrętu kiszek, na szczęście w końcu przyszła kolej na niego. Szybko zapakował artykuły do siatki i wręczył sklepowej należność. Właśnie wtedy zauważył stojącą niżej na półce torebkę z zakupami.

– A to czyje? – spytał, podnosząc znalezione w górę.

– Ktoś pewnie zapomniał...

W tym samym momencie do sklepu wtargnęła kobieta w jasnym płaszczu, która na jego widok, podnoszącego w górę siatkę, wykrzyknęła z radością:

– To moja! Właśnie po nią wróciłam!

Niewiele myśląc, wręczył roztargnionej elegantce zgubę, zastanawiając się jednocześnie, gdzie ją wcześniej widział. Miała miłą, delikatną aparycję i wyglądała na kogoś nietuzinkowego.

– Mogę do pani dołączyć? – zapytał, kiedy już oboje opuścili budynek osiedlowego sklepiku.

– Bardzo proszę, choć nie wiem, czy idziemy w tę samą stronę – odparła lekko, bez cienia kokieterii czy udawanej pretensji.

Poszli więc, Tadeusz dotrzymywał jej kroku, choć niestety zrobił dodatkowe okrążenie, czego nie planował. Zatrzymała się przed trzypiętrowym betonowym blokiem przy ulicy Wapiennej, po czym w niezwykle naturalny sposób podziękowała za towarzystwo. Wyciągnęła w jego kierunku szczy-

płą dłoń ubraną w cienką, brązową rękawiczkę, którą uściskał delikatnie. Mogła mieć na oko jakieś sześćdziesiąt kilka lat.

– Tadeusz – zdecydował się na otwartość.

– Zofia – odparła, mierzając go nieco zaskoczonym wzrokiem.

– Bardzo mi miło. Dlaczego widzę tu panią pierwszy raz?

Uśmiechnęła się kącikami ust, zauważył, że miała morelową pomadkę na wargach i wytuszowane rzęsy. Złote do ramion włosy były lekko skręcone, nakryte zielonkawym, filcowym beretem. W takim samym kolorze dobrana została apaszka, którą okręciła szczupłą szyję.

– Przeprowadziłam się tutaj z Krakowa. To mieszkanie po moim ojcu. Zmarł pół roku temu.

– Przykro mi.

Skinęła głową i zajrzała do torebki w poszukiwaniu kluczy. Właśnie wtedy rozbłysła w jego głowie odkrywczą myśl, że przecież to ją widział pewnego dziedzistego popołudnia na cmentarzu. Jednocześnie poczuł smutek, że będzie musiał już sobie pójść.

– Do zobaczenia!

Obejrzała się przez ramię i odpowiedziała lekkim, życzliwym tonem.

– Do zobaczenia, panie Tadeuszu!

Zrobiło mu się dziwnie miękko na sercu, dlatego uśmiechnął się z żalem, kiwnął ręką i niepokieszony ruszył przed siebie.

Rozdział 24

Zapowiadał się wyjątkowy weekend, miała też przyjechać Tośka, tym razem ze swoim nowym chłopakiem, którego zamierzała przedstawić całej rodzinie. Wyglądało to bardzo poważnie, jakiś czas temu wspólne zamieszkali w wynajętym mieszkaniu, a teraz jeszcze chcieli wtajemniczyć w swoje sprawy najbliższych.

– Wygląda na to, że każdy będzie chciał czymś zaskoczyć – spuentowała Julia kwaśno, stojąc w kuchni przy blacie, mieszając w misce drewnianą pałką drożdżowe ciasto. Było piątkowe popołudnie, ojciec wyszedł kilka godzin wcześniej, nie tłumacząc się z tego nikomu, mama jak zwykle odrabiała zmianę w fabryce. Po pracy zamierzała jeszcze wybrać się na zakupy, a później skorzystać z zaproszenia swojej koleżanki z pracy – Aszty. Wszystko wskazywało na to, że całą tę roboczą końcówkę tygodnia spędzą sami, co nawet im było na rękę.

– Dlaczego tak myślisz? – spytał mąż siedzący na dywanie z Laurą. Bawili się klockami, budując z nich ogromne zamczysko, które niestety potrzebowało jeszcze paru elementów zagubionych przy poprzedniej zabawie. Obok nich, z opartym na przednich łapach oślinionym pyskiem, wylegiwał się Rudi.

– Tato, dajmy ten klocek tutaj! Zaraz nam się wszystko rozpadnie!

– Dobrze, skarbie, przełożmy zatem – odparł Oliwier i zrobił tak, jak zdecydowała córka.

Z zachwytem obserwował jej rozwój, był z niej taki dumny. Jego śliczna, mądra i zdolna córeczka. Umiała już liczyć do dwudziestu, potrafiła przeczytać kilka wyrazów, znała większość liter alfabetu.

– Jeśli mamy im powiedzieć o zakupie domu, to właśnie najlepiej w sobotę. Wtedy będą wszyscy. Nie sądzisz?

Podniósł głowę i spojrzał badawczo na żonę. Miała na sobie džinsy, czarny podkoszulek i narzucony na to granatowy kusy fartuszek, włosy spięła gumką, aby jej nie przeszkadzały.

– Naprawdę chcesz to zrobić już jutro? – spytał.

Młoda pani Braun wzruszyła ramionami, odstawiła zarobione ciasto do wyrośnięcia i nakryła je lnianą ściereczką. Obok, na płaskim talerzu smaczkowicie prezentowała się sterta upieczonych naleśników, z których miała w planie zrobić krostki. Właśnie wyjęła w tym celu z dolnej szuflady lodówki pieczarki i wrzuciła je na durszlak. Na desce leżała już cebula przygotowana do pokrojenia w kostkę.

– Ja wiem, że to jeszcze potrwa chwilę. Czekanie na kredyt wymaga czasu, ale lepiej, by dowiedzieli się już teraz. Na pewno nie będą zadowoleni, jeśli postawimy ich przed faktem dokonanym. Nie sądzisz?

– Myślisz, że się nie ucieszą? – spytał Oliwier z powątpiewaniem. – Przecież twój tata zbyt często okazuje nam brak entuzjazmu i zmęczenie naszą obecnością. Nie da się tego ukryć, choćby nie wiem jak się starał.

Nie odpowiedziała, kroić zacięcie cebulę, czując, jak zaczynają ją szczypać oczy.

Ojciec miał ostatnio zły czas, z tym by się zgodziła, ale nie należało go tak od razu skreślać i negatywnie oceniać. On naprawdę ich wszystkich kochał, wiele razy to udowodnił. Nie układało się między nim a mamą, ale to nie oznaczało, że relacje między rodzicielem a córką były przez to gorsze. Śmierć bliskiej mu osoby dołożyła cegiełkę do jego frustracji i popadania w przygnębienie.

Julia otarła łzy koniuszkiem fartuszka i zerknęła na męża i córeczkę. Oboje leżeli teraz na dywanie, wpatrując się w otwór pod mostem, który udało im się wspólnie wybudować.

– Rudi, zobacz, jaki wspaniały! – Laura szturchnęła psiaka, który tylko leniwie podniósł łeb i ledwie uraczył ją spojrzeniem.

– Tato, Rudiemu chyba nie podoba się nasz zamek! – poskarżyła się cieniutkim głosem.

– A dziwisz się? Przecież gdyby postawił jedną łapę na dziedzińcu, od razu wszystko by zniszczył. Jest za gruby. – Roześmiał się kpiąco. – Musimy go wysłać na jakieś wczasy odchudzające.

– Albo niech lepiej zacznie biegać z mamusią – odparła rezolutnie. – Będzie wtedy taki piękny jak ona.

Julka, słysząc to, pokręciła głową.

– No, no! Co ja słyszę?

Znów wytarła łzy z kątek oczu, lecz jej twarz jaśniała od uśmiechu. Moje skarby – pomyślała, patrząc na tych dwoje. – Najważniejsze na świecie.

Oliwier podniósł się i przeciągnął. Rozpostarł ramiona, chcąc wyprostować kości.

– To co, księżniczko? Chowamy klocki, kolacja i idziemy do wanny? A później bajeczka na dobranoc i lulu!

– Tak! Bajeczka! – zawtórowała i zerwała się, aby pozbierać zabawki do koszyka.

Mąż mrugnął porozumiewawczo w stronę żony, która tymczasem skończyła szatkowanie cebuli i wzięła się do pieczarek. Odwzajemniła ten sygnał. Wiedziała, co to oznaczało. Wolny wieczór. Tylko oni dwoje, muzyka i lampka wina. Chwilo, trwaj!

Antonina wydorosłała od ostatniego spotkania. Ubierała się z coraz większą starannością, zaczęła mocno podkreślać oczy, a włosy upinać jak nobliwa pani. Podobnie jak Julka, mogła pochwalić się gęstą, brązową czupryną, którą czasami trudno było ujarzmić. Dziś jej się to udało, przygładzone z obu stron i spięte wsuwkami, stanowiły dość elegancką, wysublimowaną fryzurę, trochę niepasującą do jej roztrzepanej właścicielki. Obie siostry odziedziczyły po przodkach gładkie oliwkowe cery, zdrowe równe

zęby, czarną oprawę oczu i intensywnie niebieskie tęczęwki. Tośka była nieco wyższa od starszej siostry, choć sylwetkę miała równie szczupłą i wysportowaną. Nadal wszystkich rozśmieszała, poczucie humoru stanowiło jedną z jej niezwykłych cech charakteru.

Dla odmiany jej chłopak należał to tych poważnych, kreujących się na myśliciela, choć wcale dużo do powiedzenia nie miał. Raczej obserwował i wyciągał wnioski. Czasem wtrącił coś, pochwalił wystrój wnętrza albo smak przygotowanych potraw, ale nie brał udziału w żarliwej dyskusji, jaka się w pewnym momencie wywiązała. Rzecz dotyczyła ostatniego wyjazdu nad Niagarę. Sprzeczali się o rok, miesiąc, dzień tygodnia, a nawet o pogodę.

– Pamiętam, niebo było zachmurzone, kropił deszcz – przekonywał Antoni, lejąc sobie do szklanki whisky. Ubrany był w białą koszulę w prążki, spodnie od garnituru, które wydawały się nieco za ciasne. Nabrał ciała w ostatnim czasie, okres zastoju i wahań nastrojów zrobił swoje.

– Jaki deszcz? – zaoponowała Alina. – Była piękna pogoda, słońce świeciło. Ta mżawka to od wodospadu.

– Mama ma rację. Pamiętam, że musiałam zdjąć kurtkę. Było mi za gorąco – wtrąciła Tośka, nie zwracając uwagi na skrzywioną minę ojca.

W tym domu już nic nie da się powiedzieć – pomyślała Julka. – Kłóć się o wszystko, nawet o takie głupoty.

W pewnym momencie, kiedy chciała przerwać tę nedorzeczną dyskusję i poinformować ich o zakupie nowego domu, matka zakrztusiła się kawałkiem szynki. W jednej chwili przewróciła oczami, robiąc się czerwona jak burak, próbowała złapać oddech, ale z jej gardła wydobywało się bezradne rżenie. Antoni, niewiele myśląc, klepnął ją siarczyście po plecach, aż zadudniło.

– Dziękuję – wydukała z przekąsem, kiedy niefortunny kęs wypadł jej z przętyku, a ona mogła wreszcie swobodnie odetchnąć. – Mocniej się nie dało?

– Chciałem ci tylko pomóc! – bąknął, nie kryjąc pretensji.

– I pomogłeś.

Wyglądało na to, że zaraz rzuca się sobie do gardeł i po miłej rodzinnej atmosferze nie zostanie nawet śladu.

– Zaręczyliśmy się tydzień temu! – wypaliła wówczas Antonina, wyciągając rękę i prezentując na palcu pierścionek z migoczącym zalotnie oczkiem. spoglądała na wszystkich po kolei z rozbajającym uśmiechem. – Piękny, prawda?

Czekała na potwierdzenie, ale najpierw zapadła cisza, a dopiero potem pierwsza zerwała się Julka i podbiegła do siostry, zawieszając jej ręce na szyi.

– Oczywiście, że piękny! Tak się cieszę, siostrzyczko! Gratuluję wam z całego serca!

Podeszła do przyszłego szwagra i złożyła na jego policzkach całusy. Odwzajemnił uścisk, uśmiechając się powściągliwie.

– Dziękuję – odparł jakiś spięty, choć pozostała część członków rodziny poszła w ślad za Julką.

– To jakie macie plany? – Atmosferę entuzjazmu rozproszył nieco senior rodziny.

– Niedługo skończę koledż, poszukam pracy... – mruknęła Tośka, nie rozumiejąc intencji ojca.

– Nie o to pytam – sarknął niecierpliwie.

Julka i Alina spojrzały po sobie.

– Ślub? Ach, nie! Jeszcze nie teraz! – Zachichotała, mrugając porozumiewawczo w stronę narzeczonego. – Prawda, Jack?

Przytaknął z powagą na twarzy, po czym sięgnął po kolejną porcję krokietów.

– *Tasty...* – bąknął, dobierając się z pasją do naleśnika opieczonemu w złocistej panierce.

Tośka zwracała się do niego, zmiękczając zgłoski, trochę pieszczotliwie jak do dziecka. Naprawdę był Jackiem, z amerykańskimi korzeniami i dobrym jankeskim wyglądem. Wysoki, wysportowany, z pociągłą twarzą

i mocno zarysowaną szczęką. Jego pradziad pochodził z Teksasu, następnie wyemigrował do Newady. Tam poznał swoją przyszlą żonę, a babcię Jacka, z którą postanowił się ożenić po dwóch miesiącach znajomości. Kryzys w latach dwudziestych i trzydziestych zmusił ich do wyjazdu za chlebem aż do Kanady. Dopiero w Toronto znaleźli swoje miejsce na ziemi i tam osiedlili się na stałe.

Julka patrzyła na tych dwoje z mieszanymi uczuciami. Z jednej strony pragnęła obwieścić wszystkim o planach jej i Oliwiera, z drugiej – nie chciała burzyć uroczystego nastroju spowodowanego zaręczynami siostry.

Zagryzła usta, popatrzyła bezradnie na męża i sięgnęła po kieliszek z białym winem.

– Za wasze szczęście, kochani moi! – wzniosła toast i upiła łyk.

Antoni przekręcił się na łóżku. W jego ogoloną zaledwie dzień wcześniej twarz wycelował śmiały promień słońca, który omiótłszy swoją poświatą kawałek mebla, prześlizgnął się po poduszce i ruszył niżej, ku ubitej z desek podłodze, na której leżał pasiasty chodnik. Narzucona niedbale góra od piżamy, niezapięta na przodzie, odkrywała goły, zarośnięty tors mężczyzny. Chciało mu się pić, dlatego sięgnął po stojącą na stoliku szklanekę z wodą i zmoczył wargi.

– Obudziłeś się, nareszcie – dotarł do niego nieco chrapiący, ociekający czułością głos.

W otworze drzwi łączącym kuchnię i pokój pokazała się dość postawna sylwetka kobiety z roztrzepanymi wokół pociągłej twarzy kasztanowymi włosami do ramion. Miała na sobie błękitny szlafrok z frotté w ogromne białe serca, który przywiozła ze sobą aż z Polski.

– Chce mi się palić – mruknął w jej kierunku, spoglądając wymownie na pustą paczkę po papierosach.

– Już, kochanie, zaleję ci kawę i przyniosę fajki. Moment!

Zakręciła się i zniknęła w kuchni, a on westchnął głęboko.

Od dawna nie czuł się taki szczęśliwy i beztroski. Owszem, nadal na swój pokrętny sposób kochał Alinę, ale życie z nią pod jednym dachem stało się w ostatnim czasie nie do zniesienia. Wciąż się o coś kłócili, wymagała od niego rzeczy niemożliwych albo takich, do których on sam nie czuł zapału. Praca, koledzy, alkohol – nieustannie słuchał wyrzutów i szczerze mówiąc, miał już tego dość. Rozmowa, która nie tak dawno miała miejsce, ostatecznie rozwiązała wszystkie jego wątpliwości. „Z tej mąki już chleba nie będzie” – podsumował wówczas ponuro i czekał tylko na odpowiedni moment, aby zakończyć ten etap życia. Niedawno zatrudnił się w azjatyckim barze, zajęcie jak zajęcie, głównie smażenie mięsa i warzyw, choć po kilku tygodniach już na samą myśl o oleju ogarniał go odruch wymiotny.

Właściciel przybytku, niemłody już, niziutki Wietnamczyk zwracał się do niego łamaną angielszczyzną, ale może dzięki temu doskonale się rozumieli. Nie zarabiał kokosów, choć nareszcie czuł się na tyle dobrze, by nie szukać szczęścia gdzie indziej. Szef dawał mu wolną rękę. Kolejny interes z jego kolegą nie wypalił, w zasadzie nie doszedł do skutku, z czego Ostrowski się ostatecznie ucieszył. Czuł, że restauracja w tym miejscu byłaby chybionym strzałem, do tego kompletna nieznajomość tematu przez Krzyska przerażała go do tego stopnia, że w porę się wycofał, niewiele przy tym tracąc. „A nie mówiłam – powiedziała wówczas Alina – od razu ostrzegałam, abys się trzymał od niego z daleka. Dobry kompan, ale do kieliszka, w dodatku więcej gada niż robi”. Miała rację, tylko dlaczego mówiła do niego takim tonem? Nieco drwiącym, prześmiewczym, pełnym zdradliwej pretensji.

Otrząsnął się z zadumy na widok Łodzi niosącej na blaszanej tacy kawę i papierosy.

Podniósł się na łokciu.

– Kochana jesteś, zawsze wiesz, czego mi potrzeba... – zamruczał, wyciągnął rękę i chwycił ją lekko za połę szlafroka. Ten odchylił się, ukazując spłaszczone piersi i głębokie zmarszczki na dekolcie. Jakoś mu to nie przeszkadzało, ciało i jego wygląd nie miało już dla niego takiego znaczenia jak

kiedyś. Doszukiwał się głębi we wnętrzu, a nie ideału w starzejącej się po-
włoce.

Zarumieniła się, zasłaniając odruchowo odkrytą nagość.

– Nie patrz na mnie, jestem taka brzydka! – jęknęła bezradnie, z jakimś
dojmującym smutkiem w głosie.

– Jesteś piękna! – zaprzeczył. – Nie musisz się niczego wstydzić.

Pociągnął łyk gorącej kawy i odstawił naczynie z brzdękiem.

– Chodź, połóż się koło mnie.

– Teraz? – spytała z bojaźnią, rozglądając się dookoła. – Jest już widno...
– dodała niepewnie.

– Teraz – odparł spokojnie i uśmiechnął się zachęcająco. – Jakie to ma
znaczenie? W nocy byłaś niesamowita. Już dawno nie czułem takiego
ognia, zaangażowania. To było takie fascynujące i cudowne!

– Naprawdę?

Pośliniła wargi, siadając nieporadnie na brzegu łóżka. Szlafrok znów się
rozsunął, ukazując jej masywne, kształtne uda.

– Ja też... – wyznała nieśmiało, po czym wsunęła się pod kołdrę – pragnę-
łam tego od dawna, bardzo dawna... – zniżyła głos, jakby zawstydzona się
własnych słów.

Rozwiązał supeł paska, rozsunął nakrycie i położył głowę na jej brzuchu,
lekkim wystającym, pofałdowanym, ale miękkim i ciepłym. Jej skóra pach-
niała ojczyzną, za którą nieustannie tęsknił.

W odpowiedzi na tę czułość wsunęła palce w jego włosy i mruczając cicho,
drapała delikatnie skórę głowy. Lubił tę niepozorną pieśczętę, dającą mu
tyle przyjemności, nagle zaczął sobie cenić tę uległość i dobroć w jednym.
Wystarczyło, że pewnego wieczora zadzwonił, a ona zupełnie jakby czekała
na ten telefon. Będąc jeszcze w Warszawie, zaraz po śmierci i pogrzebie
matki, spotkali się w jej mieszkaniu. Współczuła mu szczerze i pocieszała
dobrym, tkliwym słowem. Wtedy jeszcze do niczego między nimi nie do-
szło, choć czuł tę lepkość i wibracje w powietrzu. Po powrocie do Kanady
zaczął wydzwaniać do niej regularnie. Odnalazł w tym kontakcie nieocze-

kiwaną radość, a w Łodzi bratnią duszę, która umiała go jak nikt inny wysłuchać i zrozumieć. Nie krytykowała, nie ganiła, nie wymagała. Tego właśnie teraz potrzebował, nic dziwnego, że z czasem zaczął nawiązywać do jednego tematu. Namawiał ją na przyjazd do krainy klonowego liścia. Im bardziej naciskał, tym gorliwiej odmawiała, tłumacząc się obowiązkami, rodziną, brakiem paszportu i funduszy. Minęło sporo czasu, aż pewnego dnia mocno zdziwił się, kiedy usłyszał: „Jestem gotowa do drogi. Wylatuję za tydzień w piątek. Będę na lotnisku w Toronto w sobotę rano”.

Nie wierzył własnym uszom, jednocześnie wystraszył się nie na żarty. Łodzia chciała to zrobić, a to oznaczało, że jest dla niej kimś ważnym. I co teraz? Co będzie jej w stanie zaoferować w zamian poza kłamstwem i odrobiną przyjemności? Gdzie ją ulokuje? Najpierw pozbierał wszystkie myśli, otrzepał się z wątpliwości i strachu, następnie wynajął tanie mieszkanie na obrzeżach miasta. Jednopokojowe, z maleńkim balkonem na pierwszym piętrze w bloku jednego ze starszych osiedli. Na początek miało to wystarczyć, ale co dalej?

Okazało się, że Łodzia zabrała ze sobą wszystkie oszczędności, planowała zostać tu pewien czas, na razie jeszcze bez większych planów na przyszłość. A co będzie dalej, życie pokaże – uznała.

Czekał na nią z bukietem kwiatów, stał i patrzył przez szklane drzwi na halę przylotów, gdzie kręciła się niepewnie w oczekiwaniu na walizkę. Jeszcze wtedy nie rozumiał do końca powagi tej sprawy, nie zastanawiał się, jak potoczą się dalsze ich losy, co ich połączy, a co podzieli. Do tego rodzina i zobowiązania. Czuł natomiast, że w jego życiu następuje przełom i już nic nie będzie takie samo jak kiedyś.

Salon tonął w półmroku, na ekranie telewizora przeskakiwały jakieś postacie, Rudi leżał na dywanie tuż obok wyciągniętej nogi Antoniego. W jednej ręce, opartej na zagłówku, trzymał szklanekę z trunkiem, który zdążył już lekko zaszumieć w głowie.

– Co to znaczy, że się wyprowadzacie? – wycedził z niedowierzaniem. – I nic dotąd nie powiedzieliście?

– Chcieliśmy na ostatnim przyjęciu – oznajmiła Julka. – Ale kiedy Tośka ogłosiła swoje zaręczyny, nie zamierzałam wam psuć nastrojów...

– Tak się nie postępuje – ciągnął nieubłagane ojciec.

– Tato! Daj już spokój! Co by to zmieniło? – wtrącił się Oliwier stojący obok siedzącej w fotelu żony. – Tyle razy narzekałeś na ciasnotę, a poza tym chcemy otworzyć własny biznes.

– Ach tak! – stęknął drwiąco. – Tyle tajemnic za moimi plecami.

– Nie rozumiem, o co te pretensje – zdumiała się głośno Alina. – Przecież tego zawsze chciałeś. Świętego spokoju. Dzieciaki chcą się usamodzielnąć, co w tym złego?

Antoni pociągnął łyk whisky, skrzywił się i chrząknął tylko.

W innych okolicznościach by się ucieszył, ale wobec planów, jakie niedawno powziął, było mu to cholernie nie na rękę. Zdawał sobie sprawę z tego, że Alina nagle zostanie sama. Z kredytem i utrzymaniem domu. Zawsze sobie jakoś radziła, jego zarobki były wprawdzie nieregularne, ale starał się od czasu do czasu dorzucić coś do raty.

Westchnął ciężko.

– Wypadało chociaż uprzedzić. Nie wiedziałem, że chcesz odejść od Edmunda. Źle ci u niego?

Spojrzał na zięcia, który nerwowo przeszedł się po pokoju. Zatrzymał się przy oknie i patrzył z przygryzionymi ustami w zadrzewioną przestrzeń ogrodu.

– Sam mnie namawiałeś wiele razy na usamodzielnienie się, nie rozumiem... – syknął przez zaciśnięte zęby. Wiesz, jaka jest sytuacja z wujem. Omawialiśmy to niejedną raz.

Julka zerwała się z fotela, aż bokser drgnął i podniósł łeb. Zatoczył ślepiami za jej sunącą przez salon linią prostą postacią. Dołączyła do męża i otuliła palcami jego dłoń. Spojrzał na nią, nie kryjąc czułości.

– To gdzie ten dom? – Antoni westchnął zrezygnowany. – Mam nadzieję, że niedaleko.

– W Barrie – oświadczyła córka, nie odwracając głowy w jego stronę. – To piękne, zaciszne miejsce. Będzie wam się podobało. W dodatku jest duży garaż, idealny na rozkręcenie biznesu.

Alina otaksowała tych dwoje, nie kryjąc dumy. Całkowicie rozumiała ich potrzeby i oczekiwania, oczywiście czuła smutek, ale z drugiej strony zależało jej na szczęściu dzieci.

Podniosła się i podeszła do nich. Zatoczyła łuk ramieniem.

– Będzie dobrze. Nie przejmujcie się, wszystko się z czasem ułoży – mruknęła w ich stronę. – Jesteście młodzi, macie swoje marzenia, plany. Czas tak szybko goni, nie powinno się wszystkiego odkładać na potem. Szkoda życia.

– Dziękuję, mam – odparł wzruszony Oliwier i złożył na jej policzku pocałunek. Julka zrobiła to samo.

Antoni tymczasem odstawił szklanekę i stęknął, zanim wy dostał się na dobre z głębokiego, miękkiego mebla.

– Gdyby coś, zawsze możecie na mnie liczyć. Pomogę wam przy tym interesie – dołączył do nich i klepnął zięcia po ramieniu.

– Naprawdę, tato? – Julka niedowierzała.

– Naprawdę – oznajmił, a potem cofnął się kilka kroków, stanął na środku salonu i patrząc na dwoje nadal zakochanych w sobie ludzi, powiedział do własnych myśli: – Oby im się tylko udało.

Rozdział 25

Działka w Kruszowie niedaleko Tuszyna prezentowała się imponująco. Zajmowała powierzchnię około pięciu tysięcy metrów, z czego spora część była zalesiona w większości drzewami liściastymi. Nie brakowało tu klonów, dębów, buków oraz uroczych, sędziwych brzoź. Na pozostałym terenie Weronika zorganizowała wspaniały ogród ze skalnikiem, oczkiem wodnym, strumykiem i kładką, z wkomponowanym doń rozłożystym, parterowym domem z poddaszem użytkowym. Budynek był już niemal na ukończeniu, właśnie doczekał się zewnętrznej elewacji w postaci tynku dekoracyjnego, eleganckiej podbitki i rześistego oświetlenia. Prostopadły, zadaszony taras został oklejony kolorowymi płytkami, schodziło się z niego bezpośrednio do ogrodu wybetonowanego stopniami obłożonymi gresem. Kilka osób z ekipy budowlanej kręciło się jeszcze po terenie, kiedy Tadeusz wrócił z dość długiego spaceru po lesie i nie wiedząc, co ze sobą zrobić, zaczął wyrywać chwasty z dopiero co posianej trawy. Sapał przy tym jak parowóz, ale wysiłek sprawiał mu przyjemność.

– Tato, co robisz?

Córka, która właśnie zajechała przed nowo postawioną bramę swoją elegancką toyotą corollą, wyłączyła silnik i udała się bezpośrednio w miejsce, gdzie kuczał zajęty usuwaniem perzu i pokrzyw. Wymachiwała przy tym torbką, z której rzucały się w oczy ogromne złote litery jakiejś znanej marki. Miała na sobie dres – czarny, z błyszczącymi lampasami i krzykliwym nadrukiem z przodu bluzy. Musiał przyznać, że ostatnio gust córce się zmienił. Czy na dobre? Nie potrafił tego stwierdzić. Kiedyś ubierała się z wyszukaną prostotą i skromnością, teraz epatowała drogą, zachodnią tandetą.

– Jak to co? Wyrrywam chwasty.

– Ale po co? – zdumiała się, potrząsając energicznie głową. – Nie trzeba. Jutro przyjdzie ogrodnik i to zrobi. Ty masz odpoczywać.

W tej samej chwili w jej zdobnej torbie coś zabrzęczało. Sprawnym ruchem wyciągnęła z niej prostokątny szary przedmiot z mnóstwem klawiszy na froncie.

– Słucham? – rzuciła do słuchawki. – Kiedy pani przyjedzie? Jutro? Nie, to niemożliwe, do jutra nie zdążymy zapakować tej partii. Potrzebuję jeszcze dwa dni! – dodała z naciskiem.

Ktoś po drugiej stronie łącza westchnął ciężko, zgadzając się tym samym na zaproponowany termin.

Weronika odetchnęła z ulgą, pakując komórkę na powrót w poprzednie miejsce.

Tadeusz omiół córkę wzrokiem.

– Odpoczywać? – sarknął niechętnie. – Bardziej się zmęcę odpoczywaniem niż robotą.

Spojrzała na niego z niezrozumieniem, aż nagle w jej mocno podkreślonych tuszem oczach pojawił się błysk.

– Tato, a może zjemy coś razem? Przecież na pewno jesteś głodny. – Przytknęła upstrzoną pierścionkami rękę do czoła, jakby dopiero coś sobie uświadomiła. – Przecież jesteś tu od rana, na śmierć zapomniałam!

Uśmiechnął się tylko i nie zaprotestował. Zdał sobie właśnie sprawę, że chodząc po lesie, wdychając głęboko wiejskie powietrze, rozmyślając, cofając się wspomnieniami i analizując szczegółowo własne życie, całkowicie zapomniał o takiej doczesnej sprawie jak jedzenie. W dodatku ten zapach żywicy i roślin, śpiewające wokół ptaki i skaczące po gałęziach wiewiórki wprowadziły go w stan głębokiej nostalgii.

– Wiesz co, masz dobry pomysł. Pójdę tylko zmienić ubranie i umyć ręce.

Przytaknęła, rozglądając się z dumą dookoła. Nigdy nie sądziła, że zrobi się kiedyś takiej pięknej posiadłości. Ostatnio dokupiła sąsiadujący z jej działką kawałek zalesionego terenu, dzięki czemu spełniła swoje ko-

lejne marzenie o posiadaniu własnego lasu. Jej dom wyróżniał się spośród innych w okolicy nie tylko nowoczesną bryłą, z garażem, ale drogim wykończeniem, dokładnie takim, jaki wypatrzyła w zachodnich katalogach. Dużo czasu zajęło jej wyszukiwanie odpowiedniej dachówki, tynków czy ogrodzenia, nie mówiąc już o wnętrzu, które dopracowane było w najdrobniejszych szczegółach. Teraz na jej głowie były jeszcze zasłony, firany i meble. Nie mogła podjąć decyzji co do kolorów, gatunków tkanin czy odpowiedniej faktury.

– Jakie to trudne! – wzdychała czasem mężowi do ucha, który kompletnie na tym się nie znał. Ufał jednak żonie na tyle, aby takie decyzje pozostawić jej.

– Dasz radę – pocieszał, spoglądając na rozemocjonowaną Weronikę z lekkim przymrużeniem oka. Wszystko przeżywała dwa razy bardziej od niego, choć tak naprawdę doskonale sobie ze wszystkim radziła.

– Ja też jestem głodna! Dopiero co odjechał transport z towarem. Zbyszek jeszcze ślęczy nad papierami, ale ja już miałam dość. Ile można? – zawołała kokieteryjnie.

Tadeusz nie powiedział nic, tylko wszedł do domu, gdzie wciąż kręcili się jacyś fachowcy. Jedni ustawiali meble, inni malowali ściany, przykręcali żyrandole, a jakiś mężczyzna w kombinezonie kończył właśnie okładać kominiek piaskowcem. Musiał przyznać, że wszystko razem wyglądało wręcz imponująco. Jak ona to robiła? – zastanawiał się czasem. – Po kim odziedziczyła ten spryt w prowadzeniu przedsiębiorstwa. Czyżby po dziadku Lucjanie? Fakt, czasy temu sprzyjały. Wszystko sprzedawało się na pniu i jak ktoś miał w sobie choćby trochę tak zwanej żyłki do interesów, mógł się dorobić w bardzo krótkim czasie. Takich jak jego córka było w okolicy coraz więcej. Miejscowi mówili o nich – krezusi. Rozbijali się drogimi samochodami, budowali domy, ubierali się w markowe ciuchy i korzystali z życia, ile wlazło. Wczasy w Bułgarii, Turcji czy we Włoszech. Weronika z rodziną wyjeżdżała kilka razy w roku. W Kanadzie byli tylko raz, najwyraźniej coś im nie podeszło. Nie dopytywał, nie drążył, nie chciał żadnych

zgrzytów. On sam wolał zdecydowanie spokojniejsze i skromniejsze życie, do jakiego przez lata się przyzwyczyił.

Przemknął się do łazienki, która za każdym razem, kiedy do niej wchodził, zaskakiwała go przepychem i elegancją. Ozdobiona w kilku miejscach fantazyjnymi dekoracjami, z ogromną, szklaną kabiną natryskową, białymi meblami ze złoceniami i różową umywalką robiła na nim ogromne wrażenie.

Kolejny raz zerknął na swoje odbicie w lustrze. Zobaczył starca z siwymi włosami, podłużną twarzą oznaczoną pionowymi bruzdami, zgarbionego, z zaciśniętymi ustami. Jego szaroniebieskie oczy nie płonęły już takim blaskiem co kiedyś. Nie czuł się staro, wręcz odwrotnie. Dlaczego więc tak wyglądał? Zadawał sobie to pytanie, ale nie znajdował odpowiedzi.

Zmoczył ręce i zaczesał włosy do tyłu. Zamienił rzeczy na czyste, po czym wyszedł na zewnątrz budynku. Lekki powiew wiatru przyjemnie otulił mu twarz. Jego córka dyskutowała zawzięcie z jakimś fachowcem ubranym w szary, poplamiony uniform, który trzymając ręce w kieszeniach, oparty był o filar ganku. W pewnej chwili uniosła głos, warknęła, choć mężczyzna nie wykonał w odwecie żadnego gestu.

– Jak to szambo za miesiąc? Ja potrzebuję już!

Wzruszył obojętnie ramionami.

– Nie da rady, szefowa. Mam zamówienia, terminy gonią.

– Płacę, to wymagam! – wycedziła.

Roześmiał się pobłaźliwie i kpiąco. Wyciągnął z kieszeni papierosa i odpalił go demonstracyjnie.

– Nie pani jedna płaci, teraz takich jak pani to na pęczki. Każdy coś chce, każdy płaci i wymaga!

– Nic mnie to nie obchodzi! Za dwa tygodnie zamierzam się tutaj przeprowadzić! Szambo ma być i już!

Machnął ręką i wycofał się do samochodu zaparkowanego pod płotem. Pociągnął jeszcze kilka machów, po czym rzucił niedopałek pod nogi i zmiażdżył go butem.

Fuknęła, zrobiła się czerwona ze złości i wykonała zwrot na pięcie.

– Gotowy, tato?

Skinął głową.

Byli gdzieś w połowie drogi do baru przy trasie, gdzie serwowano kapuśniak, żur i kopytka z gulaszem, gdy zapytał:

– A co z mieszkaniami na Piotrkowskiej i Lipowej?

Nastąpiła niezręczna chwila ciszy. Młoda kobieta chrząknęła tylko, ściągnęła czarne, ładnie zarysowane brwi, otworzyła usta, aby coś powiedzieć, ale znów zabrzączał telefon. Wcisnęła przycisk i w jakimś nerwowym tonie przeprowadziła nieprzyjemną rozmowę z pracownicą szwalni.

– W głowach się wszystkim przewraca! – syknęła. – Znów następna chce wziąć urlop. A kto będzie pracował? Z wściekłością wrzuciła do kieszeni radiomagnetofonu kasetę z nagraniami grupy Bajm, odbiornik zatrzeszczał obiecująco, po chwili rozbrzmiała głośna, miła uszom muzyka. Tadeusz wsłuchiwał się w słowa śpiewającej Beaty o dwóch sercach i dwóch smutkach, kiedy wreszcie auto wtoczyło się na rozległy parking zastawiony innymi samochodami.

– Jesteśmy na miejscu! – zakomunikowała Weronika, ściągając z tylnego siedzenia torebkę. – Żurek dają tu wyborny, sam zobaczysz!

Uśmiechnął się kwaśno, ale nie na myśl o zupie, tylko zaniepokoiło go zachowanie córki. Wietrzył jakiś podstęp, a przecież Stefka, kiedy żyła, mówiła, że Felek podarował jej mieszkanie z myślą o dzieciach i wnukach. Skoro tak, to chodzi i o Weronikę, i o Antoniego. Po równo. Z ostatniej rozmowy z synem wywnioskował, że ten tęskni za ojczyzną i pragnie jak najszybciej wrócić do Polski. Gdyby miał jakieś lokum, byłoby mu łatwiej się zdecydować. A przecież jest jeszcze Piotrkowska. To mieszkanie powinno również iść do podziału.

– Co się dzieje z tą dziewczyną? – jęknął w duchu, nieco poirytowany. – Im ma więcej, tym robi się coraz bardziej skąpa i chciwa.

Na szczęście nie zwróciła uwagi na jego utyskiwania, tylko pewnie wkroczyła do środka śmierdzącego starym olejem budynku. Wokół roznosił się

dym z papierosów, goście, siedząc przy drewnianych stolikach, pałaszowali dania, popijając je piwem. Podeszła do baru, nad którym wisiała niedbale napisana karta dań. Ostentacyjnie rzuciła torebkę na dość niski blat i nie pytając ojca o preferencje, złożyła zamówienie.

Znów siedział na cmentarnej ławce, zanurzony w myślach o dawnym życiu. Drobna mżawka oblepiała jego płaszcz, spływała po ściankach palących się zniczy, po płatkach kwiatów i czerwonej wstążce wiązanki, którą przyniósł. Na płycie utworzyła się cieniutka warstwa skroplonej wody. Las szarych, smutnych nagrobków i rozłożonych gęsto krzyży ciągnął się aż pod sam parkan, kiedy podnosił głowę i nieruchomym, szklistym wzrokiem spoglądał przed siebie. Szarość spowijała okolicę, wrony i kruki skrzeczały, kołując nad ziemią, tworząc nad jego głową ruchomą tarczę. W koronach drzew pohukiwało, czasem w zaroślach rozległ się jakiś furkot. Tadeusz znów widział siebie i Stefanię biegnących nocą ulicami miasta, na lekkim rauszu po potańcówce ze znajomymi, roześmianych beztrosko. Podśpiewywał wtedy zbyt głośno przebój Marii Koterbskiej – *Karuzela*. Pewna zgorzkniała mieszkanka kamienicy zareagowała na to ich zachowanie w dość nieprzyjemny sposób. „Zamknij mordę! Ludzie tutaj śpią!” – ryknęła przez otwarte okno, co ich wtedy niewiele obeszło. Sytuacja ta wydawała się wówczas zabawna, przemknęli skuleni pod jej oknem i rozweseleni, niczym para małych urwisów pobiegli dalej w stronę Piotrkowskiej.

Jakiś żal ścisnął mu serce na tamto wspomnienie młodości, a także wielkiego uczucia, które ich połączyło. Wprawdzie z nadszarpniętym zaufaniem, z widmem jego zdrady, a jednak z kolejną szansę od losu. Wybaczyła mu wówczas. A mimo to – nie wykorzystał jej.

Głupi był – podsumował gorzko. – Taki niefrasobliwy i nieodpowiedzialny. Jednym ruchem zniszczył wszystko, nie bacząc na dzieci i ich wspólne dobro.

Może właśnie dlatego poczuł się teraz w jakimś niezrozumiałym sensie strażnikiem jej pamięci. Był to w końcu winien, a skoro jej wola była taka,

żeby dzieci podzieliły się po połowie, będzie musiał zrobić wszystko, aby ta się wypełniła. A swoją drogą, jak Weronika to sobie wyobrażała? Przecież to Antoni wykupił mieszkanie na własność w czasach jego dobrej passy. Córka wówczas nie miała pieniędzy, za to syn stwierdził, że skoro je ma, należy to mądrze wykorzystać. Dowiedział się o tym oczywiście od Stefanii, z którą po śmierci Hanny nierzadko prowadził szczere, otwarte rozmowy. Jednocześnie Tadeusz odniósł wrażenie, jakby chciała mu jak najwięcej przekazać, aby kiedyś on sam w jej imieniu domagał się sprawiedliwości. Wiedział, że pieniądze mogą poróżnić, chociaż on nigdy nie chciał spłaty z mieszkania w Kaliszu. Jego siostra Urszula już bez tego wiodła ciężkie życie, chora córka, mąż alkoholik i wiązanie z trudem końca z końcem. Współczuł jej, bo z tej przebojowej, pewnej siebie kobiety nic nie zostało.

Westchnął z zalem, po czym podniósł się z ławki i ciężkim krokiem ruszył w kierunku bramy. Jeszcze raz obejrzał się za siebie, omiótł wzrokiem kamienną płytę, potem postawił kołnierz płaszcza i wcisnął na głowę kapełusz.

Jaką miał pewność, że Antoni z żoną wrócą do Polski i osiedlą się tutaj na stałe? Żadnej, ale nie mógł takiej ewentualności wykluczyć. Byłoby wspaniale, gdyby tak się stało. Miałby wreszcie z kim spędzać czas, grać w karty i popijać koniaczek. Jego córka była tak pochłonięta zarabianiem pieniędzy, że nie zwracała uwagi na nic, nawet jej własne dzieci niewiele ją obchodziły. Małgośka nadal bujała w obłokach, a Filip, choć jeszcze dzieciak – poszedł w jakieś komiksy i dziwnych kolegów. Bo jak mógł myśleć o kimś, kto nosi spodnie z krokiem poniżej kolan? Jedyne zięć zadzwonił od czasu do czasu, a nawet wpadał z zakupami. Dobry był z niego człowiek, niestety zbyt wpatrzony w żonę. Nikt nie przejmował się starym, schorowanym dziadkiem poza drobnymi wyjątkami. Nikt.

Rozdział 26

Minęło już pół roku, odkąd przeprowadzili się do własnego domu w Barrie i zaczęli sami składać filtry. Julia jeszcze do niedawna zamierzała podjąć dalszą edukację i nauczyć się sztuki masażu, ale nawet obowiązków zniweczył jej plan. Kontrahentów przybywało z tygodnia na tydzień, ponieważ niektórzy klienci, zwłaszcza Niemcy, zrezygnowali ze współpracy z wujem Edmundem i poszli za Oliwiera. Wujek zresztą na wieść o planach młodych Braunów mocno się na wszystkich obraził. Zerwał wszelkie kontakty z całą rodziną Ostrowskich, łącznie z Aliną, do której czuł dotychczas największą słabość. Twierdził, że wychowała zmię na własnej piersi i gdyby nie ściągnęła do siebie z Niemiec córki i jej sprytnego mężusia, nigdy by do tego nie doszło. Sytuacja wymknęła się spod kontroli, padły obraźliwe słowa i oskarżenia, co w przypadku wujka było raczej nieuniknione. A przecież nikt mu niczego nie ujął, nie zabrał, nie ukradł. Został ze swoją firmą, która była w zdecydowanie lepszej kondycji, niż zanim przyjął do siebie Oliwiera. Ale o tym jakby zapomniał, liczyło się to, że odszedł i otworzył własną, wykorzystując wszystkie powierzone mu sekrety, znajomości, kontakty.

Na to już jednak młodzi nie mieli wpływu, więc w ramach rekonwalescencji, aby wyleczyć zranione uczucia po tej strasznej awanturze, wybrali się na krótki weekendowy wypad w góry. Akurat zaczęła się zima, spadły pierwsze śniegi, wynajęli przytulny apartament z widokiem na ożywione o tej porze miasteczko, ciesząc się jak dzieci z uroków tego wyjątkowego miejsca. Laura zapragnęła nauczyć się jazdy na nartach, więc zabawy przy tym było co niemiara. Julia nie mogła się napatrzeć na uroczą filigranową

osóbkę w czerwonym kombinezonie i czapce z wielkimi uszami jak u królika, która z zarumienionymi policzkami usiłowała wykonywać pierwsze, nieporadne kroki. Nie przejmowała się tym, że często upadała i nabiła sobie siniaków, wykazała się twardym charakterem, co tylko radowało oboje rodziców. Jakże bezwarunkowo kochali tę istotkę!

A kiedy po tych wszystkich fikołkach, próbach, wygibasach udali się na zasłużony obiad, który zjedli we troje we wnętrzu pachnącej aromatycznie, klimatycznej restauracji, najbardziej obleganej przez turystów, Julia mimo woli wróciła pamięcią do swojego dzieciństwa, kiedy jeszcze jej ojciec udzielał się w gastronomii i był zupełnie innym człowiekiem. Na tę myśl łąza zakręciła się jej w oku, ale szybko ją otarła, nie chcąc, aby dostrzegł ją mąż.

Ten cudowny, beztroski czas minął jak z bicza strzelił i zanim się obejrzeli, trzeba już było wracać do domu. Na szczęście już do własnego, gdzie nikt im niczego nie wytykał, nie zabraniał. Domu, który Julia urządziła po swojemu, wkładając w to przedsięwzięcie całe swoje serce. Salon z kuchnią postanowiła utrzymać w eleganckiej bieli, przełamując ją naturalnym drewnem i kamieniem. Poddasze musieli przyjąć w stanie pozostawionym po poprzednich właścicielach, zwyczajnie zabrakło im funduszy. W pokoju Laury królował blady róż, natomiast ich sypialnię spowijała romantyczna herbaciana poświata. Nie było źle, dlatego machnęli ręką, odkładając zmiany na lepsze czasy.

Firma ku ich radości rozwijała się w niesamowitym tempie, a kiedy udało im się wysłać pierwsze zamówienie w oszałamiającej dla nich liczbie tysiąca sztuk – nie kryli entuzjazmu. Z tej okazji wypili wieczorem szampana, nie spodziewając się nawet, że to dopiero początek ich dobrej passy.

Kolejne miesiące sprawiły, że musieli zatrudnić nowych ludzi do składania filtrów, a tym samym w garażu robiło się coraz ciasniej. Nie mówiąc o dokumentach, które coraz częściej zalegały na blacie w kuchni i zaczęły być łąkowym kąskiem dla ich kilkuletniej córeczki. Nieraz wykorzystwała kartki

do swoich prób rysunku, co w konsekwencji okazywało się bardzo problematyczne.

Tymczasem przed ich domem co rusz zawijały pętlę różne dostawcze samochody. Jedne przywoziły części, inne odjeżdżały załadowane gotowym towarem do wysyłki. Sąsiadom zaczęło to przeszkadzać, coraz częściej pukali do ich drzwi i wnosili skargi. „Za głośno” – powtarzali jak mantrę. „Zakłócają państwo nasz spokój, auta rozjeżdżają drogę...”

Tych zażaleń było znacznie więcej, a z czasem zaczęły trafiać na policję.

Pewnego wieczora, po ciężkim dniu i kolejnej interwencji władz, zasiedli przed skwierczącym ogniem kominkiem i zaczęli radzić, co robić dalej. Laura już spała, mogli więc w spokoju omówić dręczące ich problemy.

– Powinniśmy znaleźć nowy lokal – stwierdził stanowczo Oliwier. – Tutaj robi się nie do wytrzymania. Niedługo sąsiedzi nie dadzą nam żyć.

Julia kiwnęła głową, odsunęła zaczerwienioną twarz od ognia, który odbił się w jej oczach błyszczącymi iskrami.

– Rozejrzę się po okolicy, prześledzę ogłoszenia – oznajmiła. – Zgadzam się z tobą w zupełności, kochanie.

Zerknęła w jego stronę, głęboko zamyślonego, ściskającego kurczowo szklankę z herbatą.

– Ja również mam dość tej sytuacji... – Chrząknęła wymownie, zawijając odruchowo włosy wokół dłoni, założyła też nogę pod siebie, jak to miała w zwyczaju. – Ale... to oznacza, że idziemy do przodu, nieprawdaż?

Oliwier ocknął się, omiół ją nieco zaskoczonym spojrzeniem.

– W sumie... chyba masz rację – przyznał i uśmiechnął się łobuzersko. – Firma się rozwija, mamy nowe kontrakty, idziemy do przodu. Ta sytuacja jest tylko przejściowa.

Znów omiotła go czułym spojrzeniem.

– Widzisz, a tak się bałeś zacząć...

– Początki są zawsze trudne, zwłaszcza że rzuciliśmy się od razu na głębokie wody – odparł rzeczowo. – Dom, przeprowadzka, firma... – Dużo jak na jeden raz.

– Dużo, owszem... – mruknęła z zadowoleniem, upijając z ogromnego kubka z namalowanym liściem klonu łyk herbaty. – Ale... Jak to w Polsce mówią? Kto nie ryzykuje, ten w kozie nie siedzi.

Zaśmiał się lekko i wstał. Podszedł do niej i objął głowę rękami. Chwilę pieścił palcami jej włosy, potem pochylił się i dotknął ich wargami.

– Jak to dobrze, że mamy siebie. Nie wyobrażam sobie życia z inną kobietą.

Zadarła brodę, przymknęła powieki i pozwoliła się pocałować.

– A ja z innym mężczyzną – szepnęła czule. – Chodźmy lepiej do sypialni, nie traćmy więcej cennego czasu.

– Chodźmy! – zgodził się od razu, zgarnął ją jednym ruchem z fotela i trzymając cały czas na rękach, pognął w górę schodów.

– Tak, mamo, wszystko u nas w porządku. A u ciebie?

Alina siedziała w fotelu z drinkiem i słuchawką przy uchu. W domu nie było nikogo oprócz Rudiego, który swoim zwyczajem leżał rozciągnięty obok jej nogi. Za oknem prószył śnieg, oblepiając białą puszystą powłoczką rosnące przed domem choinki. W kominku palił się ogień, z głośników po-brzmiewały ciche takty fortepianu.

– Nadal bolą cię plecy?

Westchnęła ciężko, słysząc długi wywód rodzicielki na temat jej ostatnich dolegliwości. Ataki duszności, kaszel, wzdęcia, kręgosłup... Wymieniać można by bez końca. Tak było co niedzielę. Od lat właśnie w tym wolnym dniu od pracy Ostrowska dzwoniła do matki, aby usłyszeć jej głos. Bez względu na to, czego się dowiedziała, te rozmowy dodawały jej siły. Gdzieś wewnątrz czuła, że są potrzebne nie tylko jej, ale również matce. Zbyt szybkie odejście taty, a jej męża, którego kochała do szaleństwa, bardzo ją zmieniło. Nie tylko podupała na zdrowiu, ale stała się jakby mniej złośliwa, wymagająca, a dla odmiany – bardziej czuła. Alina słyszała te wibracje w słuchawce, jej cieplejszy głos z nutą tęsknoty i tkliwości. Nigdy wcze-

śniej matka taka nie była, dlatego te wymiany myśli stały się dla ich obu jakimś w pewnym sensie porozumieniem dusz.

– A jak się czuje pani Rysia? Nadal uwielbia słodczyce? – Alina celowo zmieniła temat rozmowy.

– Tak, tak... – przytaknęła Aldona Wolińska. – Michałki i krówki to jej największy nałóg, jak sama mówi.

Zresztą... – zachnęła się – i ja czasem nimi nie pogardzę.

– Powinnaś uważać, mamó, na cukier. Ostatnio miałaś gorsze wyniki...

– Ech, co zrobić? Starość, nie radość. – W słuchawce rozległ się głos przepełniony żalem. – A co u Tośki? Słyszałam, że się zaręczyła. Fajny ten przyszły zięć?

Ostrowska poprawiła się w fotelu, upiła łyk drinka, po czym sapnęła:

– Całkiem udany, nie ma co narzekać.

– To dobrze. Cały czas się o was martwię. W dodatku miewam takie okropne sny. Wciąż was widzę osobno albo martwych.

– Kogo? – wtrąciła córka, nie kryjąc ciekawości.

– No ciebie i Antka.

Alina przełknęła głośno ślinę, nie wiedząc, co powiedzieć. Wreszcie bąknęła:

– Mamó, w snach bywa zwykle na odwrót. U nas wszystko w porządku. Kochamy się jak dawniej, szanujemy. Naprawdę nie musisz się martwić.

Tylko ona wiedziała, ile kosztują ją te kłamstwa. Czowała jednak, że tak będzie lepiej dla nich wszystkich. Prawda, która jej ciążyła na sercu, mogłaby tylko matce zaszkodzić.

– To dobrze, od razu mi ulżyło. – Wolińska westchnęła ciężko. – Kiedy zamierzasz mnie odwiedzić?

Córka ściągnęła usta nieco skonsternowana. Na szczęście matka tego nie widziała.

– Trudno mi powiedzieć. Wiesz, jak to jest... Chciałabym jak najszybciej, może jeszcze w tym roku?

– W tamtym mówiłaś to samo – zganiła ją z wyrzutem. – Wciąż tylko obiecujesz i obiecujesz.

– Wiem, mam, wiem... – odparła Alina ze skrucą. – Tylko to nie jest takie proste, jak myślisz. – Praca, kredyt, obowiązki, a wreszcie koszty – wyliczała skrupulatnie bolejącym głosem.

– A jednak Antek znalazł czas i pieniądze, aby przylecieć. – Wolińska przystąpiła do ataku. – Nawet mnie odwiedził. – Cmoknęła do telefonu.

Alina potwierdziła ciężkim głosem, po czym zamieniła z matką jeszcze kilka grzecznościowych formułek. Zawsze tak robiła, kiedy już chciała zakończyć. Ta rozmowa i tak będzie ją sporo kosztowała. Ale trudno. Pożegnała się i odłożyła słuchawkę na aparat.

Oparła głowę o zagłówek, przymykając na chwilę powieki. Znow uświadomiła sobie sytuację, w której się obecnie znajdowała. Antoni już prawie nie mieszkał w domu. Bywał w nim coraz rzadziej. Czasem wpadł, aby coś dorzucić do raty i opłat. To wszystko. Odwiedzał za to starszą córkę i zięcia, pomagał im w interesach, co owszem – było chlubne, ale ona odnosiła wrażenie, jakby celowo szukał pretekstu do bycia gdzieś, tylko nie tu.

Ta obojętność stała się taka trudna. Z drugiej strony, nie zamierzała dalej brnąć w te mistyfikacje i niedopowiedzenia. To już nie miało sensu. Kilka dni temu powzięła ostateczną decyzję o rozwodzie i sprzedaży domu. Ona też chciała żyć, mieć więcej czasu dla siebie, dla dzieci i wnuczki, poza tym – nadal czuła się młoda i atrakcyjna. Miała już dość tej nieustającej harówki od rana do wieczora, skoro nie otrzymywała w zamian żadnej wdzięczności i zrozumienia. Dość tego! – postanowiła spojrzeć na świat za oknem z zupełnie innej perspektywy.

Śnieg dalej prószył, zasypując ogród, w który przez lata włożyła tyle serca. Teraz zrozumiała, że będzie go musiała zostawić i odejść. Jeszcze nie wiedziała dokąd, ale ta świadomość nie zabolą już tak bardzo.

Antoni leżał w wannie, delektując się spokojem i ciszą. Po długim dniu wyczerpującej pracy w barze, a potem jeszcze kilku godzinach spędzonych w firmie dzieci czuł, że należy mu się relaks. Właśnie z tego powodu nie wrócił do domu, tylko do mieszkania Łodzi, gdzie mógł otrzymać dokładnie to, na co zasługiwał – czułość, zrozumienie i opiekę. Ta kobieta nie oczekiwała od niego niczego w zamian. Wystarczy, że był obok, wspierając ją swoim silnym, męskim ramieniem i dobrym słowem. Wszystko w jej zachowaniu było cudowną odmiennością, jakiej się już raczej w tym wieku nie spodziewał. Witła go w drzwiach z uśmiechem na twarzy, z parującym obiadem w kuchni, czułym dotykiem rąk i gorącym ciałem spragnionym bliskości. Żarliwa rozmowa na różne tematy stała się dopełnieniem ich wzajemnych relacji.

– Ach, Łodzia! – jęknął, przypominając sobie niedawne harce w łóżku i wszystkie wyszeptane w wielkim uniesieniu słowa. – Jakaś ty jest słodka.

– Co mówiłeś, kochanie? – Jak na zawołanie w łazience zmaterializowała się postać kobiety w dojrzałym wieku, ubranej tylko w błękitny szlafrok w białe serca. – Wołałeś mnie?

– Taak... – mruknął, wyciągając doń rękę. – Chodź do mnie!

– Ale ja... – znów się zawstydzila niczym nastolatka. – Ale obiecaj, że odwrócisz głowę.

– No dobrze – uspokoił ją. – Choć nie rozumiem twoich obaw. Jesteś taka piękna! Mówiłem ci to przecież.

Zachęcona jego komplementem i wyznaniem, rozwiązała supeł paska i zsunęła z siebie okrycie. Zgodnie z obietnicą zamknął oczy i skierował wzrok na ścianę.

Usłyszał delikatny plusk, po czym poczuł znajomy dotyk.

– Już, możesz otworzyć.

– Cudownie! – szepnął zachwycony i musnął palcami skórę jej ramion. – Musimy tak robić częściej.

Zachmurzyła się nieoczekiwanie.

– Z żoną też tak robiłeś? – spytała z wyczuwalną zazdrością w głosie.

Spojrzał na nią, nie kryjąc smutku w lśniących, niebieskich tęczęwkach oczu.

– Kiedyś, jak jeszcze mieszkaliśmy w Warszawie. Stare dzieje!– westchnął z żalem.

– A potem i teraz? – drążyła, chcąc dowiedzieć się jak najwięcej o swojej rywalce.

– Ostatnio nigdy. A przedtem... – pokręcił z rezygnacją głową. – Prawdę mówiąc, nie pamiętam. To wszystko zaczęło się zmieniać w Hamm. Wtedy nie mieliśmy swojej łazienki. Kochaliśmy się w jednym wspólnym pokoju z dziewczynkami, uważając, aby nas nie usłyszały. Jednak te zbliżenia nie były już takie intensywne, gorliwe jak niegdyś.

– Alina była zawsze taką piękną i pewną siebie kobietą – stwierdziła w pewnej chwili jego towarzysza. – Wszystkie zazdrościłyśmy jej urody, elegancji, ubrań i... ciebie rzecz jasna.

Zdziwiony, nieco rozbawiony, uniósł krzaczaste brwi.

– Wszystkie?

Otuliła dłońmi jego twarz i przesunęła palcami po skroniach.

– Przecież wiesz. Nie kokietuj. – Uśmiechnęła się z pobłażaniem. – Nie chcę nawet wymawiać ich imion. Nie znosiłam ich.

Zmrużył oczy.

– Byłaś zazdrosna?

– Tak, byłam – przyznała bez odrobiny skruchy. – Cholernie zazdrosna.

Chrząknął wymownie, potem chwycił jej serdeczny palec i włożył go sobie do ust. Gdy musnął językiem opuszkę, kobieta zadrżała.

– Nie miałem pojęcia. – wyznał po chwili. – Gdybym wiedział...

– Nic byś nie zrobił! – przerwała mu. – Kochałeś swoją żonę jak wariat! Wszyscy to wiedzieliśmy. Nie rozumiałam tylko dlaczego ją zdradzałeś, to było okropne, obrzydliwe. – Skrzywiła się, nie kryjąc oburzenia.

Westchnął głęboko kolejny raz.

– Sam nie wiem – stwierdził, wzruszając ramionami. – To było silniejsze ode mnie, niczym jakiś cholerny narkotyk, tylko że później dopadały mnie wyrzuty sumienia.

– Więc dlatego dałeś się namówić na wyjazd?

Zrezygnowany, skinął głową.

– Myślę, że tak. Było wystarczająco dużo powodów, aby to zrobić.

Oblizała wargi i spojrzała na niego spod przymkniętych powiek.

– Nic nie dzieje się bez przyczyny, kochanie. Wszystko ma swoje miejsce i czas. To, co było kiedyś, i to, co jest teraz. Najważniejsze, że w końcu się odnaleźliśmy.

– To prawda – przyznał cicho i powoli, nie odrywając od niej oczu. Właśnie w tej chwili dostrzegł bijący od niej niezwykły blask, jednocześnie poczuł, że jeśli zaraz jej nie dotknie, straci szansę jedną na milion, aby znów poczuć się szczęśliwym.

– Nie traćmy czasu, kochanie – mruknął zachęcająco. – Ani jednej chwili.

Rozdział 27

Patrzył, jak latarnie jedna po drugiej zaczynają gasnąć. Łódź budziła się z nocnego letargu, rozdzierając ciszę łoskotem przejeżdżających tramwajów, stękających w korkach aut, zgrzytających śmieciarek i pojedynczych głosów. Na przystankach zaludniło się od podróżujących, wszyscy gdzieś się chcieli dostać, kuląc się z zimna, przestępując z nogi na nogę, chowając głowy w czapkach, chroniąc szyję kokonami grubych szali i chust. Gdyby nie musiał rano jechać na badania, pewnie nic i nie zmusiłoby Tadeusza do tak wczesnego wstania. Mróz tego dnia był siarczasty, choć śnieg przestał padać, dzięki czemu ulice były w miarę przejezdne. Tymczasem dreptał pośród innych, szczękając z zimna, klaszcząc w skostniałe dłonie ukryte w grubych rękawicach, czekając niecierpliwie na opóźniającego się autobus. Wreszcie przyjechał, załadowany do granic możliwości, świszcząc przed nosem automatycznymi drzwiami, które zdradziecko zaczęły się otwierać i zamykać. Ostrowski chwycił za uchwyt w wejściu i zbierając w sobie wszystkie siły, wskoczył do środka. Odetchnął z ulgą, kiedy pojazd burknął, charknął i potoczył się dalej. Istniała szansa, że zdąży na czas.

– Dokąd ci się właściwie spieszy? – zadał sobie w pewnej chwili po cichu pytanie, patrząc na uciekający krajobraz za oknem. Musiał dostać się aż na Widzew, w takich pogodowych warunkach miał przed sobą ponad pół godziny jazdy. – Przecież nikt na ciebie nie czeka poza burym, liniejącym kotem. Nikt. No, może sąsiadka z dołu, która pilnie, niczym detektyw Sherlock Holmes, strzegła każdorazowo jego wyjść z bloku. Nie lubił wścibstwa, dlatego w zasadzie unikał jej towarzystwa. Halinka Przytułska w ostatnim

czasie wyjechała do dzieci aż do Wrocławia, zgodziła się na pilnowanie wnuka, co u Tadeusza wywołało nieoczekiwany smutek. Od dłuższego czasu czuł się cholernie samotny i mimo częstych wycieczek na cmentarz albo na wieś do Kruszowa ten przedziwny, dojmujący stan coraz bardziej panoszył się w jego życiu.

Ostatnie problemy ze skaczącym ciśnieniem zmusiły go do podjęcia działań w kierunku przebadania się, jednak myśląc o tym wszystkim, analizując dobre i złe chwile, naszedł go jakiś żal za utraconą bezpowrotnie młodością. Nieraz wspomniał swoje dokonania w sferze uciech cielesnych, wigor i aktywność, których mógłby mu pozazdrościć niejeden stetryczały wówczas kolega. Gdyby tak można było choć na chwilę cofnąć czas i zabawić się tak jak kiedyś, zaszaleć i zapomnieć o wszystkim. Ech!

Wracając od lekarza, Tadeusz skręcił do ulubionego sklepu, gdzie zakupił świeżutką, pachnącą chałkę, masło i dżem truskawkowy. Będzie idealna do kawy – uznał w myślach, człapiąc powolutku, ostrożnie, aby się nie poślizgnąć w stronę domu. Mijał zabielenie śniegiem skwery, zasypane ławki, na których w każdy słoneczny letni dzień lubił przysiąść, aby poczytać gazetę. Żałował, że teraz nie mógł tego zrobić, przynajmniej miałyby okazję pobycć wśród ludzi, popatrzeć na otaczający go świat z perspektywy innej niż jego zapyziałe mieszkanie. Stamtąd mógł tylko zobaczyć kawałek trawnika, ruchliwą ulicę i tory tramwajowe, natomiast od strony kuchni podwórko z trzepakiem i boksem na śmieci, lecz tam zwykle nic się nie działo. Ludzie wychodzili z koszem na śmieci, wyrzucali jego zawartość i wracali szybko do swoich ciepłych przestrzeni. Czasem ktoś zatrzymał się pod klatką, wypalił szybkiego papierosa, pogawędził z dozorcą kręcącym się w pobliżu, i to wszystko.

Jego rozmyślania zakłóciły szczeknięcia niedużego białego pudelka, który niespodziewanie wkroczył mu się między nogawki spodni. Pies obwąchał nieznanomego kilka razy, zrobił slalom wokół ławki, potem podbiegł pod najbliższy krzak i podniósł tylną łapę.

– Leo! Przestań! – dobiegł do jego uszu karcący, kobiecy głos i wtedy Ostrowski podniósł głowę.

Nie wierzył własnym oczom. Tyle razy kręcił się wokół jej bloku przy Wapiennej, wystawał pod nim godzinami i krążył. Ale na próżno. Teraz dziwnym i nieoczekiwanym trafem natknął się na kobietę, która tak mocno wyryła się w jego pamięci.

– Zosia?

– Tadeusz?

Pamiętała jego imię. Jakie to miłe – pomyślał, przyglądając się drobnej sylwetce sunącej posuwistym krokiem w jego stronę w brązowym sztucznym futerku.

– Dobrze cię wreszcie widzieć – oznajmił, chwytając jej wyciągniętą dłoń i pochylając się nad nią z pietyzmem. Poczował słodki, korzenny zapach perfum, którym skropiony był przegub jej delikatnej ręki.

– Ciebie również – odparła, przyglądając mu się z zainteresowaniem. Piesek tymczasem dalej obwąchiwał kąty, niewiele sobie robiąc z ich niespodziewanego, ale jakże przyjemnego spotkania.

– Miałem nadzieję spotkać cię wcześniej – zaczął nieporadnie, wciąż jej się przyglądając. Miała ładne zielone oczy, podkreślone szarym ołówkiem i wytuszowanymi precyzyjnie rzęsami, brwi zaznaczone regularnym łukiem, gładką skórę na policzkach, zadarty lekko nos i śliczne usta pokryte brzoskwiniową pomadką. Kolorowa apaszka i wełniany beret ozdobiony kwiatami wykonanymi szydełkiem dopełniały szyku i elegancji.

– Niedawno wróciłam z Krakowa, musiałam tam dokonać wielu formalności, aby już na dobre przenieść się do Łodzi – wyznała.

– To bardzo dobra wiadomość – podjął ostrożnie. – Mam nadzieję, że w takim razie będziemy się częściej widywać.

Uśmiechnęła się tajemniczo w odpowiedzi, zmrużyła oczy i podniosła brwi. Coś niezwykłego tkwiło w tym na pozór zwykłym grymasie twarzy.

– Leo! Wracaj do swojej pani! – Odwróciła nagle wzrok, klapnęła ręką o kolano i zawołała na psa, który zdążył się nieco oddalić.

– Nic mu nie będzie, obejrzy wszystko i wróci. Od takiej pani się nie odchodzi – stwierdził zaczepnie.

Ześlizgnęła wzrok po jego szarym płaszczu w jodełkę, nieco wysłużonym, wskazując na wypchaną siatkę.

– Byłeś na zakupach?

– Wcześniej musiałem załatwić pewną sprawę, wykorzystałem więc sytuację i zaszedłem do sklepu. Mam świeżutką chałkę i dżem. W sam raz do porannej małej czarnej. Gdyby nie to, że mam w domu straszny bałagan, chętnie zaprosiłbym cię na kawę.

Wstrzymał oddech i przyglądając się coraz uważniej tej pięknej, nietuzinkowej kobiecie, czekał na reakcję. Właśnie podbiegł jej pupil, zamierdał ogonem, pisnął, więc pochyliła się, aby zapiąć mu smycz. Potem wyprostowała plecy, rozejrzała się na boki i zaproponowała:

– Ja też bardzo lubię chałkę z dżemem. W takim razie zapraszam do siebie.

Rozdział 28

Z Iwanką Julia zaprzyjaźniła się kilka miesięcy po przeprowadzce do Barrie. Ukrainka była matką Cindy – uroczej siedmiolatki, którą polubiła Laura. Zapamiętała ten wczesny poranek, mroźny i siarczysty, kiedy tamta podjechała pod szkołę wysłużoną terenówką. Julia początkowo nie mogła oderwać od niej oczu, ponieważ ta wysoka piękność z blond włosami w ogromnej czapie z lisa i długim baranym kozuchu wydała jej się kimś wyjątkowym.

Silnik nadal pracował, kiedy otworzyła tylne drzwi, a wtedy z siedzenia wyskoczyła ubrana w ciepłą, puchową kurtkę urocza, roześmiana osóбка. Kobieta podała jej tornister, worek na buty, po czym złożyła całusa na policzku.

– Hej, Cindy! – ucieszyła się na jej widok Laura, która w towarzystwie matki wchodziła akurat na dziedziniec szkoły. One nie musiały korzystać z samochodu, do tego miejsca miały zaledwie kilkadziesiąt metrów, wystarczyło, że wyszły za tylną część ogrodu, minęły lasek, przekroczyły niewielki mostek, minęły kolejną ulicę i już.

– Cześć, Julia!

Dziewczynki padły sobie w ramiona i uściskały serdecznie. Na pierwszy rzut oka widać było między nimi niezwykłą zażyłość.

Matka Cindy uśmiechnęła się ciepło na ten widok, po czym wymownie zerknęła w stronę Julii.

– Podrzucić panią do domu? – zaproponowała.

– Dzięki, ale mieszkam tutaj niedaleko. Zaledwie parę kroków.

Kobieta westchnęła, potem dodała zachęcająco:

– Szkoda... Nasze córki się przyjaźnią, może warto by było poznać się bliżej.

– Też jestem tego zdania – przyznała Julia. – W takim razie zapraszam do siebie na kawę. I w żadnym razie nie chcę słyszeć odmowy.

Od tamtej pory spotykały się regularnie, a jak tylko zrobiło się ciepło, dużo czasu spędzały na brzegu jeziora Simcoe, gdzie oprócz szerokiej plaży, uroczych kafejek i sklepików wybudowano dla dzieci plac zabaw o nazwie Centennial Park. Ich córki przyłgnęły do siebie niczym siostry bliźniaczki, wciąż ze sobą rozmawiały, rozstawały się ze smutkiem, nie mogąc przestać o sobie mówić. Okazało się, że mają wiele wspólnych zainteresowań, obie pochłaniały książki, uwielbiały łyżwy, jednak ich największą miłością stały się niespodziewanie konie.

Iwanka pochodziła z Ukrainy, nic dziwnego, że olśniewała urodą. Mimo to była skromną, choć pewną siebie kobietą, w dodatku ciepłą, szczerą i życzliwą. Ich znajomość z upływem kolejnych miesięcy nabierała rumieńców, a z czasem przerodziła się w przyjaźń.

– Jesteś zadowolona ze zmian? – spytała Iwanka, kiedy w oczekiwaniu na koniec zajęć ich córek siedziały w swojej ulubionej kawiarni, zajadając struclę z jabłkami. Niedaleko była stadnina, gdzie dziewczynki od paru tygodni uczyły się nie tylko jazdy konnej, ale również tego, jak obchodzić się z tymi niezwykłymi zwierzętami.

– Tak, bardzo – przyznała. – Tego nam właśnie było potrzeba. Ten lokal spełnia wszystkie nasze oczekiwania. Jest ogromny, mamy więc miejsce na produkcję, magazyn, pakownię, biura i pomieszczenia socjalne. Zrobiła się z tego niemała fabryczka – dodała, nie kryjąc zadowolenia.

– Świetnie! Cieszę się, że interes wam kwitnie!

– Wciąż nam przybywa nowych klientów, w dodatku Oliwier wpadł na genialny pomysł!

– Tak? – Iwanka ściągnęła brwi i wydeła pełne, uszmiłkowane usta. Wypielęgnowanymi dłońmi nakryła cienkie szkło gorącej szklanki. Miała na

sobie luźną, beżową bluzę z kapturem i jasne spodnie dresowe. Całości dopełniały sportowe buty na grubej podeszwie. Jasne włosy miała spięte z pozoru w niedbały kok.

– Wymyślił, żeby dostosować filtry do indywidualnych potrzeb. To całkowita nowość na rynku! – ekscytowała się Julia. – Wiesz, odpowiednia twardość wody, zanieczyszczenie terenu, osobiste oczekiwania klienta i tak dalej... Okazało się, że już samo hasło robi furorę.

Ukrainka uśmiechnęła się życzliwie, po czym skwitowała z uśmiechem:

– Tworzycie wspañałą, zgraną parę. Taki duet, tandem. Jedno nie może pojechać bez drugiego. Aż miło patrzeć na tę waszą miłość i wzajemny szacunek.

– A wy nie? – zdziwiła się Julia. Nie tworzycie udanego związku? Iwan wygląda na przedsiębiorczego faceta, który świata nie widzi poza swoją rodziną.

Westchnęła ciężko.

– Kiedyś tak było, i owszem – skwitowała gorzko. – Ostatnio jednak coraz mniej czasu nam poświęca. Zaczynam się zastanawiać, co lub kto za tym stoi.

– Nie, nie wierzę w to! Nie myśl w ten sposób! – zaprotestowała Julia, przywołując myślami przystojnego blondyna z niebieskimi oczami, które szklily się jak zakochanemu bez pamięci sztubakowi na widok pięknej żony. – Iwan? Niemożliwe!

– Chciałabym, żebyś miała rację – odparła chmurnie.

Młoda Braun potrząsnęła energicznie głową.

– Kto jak kto, ale nie twój mąż! Zapewniam cię!

Iwanka westchnęła ciężko po raz kolejny, po czym wstała nagle i sięgnęła z oparcia krzesła po grubą kurtkę z ortalionu.

– Czas na nas. Dziewczynki już pewnie skończyły.

Julka zerknęła na zegarek i drgnęła jak oparzona.

– Aleśmy się zagadały! Już dawno po czwartej!

Tamta tylko chrząknęła znacząco i ruchem głowy wskazała na drzwi wyjściowe. Wsunęła na włosy wełnianą czapkę obszytą sztucznym futerkiem, okręciła szyję szalem i wyszła na rześkie powietrze, w którym czuć było rychło nadchodzącą wiosnę.

Po porannym joggingu, śniadaniu i odprowadzeniu Laury do szkoły wsia-
dała w samochód i ruszała do pracy. Świeża, pachnąca, dobrze ubrana,
ściągała na siebie uwagę nie tylko pracowników, ale również kontrahen-
tów. Czuła na sobie niemal w namacalny sposób te wszystkie spojrzenia
obcych mężczyzn, którzy odwiedzali ich biura, składali zamówienia, pili
z mężem wodę, kawę, palili papierosy i rozprawiali o interesach. Schlebiało
jej to, choć jej mąż nie krył niezadowolenia, widząc tę uwagę. Czasem, gdy
sposzrzegał żonę parkującą na olbrzymim placu przed zakładem, rzucał
wszystko i wybiegał jej na powitanie. Ceniła jak nic bardziej ten niepo-
zorny całus, drobne, zrozumiałe tylko dla nich gesty, które ją roztkliwiały
i zmiękczały serce. Prowadził ją za rękę po schodach, tłumaczył, co zaszło,
kto dzwonił, ile wpłynęło zamówień, ponieważ wiedział, że interesuje ją to
w podobny sposób co jego. słuchała go cierpliwie, z uwagą, nie chcąc uro-
nić ani słowa, okazując mu w ten sposób szacunek i pełne zrozumienie.
Wystarczył jednak jeden telefon, a Oliwier musiał gdzieś biec, coś załatwić
albo zainstalować filtry czy rozwiązać problem dotyczący transportu. Nie
przejmowała się tym, miała swoje zajęcia. Uwielbiała ten moment, kiedy
wchodziła do hali produkcyjnej. Wówczas mnóstwo par oczu odwracało się
w jej stronę, omiatało wnikliwym spojrzeniem, oceniając za każdym razem
jej nietuzinkowy wygląd. Trudno było nie zauważyć wysportowanej syl-
wetki, płaskiego brzucha i umięśnionych, pięknie wyrzeźbionych ud,
a także naturalnej burzy loków, którą po ostatniej interwencji męża prze-
stała już ujarzmić wsuwkami. Twierdził, że takie kocha najbardziej, bez
przygładzania, spinania i wiązania w koński ogon. Do tego elegancja połą-
czona z prostotą i praktycznością, wyrażana za pomocą luźnych, stylowych
marynarek, lnianych koszul, dzinsów czy markowych butów na płaskiej

podeszwie. Jedyłą jej biżuterię stanowił pozłacany zegarek z okrągłym, dużym cyferblatem marki Tissot, podarowany jej przez męża na urodziny. Najpierw witała wszystkich głośnym „Hello”, a następnie ruszała na obchód.

Cieszył ją ten rwetes, gwar, odgłosy pracujących wiertarek, świst kompresora, rozmów, ponieważ to wszystko oznaczało, że ich firma żyje i pędzi do przodu pełną parą. Dźwięki mieszały się ze sobą, tworząc istną kofonię tak drogą jej sercu i uszom. Patrzyła z dumą na całą linię produkcyjną, począwszy od etapu składania filtrów z drobnych elementów, poprzez czyszczenie, polerowanie, zabezpieczanie ich folią przed transportem, aż do pakowania. Nieraz zatrzymała się przy stanowisku pracy, wymieniła jakieś grzeczności, uwagi, następnie szła na górę do pomieszczeń biurowych, gdzie już czekały na nią przelewy, dokumenty do sprawdzenia czy zamówienia do realizacji.

Oczywiście mieli również zatrudnioną księgową, która dbała o finanse, ponadto często zaglądał do nich jej ojciec. Julka zauważyła, że ostatni czas zmienił go nieco na lepsze. Przestał być rozdrażniony, złośliwy, mniej pił, a więcej się ruszał. Do tego stał się pomocny, a w razie potrzeby – ofiarny. Mogła na niego liczyć o każdej porze dnia i nocy.

– Musisz być silna, Julia. Nigdy nie możesz się poddać. Pamiętaj o tym – powtarzał jej przy byle okazji.

Długo zastanawiała się, co się kryje za tą przemianą, aż pewnego wieczora odwiedziła ich matka. Zdążyli wrócić z pracy, zjeść kolację i położyć Laurę spać, kiedy usłyszeli dzwonek.

– Mama? – zdziwiła się starsza córka, widząc przed drzwiami zrezygnowaną i smutną rodzicielkę.

– Wybaczcie, że nachodzę was o tak późnej porze.

– Ależ nic nie szkodzi, wchodź! – zachęcił ją Oliwier, dołączając do żony w korytarzu i rozkładając szeroko ramiona w ramach powitania. – Wieczór dopiero się zaczął.

Alina weszła, zdjęła buty, wierzchnie ubranie i nieśmiało wsunęła się do kuchni.

– Siadaj, mamuś! Czego się napijesz?

W odpowiedzi Ostrowska rozejrzała się niepewnie dookoła.

– Laura śpi?

– Tak, niedawno poszła... miała dziś bardzo dużo zajęć. Zasnęła od razu – wytłumaczyła Julka.

Zapadła długa cisza, którą przerwał gościnny jak zawsze zięć.

– To czego się napijesz, mamó? A może zjesz coś? Mamy pizzę do podgrzania.

Alina przełknęła głośno ślinę, podniosła oczy i omiotła ich przygnębionym, zrezygnowanym spojrzeniem.

– A przenocujecie mnie?

– Jak możesz w ogóle pytać! – wtrącił obruszony zięć. – Miejsca mamy dość. Pokój gościnny stoi pusty.

Spuściła głowę i utkwiała wzrok w fakturze blatu.

– W takim razie... zróbcie mi drinka, proszę – bąknęła cicho.

– Naprawdę nie jesteś głodna? – dopytywała córka z niedowierzaniem.

– Nie, nie jestem.

– Więc co ci jest, mamó? Bo widzę, że coś jest.

Alina usiadła przy stole i chwyciła w palce papierową serwetkę. Odruchowo zaczęła ją mleć i rwać na strzępy.

– Termin rozprawy jest już wyznaczony, wystawiłam też dom do sprzedaży – oznajmiła ponurym tonem i zamilkła.

Trzask łupanego lodu, który Oliwier wyciągnął z zamrażalnika, rozległ się w ciszy zalewającej kuchnię. Stał się nagle jakimś przykrym, drażniącym dźwiękiem.

– Ale jak to? Jest aż tak źle? – Twarz Julki w jednej chwili ściągnęła się grymasem zaskoczenia. – Nic nie mówiłaś...

Oliwier postawił przed teściową szklanekę wypełnioną colą i whisky, do której wrzucił kilka bryłek skruszonego lodu i plasterki cytryny.

– Powinien ci dobrze zrobić, rozluźnij się, a potem nam wszystko opowiedz.

Skinęła głową bez słowa i zaczerpnęła łyk alkoholu.

– On mnie znów zdradza – zaczęła po chwili. – Sprowadził sobie z Polski babę – dodała drwiąco, nie kryjąc goryczy.

– Jesteś pewna?

Upiła wolno ze szklanki. Ciepło zapulsowało w żyłach i ruszyło w krwio-
bieg, rumieniąc jej wyblakłe w ostatnich tygodniach policzki. Podparła
brodę na zgiętym łokciu.

– Po ostatniej rozmowie o rozstaniu się miałam nadzieję, że się opa-
mięta – rzuciła głucho w powietrze. Przez jakiś czas był spokój, poszedł na-
wet do pracy, zaczął robić jakieś porządki w domu, a potem... – Machnęła
z rezygnacją ręką. – Wszystko wróciło do poprzedniego stanu albo do gor-
szego.

– Czyli jak? – drążyła starsza córka.

– Zaczął znikać z domu na całe noce, wpadać tylko od czasu do czasu zo-
stawić jakieś pieniądze, choć nigdy regularnie nie dokładał do raty. – Za-
śmiała się pusto. – Nie miałabym pojęcia, co się dzieje, gdyby nie...

– Gdyby nie co?

– Widziałam ich kiedyś razem. W polskiej dzielnicy. Prowadzili się pod
rękę jak stare dobre małżeństwo. To niewiarygodne. Nawet się całowali, na
środku chodnika. – Z niesmakiem skrzywiła twarz.

Julka podniosła głowę i spojrzała w oczy matce.

– Znasz ją, mamo?

– Niestety, tak – odparła, nie kryjąc żalu. – Pracowali kiedyś razem...

– A może to nie jest to, o czym myślisz?

– Wątpię – prychnęła, wydymając wargi.

Oliwier westchnął głośno, pokręcił się bez celu po kuchni, po czym sobie
również nalał drinka.

– Nie będziesz tak sama piła – oświadczył stanowczo.

Alina popatrzyła na zięcia z wdzięcznością i wzruszona, otarła łzę, która niepostrzeżenie zabłysła na jej policzku.

– Coś się zaczyna i coś się kończy – mruknęła cicho, z rezygnacją, następnie ku zdumieniu pozostałych, wyrecytowała jednym tchem:

*Czemu ty się, zła godzino,
z niepotrzebnym mieszasz lękiem?
Jesteś – a więc musisz zginąć,
Miniesz – a więc to jest piękne!*

– Mamo? Co to było?

Rodzicielka podniosła głowę.

– Szymborska – odparła. – *Nic dwa razy się nie zdarza*. Idealny wiersz na tę okoliczność – stwierdziła z gorzką drwiną w głosie.

Z czarnego, błyszczącego auta zatrzymującego się na parkingu przy Lake Shore Drive wysiadło kilku mężczyzn ubranych w eleganckie garnitury. Nie ściągając z twarzy okularów przeciwsłonecznych, trzymając w rękach skórzane teczki, ruszyli w stronę wejścia do siedziby firmy Czysta Woda. Wiosna już zawitała do Barrie, śniegi na dobre stopniały, temperatury wzrosły powyżej dziesięciu stopni, trawa zaczęła się zielenić, powietrze nasycone było radością budzącego się życia.

Julia na ich widok wstała od biurka i podeszła bliżej okna.

– Kto to? – spytała Oliwiera pochylonego nad projektem nowego filtra. – Byłeś z nimi umówiony?

Podniósł głowę, zmarszczył brwi i powiódł wzrokiem za jej palcem wskazującym.

Wzruszył ramionami i uśmiechnął się łobuzersko. Lubiła ten pewny siebie, trochę szczeniacki grymas męża, choć tym razem nie zrobił na niej wrażenia.

– Wyglądają jak jacyś urzędnicy – zauważyła, nie kryjąc niepokoju.

– Pewnie nowi klienci. Wici się rozchodzą, moja kochana! Robimy się sławni!

– Taaa... – założyła ręce na piersiach i ściągnęła usta, na jej czole pojawiła się pionowa zmarszczka. Odwróciła się przodem w stronę męża i prychnęła z lekką ironią: – Mam tylko nadzieję, że zaraz ta sława nie uderzy ci do głowy!

– Bez obaw, moja piękna żono! – odparł spokojnie, wrzucił projekt do szuflady i uporządkował biurko. Wstał, wygładził koszulę na brzuchu i poprawił poły szkockiej marynarki.

– Chodź, wyjdziemy im naprzeciw! Mogą jeszcze trafić nie tam, gdzie trzeba.

Skinęła głową i pozwoliła, aby się zbliżył, objął ramieniem i czule cmoknął w skroń.

– Pachniesz oszałamiająco... – szepnął jej do ucha.

Zignorowała ten komplement.

– Bądźmy jednak czujni – wtrąciła. – Trochę ostrożności nie zawadzi.

Zaczekała, aż nowi klienci sobie pojadą, po czym, nieco zdezorientowana, udała się do hali produkcyjnej. Idąc w dół po schodach, zaśmiała się do siebie w duchu. Wyglądali na kogoś co najmniej ze służb specjalnych, a tymczasem zakupili ledwo dwa filtry. Przyjechali z Toronto, sprawiali wrażenie bardzo zamożnych i jeszcze bardziej zainteresowanych produkcją. Nad wyraz uprzejmi i mili. Jeden z nich nie spuszczał z niej oczu, był niewiele od niej starszy, przystojny, dobrze ubrany i musiała przyznać, że niestety w jej typie. To jednak niczego nie zmieniało, nie miała zaufania do osób, które już za pierwszym razem usiłują się rozgościć i zaprzyjaźnić. Pytali o wszystko, twierdząc, że jeżeli towar się sprawdzi, zamówią większą ilość.

Dla odmiany Oliwier był nimi zachwycony.

– Zobaczymy, co z tego wyniknie – skomentowała pod nosem. Zagryzła wargi i pokonawszy ostatni stopień, znalazła się w długim, szerokim korytarzu łączącym się z magazynem. Właśnie tam zastała ojca, który wózkiem widłowym zabierał kolejną paletę do wywózki. Przeszedł w tym celu krótkie przeszkolenie, dlatego robił to umiejętnie i z wyczuciem. Na jej widok podniósł rękę. Zatrzymała się kilka metrów dalej i skinęła na niego głową. Odstawił pojazd pod ścianę, zawołał w stronę niskiego, barczystego chłopaka, a kiedy ten przybiegł, zlecił mu przewiezienie kolejnych paczek przygotowanych do transportu.

– Niech się gówniarz uczy – skwitował, obejmując ją jednocześnie ojcowskim ramieniem. – Promieniejesz, córeczko – rzucił w przelocie.

– Dziękuję, jestem po prostu szczęśliwa – odparła z właściwą jej prostotą i szczerością.

– To dobrze... – westchnął ciężko, jakby tego samego nie mógł powiedzieć o sobie.

– Chciałam z tobą porozmawiać, tato. Wyjdźmy na zewnątrz.

Zerknął na nią lekko zaniepokojony. Poważna mina córki zdradzała nadchodzące zagrożenie.

– O czym?

– O tobie i o mamie.

– Nie uważasz, że to jest nasza sprawa? – spytał, kiedy już znaleźli się na niewielkim, wygospodarowanym terenie obsianym trawą, obsadzonym krzewami, z ławką, stolikiem i parasolem.

Południowe słońce biło prosto w ich twarze. Usiedli więc w nieco zacienionym miejscu na plastikowych, białych krzesłach, które ostatnio Oliwier zakupił na promocji w markecie budowlanym. Antoni wyciągnął papierosa i zapalniczkę. Miał na sobie szary kombinezon z niebieskim logo firmy. Wyglądał w nim młodzieńczo i zdrowo. Gdyby nie siwizna na skroniach, kilka zmarszczek wokół oczu i na czole, nigdy nie pomyślałaby, że już dawno przekroczył pięćdziesiątkę.

– Nie uważam – odparła spokojnie. – Wiem natomiast, że ranisz mamę.

– Ja? W jaki sposób?

– Podobno znów ją zdradzasz. Ściągnąłeś sobie tutaj jakąś kobietę z Polski... Prowadzasz się z nią po ulicy, całujesz ostentacyjnie...

– A jeśli nawet, to co? – Wypuścił z ust powietrze i prychnął lekceważąco.

– Sprawa rozwodowa jest w toku, od lat żyjemy pod jednym dachem jak pies z kotem. Czy już nic mi się nie należy od tego parszywego życia?

– Dlaczego tak mówisz, tato? – zdumiała się.

Zabolało ją to, co właśnie usłyszała. Nie sądziła, że było aż tak źle. Rodzicielka wprawdzie wspominała o kilku przykrych sytuacjach, jednak Julia zdawała sobie sprawę z tego, że wiele słów wypowiadała pod wpływem silnych emocji.

– Naprawdę nic już się nie da naprawić, tato? Nie kochasz już mamy?

Zaciągnął się kolejny raz, podpierając łokieć o blat stolika. Potem pyknął kilka razy, wypuszczając z ust zgrabne kółka.

– Kocham, bardzo kocham. Myślę, że nigdy nie kochałem tak mocno żadnej kobiety... – odparł w zamyśleniu – Ale co z tego? Nie potrafimy już ze sobą rozmawiać, staliśmy się sobie obcy. Myślę, że to rozstanie dobrze nam zrobi.

Zgasił końcówkę papierosa w stojącej obok doniczce ze świerkiem, po czym spojrzał jej prosto w oczy.

– Już dawno, córeczko, nie czułem się tak dobrze. Lodzia to wspaniała, ciepła kobieta. Sama się przekonasz, jak tylko ją poznasz.

– A więc to wszystko prawda. – Pokręciła głową, nie kryjąc wzburzenia. – Nie chcę cię umoralniać, tato, ale może warto by było poczekać do rozwodu? To nie jest łatwe dla nikogo.

Ojciec wstał, wyprostował dumnie plecy.

– Przykro mi... – powiedział. – Muszę wracać do pracy.

– A co z domem? – rzuciła do jego pleców.

Wzruszył ramionami.

– A co ma być? Tośka nie chce w nim mieszkać, ty się wyprowadziłaś. Zostaje nam tylko jedno.

– Czyli sprzedaż?

– Tak – odparł głucho i oddalił się, zostawiając ją samą z bolącą od natłoku myśli głową.

Rozdział 29

W ostatnim czasie Tadeusz był tak zajęty spotkaniami z Zofią, że zapomniał o całym świecie. Wspólne obiady, kolacje, spacer, niekończące się rozmowy pochłonęły go niemal bez reszty. Nie miał czasu dla Halinki, która zdążyła już wrócić z Wrocławia, dla wścibskiej sąsiadki, dawnych kolegów z pracy nagabujących go co chwila o jakiś wyskok na piwo, a nawet dla córki, zięcia i wnuków. Znów zaczął o siebie dbać, dobrze się ubierać, regularnie golić, podcinać włosy i używać wody kolońskiej. Zapłacił też pewnej kobiecie, aby mu przyszła posprzątać mieszkanie, które przez długie miesiące nie było odkurzane, nie mówiąc już o umyciu okien, wytarciu mebli i innych pracach porządkowych. Teraz jednak, podniecony myślą o zaproszeniu swojej wspaniałej towarzyszkę do siebie, snuł marzenia o nowej rzeczywistości. Zofia Bednarska należała do osób wyjątkowych, zdążył się już dowiedzieć, że podobnie jak on dwukrotnie wychodziła za mąż i tyle razy owdowiała. Pod tym względem nie miała szczęścia, mężowie okazywali się słabsi od niej, jeden z nich chorował na astmę, drugi miał nowotwór. Obie śmierci bardzo przeżyła i za każdym razem przysięgała sobie, że już nigdy więcej nie spojrzy na innego mężczyznę, a co tu dopiero mówić o głębszym związku. Życie jednak nieustannie ją zaskakiwało.

Pochodziła z zamożnej, arystokratycznej rodziny. Wykształcona, obyta w świecie, przypominała mu jego samego z dawnego, młodzieńczego okresu. Przez wiele lat pracowała w świecie mody i filmu, była projektantką odzieży i scenografką. Kilka lat temu przeszła na zasłużoną emeryturę, jednak jej osobowość i maniery zdradzały kogoś z bujną przeszłością

i nietuzinkowym stylem bycia. W Łodzi przyszła na świat, tutaj spędziła dzieciństwo, ukończyła Akademię Sztuk Pięknych, która powstała zaraz po wojnie, zdobyła pierwsze zawodowe szlify. Ciągnęło ją do filmu, dlatego dość szybko zdecydowała się na wyjazd do stolicy. Tam poznała swojego pierwszego męża, z tego związku przyszła na świat ich jedyna córka Beata, która również poszła w ślady mamy. Dwa lata po śmierci Jana poznała swojego drugiego męża. Córka miała już dwadzieścia pięć lat, dlatego z czystym sumieniem zostawiła jej mieszkanie na Saskiej Kępie i przenieśli się do Krakowa, do lokum kolejnego wybranka. Od początku zasady były jasne, miała świadomość, że kiedyś to mieszkanie będzie zmuszona opuścić i wrócić do swojego rodzinnego miasta. Tak też się stało, po zakończeniu wszystkich formalności związanych z pochówkiem, a także sprawami majątkowymi, spotkała się z dziećmi jej drugiego męża i honorowo przekazała klucze od ich wspólnego dotąd mieszkania przy Brackiej. Trochę jej było żal tego tętniącego każdego dnia życiem miejsca, bliskości Rynku Głównego, Sukiennic, Ratusza czy chociażby Piwnicy pod Baranami, do której często zaglądali. Włożyła ogrom serca w urządzenie go po to, aby te trzynaście lat życia razem można było zaliczyć do udanych i wyjątkowych. Tak też było. Zygryd nigdy jej nie zawiódł, tworzyli bogaty pod każdym względem, zgrany, wydawałoby się, że nierozzerwalny związek, gdyby nie to, że przerwała go przedwczesna śmierć ukochanego.

– Jedno, co jest pewne na tym świecie, to śmierć – oznajmiła, puentując opowieść o swoich dotychczasowych związkach.

Siedzieli tym razem w jego mieszkaniu, w pokoju stołowym, czystym, świeżym i uporządkowanym. Tadeusz zamówił nawet nowe firany i zasłony w okna, które bez wątpienia nadały pomieszczeniu wyrazu i zaczęły jednocześnie tworzyć ciekawą dekorację. Aby zyskać na przestrzeni pozbył się kilku rozklekotanych mebli, zamienił też zużytą, zapadniętą wersalkę na modną ostatnio rogowkę ze skaju.

– Co zrobić? – Westchnął ciężko i omiół ją badawczym spojrzeniem. – Na szczęście my żyjemy. A skoro tak, to jest w tym jakiś cel.

– Cel? – powtórzyła zdumiona.

– A my? – podjął ostrożnie. – Skoro potkaliśmy się, może byliśmy sobie przeznaczeni?

Nie powiedziała nic, tylko skinieniem głowy zachęciła do kolejnego wyznania.

– Jeszcze niedawno myślałem, że już umarłem. Staczałem się powoli na dno beznadziejności, czułem się nikomu niepotrzebny i samotny jak pies. Na niczym mi już nie zależało. – W jego głosie błysnął jakiś żar. – A tymczasem pojawiłaś się ty i moje życie nabrało kolorów. Znowu chce mi żyć! Każda myśl o tobie staje się słodka i taka...

Pogłaskała go po dłoni.

– Jaka? – spytała cicho.

– ...radosna, podniecająca, lepka...

Podniosła wzrok i utkwiała w nim magiczne, zielone oczy.

– Czy chciałbyś mi coś jeszcze powiedzieć, Tadku?

Ścisnął jej rękę i zajrzał głęboko w oczy.

– Stałaś się sensem mojego życia, światłem jego jesieni. Bądź przy mnie, proszę. Nie zostawiaj mnie. Żal mi każdej chwili spędzonej bez ciebie! – wyznał gorliwie, nie kryjąc głębokiego zaangażowania.

Uśmiechnęła się delikatnie, uniosła drugą dłoń i musnęła palcami jego wargi.

– Skoro tak, nie traćmy czasu, Tadku.

– Jak to: żenisz się, tato? Znowu? Z kim, do diabła? – Weronika nie kryła wzburzenia. Jej twarz była zaczerwieniona, a ręce zdradziecko drżały. Potrząsnęła nerwowo złotą bransoletką na przegubie dłoni i potarła czerwony kamień okazałego pierścionka widocznego na palcu wskazującym.

Nie spodziewał się takiego zachowania ze strony córki. Jej postawa była niegrzeczna, a nawet arogancka.

– Nie mów tak. Nie wolno ci w ten sposób wyrażać się o mojej ukocha-nej. Mam prawo robić, co chcę. Jestem już dorosły, zapomniałaś?

Kobieta prychnęła lekceważąco i zerknęła w stronę męża, który siedział przy stole w kuchni i dotychczas nie zabierał głosu. Teraz wymownie odwrócił wzrok w stronę okna, nie mając zamiaru wypowiadać się na ten temat.

– Nie powiesz nic, Zbyszku? – syknęła przez zaciśnięte zęby. – Chociaż raz mógłbyś mnie wesprzeć.

Odwrócił głowę i omiół ją zniesmaczonym spojrzeniem.

– Nie przesadzasz moja droga? Chyba trochę się zagalopowałaś! Ja ciebie nie wspieram? Jeśli nie ja, to kto? Widzisz tu kogoś drugiego?

W odpowiedzi zerwała się z krzesła i przemierzyła pomieszczenie nerwowym, ciężkim krokiem.

– Zawsze tylko stoisz z boku albo z tyłu! Wszystkie decyzje muszę podejmować sama! Mam już tego serdecznie dość!

– Dramatyzujesz jak zwykle! – odciął się ze złością. – Nie wiem, gdzie widzisz problem.

– Jasne! – wycedziła. – Ty nic nie widzisz, wszystko jest w najlepszym porządku.

– A co nie jest? Co ci przeszkadza, że tata chce na starość zaznać trochę szczęścia?

– Na starość? – syknęła, szydząc. – Jedną nogą stoi nad grobem i żeniaczki mu się zachciewa. Przecież to wstyd i żenada jakaś!

Tadeusz, słysząc ten ściek obrzydliwych słów, zbladł. Odstawił z brzękiem szklankę z fusami herbaty na dnie, szarpnął się z krzesła, które zgrzytnęło nieprzyjaźnie, a następnie wyprostował dumnie plecy. Ściągnął brwi i łypnął na córkę oskarżycielskim wzrokiem.

– Nie spieszy mi się jeszcze do grobu – wycedził drwiąco. – Tak do twojej wiadomości. Czuję się zdrów jak rydz i mam straszną ochotę na życie.

Weronika zagryzła wargi i patrzyła na ojca mocno zaskoczona.

– I nie mam zamiaru pytać cię więcej o zdanie. To moje życie i tylko moje! – dodał z naciskiem na ostatnie słowo. – Zrobię, co mi się żywnie podoba, a tobie nic do tego, córeczko moja.

– Doprawdy? – mruknęła kpiąco.

Sarknęła znacząco w odpowiedzi.

– Zrobiłaś się ostatnio bardzo ważna. Chciałabyś decydować o wszystkich i o wszystkim. Pieniądze zmieniły cię nie do poznania, ale to wasz problem, wasz wybór.

Spojrzał na zięcia wymownie i robiąc zwrot na pięcie, wyszedł z mieszkania, w którym spędził ze Stefanią tyle szczęśliwych chwil. I nawet mu nie było żal. Poczł się wolny i niezależny. Jego życie, jego wybory, a im nic do tego. Wara! – warknął w duchu, kiedy wychodził z bramy na zaludnioną o tej porze Piotrkowską.

– I znów się zakochałeś, ty szelmo! – powiedziała Wróblewska, kiedy siedzieli w Horteksie przy Piotrkowskiej. Zamówił dla niej ulubiony deser lodowy – Ambrozię, a dla siebie trzy czekoladowe kulki bez dodatków. Do tego dwie kawy i dwa kieliszki ajerkoniaku.

Józia przyjechała do Łodzi na zaproszenie władz. Z okazji jubileuszu miasta chcieli jej wręczyć medal, aby w ten sposób ukoronować jej wieloletnią aktywność w obszarze kultury i sztuki.

– Aż tak to widać? – Uśmiechnął się łobuzersko, mrugając do niej okiem.

W przestronnym, przeszklonym pomieszczeniu było gwarno, ludzie siedzący przy stolikach z apetytem zajadali się deserami. Nic dziwnego, kawiarnia należała do najpopularniejszych w Łodzi. Serwowano tutaj najlepsze lodowe desery, a każdy szanujący się adorator obowiązkowo zapraszał swoją wybrankę właśnie tutaj. Wyjątkowy klimat tworzyły też szerokie pnie drzew wkomponowane w wystrój tego wnętrza.

Uśmiechnęła się wymownie. Miała na sobie dopasowany, dwuczęściowy kostium w kolorze bordowym. Szeroki pasek podkreślał jej szczupłą talię,

wysoka stójka i złote guziki górnej części nadawały jej trochę wojskowy charakter. Jasne włosy sięgały ramion i otulały jej nadal ładną twarz. Mimo upływających lat wciąż była urocza.

– To kim jest ta szczęśliwa wybranka? Opowiesz mi o niej?

– Z przyjemnością, ale najpierw wypijemy za spotkanie – odparł, wznosząc wypełniony złotawą, gęstą ciecżą kieliszek.

– W takim razie za spotkanie!

W tym momencie w otworze drzwi pojawił się wieloletni przyjaciel Józi. Pomachał do nich już z daleka, jak zawsze wyglądał elegancko i z klasą. W ręku trzymał różę. Gestem dłoni zaprosił go do siebie.

– Zostaniecie na noc? – spytał Tadeusz, licząc na dłuższe odwiedziny. Pomyślał o tym, że miło by było, gdyby mogli osobiście poznać Zosię.

– Musimy niestety wracać. Może następnym razem – pospieszyła z odpowiedzią przyjaciółka. – W nocy przylatują córka z wnusią. Bardzo się za nimi stęskniłam... – wyznała.

Pokiwał głową ze zrozumieniem, a potem wstał, aby przywitać się z Gustawem. Ten potrząsnął jego ręką, poklepał po ramieniu, a potem pochylił się, aby złożyć na ustach ukochanej pocałunek i wręczyć jej kwiat.

Tadeusz uśmiechnął się na ten widok i znów rozmarzył.

Rozdział 30

Siedziały w ogrodzie przy drewnianym stole, który Oliwier sam zmontował z palet pozostałych po dostawach części do filtrów. Wiatr cichutko swawolił w zaroślach, z dali niósł się szmer płynącego wartko strumyka. W powietrzu plątał się charakterystyczny, ostry smród skunksa, który musiał się gdzieś w pobliżu osiedlić. Julia zdążyła przynieść z domu dwie szklanki z piwem i jedną z nich podsunęła rodzicielce pod nos.

– Mamo, możesz przecież zamieszkać u nas. Na górze jest wolny pokój – oświadczyła stanowczo, spoglądając na matkę, która oparła łokcie na blacie stołu, zanurzyła twarz w dłoniach i zaczęła cichutko pochlipywać.

– Nie spodziewałam się takiego życia, takiej zapłaty za tyle lat poświęcenia – odparła zduszonym głosem. – Gdybym go nie kochała, rozumiem, ale... Oddałabym duszę diabłu za jedno jego ciepłe słowo.

– Mamo... – Córka ścisnęła jej spracowaną dłoń – Nie mów tak. Coś się zaczyna i coś się kończy. Ja wiem, że to trudne, że to cholernie boli, ale teraz otwiera się przed tobą szansa na nowe życie. Jesteśmy już dorosłe, będziesz mogła zrezygnować wreszcie z pracy w fabryce i robić, co ci się żywnie podoba.

Pogładziła jej dłoń z troską i czułością.

– Wreszcie sobie odpoczniesz, zadbasz o siebie, zasługujesz na to, jak nikt inny!

Alina podniosła zapłakaną twarz, wzdrygając się na te słowa.

– A może ja tego nie chcę? – odpowiedziała pytaniem, które wydało się starszej córce absurdalne i nie na miejscu.

– To niedorzeczne! – sarknęła wściekle w odpowiedzi Julia. – Wiem, że miałaś już dość tej sytuacji, wiem, że cierpiełaś, ojciec cię nieustannie wkurzał i niszczył. Po co więc ten sprzeciw?

Alina pociągnęła głośno nosem.

– Miałam kiedyś nadzieję, że ten dom scali naszą rodzinę, że wspólnie się odbudujemy, a Kanada da wam perspektywy i możliwości, których nie było w Polsce. Robiłam wszystko, aby go ocalić, a tymczasem... – znów chlipnęła, nie kryjąc goryczy – zostałam sama ze swoimi utopijnymi pragnieniami. Nikt nie chciał tego poza mną! A już najmniej Antoni. – Spojrzała na córkę w taki sposób, że tej zrobiło się jakoś dziwnie. – Wiesz jak to jest, kiedy żyjesz w nieustannym poczuciu winy? Wszyscy cię oskarżają o podjęte decyzje, a nikt nie chce nawet palcem ruszyć, aby było dobrze.

– Kogo masz na myśli? – spytała Julka podejrzliwie

– Jak to kogo? Was wszystkich! Obie byłyście na mnie złe do tego stopnia, że nagle postanowiłaś wyjechać bez jednego słowa wyjaśnienia. Teraz Tośka wyprowadziła się do Toronto, twierdzi, że Bradford to dziura, a ja przez cały czas wysłuchuję od Antoniego, jak bardzo mu ciężko. – Na chwilę zawiesiła głos.

– Do jasnej cholery! – syknęła. – A mnie nie jest ciężko? Kto choć raz pomyślał o mnie? Najlepiej się żalić i mieć wieczne pretensje! – Podniosła głos, nie kryjąc goryczy. – A teraz sprzedaż domu? Zainteresowani przychodzą, wybrzydząją, odchodzą, a ja nie mogę się pogodzić z myślą, że nie długo będę musiała go opuścić.

– Współczuję ci, bardzo. Rozumiem doskonale, co możesz teraz czuć – przyznała Julia smutnym, przygnębionym głosem. – Ale nie można nieustannie rozpamiętywać tego, co było kiedyś. Teraz należy iść do przodu i nie oglądać się za siebie. Było, minęło. Tak to już jest. Im szybciej się z tym uporasz, tym lepiej, mamó.

– Łatwo ci mówić. – Alina wytarła policzki, pociągnęła nosem i zajrzała jej głęboko w oczy. – Masz teraz swój dom, rodzinę, fabrykę... Co byś zrobiła, gdybyś okazało się, że...

– Nie kończ, mamo! – przerwała jej natychmiast córka. – Domyślam się, co chcesz powiedzieć. Nie wiem, do diabła! Po prostu nie wiem!

Dziwnie to zabrzmiało, przez krótki moment wywołało przygnębienie i niepokój. Julia zastanawiała się jakiś czas nad tym, co właśnie usłyszała, potem otrząsnęła się z niedobrych myśli.

– Napij się ze mną, mamusiu. Rozluźnisz się, dobrze ci to zrobi. Jutro przecież nie idziesz do pracy.

– Na całe szczęście – przyznała zgaszona Alina, potem podniosła szklanekę z piwem. – Za nowe życie! – oznajmiła gorzko, upijając łyk bursztynowego trunku.

Nie minęły trzy tygodnie, a mężczyźni w garniturach znów się pojawili. Tym razem zamówili dwadzieścia filtrów, zaprosili ich na wspólny obiad w mieście, podczas którego nieustannie nawiązywali do produkcji i sprzedaży. Oliwiera cieszyło to zainteresowanie, ekscytował się, opowiadając im o ich początkach i pracy u wuja Edmunda. Za to Julia nie mogła oprzeć się ogarniającej ją niechęci. Jeden z nich, ten najmłodszy, gapił się na nią nieustannie. Fakt, przyłożyła się tego dnia do swojego wyglądu. Włożyła nowiutką lnianą koszulkę w bieli, do tego luźne spodnie z tej samej tkaniny i sznurkowe, czarne sandały. Jej muśnięta słońcem skóra na dekolcie lśniła w blasku gorącego dnia, twarz pokryta delikatnym makijażem wyglądała zdrowo i naturalnie.

– Jesteś zmęczona sytuacją rodzinną – skwitował mąż ze zrozumieniem. – Wcale ci się nie dziwię. To przerasta wszystkich, nawet mnie. Pewnie dlatego nic cię nie cieszy, stałaś się podejrzliwa i sfrustrowana.

– Może masz rację – przyznała nieco skruszona. – Może naprawdę chodziło o rozwód i sprzedaż rodzinnego domu? – próbowała się uspokoić. – Każdego by to dotknęło.

– Jak tylko uporamy się z tym wszystkim, wyjedziemy gdzieś – oznajmił Oliwier, otulając ją ramionami. – Dominikana albo Meksyk. Dokąd wolisz?

Wydeła wargi i zmarszczyła brwi.

– Wszystko mi jedno, kochany. Możemy jechać dokądkolwiek, aby tylko razem.

Cmoknął ją w policzek i przesunął zwilżonymi ustami po skroni.

– Widziałem, jak się na ciebie gapił – szepnął jej do ucha. – Na drugi raz mu przywalę.

– Zrobiłbyś to? To przecież nasz klient! – Udała oburzenie. – Od gapienia niczego mi nie ubędzie – skwitowała ze śmiechem.

– Jesteś tylko moja.

– Wiesz, że nie cierpię takich pewnych siebie, aroganckich typów!

– To akurat wiem – przyznał zadowolony, nie przestając jej całować. Jego dłonie coraz śmieiej wędrowały wokół jej pośladków. – A co byś powiedziała na mały przerywnik, kochanie?

– Tutaj? – Nie kryła zdziwienia.

– A dlaczego nie? Nie robiliśmy tego jeszcze w biurze.

Mruknęła z zadowoleniem. Coraz bardziej podobał jej się pomysł męża.

– Zamknijmy chociaż drzwi na klucz. – jęknęła w przyływie ogarniającego ją podniecenia. Dłonie męża właśnie pozbawiły ją koszuli i dobrały się do koronkowego stanika.

– Zrobię to dla ciebie... – wymamrotał, ogarnięty jeszcze silniejszym pożądaniem.

Zdążył przekręcić zamek, kiedy rozległo się pukanie.

– Nie, nie otwieraj! Nie teraz! – szepnęła mu błagalnie do ucha.

– Nie mam takiego zamiaru – mruknął, obejmując jej pośladki i sadowiąc na blacie biurka. Jednym ruchem pozbawił ją dolnej części garderoby, potem pozwolił, aby rozpięła mu spodnie.

– Kocham cię! – sapnęła mu do ucha, obejmując ciasno udami, kiedy niecierpliwie, naładowany żądzą i nabuzowany, wszedł w nią, wypełniając ją po brzegi słodką, pulsującą rozkoszą.

– Ja ciebie też – jęknął przeciągle, wykonał jeszcze kilka pchnięć, a potem z jego gardła wydobył się tłumiony okrzyk spełnienia.

Dom przy Lee Ave 18 świecił niemal pustkami. Opróżniony został z rzeczy osobistych, ubrań, drobnego wyposażenia i sprzętu. Pozostały wszystkie meble w stałej zabudowie, kanapa oraz ich dwa ulubione fotele, na których przesiadali przy muzyce i drinku niejedną wieczór. Alina przeszła do kuchni, zdjęła jeszcze ze ścian jej ukochaną porcelanę z Włocławka i każdą rzecz osobno zapakowała w papier. Ułożyła to wszystko w kartonie i podała Oliwierowi.

– Uważaj, synku, to mój ulubiony fajans. Przywiozłam go jeszcze z Polski. Mam do niego ogromny sentyment.

– Nie martw się, mam. Umieszczę pudło na wierzchu i odpowiednio zabezpieczę.

Uśmiechnęła się kącikami ust. Wiedziała, że jak Oliwier ją zapewnił, to właśnie tak robi. Uwielbiał porządek, miał to po prostu w swojej niemieckiej naturze. W jego przedsiębiorstwie wszystko musiało lśnić i być na swoim miejscu. Każda szuflada, półka posiadały swoje przeznaczenie, dodatkowo, aby uniknąć pomyłek, były rzetelnie opisane. Zwracał uwagę, gdzie co leży, dlatego jeśli czasem nadepnął na jakąś śrubkę, wściekał się nie na żarty. Cenił sobie perfekcjonizm, dokładność i punktualność. Te cechy usiłował wyegzekwować od większości pracowniczego personelu, co nie zawsze kończyło się sukcesem.

Tymczasem Antonina zeszła z góry, niosąc pod pachą tekturowe, otarte na rogach pudło.

– Zabiorę je do siebie, to moje fotografie szkolne i takie tam pamiątki...

Alina skinęła głową, obrzucając córkę przelotnym wzrokiem. Wyrosła – skwitowała mimochodem w myślach. – Kiedy to się stało? Z wesolutkiej, drobniutkiej dziewczynki przeobraziła się w piękną, pewną siebie kobietę. W ostatnim czasie podjęła pracę w renomowanym biurze nieruchomości.

Podobno od początku bardzo dobrze sobie radziła, a nawet przeprowadziła już kilka pierwszych transakcji.

– Mamo, wszystko w porządku? – Tośka podeszła, odstawiła pudło na podłogę i objęła ją ciasno ramionami.

– Tak, można tak powiedzieć... – wykrztusiła przez łzy. – Jednak żal...

– Wiem, tak mi przykro...

– Już dobrze, córuś, już dobrze... Pozbieram się jakoś – odparła, przetykając ślinę. – Teraz może być już tylko lepiej.

– Zgadzam się z tobą. Gorzej już być nie może – przyznała, wycierając jej mokry policzek wierzchem dłoni.

Przyjrzała jej się uważniej i rzekła odkrywczco.

– Wiesz, nadal jesteś bardzo piękna. Powinnaś zawsze o tym pamiętać. I nadal młoda.

Alina tylko prychnęła w odpowiedzi i cmoknęła z czułością Tośkę w czoło. Ta dziewczyna wiedziała, co powiedzieć, aby poprawić jej samopoczucie.

W salonie pojawiła się też Julia. Powiodła smutnym wzrokiem po kątach.

– A ojciec? Nie przyjedzie zabrać swoich rzeczy?

Matka machnęła ręką i wzruszyła tylko ramionami.

– Powiedział, że będzie. Ale kiedy, tego nie wie nikt.

– Cały ojciec – skwitowała gorzko. Po chwili dodała, wskazując jedną ze ścian. – Wszystko już prawie zabrane, a co z tym, mamusiu?

Ostrowska popatrzyła na zegar z dużymi wskazówkami, cyferblatem i wahadłem, który przez wiele lat odmierzał im czas. Ten szczęśliwy i ten mniej przychylny. Był z nimi od samego początku, jednak na samą myśl, że miałyby go zabrać ze sobą, coś ją nieprzyjemnie zakłuło.

– Nie! Nie chcę go! Źle mi się kojarzy.

– W takim razie może tata będzie chciał – uznała Julka, zwieszając głowę. Jakaś przykrość sprawiła, że zrobiło jej się ciężko na sercu. Coś za-

bolało, coś nieznośnego wtargnęło w jej myśli. Nie sądziła, że ta wyprawka będzie ją tyle kosztowała. – Jak to dobrze, mamó, że zdecydowałaś się zamieszkać u nas. Tak bardzo się cieszę! – zawołała, aby zagłuszyć wszystkie negatywne emocje, które w tym momencie osiągnęły jakieś apogeum.

– Ja też się cieszę. Nareszcie nie będę sama.

– I zamiast w fabryce będziesz pracowała u nas. Tyle, ile uznasz za stosowne.

– To prawda – przyznała, nie kryjąc ulgi. – Choć szefostwo było bardzo zawiedzione moim wypowiedzeniem, koleżanki zresztą też.

– Mamó, nie patrz na koleżanki! Patrz na siebie! – wtrąciła się Antonina, podnosząc ponownie pudło. – Zapakuję je do bagażnika, bo w końcu zapomnę – dodała, opuszczając na chwilę salon.

Julia podeszła do rodzicielki i przytuliła się mocno.

– Będzie dobrze, mamusiu, zobaczysz. Laura tak bardzo się cieszy, że zamieszkać obok siebie. Wszystko się zmieni na lepsze, musisz w to tylko uwierzyć.

Alina uściskała z wdzięcznością starszą córkę.

– Nawet nie wiesz, ile znaczą dla mnie te słowa. Przestaję wtedy myśleć o moim ukochanym ogrodzie, w który włożyłam tyle serca, o naszych rozmowach na tarasie, patrzeniu w gwiazdy i rozpamiętywaniu tego co dobre i co złe.

– Kocham cię, mamó – powiedziała Julia, przyglądając jej się badawczo. – Bez względu na wszystkie decyzje, które podjęłam w życiu, to jedno jest pewne i nie do podważenia.

– Ja ciebie też, córeczko – odparła Alina wzruszona i aby nikt nie zobaczył jej błyszczących od łez oczu, odwróciła twarz w stronę okna.

W tym samym momencie pojawił się Antoni.

Podszedł i przywitał się, cmokając byłą żonę w oba policzki. Nie było w tym zwykłym, grzecznościowym geście żadnej czułości, tylko sztam-powa uprzejmość.

– Cześć, jak się masz? – rzucił w przelocie.

– Dobrze, bardzo dobrze – odparła, zaciskając zęby. – Twoje rzeczy są w garażu, dokładnie tak, jak się umówiliśmy. Rozejrzyj się, może jeszcze coś ci wpadnie w oko.

– Jasne – powiedział z pokerową twarzą.

Zapamiętała go dokładnie takim już miesiąc wcześniej, na sprawie rozwodowej. Wtedy ostatecznie się rozstali, podpisali papiery i od tamtej pory zrobili się sobie niemal obcy.

Udawał, że go to niewiele obeszło, że wszystko, co było dotychczas między nimi, nic nie znaczyło. Ona jednak czuła, że całą swoją prawdziwą twarz skrywał właśnie pod maską obojętności. Znała go przecież bardziej, niż on sam myślał. Nauczyła się przez lata odkrywać jego wszystkie pragnienia i uczucia. Niestety, nie wszystkie umiała zaspokoić. Może właśnie to ich poróżniło.

Antoni wszedł na górę, ale po paru chwilach znów pojawił się na schodach. Trzymał w rękach pudło z płytami.

– W takim razie – chrząknął – zabiorę swoje rzeczy do samochodu. Poproszę Oliwiera, by mi pomógł.

Patrzyła na niego w milczeniu. Miała przed sobą mężczyznę w dojrzałym wieku, z lekką tuszą, siwizną na skroniach, w pogniecionej koszuli i wymiętą ze zmęczenia twarzą. Pewnie znów pił – przyszło jej na myśl.

W jednej chwili spłynęła na nią niepokojąca obojętność. Coś się zaczyna i coś się kończy. A każdy koniec jest początkiem czegoś nowego. Gdzieś już to kiedyś słyszała. Próbowала sobie uprzytomnić gdzie, ale w głowie miała pustkę.

– A co z psem? – rzuciła w powietrze.

Zachnął się.

– Rozmawiałem z Julią, powiedziała, że chętnie go weźmie. Biorąc pod uwagę, że wprowadzasz się do nich, to chyba dobry pomysł?

Zmierzył ją oczekującym wzrokiem.

Kiwnęła głową na znak zgody.

Zatrzymał się przed nią, przestępując niecierpliwie z nogi na nogę.

Wyciągnął rękę w jej kierunku. Spojrzał ledwie.

– Czas na mnie! Jeśli będziesz czegoś potrzebowała, to dzwoń – powiedział.

Uścisnęła jego szorstką dłoń i uśmiechnęła się krzywo.

– Dziękuję, zapamiętam.

– To... życzę ci powodzenia! – dodał, zerkając na nią spod krzaczastych brwi.

– Wzajemnie! – odparła przez ściśnięte gardło, niemal pewna, że w jego oczach błysnęły łzy.

– Uwielbiam ten utwór!

Julia spojrzała na Oliwiera, który wystukiwał na klawiaturze komputera kolumny cyferek. Z radia płynął wielki przebój Electric Light Orchestra – *Ticket To The Moon*.

– Ja też – mruknął mąż, nie odrywając głowy od monitora.

Podniosła się ze skórzanego, miękkiego fotela i prężąc ramiona, przemierzyła sporej wielkości, utrzymane w bieli i szarości pomieszczenie. Jedna ściana była niemal w całości przeszklona, stąd rozciągał się widok na parking i szeroki wjazd do firmy. Zatrzymała się przed oknem, przeciągnęła się i przeczesała palcami rozpuszczone włosy. Na dole sporo się działo. Jeden tir opuszczał teren, drugi właśnie wjeżdżał. Po placu kręciło się sporo osób, w tym kierowcy firmy, magazynierzy, a także jej ojciec, który przejął dowództwo nad transportem.

– Przypomina mi moje początki w Münster. Pamiętam, że grali to kiedyś w restauracji – mruknęła pod nosem, a potem niespodziewanie dodała:

– Ciekawe, jak ojciec z matką odnajdą się w jednym miejscu? Myślisz, że to był dobry pomysł?

Mąż zerknął na nią spod ściągniętych brwi i tylko rzucił od niechcenia:

– Myślę, że bardzo dobry.

– Dlaczego tak sądzisz?

Westchnął ciężko, potem podniósł głowę i odparł rzeczowo:

– Twoja mama pracuje na produkcji, a tata w magazynie. Praktycznie nie muszą się widywać. Ważne, że mamy ich oboje na oku.

– W sumie... – przyznała. Zaczepnęła haust powietrza, chcąc coś jeszcze dodać, ale w tym momencie zadzwonił telefon. Oliwier podniósł słuchawkę, w sekundzie jego twarz się rozpromieniła.

– Tak, z tej strony współwłaściciel firmy Czysta Woda – potwierdził. – W czym mogę państwu pomóc?

Jego uprzejmy, kurtuazyjny ton nieco rozbawił Julię. Odwróciła się i kątem oka spoglądała na rozmawiającego ożywionym głosem męża.

– Tak, oczywiście zlecę przesyłkę w możliwie najszybszym terminie – rzucił impulsywnie do słuchawki. – Przygotujemy zlecenie w trybie priorytetowym – zadeklarował.

Słuchała go jeszcze chwilę. Patrzyła, jak zapisuje na kartce papieru jakieś dane.

– Kto tym razem? – rzuciła przez ramię, gdy zakończył rozmowę.

– Paul Boster! Ten od garniturów. – Zachichotał jak mały chłopczyk.

– Ten Czereśniak? – zadrwiła. – Czego chciał?

– Nie uwierzysz. Zamówili dwie palety filtrów. W przyszłym miesiącu chcą dwa razy tyle.

– Za gotówkę?

– Oczywiście – odparł z dumą. – A jak myślałaś?

– No nie wiem... – bąknęła w odpowiedzi.

Zerwał się z fotela i w kilku susach do niej dopadł.

– To jeszcze nie wszystko. Zaprosili mnie do siebie. Chcą, abym zrobił prezentację naszych produktów! Interesują ich duże ilości, bardzo duże!

Poderwał ją mocno i zawirował nad podłogą.

– Wiesz, co to oznacza?

- Puść! Kręci mi się w głowie! – zaprotestowała.
 - Będziemy bogaci! Będziemy obrzydliwie bogaci!
- Postawił ją na podłodze, zachwiała się lekko, odzyskując równowagę. Ściągając brwi, spojrzała mu poważnie w oczy.
- Dla mnie największe bogactwo to my i nasza rodzina.
- Objął ją mocno ramionami i zakleszczył uścisk.
- Właśnie dlatego tak bardzo cię Kocham – szepnął jej do ucha.

Alina wyszła na balkon i spojrzała przed siebie, przed nią rozpościerał się widok na ogród, kawałek lasu i niewielki srebrzący się strumyk. Malowniczość tego miejsca codziennie ją mile zaskakiwała, każdego dnia odnajdywała tutaj drobiazgi, które cieszyły jej oko. Dziś na przykład dostrzegła w dali stare, wykrzywione drzewo. Kojarzyło jej się z ilustrowaną, jej ulubioną bajką o Królowie Śnieżce. Wtedy kiedy biegła przez las i uciekała przed wstrętną czarownicą. Pomyślała, że któregoś dnia zabierze Laure i pójdzie w tamto miejsce, aby przyjrzeć mu się z bliska. Przypomniała sobie pokój na poddaszu u cioci Bożeny na wsi. Dwa lata temu zmarła biedaczka, zaraz po tym jak jej mąż Jan został śmiertelnie potrącony przez pijanego kierowcę, który niestety uciekł z miejsca wypadku. Kochali się do samej śmierci – pomyślała z czułością i rozrzewnieniem, a nawet z lekką nutą zazdrości. Nie tak miało przecież być.

Wzdychając ciężko, weszła na powrót do pokoju mającego około dwudziestu metrów, z łazienką i sporą garderobą. Na białej komodzie prezentowały się ramki ze zdjęciami obu córek, zięcia i wnuczki. Na środku pomieszczenia leżał wzorzysty dywan, na nim stała sofa i dwa wygodne fotele. W rogu witryna z książkami i kilkoma ulubionymi pamiątkami z wycieczek, pod ścianą kolorowy telewizor. Zdążyła się już prawie urządzić, niektóre rzeczy przypominające jej wspólne chwile spędzone z Antonim wyrzuciła bez żalu, inne postanowiła zachować. Coraz łatwiej odnajdywała się w nowej rzeczywistości, coraz lepiej szło jej stawianie pierwszych kro-

ków jako kobiecie bez zobowiązań. Pomyślała, że niedługo odwiedzi Asztę, pojedzie na zakupy, pójdzie na długi spacer po lesie. Może razem z koleżanką zrobią sobie jakiś wypad za miasto? Dawno nie była nad Niagarą, nad jeziorem Huron, nie jeździła na nartach, które przecież kiedyś tak uwielbiała. Wielu rzeczy dawno nie robiła. Teraz, kiedy zwolniła się z fabryki, będzie miała na wszystko więcej czasu. Finansowo też odetchnie. Wprawdzie po sprzedaży domu i spłaceniu reszty kredytu nie zostało zbyt wiele do podziału, jednak było to coś na przetrwanie. Poza tym dzieciaki zaproponowały jej całkiem niezłą pensję i świetne warunki pracy. A jeśli nie – mogłaby się zająć domem i dopilnowaniem Laury. Weszła do sporej garderoby z jednym maleńkim oknem w dachu. Mijając lustro, zatrzymała się przed nim. Ujrzała niemłodą już kobietę z czarnymi włosami do ramion poprzetykanymi gdzieś srebrnymi nitkami, nieco postawną, z szerokimi biodrami.

Stojąca praca w fabryce zrobiła swoje – skwitowała gorzko w myślach, a następnie dodała na głos:

– Muszę coś ze sobą zrobić, koniecznie. Zacznę od włosów.

Rozdział 31

Drewniany kościółek Najświętszego Zbawiciela przy alei Włókniarzy w Łodzi wybudowany został na początku lat trzydziestych ubiegłego wieku z modrzewiowych bali i oszalowany deskami sosnowymi. Za każdym razem, kiedy Tadeusz wchodził do środka, czuł zapach impregnowanego drewna i stearyny, który, swoją drogą, uwielbiał. Tutaj zatrzymywał się czas, a nierzadko po wysłuchaniu kazania Ostrowski na swoje życie patrzył już nieco inaczej. Coraz bardziej cenił każdą chwilę i szanował te małe iskielki radości darowane mu przez los. Niewielka, ale urocza świątynia, która przeżyła całą wojenną zawieruchę, a następnie czasy władzy ludowej, ściągała ciekawskich z całego województwa. Z uwagi na wyjątkowy charakter budowli chętnie zamawiano tutaj śluby i inne ważne uroczystości związane z życiem każdego szanującego się katolika.

Bajeczka była odwrócona od Boga, dlatego nigdy nie towarzyszyła mu w samotnych wędrówkach po modlitwę, pokutę i odpuszczenie grzechów. Wtedy mu to nie przeszkadzało, akceptował jej przekonania i nie próbował niczego zmieniać. Stefcia dla odmiany była głęboko wierząca, dlatego ślub kościelny wydawał się niepodlegającym dyskusji rozwiązaniem. Przy Hannie jego stosunek do wielu spraw uległ zmianie, jednak nigdy do końca nie zatracił się w ateizmie.

Odkąd jednak poznał Zosię, jego myśli zaczęły natarczywie krążyć wokół jednego. Pragnął z całego serca połączyć się z nią sakramentem małżeństwa w kościele. Właśnie w tym, bo ten wydał mu się najbardziej stosowny, przywoływał dalekie wspomnienia, a co za tym szło – to wewnętrzne pogo-

dzenie się z dawnym życiem i tym obecnym. Uwierzył, że kobieta, która pewnego dnia stanęła na jego drodze, jest w stanie mu w tym pomóc.

Nie przejął się zbyt krytyką córki. Owszem – zabolalo, ale co z tego. Może nawet sobie na to zasłużył. Wszak nigdy nie był wzorowym ojcem. Postanowił więc skontaktować się z synem. Czego mógł się spodziewać po Antonim, który od wielu, wielu lat nie mieszkał w Polsce i nie rozumiał tej rzeczywistości, zmagania z samotną codziennością i tego nagłego porywu serca, który miał to wszystko uleczyć?

A jednak miło go zaskoczyły jego ciepłe słowa błogosławieństwa.

– Cieszę się, tato! Będę kibicował twojemu szczęściu, jak mi się uda, przyjadę na ślub.

– Naprawdę? Zrobiłbyś to dla mnie? – wydukał, bo jego gardło zacisnęły macki wzruszenia.

– Ależ oczywiście!

– Tak mi ulżyło... Bałem się, że i ty staniesz przeciwko mnie.

– Ja? Dlaczego?

– Nic... Tak tylko... – bąknął, nie chcąc nawiązywać do wcześniejszej rozmowy z córką. – A co u ciebie, synku?

Zapadła niezręczna cisza.

– Rozwodzę się. Sprzedajemy dom.

Tadeusz zaniemówił na moment.

– Ale jak to? Przecież...

– Od dawna było między nami źle – pospieszył z wyjaśnieniem Antoni – Nie chciałem cię po prostu martwić. A potem jeszcze śmierć mamy...

– I co teraz?

– Nic – padła głucha odpowiedź. – Każde po prostu pójdzie w swoją stronę. Może wreszcie będę mógł wrócić do Polski na stałe, kto wie...

– Przykro mi. Naprawdę lubiłem Alinkę, choć odnosiłem wrażenie, że ona mnie nie.

– Ach, tato... Dajmy temu spokój! – zachnął się. – A co Weronika na twój ślub? Cieszy się?

Tadeusz chrząknął wymownie do słuchawki, przełknął głośno ślinę. Właściwie to nie chciał o tym mówić, ale skoro syn sam zapytał.

– Stwierdziła, że powinienem się wstydzić.

– Naprawdę? – Antoni nie dowierzał. – Tak ci powiedziała?

Ojciec westchnął ciężko.

– Powiedziała znacznie więcej, ale nawet nie chcę tego powtarzać. Szkoda sobie języka strzępić.

– Aaa... chyba rozumiem. Cała Werka... Czasem umie odpalić.

– Gdybyś ty widział, co się z tą dziewczyną porobiło. Brakuje mi słów. Nie poznaję jej! – wycedził oskarżycielsko.

– Nie przejmuj się, tato... Wiesz jaka jest Werka, od zawsze miała swoje zdanie. Powiedz lepiej, kim jest twoja wybranka. Znam ją?

– Nieee, skąd... – zaprzeczył ojciec, a potem zaczął zdawać relację ze znajomości z Zofią. Jego rozemocjonowany, gorączkowy głos zdradzał wielkie zaangażowanie, co nie uszło uwadze Antoniego.

– Gratuluję, tato! Widzę, że to poważniejsza sprawa, niż sądziłem – skwitował, nie kryjąc podziwu. – Okazuje się, że na miłość nigdy nie jest za późno – dodał, lekko ożywiony, z nutą tajemnicy w głosie.

– Przyznasz mi rację, jak ją zobaczysz, gwarantuję ci, synu! Jest niezwykła!

– Nie wątpię – odparł Antoni, żałując, że nie może teraz osobiście pogratulować ojcu.

– Jest tylko coś jeszcze... – bąknął senior Ostrowski.

– Co takiego?

– Muszę jej się oświadczyć.

– W takim razie życzę ci powodzenia! – odparł syn lekko rozbawiony.

Kilka dni później Tadeusz udał się na Górnjak, jedno z największych, łódzkich targowisk, gdzie po wielu trudach i przymiarkach sprawił sobie wreszcie nowiutki garnitur. Jak zawsze wrzało tam niczym w ogromnym ulu albo przynajmniej saganie pełnym wywaru do zupy. Czego tam nie było? Stragany z warzywami, obwoźni handlarze oferujący pełen wachlarz produktów, począwszy od drobnej galanterii, narzędzi, przyborów, po ubrania dla każdego, ale też stoiska z mięsem, wędlinami, pieczywem i nabiałem. W tym całym rozgardiaszu mieszały się głosy, śmiechy, strzelały w górę nawoływania i ciche okrzyki radości. Po alejkach przechadzały się strojne jak choinki Cyganki nagabujące do wrózenia albo drobni oszuści sprzedający tombak zamiast złota. Ogromny parking obok budynku Rzemiosła wypełniony był niemal w całości, nawet się temu nie dziwił, był w końcu piątek, a więc dzień targowy. Kluczył więc pomiędzy kramami z pościelą, ręcznikami, bielizną, przepychał przez tłum zainteresowanych, wypatrując, dumając, podpytując, gdzie można kupić najlepszy ich zdaniem garniak. Wreszcie jakaś pomarszczona na twarzy baba, siedząca na niskim zydlu i sprzedająca jajka, wysłała go do środka hali, gdzie podobno znajdowało się stoisko z tymi rzeczami, od spodni, przez koszulę, marynarkę, po muchę, krawat, a nawet pasek. Nie wprowadziła go w błąd, bo kiedy uszedł ledwie kilkanaście metrów, dostrzegł przeszkloną witrynę, a w niej manekiny ubrane w stroje wyjściowe. Kobieta obsługująca stoisko wydawała się miła i życzliwa, dlatego kiedy wyłuszczył jej, z czym przyszedł, natychmiast przystąpiła do akcji poszukiwawczej. Wcześniej wybałała grunt, dając mu kilka marynarek do przymierzenia, zmierzyła centymetrem obwód klatki piersiowej, a także długość rękawa, po czym wkręciła się w wieszaki zawieszony towarem zabezpieczonym folią. Jak widać, znała się na swoim fachu, co tylko utwierdziło Ostrowskiego, że trafił we właściwe miejsce.

Nie minął kwadrans, a Tadeusz z pakunkiem pod pachą, uśmiechnięty od ucha do ucha, wychodził z hali. Postanowił zakupić jeszcze piękny bukiet kwiatów, najlepiej róż, butelkę dobrego wina, wrócić do domu, ubrać się stosownie, a wieczorem dokonać wreszcie tego, o czym od dawna marzył.

Stremowany, stanął pod drzwiami mieszkania przy Wapiennej, trzymając w jednym ręku bukiet czerwonych róż, w drugim butelkę z deserowym winem. Pani w osiedlowym sklepiku twierdziła, że jest najlepsze, jakie kiedykolwiek piła, dlatego postanowił jej zawierzyć. Zanim zdecydował się naciśnąć klawisz dzwonka, ostatni raz wygładził poły grafitowej marynarki i wziął głęboki oddech. Tym razem wyjątkowo się nie zapowiedział, chcąc zrobić ukochanej niespodziankę. Zdenerwowany, czekał, aż otworzy mu drzwi.

– Tadeusz? Ojej! – Nie kryła zaskoczenia. – Wejdz, proszę!

Zofia nie spodziewała się gości, dlatego miała na sobie zwyczajną sukienkę z bawełny w kwiaty, jednak bardzo twarzową, idealnie pasującą do jej nienaganej, drobnej sylwetki. złote włosy miała roztrzepane, swobodnie opływały wokół jej ładnej, wypoczętej twarzy.

– Stało się coś?

– Nie, dlaczego? – bąknął, wchodząc do środka.

– Wyglądasz tak, że nie wiem, co mam o tym myśleć – odparła z prostotą, po czym wprowadziła go w głąb pokoju gościnnego, otulonego przyjemnym półmrokiem, rozproszonym jedynie przez stojącą na komodzie lampkę nocną.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadzam – wtrącił, odzyskując dawny rezon.

– Nie, skąd... Zrobiłeś mi miłą niespodziankę.

– To dobrze – odparł, chrząkając znacząco, jednocześnie wyciągnął przed siebie bukiet kwiatów i rzucił się na jedno kolano. Troszkę go strzyknęło w kościach, bo skrzywił się z bólu, ale zaraz powstrzymał grymas na rzecz szerokiego, szelmowskiego uśmiechu.

– Tadek, co ty robisz? – Zakryła usta, nie kryjąc zaskoczenia.

– Jak to co? Oświadczam ci się – rzekł wprost, nie maskując już swoich uczuć. Wyciągnął z kieszeni marynarki pudełeczko z pierścionkiem.

– Kocham cię, Zosiu. Czy zostaniesz moją żoną?

– Ty tak serio? – Nie kryła zdumienia. – Nie sądziłam, że traktujesz nasz związek aż tak poważnie? Znamy się przecież od niedawna!

– Ale mnie to wystarczy. Sama mówiłaś, abyśmy nie tracili czasu.

– To prawda, jednak...

– Wyjdiesz za mnie, Zosiu? – powtórzył pytanie.

Zbliżyła się do niego, objęła rękoma głowę i przytuliła do ciepłych ud. Przez chwilę nic nie mówiła, co Tadeusza mocno zaniepokoiło. Może jednak się pospieszył, może źle odczytał jej pragnienia? Różne złe myśli świdrowały mu czaszkę. Pragnął ponad wszystko spędzić u boku tej kobiety resztę swojego życia, czyżby ona chciała czegoś innego?

Przytulony do wybranki, z nosem w jej dole sukienki, nie mógł z siebie wydusić słowa. Wreszcie do jego uszu dotarło ciche pociągnięcie nosem.

– Ja też ciebie kocham, głuptasie. Oczywiście, że za ciebie wyjdę.

Rozdział 32

Laura leżała na brzuchu, na rozłożonym kocyku, z brodą podpartą na rękach. Całą jej uwagę pochłaniały bajkowe, kolorowe postacie, które sunęły po ekranie w przyspieszonym tempie. Marszczyła przy tym śmiesznie brwi, co nie uszło uwadze jej mamy. Julia uśmiechnęła się z czułością na ten widok, po czym prześlizgnęła wzrok po okienku telewizora. odłożyła pilot na ławę i wyprostowała plecy. Na widok schodzącego po schodach męża zrobiła kilka kroków do przodu.

– Wow! – wykrzyknęła zdumiona. – Gdzieś się tak wystroił?

Od kilku tygodni trwało lato, Oliwier miał na sobie spodnie z jasnego lnu, granatową koszulkę polo i kremowy sweter zarzucony na ramiona. Ciągnęła się za nim smuga zmysłowych perfum, które mu ostatnio kupiła w prezencie urodzinowym.

– Nie mówiłem ci? – zdziwił się mocno. – Paul zaprosił mnie na piwo. Mamy pogadać o interesach.

Wydeła usta, nie kryjąc niezadowolenia.

– Znów ten Paul... – sarknęła. – Nie możesz sobie znaleźć innych kolegów?

Zatrzymał się na wprost niej z rękami wbitymi w kieszenie.

– Kochanie, a co masz przeciwko niemu? Przecież wiesz, że chodzi o naszą wspólną przyszłość. Znajomość z nim może nam tylko pomóc. Ma dużo możliwości, układy... a jego firma składa coraz większe zamówienia.

– Sprawdziłeś chociaż tę firmę? – Założyła ręce na piersiach i przyglądała mu się badawczo.

– No pewnie. Za kogo mnie masz? – Postąpił parę kroków do przodu, pochylił się i złożył na jej policzku całusa.

– I czego się dowiedziałeś? – przystąpiła do świadomego ataku, nie reagując na czuły gest.

– To bardzo prężne przedsiębiorstwo, nazywa się New Power, są największymi pośrednikami w branży hydraulicznej.

– Nie tylko oni jedni – stwierdziła z przekąsem. – Jak na mój gust, spędzasz z nimi zbyt wiele czasu.

– Daj spokój, niepotrzebnie tak reagujesz. To przecież zwyczajne praktyki w biznesach – upierał się przy swoim.

– I dla tego Paula się tak wystroiłeś? – zakpiła, nie odrywając od niego wzroku.

– Chyba nie jesteś o mnie zazdrosna?

Omiotła go lekceważącym spojrzeniem.

– A powinnam?

– A nie? – przekomarzał się.

– Chyba sobie żartujesz. Jeszcze nie zwariowałam.

Zacisnęła usta, dławiąc w sobie uczucie gniewu. Oskarżył ją o zazdrość. Fakt, nie była zadowolona z jego kolejnego wyjścia. Wieczory należały do nich. Mogli przecież pojechać razem do miasta, pójść na zakupy, do restauracji lub do kina. Tymczasem Oliwier coraz częściej o tej porze wychodził z domu.

– Za ile będziesz? – rzuciła przez ramię, kierując się do kuchni.

– Nie wiem... – bąknął – To zależy...

– Od czego? – warknęła, odwracając się w jego stronę i przyglądając mu się spod ściągniętych brwi.

Speszył go ten wzrok, odruchowo przeczesał palcami włosy.

– Postaram się być za trzy godziny.

Objęła go ciepłym ramieniem i pocałowała w usta. Popatrzyła mu prosto w oczy. Wiedział, co chciała mu powiedzieć. Siedzieli przy prostokątnym stoliku zastawionym szklankami kawy, talerzykami z okruchami po cieście drożdżowym i popielnicą wypełnioną petami. Miał na sobie wygniecioną, flanelową piżamę w kratkę, rozpiętą na owłosionym gęsto torsie, na gołych stopach rozdeptane kapcie. Lodzia owinięta jego niebieskim szlafrokiem z frotté i przechylała figlarnie głowę, wsłuchując się bez reszty w słowa Tadeusza. Opowiadał jej właśnie o firmie dzieci, procesie powstawania filtrów, olbrzymich zamówieniach napływających nie tylko z Kanady, ale głównie z Niemiec i Szwajcarii.

– Wiesz, jak ciebie słucham, mam to wszystko przed oczami. To musi być wspaniałe, widzieć, jak coś zbudowane od zera, z każdym dniem staje się prężniejsze i potężniejsze. Musisz być dumny ze swoich dzieci, prawda?

W zamyśleniu kiwnął głową.

– Tak, bardzo... – potwierdził. – Julka i Oliwier tworzą niezwykle udaną parę. Wszystko, co wezmą w swoje ręce, zaczyna żyć.

– To niesamowite – mruknęła z uznaniem. – On Niemiec, a ona Polka. Jak to możliwe?

– Właśnie – zgodził się. – Podobno zięć czuje się tutaj lepiej niż tam, we własnej ojczyźnie. Pomyślałabyś?

– Nee, skąd...

– Hm... W dodatku łeb ma nie od parady. Umie liczyć, przewidywać, jest dokładny i pedantyczny.

– Twoja córka świetnie trafiła – stwierdziła Lodzia, nie kryjąc aprobaty.

Antoni upił łyk błotnistej kawy zalegającej dno szklanki, po czym westchnął ciężko. Odwrócił się w stronę kobiety i pogłaskał po zmierzwionych, kasztanowych włosach.

– Wiesz, chciałbym, abyś ich kiedyś poznała. Jeszcze nie teraz, ale już niedługo. Jestem pewien, że pokochają cię jak matkę.

Zarumieniła się, skuliła w sobie, zaciągając się tą myślą jak dymem z dobrego papierosa.

– Myślisz, że oni mnie... zaakceptują?

W odpowiedzi musnął opuszką palca jej pocięty zmarszczkami policzek.

– Jesteś taka dobra... Nie mogliby tego nie zauważyć.

– Naprawdę? – Podniosła oczy i spojrzała na niego z nadzieją.

– Dajesz mi szczęście, radość każdego dnia. To ważniejsze niż uprzedzenia. Poza tym nie mogą mieć pretensji o to, że zajęłaś miejsce Aliny, skoro już wtedy nic nas nie łączyło. Są mądrzy, powinni to zrozumieć.

Pokryła ręką jego szeroką dłoń leżącą na blacie stołu. Jej twarz się rozchmurzyła.

– Mam nadzieję, że to kiedyś nastąpi – wyznała szczerze. – Marzę o tym, abyśmy mogli kiedyś odwiedzić dzieci twoje i moje. To byłoby cudowne. Bez tej całej złości, nienawiści, uprzedzeń, bez tej całej bzdurnej kanonady oskarżeń – prychnęła. – Przecież nam też się coś należy od życia, nie sądzisz? Jesteśmy w końcu dorośli.

Przytaknął w zamyśleniu. Wyciągnął papierosa z paczki i wetknął ustnik pomiędzy wargi. Lodzia pospieszyła z pomocą, wyjęła z kieszeni szlafroka pudełko zapalek i odpaliła jedną z nich. Antoni podziękował jej lekkim skinieniem brody, po czym zaciągnął się głęboko.

Przyglądała mu się z uwielbieniem. Siedział rozparty na krześle, z odsłoniętym torsem, z posągową piękną twarzą i tymi niezziemskimi oczami, w których kilka dekad temu zapadła się bez reszty.

Mogła tak na niego patrzeć bez ustanku, chłonąc jego obecność, zapach, słuchać tego nieco szorstkiego, niskiego głosu. Kiedyś, wiele lat temu, gdy jeszcze był młodym mężczyzną i łamał niewieście serca, skrycie go kochała. Łowiła każde spojrzenie szefa, każdy gest. Była na każde jego skinienie, wierna i oddana mu jak pies. Łączyły ich przyjacielskie relacje, które wówczas musiały jej wystarczyć. Miała przecież rodzinę, chorego męża i nieletnie dzieci, choć wiele razy wtedy myślała, że gdyby kiwnął ledwie palcem, poszłaby za nim na koniec świata. Może i dobrze się stało, że nigdy wcze-

śniej tego nie zrobił. Na wszystko przychodzi czas. – Westchnęła w duchu, bez żalu.

Teraz była już wdową i nikt nie mógł mieć do niej pretensji o podjęte ponad rok temu decyzje. Poza tym nie rozbiła związku ukochanego, który i tak już nie istniał. Miała czyste sumienie, a dwoje jej dorosłych dzieci wiodło już swoje własne życie.

– Wiesz, co... – zaczął Antoni, gasząc papierosa w popielniczce, wytrącając ją tym samym z głębokiej zadumy – pobierzmy się.

Nie dotarło do niej w pierwszej chwili, co powiedział. Siedziała na krześle z odsłoniętym udem, zaciśniętym wokół talii paskiem szlafroka, z ręką na jego kolanie.

Szarpnął lekko jej ramieniem i zajrzał czule w jej zanurzoną w rozmyślnościach twarz.

– Zgodzisz się?

– Ale na co? – Potrząsnęła głową z niezrozumieniem.

Uśmiechnął się łobuzersko.

– Nie słyszałaś?

Zaprzeczyła krótkim ruchem głowy.

– Najlepiej w Polsce. Pojedziemy na ślub do mojego ojca, a później znajdziemy jakiś urząd i zorganizujemy swój. Co ty na to? – zaproponował lekko, jakby rozmawiali o zakupach w sklepie z odzieżą, a nie o związku na śmierć i życie.

– Mówisz poważnie? – spytała z niedowierzaniem.

– Tak, bardzo poważnie – odparł stanowczo. Jednocześnie chwycił jej rękę i zbliżył do ust. Złożył na niej uroczysty pocałunek.

Wargi Łodzi zadrżały, w oczach błysnęły łzy. W najśmielszych marzeniach nie sięgała nawet do takiej chwili. Zawsze myślała, że ludzie w tym wieku mogą żyć już tylko na tak zwaną kocią łapę i nie przystoi się pobierać. Poza tym... wiedziała, że Antoni ją kocha, ale czy aż tak mocno, aby wiązać się ślubem?

– Kochany mój! – jęknęła, nie kryjąc wzruszenia. – Przecież wiesz, że tak!

Objął jej twarz rękoma i gładził palcami skronie.

– To cudownie, Lodziu – odparł. – W takim razie wszystko postanowione.

– Czyli co? – wydukała, nie wierząc jeszcze we własne szczęście.

– Jak to co? – podjął radośnie. – Kupujemy bilety i lecimy do Polski! Odwiedzimy moją rodzinę i twoją, weźmiemy udział w uroczystości ojca, załatwimy wszystkie formalności i wrócimy tu jako małżeństwo Ostrowskich. A wtedy każdemu, kto będzie chciał podważyć naszą miłość, powiemy: *fuck!*. Zgadzasz się?

Kobieta przechyliła głowę, chcąc ukryć łzy, które zdradziecko napłynęły do oczu. Jednocześnie musnęła wargami wewnątrz jego dłoni, bo ta przesunęła się nagle po jej rozognionym policzku.

– Tak, kochany. Zgadzam się.

Rozdział 33

Mocne dźwięki kościelnych organów rozległy się we wnętrzu drewnianego kościółka w Łodzi przy alei Włókniarzy, jednocześnie w ciszy, oparach dymu ze świec i kadzidel w małym skupisku zebranych gości rozpląnął się anielski głos. Cudowna pieśń, *Ave Maria*, wypełniła wielką przestrzeń, wprowadzając wszystkich w niezwykle uniesienie. Głos niósł się po kamiennej posadzce, nad ławkami i głowami gości, po ścianach zawieszonych wizerunkami świętych, a wreszcie po ustrojonym kwiatami ołtarzu, na którego stopniach klęczała, pochylając głowy, para nowożeńców. Kiedy ostatnie tony wybrzmiały w ciszy, Tadeusz podniósł się, wystawił swoje ramię i pomógł wstać ukochanej. Zatrzymali się w półobrocie, naprzeciw siebie, wpatrując się jedno w drugie jeszcze nieco z niedowierzaniem, ale wzrokiem pełnym niespodziewanego szczęścia i czułości. Nowo poślubiony małżonek złożył na ustach swojej żony długi pocałunek. Rozległy się gromkie brawa.

Chwilę później, kiedy stali już na schodach świątyni w otoczeniu gości, ktoś sypnął drobnymi monetami. Ich srebrny, radosny dźwięk rozległ się w ogólnym gwarze, gdy spadały na beton i rozproszyły się dookoła, sprawiając młodym nie lada trudność. Roześmieli się niemal jednocześnie, po czym chcąc nie chcąc kucnęli, aby je wyzbierać. Do pomocy przystąpiły dzieci uczestniczące w ceremonii zaślubin, które na ten widok rzuciły się niemal w tę stronę i popychając się nawzajem, łowiły uważnie każdy najmniejszy krążek.

Stojąca nieopodal Weronika, wystrojona w lśniącą brokatem kieckę, skrzywiła się i trąciła towarzyszącego jej, ubranego w błyszczący garnitur

męża. Małgorzata i Filip stali obok nich.

– Urządzili sobie niezłe widowisko! – sarknęła zgorszona.

– Daj już spokój! – zgasił ją Zbyszek. – Nie zatrzymasz już tego, niepotrzebnie się denerwujesz.

– Łatwo ci mówić – syknęła wzburzona. – Zachciało się staremu dziadowi.

– Ciii... – zerknął na żonę ganiącym wzrokiem i nakazał milczenie. – Ludzie na nas patrzą.

Wzruszyła wzdargliwie ramionami, po czym uśmiechnęła się sztucznie, potrząsając ufryzowaną głową.

Tymczasem po drugiej stronie Antoni i Leokadia przyglądali się nowożeńcom, nie kryjąc podziwu i wzruszenia. Kobieta pociągała nosem i co chwila wycierała różkiem chusteczki oczy, mężczyzna trzymał ją troskliwie za ramię.

– Widzisz to co ja? – prychnęła Weronika z ironią i drwiną w głosie.

– Co masz na myśli? – Mąż nachylił się nad jej głową, chcąc zrozumieć, o co chodzi małżonce.

– Widzisz, kogo sobie przywiózł braciszek? – zakpiła. – To jakieś nieporozumienie. Nie wierzę!

– Masz na myśli tę kobietę? – upewnił się.

– Przecież to jest jakaś maskara! – Zachichotała złośliwie. – Niżej już upaść nie mógł!

Zbigniew tym razem nie wytrzymał i uszczypnął Weronikę w ramię.

– Uspokój się! – syknął przez zaciśnięte zęby. – Nie wiem, co dziś w ciebie wstąpiło! Jesteśmy na ślubie twojego ojca, do cholery! Trzeba się jakoś zachować!

– Właśnie to robię! – odparła wzburzona, a potem dodała już ciszej z pretensją w głosie: – Nie rozumiem... Bóg widzi to i nie grzmi.

Małeńkie przyjęcie z okazji zaślubin odbyło się w otworzonym niedawno domu weselnym przy ulicy Kolumny. Początek uroczystości uświetniło tradycyjne przyjęcie nowożeńców chlebem i solą, szampan, tort, trzy ciepłe posiłki i zimne przystawki. Nie zabrakło też wody, słodkich napojów, wina i czystej wódki. Do tańca przygrywała orkiestra, mieszały się dźwięki starych szlagierów i modnego ostatnio disco polo. Ustawione w podkowę stoły nakryte były białymi obrusami, krzesła ubrane w pokrowce, gdzieś bukiety z kwiatami i stroiki tworzyły niezwykłą oprawę tego wydarzenia. Nowożeńcy mieli zasiąść w szczycie tej wspaniałej kompozycji, z przygotowaną na tę specjalną okazję dekoracją w postaci dwóch splecionych obrączek nad głowami. Tymczasem rozległy się dźwięki muzyki, całkiem udanie wykonano znany przebój o miłości Seweryna Krajewskiego i para poślubionych wykonała na parkiecie swój pierwszy taniec. Ich wymalowane szczęściem twarze budziły zachwyt, podziw i niesmak jednocześnie, ponieważ znaleźli się wśród gości tacy, którzy pukali się w czoło i zadawali sobie pytanie, po co Tadeuszowi ten trzeci ślub. On jednak, mimo sprzeciwu córki i powątpiewania niektórych znajomych, trwał twardo przy swoim, a dzień, w którym Zofia zgodziła się zostać jego żoną i osłodzić mu jesień życia, zaliczał do jednego z najszcześniejszych dotychczas. Wpatrzeni i wtuleni w siebie, kołysali się z wdziękiem w uformowanym przez przybyłych kółeczku. Ona w kremowej, haftowanej, poprzetykanej subtelnie złotą nicią sukni, z upiętymi włosami zakrytymi stroikiem, on w eleganckim garniturze i koszuli ze sztywnym kołnierzykiem. Oboje wyglądali pięknie, bił od nich jakiś niesamowity blask, emanowali energią. Ludzie przyglądali im się, nie kryjąc zdumienia, a nawet zaskoczenia faktem, że w tym wieku można być jeszcze takim szczęśliwym.

Weronika tymczasem podeszła do brata, szturchnęła za ramię i ruchem głowy zachęciła do wyjścia na zewnątrz. Uśmiechnął się nieznacznie, przeprosił partnerkę, która stojąc dotychczas w kółeczku, dopingowała nowożeńcom w tańcu.

– I co o tym wszystkim sądzisz, Antoni? Też ci się podoba ten cyrk? – spytała, kiedy już znaleźli się na terenie niewielkiego ogrodu z tryskającą

fontanną, strumykiem i uformowanym nad nim uroczym mostkiem. Było akurat lato, pachniała świeżo skoszona trawa, grały świerszcze i rechotały żaby w zaroślach.

– Cyrk? – powtórzył. – Dlaczego cyrk?

Prychnęła wzgardliwie.

– Stary dziad, ledwie się na nogach trzyma... – wycodziła z drwiną.

– Nie zapominaj, że ten stary dziad to twój ojciec. – Nie pozwolił jej skończyć. – Poza tym... to jego życie i jego wybór. Nam nic do tego.

– Naprawdę tak myślisz? – rzuciła oskarżycielsko.

– Właśnie tak – odparł stanowczo. – Ma prawo do szczęścia jak każdy z nas. Mówił mi, że ostatnio coraz częściej czuł się samotny, a odkąd poznał panią Zosię, znów chce mu się żyć. Swoją drogą to bardzo piękna, inteligentna i elegancka kobieta. Sam się dziwię, gdzie taką znalazł.

– A nasza mama, pamięć o niej? – burknęła ze złością.

– Mama umarła – bąknął cicho, przełykając nagle ślinę, która zaległa mu w gardle. – Ale pamięć o niej trwać będzie wiecznie. Jest w nas, w naszych sercach. Ona i tak miała swojego Felka. Nikt nie miał szans, aby z nim konkurować.

– Nie o tym mówię! – sarknęła, potrząsając ufryzowaną głową.

– Więc o czym, Werka?

– Naprawdę jesteś taki głupi? Śluby, majątki, podziały... Przecież ona ma dzieci!

– Kto?

– No, ta cała Zosia!

– Iii?

– Co i? – rzuciła wściekle. – To mieszkanie po Bajeczce miało być ojca!

– Ach tak...

Antoni omiótł siostrę wzrokiem, przyglądając jej się coraz uważniej. Wciąż była szczupłą, ładną kobietką, pełną energii, temperamentu i siły. Jednak jej styl bycia i noszenia się charakteryzowały osobę usiłującą za

wszelką cenę stać w centrum uwagi i pociągającą za sznurki wedle swych upodobań. Rządzi i dzieli – skonkludował w myślach. – Nigdy nie będzie miała dość.

W ciągu tych kilkudziesięciu lat pobytu Ostrowskich na obczyźnie tylko raz przyjechała do Kanady w odwiedzin. Było miło, bo przecież spragniony bliskości rodziny, którą pozostawił w Polsce, starał się wykorzystać ten czas najlepiej, jak mógł. Pojechali nad Niagarę, pokazał jej Toronto, jezioro Huron, okolice miasteczka, w którym mieszkali. Alina wzięła kilka dni urlopu, aby przygotować dom na przyjęcie gościa, w tym pokój do spania i pyszne jedzenie. Tydzień minął szybko, ale wówczas czuł ogromną więź między siostrą i bratem. Wiele mu wtedy powiedziała, o firmie, kłopotach wychowawczych z dziećmi, o tym, jak przez moment Małgośka chciała uciekać z domu do biologicznego ojca. Weronika wyznała ze skrucho, co wtedy przeżyła z córką, budząc tym samym współczucie Antoniego. On natomiast zwierzył jej się ze swojego zagubienia, nieporozumień z Aliną.

Teraz miał siostrę przed sobą, ale czuł, że zmienił ją upływający czas. W niczym nie przypominała tamtej radosnej, szczerzej kobiety.

– A co nam do tego mieszkania? – mruknął niedbale, wyciągając z kieszeni marynarki papierosa.

– Jak to? – warknęła. – Przyjdzie jakiś obcy bachor i weźmie jak swoje!

Prychnął nieco rozbawiony, zaciągając się nonszalancko dymem.

– Posiadasz tyle i jeszcze ci mało!

– A żebyś wiedział! – ucięła gniewnie.

– Nie rozumiem – odparł zdumiony. – Mamy przecież dwa mieszkania.

– Mamy? – fuknęła ze złością, a następnie dodała: – Po co ci one? Mieszkasz od wielu lat w Kanadzie, masz tam dom, rodzinę, dzieci. Nie zamierzasz chyba wrócić? Poza tym przez ten cały czas kto za nie płacił czynsz?

Antoni zaciągnął się nerwowo dymem i stanął w rozkroku na wprost siostry. Zmarszczył krzaczaste brwi.

– A może zamierzam? Skąd taka pewność.

Zaśmiała się jakoś pusto i histerycznie.

– Mówisz serio?

– A dlaczego nie? W zasadzie dobrze, że zaczęłaś ten temat. Będziemy musieli się kiedyś spotkać i o tym porozmawiać. Nie zapominaj, że to ja wykupiłem na własność Piotrkowską.

– Za psie grosze! – syknęła wzgardliwie. – Gdybym wtedy pracowała, też bym wykupiła.

– Nic nie stało na przeszkodzie, abyś to zrobiła – podsumował z przekąsem, a potem wycedził chłodno: – Wracam do środka, Lodzia na mnie czeka.

– Jesteś taki sam jak ojciec! – przystąpiła Weronika do ataku, kiedy już zamierzał sobie pójść, wykonując obrót. – Pewnie też niedługo się ożenisz!

Odwrócił się, otaksował ją wzrokiem i sarknął gniewnie:

– A jeśli nawet, to co? Zabronisz mi?

Siedząc na rogówce ze skaju przyglądali się tryskającemu szczęściem mężczyźnie w spodniach w kant i niebieskiej koszulce polo, który kursował z pokoju do kuchni i przynosił na ławę kolejne przysmaki. Mieszkanie w niczym nie przypominało tego z czasów Bajeczki. Było wysprzątane, przemeblowane, a przede wszystkim odświeżone. We wnętrzu unosił się zapach chłodnego, wieczornego powietrza, w którym mieszały się aromaty potraw przygotowywanych w drugim pomieszczeniu. Krzątająca się tam kobieta robiła hałas, przestawiając garnki i talerze. To, co uderzało na pierwszy rzut oka, to ciepło i przytulność.

– Długo zostanieie w Polsce? – rzucił Tadeusz, wykonując obrót, i nie czekając na odpowiedź zaraz dodał: – Jestem wam niezmiernie wdzięczny, że przyjechaliście na nasz ślub. Potrzebowałem waszego wsparcia, bo wiesz, jakie podejście ma Weronika.

– Wiem, tato, niestety... – mruknął Antoni. – Nie przejmuj się nią, musi to sobie najpierw ułożyć w głowie. Taka już jest ta nasza Wera.

– Taak... – zgodził się Tadeusz, stawiając przed gośćmi salaterkę z sałatką warzywną.

– Ooo! – zachwycił się syn. – Sałatka! Dawno takiej nie jadłem! W Kanadzie wszystko smakuje jakoś inaczej, prawda, Lodzia?

Przytaknęła, zalewając się niespodziewanie rumieńcem. Zerknęła na ojca Antoniego spod czarnych, podkreślonych henną brwi.

– Zosia robi pyszną. Kosztujcie, moi kochani. – Spojrzał jednocześnie na kobietę syna, która poczęstowała go w tym momencie ciepłym uśmiechem. Przyznał w duchu, że nie należała do urodziwych, ale miała w sobie to coś, co przyciągało. Zasmuciła go wprawdzie wiadomość o rozwodzie syna, nie spodziewał się też, że tak szybko znajdzie sobie inną kobietę, w dodatku wygrzebaną ze wspomnień i przeszłości. Jak to życie potrafi zaskoczyć – skonkludował w duchu.

– Dziękujemy za zaproszenie – wtrąciła Lodzia. – Jest nam bardzo miło.

– Nam również bardzo miło – oznajmiła nagle wchodząca do pokoju gospodyni. Ubrana była w beżową, lnianą sukienkę, luźną i wygodną. Jej rozświetlona, ładna twarz promieniała radością. – Jesteście tutaj zawsze mile widziani.

Tadeusz objął czule ramieniem świeżo poślubioną żonę i przysunął bliżej fotel.

– Muszę jeszcze do kuchni! Trzeba zrobić herbatę! – zaprotestowała.

– Siedź, moja turkaweczko! – sprzeciwił się. – Ty już się napracowałaś. Ja pójdę zrobić.

Antoni uśmiechnął się z przekąsem, przypominając sobie stare dzieje, kiedy to wszystkie sprawy w kuchni były na głowie mamy. A mówią, że ludzie się nie zmieniają – podsumował w myślach.

– Na długo przyjechaliście? – dopytywała Zofia. – Pochyliła się nad ławą i podała im salaterkę z sałatką. – Proszę, częstujcie się!

– Wylatujemy za dwa tygodnie. Mamy jeszcze tutaj do załatwienia kilka spraw – odparł Antoni, spoglądając wymownie na partnerkę.

Ta znów zalała się rumieńcem zakłopotania, ściągnając usta w dzióbek, i zaczęła drobić na talerzu plasterki szynki konserwowej.

– Rozumiem... – Kobieta z wrodzoną sobie klasą i elegancją nałożyła na talerz kilka plasterków wędliny, nie dopytywała też, co zamierzają zrobić. Na to wszystko wszedł senior Ostrowski, z tacą i trzema szklankami zaparzonej herbaty. Pochylił się nad blatem przykrytym bieżnikiem i ostrożnie postawił naczynia.

– Chcemy wam o czymś powiedzieć – oświadczył niespodziewanie Antoni.

– To mów, synu! – zachęcił ojciec, podstawiając im pod nos cukiernicę. – Mam nadzieję, że niedługo rozmówisz się z Weroniką.

– To też – przyznał wolno, przesypując bezwiednie cukier. – Ale jest coś ważniejszego: postanowiliśmy z Łodzią, że weźmiemy cichy ślub.

– Naprawdę? To cudownie! – krzyknęła zachwycona Zofia, zrywając się z fotela. – Gratuluję wam, kochani!

Objęła szczęśliwą, lekko oszołomioną kobietę i wyściskała mocno.

– Szczęścia wam życzę, dużo szczęścia!

Rozdział 34

Pokonana już większość trasy i równym tempem, lekko zmęczona, zaspasana, wracała do domu przy sennej o tej porze Essa Road. Jej myśli nieustannie krążyły wokół firmowych spraw, które w ostatnim czasie zaczęły się nieco komplikować. New Power złożyło ogromne zamówienie, dzięki czemu z magazynu wyjechały kolejne palety z filtrami. Oprócz zleceń hurtowych posypały się też detaliczne. Oliwier, jako znawca w dziedzinie instalacji tych urządzeń, wciąż musiał jeździć na warsztaty pokazowe, szkolić swoich pracowników, a nierzadko sam zakasywał rękawy. Twierdził, że nikt poza nim nie jest w stanie zrobić tego lepiej, z czym musiała się niestety zgodzić. Jej mąż w tym przypadku był niezastąpiony i nieocenyony. Znał się na tym fachu jak nikt inny, w końcu budował tę firmę od podstaw. Częste wyjazdy wiązały się jednak z rozłąką, na szczęście miała przy sobie Laurę i mamę, więc było jej o wiele łatwiej. Dużo czasu spędzały razem, spacerując brzegiem jeziora Simcoe, korzystając z licznych dobrodziejstw parku, ścieżek zdrowia czy orzeźwiających kąpiel. Czasem odwiedzały knajpę o nazwie Cindys, w której pracowała Iwanka. Zabierały jej córkę, zamawiały colę dla dziewczynek, dla siebie piwo, do których koleżanka przynosiła orzeszki.

W ten sposób spędzała kolejne wypełnione tęsknotą za mężem godziny. Ten stan miał również swoje dobre strony, ponieważ sporo czasu spędzała teraz z mamą. Julka patrzyła na rodzicielkę z radością, bo ta w ostatnim czasie nabrała rumieńców, wrócił jej humor, stała się mniej nerwowa i smutna. Wspólne zamieszkanie, rezygnacja z pracy w fabryce, zatrudnienie

nie w ich firmie tylko wyszły jej na dobre. Uspokoila się nieco, wyciszyła, patrzyła na świat z coraz większym optymizmem.

Niepokoila ją natomiast firma New Power, której przedstawiciele bywali u nich coraz częstszymi gośćmi. Zaprzyjaźnili się z Oliwierem i próbowali wnikać w cały system produkcji. Namawiali go na współpracę, przed czym się początkowo wzdbraniał. Z czasem zaczął się coraz bardziej przekonywać do ich propozycji, która polegała na produkowaniu dla nich ogromnej ilości filtrów bez własnej nazwy.

– Wspólne ustawianie produkcji? – oponowała żona. – Nie rozumiem, Oliwier. Co chcesz na tym zyskać?

– Jak to co? – odpowiadał ożywiony. – Połączymy wspólne siły, opanujemy cały kanadyjski i niemiecki rynek. Jest szansa, że wejdziemy na amerykański. Wyobrażasz sobie? Paul mówi, że jest to możliwe!

– Ale po co? Czy to, co mamy, nam nie wystarcza? A poza tym... znów ten Paul – sarknęła z wyrzutem. – Ostatnio jakoś tak mi się przyglądał...

– Nawet mnie to nie dziwi – odparł czule, jednak nieco pobłaźliwie mąż. – Jesteś piękną kobietą. Żaden mężczyzna nie jest w stanie przejść obok ciebie obojętnie.

– Taa... – Mimo miłego komplementu zagryzła wargi i nie powiedziała nic więcej. Miała nadzieję, że mąż wie, co robi. Ufała mu bezgranicznie.

Przedstawiciele New Power zwykle przyjeżdżali do ich firmy we trzech. Szef o imieniu Jack, gruby, obleśny, ciągle spocony, co sprawiało, że stwarzał wrażenie wiecznie niedomytego. Drugi – chudy, patykowaty i mało atrakcyjny Tom. trzeci – Paul, ten najprzystojniejszy, wciąż ją wnikliwie obserwował. Przemieszczali się czarną, błyszczącą beemką, do której Jack ledwie się mieścił. Żadnemu z nich nie ufała, a jakiś czas temu zwróciła uwagę na znaczek, który zdobił ubrania mężczyzn: niepozorny, wyhaftowany srebrną nitką piorun. Później wyczytała gdzieś, że taki znaczek wiąże się zwykle z przynależnością do organizacji. Im bardziej drażyła, tym więcej dowiadywała się przedziwnych rzeczy. Tworzyli zamkniętą, hermetyczną społeczność, w której obowiązywało bezwzględne posłuszeństwo. Mieli swój regulamin i obowiązki, członkowie grupy spisywali do-

kładnie wszystkie swoje czynności, minuta po minucie, spowiadali się swojemu guru, donosili na siebie w razie potrzeby i ustanawiali kary. Dziwne było to, że nie było łatwo się tam dostać, każdy członek musiał najpierw wpłacić niemałe wpisowe, następnie wtajemniczony zostawał w wewnętrzne sprawy, które dla tych z zewnątrz były z kolei całkowicie niezrozumiałe. Jednak chętnych próbujących się tam dostać nie brakowało. Ciekawe czemu? Działali pod szyldem New Power, ale tak naprawdę ich organizacja nazywała się Blue Sky. Przynajmniej tyle zdążyła ustalić, grzebiąc w internecie, czytając wywiady ludzi przez nich oszukanych, szukając informacji mogących powiedzieć coś więcej.

Swoje ustalenia na razie trzymała w tajemnicy przed Oliwierem, nie chciała działać zbyt pochopnie, najpierw postanowiła im się bliżej przyjrzeć, a tym samym zyskać stuprocentową pewność.

Kiedy tak z głową wypełnioną burzą myśli mijają Starbucks, ku niemałemu zaskoczeniu ujrzała biegnącego z przeciwka Paula. W stroju do joggingu, opaską na czole, butelką wody mineralnej przytroczonej do paska związanego wokół bioder. Zatrzymał się na jej widok i uśmiechnął szeroko, nie kryjąc zdziwienia. Już dawno przeszli na ty, choć wzbraniała się przed mówieniem mu po imieniu.

– Julia? Co tutaj robisz?

– To, co widzisz, biegam. A ty? – odparła chłodno, łapiąc krótki, płytki oddech.

– Nie wiedziałem, że biegasz tą trasą! – mruknął. – Mieszkam tutaj niedaleko.

– Tutaj? – Nie kryła zdumienia. – Myślałam, że w Toronto.

Machnął ramieniem.

– Stare dzieje... Od roku mieszkam w Barrie przy Lokashore.

– A to ciekawe – skwitowała cierpko, omiatając go badawczym spojrzeniem. – Czemu dowiaduję się o tym dopiero teraz?

– Nie pytałaś? – odpowiedział pytaniem. – Może poranna kawa? Starbucks jest już otwarty.

Wykonała krótki przeczący ruch głową.

– Nie, dziękuję. Myślę, że nie czas na to. Czuję, jak mi pot spływa po plecach – dodała na swoje usprawiedliwienie. Do domu mam bardzo niedaleko.

– Szkoda... – bąknął tylko, lecz za chwilę uśmiechnął się jakoś głupawo: – W takim razie pobiegnę z tobą. Trochę nadrobię, ale dobrze mi to zrobi.

– Nie trzeba! – zaprotestowała. – Lubię biegać w samotności.

– Naprawdę? Dlaczego?

Znów otaksowała go od stóp do głów, stwierdzając z niejakim żalem, że facet jest cholernie przystojny, potem czując niebezpieczną bliskość, zrobiła kilka kroków w tył.

– Bo lubię czasem побыć sam na sam z kimś inteligentnym! – wypaliła bez zastanawiania się.

– A to dobre! – zawołał, nie kryjąc rozbawienia. – Naprawdę dobre! – Potem pokręcił głową i rzucił z żalem w głosie: – Szczęściarz z tego Oliwiera, naprawdę szczęściarz!

Dobiegała do domu, gdzie w maleńkim zakolu uliczki dostrzegła znajome auto, grafitowego nissana murano. Serce zakwiliło jej z radości. Oliwier wrócił, cudownie!

Pomyślała, że weźmie szybki prysznic, wspólnie wypiją poranną kawę, a potem pomkną jeszcze do ich sypialni, aby ukoronować długie czekanie i czas tęsknoty. Starym zwyczajem otworzyła jeszcze skrzynkę pocztową, z której wysypał się plik przeróżnych kopert i ulotek. Chwyła całą zawartość pod pachę, otworzyła drzwi wejściowe i całą korespondencję rzuciła na szafkę w korytarzu. Mąż już krzątał się w kuchni, pogwizdywał cicho, przygotowując śniadanie. Aromat świeżo zmielonej kawy snuł się obiecującą strużką po salonie.

– Jesteś, kochana!

Przebrany w dres Oliwier chciał podejść i objąć ramionami.

- Stęskniłem się za tobą, moja wariatko – wyznał czule.
- Zaczekaj, wezmę tylko prysznic. Jestem cała mokra!
- Mnie to nie przeszkadza! – Zaśmiał się czule, z jakąś nutą beztroski.
- Ale mnie tak, głuptasie! – odparła, mrugając do niego porozumiewawczo. – Zrób dwie kawy, zaraz wracam!

Kilka minut później siedzieli we dwoje przy stole, pijąc espresso, rozmawiając o minionych dniach. Julia opowiadała o tym, co się w tym czasie wydarzyło, o Laurze, o wypracowaniu z angielskiego, z którego dostała najwyższą ocenę, o jazdach konnych, a także o spacerach z mamą i firmie.

– Wszystko w porządku – uspokoiła męża. – Transport wyjechał zgodnie z planem. Dziewczyny dwoją się i troją, aby wyrobić się w terminie. Magazyn też daje radę, choć jak był tato, działał trochę sprawniej. Nie mogę się już doczekać, kiedy wróci z tej Polski.

– Ja też – potwierdził Oliwier i chwycił żonę za drobną rękę. – Chodź! – mruknął niecierpliwie. – Nawet nie wiesz, jak bardzo się stęskniłem. Później opowiem ci, jak było.

Dom opustoszał, wszyscy się rozjechali. Oliwier pojechał do firmy, mama zaprowadziła Laurę do szkoły, a następnie udała się do pracy. Julia została jeszcze, aby uporządkować kuchnię, wstawić pralkę, odkurzyć. Uwielbiała, kiedy przedpołudniowe słońce wkładało się do salonu i oświetlało część pomieszczenia, takiego czystego, pachnącego świeżo ściętymi kwiatami i lekkim wiatrem z dworu. Na ścianach pojawiały się wówczas magiczne refleksy, które przywodziły na myśl zabawkę z dzieciństwa. Miała ją dawno temu, jeszcze wtedy kiedy mieszkali na Jelonkach w Warszawie. Kolorowa tuba, z magicznym, obracającym się okiem, w którym mogła zobaczyć niezwykle obrazy. Musiała przyznać, że kalejdoskop należał do ulubionych przedmiotów, jakie wówczas posiadała. Przesuwające się szkiełka działały na jej wyobraźnię tak mocno, że do dziś czuła tę ekscytację, kiedy mogła w nią spojrzeć i odkryć za każdym razem coś nowego. Włączyła muzykę,

rozpamiętując gorący, namiętny poranek. Mąż znów okazał się wspaniałym kochankiem, minęło tyle lat, a bliskość między nimi nadal wywoływała ogień i żar. Nie wyobrażała sobie życia u boku innego mężczyzny, choć nieraz sprzeczali się i mieli inne zdanie na wiele tematów. Ten Paul, choć przystojny i pociągający, budził w niej jakieś niepokojące myśli. Nie znosiła kiedy podchodził zbyt blisko, a ostatnia sytuacja wydała jej się dziwnie podejrzana. Zupełnie jakby wiedział, którą trasą będzie biegła Julia.

– Nie! To idiotyczne! – zgaśniła samą siebie. – Wciąż sobie coś roję i wyobrażam. Dość tego! Życie jest piękne!

Postanowiła, że nie będzie więcej zaprzętać sobie głowy tym Czereśniąkiem, bo tak nazywała wszystkich facetów, których nie znosiła lub ją irytowali. Z drugiej strony, im bardziej drażniła temat Blue Sky, im więcej odkrywała dziwnych rzeczy, tym mocniej się bała. Nieustannie odnosiła wrażenie, że ktoś za nią idzie, śledzi ją i obserwuje. Ostatnio w Shoppers, drogerii z kosmetykami i chemią, miała niemal pewność, że mężczyzna w błękitnej koszulce nie spuszcza z niej oczu. Wprawdzie udawał, że ogląda coś na półkach, jednak ona nie mogła pozbyć się wrażenia, że zerka na nią z ukosa. Wracając z Laurą i Cindy z koni, kiedy to prowadziła dziewczynki na parking, wydawało jej się, że za drzewem ktoś stoi i robi jej zdjęcia. Jeden błysk oślepił ją przez moment, ale kiedy podniosła ramię, aby się zasłonić, a potem ponownie spojrzała w tamtym kierunku, nikogo w tym miejscu już nie było. Skierowała wówczas oczy ku niebu, próbując upewnić się co do swoich przypuszczeń. Dziwne, bo było zachmurzone i żaden promień słońca nie przebijał się przez ciężką, ołowianą masę. Kiedyś znów, biegnąc przez park, dostrzegła mężczyznę siedzącego na ławce. Niby nic wyjątkowego, ale ją znów ogarnęło złe przeczucie. Gapił się na nią i notował coś, trzymając na kolanach jakiś zeszyt.

Pewnego popołudnia dostrzegła auto stojące w zakolu drogi. Samochód jak samochód, ale stał w tym samym miejscu kilka godzin, a kierowca wciąż tkwił w jego wnętrzu. Znów poczuła coś złego czającego się gdzieś w pobliżu. Czyżby wariowała?

– Powinnaś udać się do psychoterapeuty – doradziła jej wówczas przyjaciółka Iwanka, której postanowiła się zwierzyć. – To zaczyna być dziwnie niepokojące. Nie to, żebyś ci nie wierzyła, ale może pora się nieco wyciszyć?

– Ale mi pomogłaś, dzięki – skwitowała kwaśno, choć zaczęła coraz częściej rozważać taką opcję. Wizyta u specjalisty mogłaby jej naprawdę pomóc.

– Ja po rozwodzie z mężem bez pomocy nie dałabym rady – dodała Ukrainka.

Julia przytaknęła, wpatrując się w zmęczoną przeżyciami twarz przyjaciółki. Ostatnio naprawdę wiele przeszła. Któż by się tego spodziewał? Jej mąż i narkotyki. A jednak. Życie czasem potrafi wylać na głowę kubek zimnej wody i to w momencie, kiedy się tego zupełnie nie spodziewamy. Iwan, mąż przyjaciółki, potwierdził tę tezę w stu procentach, bo przecież prawda o jego prochowych ekscesach wyszła na jaw nagle i odurzyła wszystkich jak wybuchająca bomba chemiczna. Kobieta czuła od dawna, że coś dzieje się złego. Wiecznie o czymś zapominał, miewał momenty ogromnego wyczerpania na przemian z żywiołowym, pełnym energii zachowaniem. Nie wracał czasem na noc do domu, tłumacząc się nadwyzką w pracy i nawałem obowiązków. Było to podejrzane, choć póki nic strasznego się nie stało, wciąż mu wierzyła. Jednak kiedy zadzwonił telefon ze szpitala, a potem okazało się, że jej mąż przedawkował, w dodatku cierpi na chorobę wynikającą z przypadkowych zbliżeń seksualnych, powiedziała dość. Oczywiście wcześniej doprowadziła do jego wyjścia z placówki zdrowotnej, a kiedy upewniła się, że już nic mu nie dolega, wniosła o rozwód. Dom, który kupili wspólnie wiele lat temu na kredyt, postanowili sprzedać. Na szczęście zdążyli już go spłacić, podzielili się pieniędzmi, więc Iwanka zdecydowała się kupić sobie coś mniejszego na obrzeżach Barrie. Dalej pracowała w restauracji i nie zamierzała rezygnować z dodatkowych profitów, takich jak wysokie napiwki. Stali bywalcy ochoczo wynagradzali jej piękny, choć ostatnio przygaszony uśmiech. W tej sytuacji Julia postanowiła jej po-

móc, odbierając córkę z zajęć lekcyjnych i tych dodatkowych, uwielbianych przez obie dziewczynki.

Dokończyła kawę, umyła filiżankę, postanowiła ubrać się i pojechać do pracy. Zajęć jej nie brakowało, poza tym siedząc na miejscu, miała ogląd wielu spraw, których nie byłaby w stanie dopilnować będąc w domu.

Pozamykała szczelnie okna, poprawiła wrzosowe szale zasłon. Jeszcze raz omiotła spojrzeniem pięknie urządzony, uporządkowany salon. Uśmiechnęła się do własnych myśli, odrzucając wszystkie te złe i destrukcyjne. W korytarzu rzuciła okiem na leżącą na blacie szafki stertę korespondencji. Później ją przejrze – stwierdziła, pochylając się nad półką w szafie w poszukiwaniu odpowiednich butów.

Julia miała na sobie lniany, beżowy komplet, do którego idealnie pasowały brązowe sandały na płaskim, wygodnym spodzie. Sięgając po nie, nie chcący uderzyła ramieniem o kant szafki. Syknęła, bo krawędź boleśnie wbiła jej się w skórę. Jednocześnie na podłogę przykrytą wzorzystym chodnikiem spadła błękitna koperta. Była znacznie większa od tych standardowych, wypukła i dość ciężka. Zaciekawiona kobieta wzięła do ręki. Wyprostowała plecy, trafiając na swoje zdumione spojrzenie w lustrze. A jednak. Musiała ją otworzyć. Co mogła zawierać, skoro nawet nie miała adresu nadawcy. Szarpnęła papier i oderwała niestarannie końcówkę. Zadrżała ze strachu, bo ze środka wysypała się tajemnicza zawartość, ukazując prawdę, jakiej nie знаła i nigdy nie chciała znać. Zdjęcia, na których uwieczniony został jej mąż. Nie byłoby w tym nic złego, gdyby nie to, że był w towarzystwie atrakcyjnej, lgnącej do niego blondynki. Patrzył na nią z czułością, zupełnie jak na własną żonę jeszcze tego ranka. Serce Julii zatłukło w pierśiach jak oszalałe, krtań zacisnęła z zawodu, osunęła się na podłogę i zawyla głośno z bezradności, żalu i wściekłości.

Rozdział 35

Samolot do Toronto wystartował z lotniska w Warszawie o piątej rano. Od kilku minut siedzieli już na jego pokładzie, trzymając się za ręce i patrząc sobie z czułością w oczy. Maszyna, startując, najpierw ryknęła silnikami, potem, turkocząc śmigłami, wzbiła się w powietrze, powodując uczucie migrującego do gardła żołądka i rozsadzający ucisk w głowie.

– Nie lubię tego momentu – wyznała Lodzia, biorąc głęboki oddech, mocniej zaciskając palce na jego wielkiej, twardej dłoni. – Mam wrażenie, że zaraz zwymiotuję.

– Ja też nie – zgodził się Ostrowski, spoglądając przez okrągłe okno na znikający za chmurami ojczysty ląd. Jakiś smutek wypełnił każdy zakamarek jego duszy. Tęsknota za krajem stała się jeszcze silniejsza niż przed chwilą.

Jego marzeniem był powrót do Polski na stałe. Był na dobrej drodze, ponieważ w rozmowach z siostrą, a właściwie w toku żarliwych negocjacji, ustalili, że Piotrkowska przypadnie w udziale jemu i dzieciom. Lipowa zostanie natomiast w rękach Weroniki i zrobi z nią, co będzie chciała. Zdążyli nawet pójść do notariusza i spisać odpowiednią ugodę. Czuł się teraz jakiś wolny i spełniony, trzymając dokument w podręcznym bagażu, mając świadomość, że w każdej chwili będzie miał dokąd wrócić. Rozsadzała go wewnętrzna radość z tego faktu, bo już pewien był, że pozałatwia tylko wszystkie formalności związane z przeprowadzką, pożegna swoje dzieci i wnuczkę, po czym na stałe wróci do kraju. Tego pragnął z całego serca, o tym myślał nieustannie, odkąd pierwszy raz stanął na kanadyjskiej ziemi.

Był już coraz bliżej wyznaczonego celu, dlatego cieszył się jak dziecko próbujące uszczknąć teraz z tej przygody, ile się da.

Wyjątkowy pobyt w Polsce Antoni ukoronował skromnymi zaślubinami z Łodzią. Zawarli małżeństwo w Warszawie, w jej urzędzie, do którego stawili się najbliżsi. Znalazł się wśród nich Rychu z rodziną, Generał, dawne koleżanki Łodzi i jej przyjaciółka Henia z bloku. Ku jego zaskoczeniu pojawił się też Bolek z żoną, czas niewiele go zmienił. Podobno zrezygnował już na dobre z handlu walutą, a zajął się teraz sprowadzaniem używanych aut z Niemiec. Był też ojciec z Zofią, która życzyła im wielu wspólnych lat w szczęściu i miłości. Weronika nie przyjechała, tłumaczyła się dużym zamówieniem z Ukrainy, choć on doskonale wiedział, co za tym stoi. Po podpisaniu ugody rozstali się bez słowa i rozeszli w swoje strony. Nawet nie zaprosiła ich do siebie, do nowego, luksusowego domu, nierzadko ojciec opowiadał o nim same cuda. Miała mu za złe, dobrze o tym wiedział. Trudno – podsumował gorzko. Każda wojna musi mieć swoje ofiary, a jego już się prawie skończyła. Zastanawiał się, jak dzieci zareagują na tę wiadomość, ufny był jednak, że go nie zawiodą i zrozumieją. Tego teraz potrzebował.

Trzymał za rękę niemłodą już kobietę, żadną piękność, ale czuł, że nikt z bliskich nie jest w stanie dać mu tyle ciepła i zrozumienia co ona. Zerknął na Łodzię spoglądającą za okno, za którym kłębiły się bałwany białych, pierzastych chmur. Wyglądały trochę jak świeżo zasypana śniegiem łąka, po jakiej ma się ochotę biegać i tarzać.

– Napijemy się dla kurażu? – spytał, kiedy pojawiła się informacja o możliwości odpięcia pasów. Właśnie środkiem samolotu wózek z napojami pchała atrakcyjna kobieta w twarzowym mundurku stewardesy.

Odwróciła się w odpowiedzi, muskając go tryskającym szczęściem i spełnieniem uśmiechem.

– Weź dla mnie zubrówkę z sokiem jabłkowym.

– Dla siebie zamówię to samo – oznajmił zadowolony z wyboru małżonki.

Po chwili trzymali w rękach kubki z drinkami i smakowali pierwsze łyki.

Antoni westchnął.

– Jak cudownie smakuje!

– Twoje zdrowie, mężu!

– Twoje zdrowie, żono!

Stuknęli szkłem i popatrzyli na siebie z uznaniem, obietnicą i miłością w oczach.

* * *

Antoni zdziwił się, kiedy w fabryce nie zastał dzieci. Z reguły zawsze któreś z nich siedziało w biurze bądź krzątało się po hali produkcyjnej. Pracownicy też mieli jakieś nietęgę miny, jakby coś wiedzieli, ale żadne z nich nie chciało nic powiedzieć. Kobiety stukające w klawiaturę przy komputerach tylko przewróciły oczami i bezradnie wzruszyły ramionami. Rozejrzał się więc po magazynie, zorientował się, że prace idą pełną parą, zamienił kilka słów z chłopakami od transportu, dopytał też o zaplanowane trasy. Na parking przed zakładem wciąż podjeżdżały jakieś samochody dostawcze, w które ładowano zabezpieczone przed daleką drogą palety.

– To ta nowa firma! – wtrącił konspiracyjnie jeden z mężczyzn. – Zamówiła tyle, że nie nadążamy pakować.

– Naprawdę? – zdumiał się Ostrowski – New Power? – upewnił się.

– No tak – potwierdził tamten, wyjmując ołówek zza ucha i stawiając kolejny krzyżyk na kartce. – Idą jak burza. Jak dobrze pójdzie, trzeba będzie rozbudować magazyn.

– A niemieccy odbiorcy? Tam też nadal wysyłacie? – spytał.

– Też, ale mniej. Produkcja nie nadąża, a tamci wywierają naciski.

Nie wiedzieć czemu ta wiadomość nie ucieszyła Antoniego. Spochmurniał, zastanawiając się nad własnymi obawami, do których nie miał podstaw. Czuł jednak, że musi sam się temu przyjrzeć.

– Jutro wracam! – rzucił na odchodne, pożegnał się mocnym uściskiem ręki, po czym wsiadł w stare wysłużone volvo i ruszył w kierunku Essa Road.

Na podjeździe stał samochód zięcia, choć wyglądał tak, jakby go ktoś porzucił. Krzywo zaparkowany, z otwartymi drzwiami od strony kierowcy, wzbudził w nim dodatkowy niepokój. Przetarł ręką bolącą, od momentu wylądowania na lotnisku, głowę, następnie skierował kroki do wejścia. Drzwi były uchylone, na powitanie wybiegł mu Rudi, który ze szczęścia rzucił się na niego przednimi łapami.

– Już dobrze, piesku, już dobrze... – wymruczał z zadowoleniem.

Poklepał go po grubym karku i pogłaskał między brązowymi uszami. Zwierzę odwzajemniło te pieszczoty liźnięciem w oba policzki.

– Chodź, stary przyjacielu! – zawołał, kierując się w głąb salonu.

Na dole nie było nikogo, za to z piętra dochodziły jakieś uniesione głosy.

– Halo, jest tu kto! – krzyknął, usiłując zasygnalizować swoją obecność, jednocześnie udał się w górę schodów. Rzadko tu bywał, ponieważ ta część domu była sferą prywatną małżonków, ich dziecka, a odkąd przeprowadziła się tutaj Alina – również jej. Miał przed sobą dość przestronny hall z dachowym oknem, stolikiem i dwoma fotelami pod nim, wyłożony miękką wykładziną, z którego wchodziło się do poszczególnych pomieszczeń.

Zdziwił się, kiedy ujrzał zięcia przyklejonego do drzwi jego własnej sypialni. Mówił coś do nich błagalnym tonem, a potem nasłuchiwał. Z głębi dochodziły tylko stłumione, niezrozumiałe, poszarpane słowa.

– Julia, otwórz te cholerne drzwi! – krzyknął w pewnym momencie, waląc w nie z wściekłością.

Antoni zbliżył się do Oliwiera, wyciągnął ramię w jego stronę i lekko trącił. Ten drgnął zaskoczony obecnością kogoś drugiego.

– Tata? Co tutaj robisz?

Na jego zaczerwienionej od emocji twarzy wymalowało się zmieszanie.

– Nie było was w pracy, więc przyjechałem – mruknął. – Co się tutaj dzieje? Gdzie Laura?

Nie zapytał o byłą żonę, sądząc, że może być w pracy na popołudniowej zmianie.

– Nie ma jej... – bąknął zięć. – Pojechała z babcią do Iwanki. Zostanie tam na noc.

– A ty? – Spojrzał znacząco na Oliwiera.

Ten spojrział na drzwi, jakby one były wszystkimu winne.

– Zamknęła się w sypialni i nie wychodzi z niej od kilku godzin... – wyznał wstydliwie. – Nie chce z nikim rozmawiać.

– Jak to nie chce? Dlaczego?

– Mówi o jakichś zdjęciach, o tym, że ją zdradziłem.

– A zrobiłeś to?

– Nie! – zaprotestował Oliwier, uderzając pięścią w ścianę – Nigdy bym tego nie zrobił! Kocham Julię bardziej niż samego siebie, wierzy mi tata?

Antoni zachwiał się nad podłogą, bo coś aż łupnęło go w czaszce. Pomasażował czubek głowy dłonią i drążył dalej. Spojrzał na wielkiego mężczyznę, którego miał przed sobą, bezradnego jak dziecko, z błyszczącymi od łez oczami.

– Wierzę – odparł, po czym dodał: – Próbowałeś otworzyć te drzwi? Masz zapasowy klucz?

– Nie – padła głucha odpowiedź.

Ostrowski obejrzał się za siebie. Akurat na górę wsunęła się Alina, widząc ich obu, zatrzymała się kilka kroków dalej. Przyglądała im się badawczo. Wciąż była piękna. Towarzyszący jej Rudi kleił się do łydek swojej pani. Antoniemu zrobiło się jakoś dziwnie smutno, widok byłej żony w tym miejscu zrobił na nim niemałe wrażenie. Nagle zdał sobie sprawę z tego, że nigdy nie przestanie jej kochać, a to, co stworzyli wspólnie przez te wszystkie lata, stało się dowodem na to, że warto było razem przez to przejść. Ich dwoje dzieci, a teraz wnuczka to był bezcenny skarb i powód do dumy. Do tego dobre i złe chwile, które połączyły ich na zawsze. I bez względu na to, co się wydarzy, nigdy nie będzie w stanie kochać tak mocno żadnej ko-

biety, jak kochał Alinę. Może powinien jej to kiedyś powiedzieć? – przemknęło mu przez myśl.

– Julia potrzebuje czasu – zwróciła się stanowczo do byłego męża. – Zawsze była uparta jak osioł. Musi coś sobie poukładać. Nie zatrzymasz tego, choćbyś przebił ten cholerny mur!

– I tutaj się mylisz! – syknął.

Popatrzyła na niego, unosząc brwi.

– Odsuń się! – krzyknął w stronę zięcia. – I zostawcie nas na chwilę samych, dobrze?

Jednocześnie, nie zważając na ich zdumione miny, wziął nieduży rozbieg i uderzył bokiem ciała o drewniane drzwi. Te jęknęły głucho, zgrzytneły i zamek ustąpił. Kiedy tam wszedł, sypialnię zalegał półmrok, dlatego trochę czasu zajęło mu rozpoznanie się w terenie. Dostrzegł córkę siedzącą na podłodze, opartą o rant łóżka. W ręku trzymała kieliszek z winem, obok stała opróżniona niemal butelka. Pstryknął włącznik lampki stojącej na szafce, słabe światło rozjaśniło wnętrze, ukazując istne pobojuwisko. Wyrzucone z szafy ubrania zalegały fotel i krzesła, rozłożona, niespakowana walizka zdawała się mówić błagalnym głosem, aby ją zamknąć i odstawić na miejsce. Na kapie posłania leżała za to błękitna koperta, a obok niej rozsypane były zdjęcia. Jednak najgorszy widok przedstawiała jego własna córka. Rozmazana, upita, z potarganymi włosami wyglądała jak półtora nieszczęścia albo jeszcze więcej.

Usiadł obok niej, objął ramieniem. Przygarnął do siebie i pocałował w skroń.

– Wszyscy mówią, że jesteś do mnie podobna, ale widzę, że głowy nie odziedziczyłaś po mnie. – Zaśmiał się gorzko. – Niecała butelka, a ty niemal upiłaś się do nieprzytomności.

– Tak, tatusiu – wydukała, przeciągając zgłoski. – I wypiję jeszcze jedną. Westchnął ciężko.

– Jak chcesz, możemy ją wypić razem. Chętnie ci potowarzyszę.

Uścisnęła jego palce obejmujące jej ramię, a potem rozszlochała się na dobre.

– Oszukał mnie, zdradził, nie chcę go znać! – Mówiąc to, a właściwie krzycząc, podstawiała mu pod nos jedno ze zdjęć.

Ojciec wziął je do ręki i zaczął mu się przyglądać.

W pierwszej chwili doznał szoku, w drugiej nieco się zastanowił. Fakt, był na nim zięć i jakaś całkiem atrakcyjna blondynka. On się uśmiechał, stał bokiem, a ona wyciągała rękę w kierunku jego twarzy. Mimo to było w tej pozie coś sztucznego.

– Niezły drań, co? – Chlipnęła. – Z jednej strony gra kochającego tatusia i mężulka, a z drugiej... Sam widzisz? – sarknęła gorzko.

– Ale co widzę? – Prychnął lekceważąco. – To nic nie znaczy przecież.

– Jak to nie? To poparz na pozostałe! – wybełkotała.

Odwrócił się za plecy i zgarnął ręką fotki. Przyjrzał im się dokładniej i nabierał coraz większej pewności, że ktoś tu chciał ich wkłębować. To nie były naturalne zdjęcia, tylko jakieś ustawki albo nawet fotomontaże.

Pogłaskała córkę po kręconych, gęstych włosach.

– Nie wierz w te bzdury! – powiedział spokojnie. – Komuś zależy na tym, aby wszystko popsuć. Nie ulegaj złym emocjom, tylko patrz realnie. Oliwier nic nie zrobił, powiedział mi to przed chwilą. Ja mu wierzę i ty też powinnaś to zrobić.

Spojrzała na niego zapuchniętą od płaczu, zaczerwienioną twarzą.

– Kocham cię, córeczko, najbardziej na świecie, i nie pozwolę ci zrobić krzywdy. Gdyby Oliwier coś zmałstrował, stłukłbym go na kwaśne jabłko. Zapamiętaj to sobie! On jest niewinny! Te zdjęcia to blef. Ktoś chce, abyś się tak zachowywała, ktoś chce was zniszczyć. Nie pozwól mu na to!

– Naprawdę tak myślisz, tato?

– Jestem pewien – odparł stanowczo. – A teraz chodź do łazienki, zmyjesz z twarzy to paskudztwo i położysz się spać. Pomogę ci.

– Ale jak to? – próbowała jeszcze protestować. – Te zdjęcia to dowód na to, że mnie okłamuje!

Objął ją ciasno i przytulił do siebie.

– Zapomnij o nich jak najszybciej. One nic nie znaczą. Najważniejsza jest twoja rodzina, walcz o nią!

Chlipnęła w odpowiedzi, przytaknęła brodą. Pomógł jej wstać i chwiejącą się zaprowadził pod prysznic.

Kilkanaście minut później schodził po schodach, zostawiając za sobą sypialnię i śpiącą w niej uspokojoną córkę. Dwoje ludzi siedzących na dole zerwało się od stołu i rzuciło ku niemu.

– I co? Rozmawiała z tobą, tato?

Oliwier zaszedł mu drogę i pytająco, z wyczekiwaniem spojrzał w twarz.

– Tak, wszystko w porządku. Już śpi – rzekł zmęczonym głosem, trzymając się za głowę. – Potrzebuje teraz spokoju.

– Ale co ci powiedziała? – drażył zięć, a towarzysząca mu Alina z założonymi na piersiach rękoma przyglądała mu się uważniej niż zwykle.

– W zasadzie to nic – mruknął i syknął jednocześnie, bo ból znów zaczął mu rozsadać czaszkę.

– Dobrze się czujesz, tato?

Oliwier nieco się zaniepokoił. Napijesz się czegoś, wody, herbaty?

– Wody poproszę... – jęknął słabo.

Potem usiadł przy stole w jadalni i pozwolił, aby pies, który znalazł się przy jego nodze, lizał mu wolną rękę.

– Musicie uważać. Ktoś chce was skłócić – odezwał się, upiwszy kilka łyków. – Te zdjęcia to ewidentny fotomontaż.

– Jakie zdjęcia? – zdziwił się Oliwier. – Julia też o nich wciąż mówiła.

– Przyszły w kopercie z poranną pocztą. Jesteś na nich ty i jakaś blondynka. Znasz ją? Wyciągnął z kieszeni jedną z fotografii i położył na pokrytym obrusem stole.

Ostrowska i jej zięć pochylili się nad dowodem zbrodni.

– Znasz ją? – spytała Alina. – Bo wygląda na to, że tak – dodała oskarżycielsko.

Oliwier chrząknął.

– Widziałem ją kilka razy... W siedzibie firmy New Power. To ich sekretarka.

– I nie masz z nią na pewno nic wspólnego?

Chłopak wybałuszył oczy i uderzył pięścią w stół.

– Nie, mam! Nie mam! Naprawdę mi nie wierzysz?

– Zostaw go w spokoju! – odezwał się Antoni. – On naprawdę jest czysty. To widać przecież na pierwszy rzut oka. Tylko dlaczego to zrobili? Nad tym trzeba by się zastanowić.

– Właśnie – przytaknął zięć, wpatrując się w teścia wdzięcznością.

Ten człowiek mu uwierzył. Istniała więc szansa, że i Julia to zrobi. Biorąc pod uwagę jej przywiązanie do ojca... Nie wyobrażał sobie, że mogłoby być inaczej. Julia była kobietą jego życia, on naprawdę nie miał nic na sumieniu. Ledwie spojrzał na tę cholerną sekretarkę!

Jego rozważania przerwał hałas. Ojciec zerwał się nagle, przewracając krzesło. Zakrył dłonią usta, udając się szybkim krokiem do toalety.

– Coś mu musiało zaszkodzić – zauważyła kwaśno Alina.

Oliwier pobiegł za nim, przytrzymał drzwi do łazienki.

– Tato, pomóc ci jakoś?

– Nie, synu. Nie trzeba – mruknął, wychodząc po chwili z twarzą bladą jak ściana. – Mam tylko prośbę do ciebie...

– Jaką?

– Nie ufaj im. To źli ludzie...

– Ale kto, tato?

– Oni, ci z New...

Nie dokończył, bo jak długi runął na ziemię.

Alina krzyknęła, zrywając się z miejsca.

– Antek, co ci jest? – zawołała przerażona. – Wstań, błagam!

Nie reagował, oczy miał nienaturalnie wywrócone, rzęził.

Przyczłapał też Rudi, który zaczął lizać tę nienaturalnie bladą twarz.

Alina przyłgnęła ciałem do byłego męża.

– Błagam, wstań, Antek! Powiedz, że nic ci nie jest. Jeszcze wszystko będzie dobrze, zobaczysz...Tylko wstań, proszę!

Głos jej się załamał, w piersiach zadudniło ze strachu i przerażenia.

Spojrzała kątem oka na zięcia, który już chwycił telefon i zaczął wybierać numer.

– Pogotowie, szybko! Oliwier, dzwoń szybko po pogotowie! – załkała. – On nie może teraz odejść!

Pogotowie zabrało Antoniego do szpitala w Barrie, ale po wstępnej diagnozie i konsultacji ustalono, że to udar i postanowiono przewieźć do Toronto.

Zawiadomiona przez rodzinę Tośka już tam czekała. Siedziała roztrzęsiona w korytarzu, nie mogąc opanować płaczu.

– Operacja jeszcze trwa – wykrztusiła, zrywając się z miejsca na ich widok. – Nie wierzę, że to się dzieje naprawdę. Oni muszą go uratować!

– Uratują go. Nie może być inaczej – odparła poruszonym głosem mama, obejmując córkę ramieniem. – Nie martw się, skarbie, wszystko będzie dobrze.

Oliwier i Julia, która dowiedziawszy się o tym, co się stało, zdążyła niemal wytrzeźwieć, pokonali wraz z Aliną długą, karkołomną drogę do Toronto, podczas której nierzadko grzęźli w korkach, a teraz przywitali się z Tosią i zajęli krzesła naprzeciwko.

– Uważam, że należy zawiadomić Łodzię – odezwała się po krótkiej chwili Ostrowska. – Powinna wiedzieć, co się stało.

– Nie chcę tu widzieć tej starej rury! – sprzeciwiła się młodsza córka. – Rzygać mi się chce na jej widok!

– Nie musisz patrzeć, ale tak trzeba – szepnęła matka, spoglądając nieruchomym wzrokiem pod nogi. Nagle uświadomiła sobie, że ta obca kobieta ma teraz więcej praw niż ona. Bolesna prawda zdławiła jej gardło.

– To wszystko moja wina! – jęknęła Julka. – Gdybym nie zawróciła ojcu głowy swoimi sprawami.

– Nie mów głupstw! – zaproponował tym razem Oliwier. – Te sprawy nie mają tu nic do rzeczy. Przyjechał już do nas z bolącą głową. Sam mi o tym powiedział. Podobno bolała go od momentu wylądowania samolotu.

Julia westchnęła ciężko, nie patrząc w stronę męża. Dalej mu nie ufała, choć tatko mocno ją wyciszył i uspokoił. Zdążył też przekonać, że powinni bardziej się mieć na baczności.

Tymczasem mijały kolejne godziny, a operacja trwała nadal. Wszyscy byli już mocno zaniepokojeni, przemierzali na zmianę korytarz wzdłuż i wszerz, spijali mocną kawę z automatu i niemal się do siebie nie odzywali.

Wreszcie pojawił się doktor.

Ogromnie zmęczony, zgarbiony mężczyzna arabskiego pochodzenia, w fartuchu umazanym krwią oświadczył, że trombektomia dobiegła końca, w zasadzie się udała, usunięta została skrzeplina z naczynia, dlatego nie pozostaje nic innego, jak być teraz dobrej myśli. Zła wiadomość była natomiast taka, że w związku z meldunkiem zostanie na powrót przewieziony do Barrie.

– A kiedy będzie go można zobaczyć? – wyrwało się Tośce.

– Jeszcze nie teraz... Teraz odpoczywa. Proszę przyjechać rano. Wtedy już może odzyska przytomność – odparł i nie mówiąc nic więcej, trzymając ręce w kieszeni fartucha, odszedł.

– Dziękujemy, panie doktorze! – zawołała matka do jego pleców, na co on tylko odwrócił głowę i nieznacznie się uśmiechnął.

Tośka zaproponowała im nocleg i wszyscy uznali, że to dobry pomysł. Byli okropnie zmęczeni, a droga do domu zajęłaby im ponad półtorej godziny. Julia nie wyobrażała sobie nie być następnego dnia w szpitalu. Zadzwoiła tylko do Iwanki, wyjaśniła jej co się stało, prosząc o zaopiekowanie się córką. Przyjaciółka zgodziła się natychmiast, choć sama pracowała do późnej nocy. Zadeklarowała jednak pomoc, oznajmiając, że poprosi o zajęcie się dziewczynkami sąsiadkę.

– Robię ci tyle kłopotu... Przepraszam, Iwanka.

– Ależ jaki kłopot! – zaprotestowała tamta. – Ileż razy ja cię o to prosiłam. Nic nie mów i nie martw się! Laura będzie otoczona opieką, a ty bądź teraz przy ojcu!

– Dziękuję – szepnęła do słuchawki Julia, czując, jak w gardle rośnie jej gula.

Czuła się rozerwana. Chciała być przy córce, wtulić ją w ramiona, a z drugiej strony nie mogła opuścić taty. Wiedziała, że obecność najbliższych może mu teraz pomóc najbardziej.

Stojąc na balkonie wynajmowanego przez siostrę mieszkania, trzymając w ręku telefon komórkowy, pomyślała o czymś jeszcze... Widok z czternaściego piętra był naprawdę imponujący, miała przed oczami pnące się niemal do nieba, pulsujące jasnymi punkcikami wieżowce, a pod sobą kręte spirale ulic, po których wciąż przemieszczały się auta. Krzyczące szyldy wiszące na froncie barów czy restauracji zapraszały do wejścia, widziała w dole przechodniów i stałych bywalców klubów nocnych kłębiących się już przed wejściem. Raz po raz wieczorną ciszę przerywał dźwięczny klakson albo wycie policyjnej syreny. Wreszcie podjęła decyzję, wypuściła z ust powietrze i wybrała numer podany jej kiedyś przez tatę.

– Halo? Kto dzwoni? – Leokadia odebrała połączenie chrapliwym głosem.

– Julia z tej strony... – Głos jej zadrżał zdradziecko, ale powstrzymała się, aby się znów nie rozkleić.

– Julia? Jaka Julia?

– Córka Antoniego Ostrowskiego! – wycedziła ze złością.

Co za wredna baba! – skwitowała w myślach z niechęcią. – Niech nie udaje, że nie wie, jak mają na imię dzieci jej faceta.

– Ach, Julia! To ty? – Usłyszała tym razem mocno zdziwiony głos, tym razem zmiękczonej. – Twój tata wiele dobrego mi o tobie opowiadał... – Nagle urwała, coś sobie uświadamiając. – Dlaczego dzwoniisz? Coś się stało?

– Tak, stało się... – bąknęła, czując znów gulę w gardle. – Tata miał udar...

Odpowiedział jej głośny, żalony jęk, który rozdzwonił się w jej uszach, sprawiając jeszcze większy ból.

– Kkiedy? – padło po dłuższej chwili pytanie.

– Niedawno, kilka godzin temu... Jesteśmy z tatą w szpitalu w Toronto, ale jutro mają go zawieźć z powrotem do Barrie. Zoperowali go, teraz śpi.

– Zoperowali? – rzuciła kobieta, nie kryjąc zdziwienia.

– Doktor twierdzi, że będzie dobrze... – Urwała, bo wzruszenie znów odjęło jej mowę.

– Dzięki ci, Boże! – jęknęła kobieta i ponownie zaszlochała.

W tym momencie Julia uznała, że powiedziała już wystarczająco dużo. Powiadomiła przyjaciółkę ojca i na tym powinna poprzestać. Jeszcze trochę, a zacznie z nią rozmawiać jak ze starą, dawną znajomą.

Nagle usłyszała:

– Pewnie Antoni zdążył już wam powiedzieć... Specjalnie do was pojechał...

– Ale o czym? – spytała obcesowo.

Usłyszała w słuchawce krótkie chrząknięcie.

– O naszym ślubie. Wzięliśmy go tydzień temu, w Polsce.

Julia przełknęła ślinę, głos uwiązł jej w gardle.

– Nie zdążył... – odparła sucho, zaciskając palce na słuchawce. – Gratuluję – dodała zimno, naciskając czerwony przycisk na klawiaturze.

Odwróciła wzrok ku oknu, spojrzała na siedzących na kanapie i fotelach Tośkę, jej narzeczonego, mamę i Oliwiera. Siostra coś mówiła, gestykowała żywo, twarz miała opuchniętą od płaczu, pozostali jej słuchali. Na ła-

wie stały cztery kubki z herbatą i talerz z pizzą. Nikt jej jednak nie jadł, nie byli głodni. Postanowiła do nich dołączyć.

Trzask zamykanych drzwi balkonowych sprawił, że wszyscy jednocześnie odwrócili głowy.

– Co się stało? – spytała mama, widząc zmieszanie na jej twarzy.

– Zadzwoiłam do tej kobiety... – odparła powoli.

– I jak to przyjęła? – zaciekawiał się mąż.

Julia zatrzymała się w pół drogi, spojrzała na matkę, która nie spuszczała z niej wzroku.

– Jest coś, o czym powinniście się dowiedzieć – wydukała.

– Czyli co? Mów! – ponagliła ją Tośka.

– Ojciec tydzień temu wziął z tą kobietą ślub...

Zapadła niezręczna cisza, każdy odruchowo zerknął na Alinę, której twarz zrobiła się nagle blada z zaskoczenia.

Rozdział 36

O d kilku dni usilnie szukała miejsca, w którym mogłaby poczuć się lepiej. Na próżno. Gdziekolwiek się udała, tam wszędzie dopadał ją strach o życie taty. Ich ostatnia rozmowa nie tylko ponownie zbliżyła córkę i ojca, ale uświadomiła Julce, jak ważna jest dla niej rodzina. Miał rację, powinna walczyć o nią i przede wszystkim zaufać mężowi. Te zdjęcia w pierwszej chwili zaburzyły ich relacje, ale wszystko można było jeszcze naprawić. Ostatnie wydarzenia nie pozwoliły im odnieść się do tej sytuacji, za dużo się teraz działo, musieli trwać przy ojcu, a ich sprawy odsunąć na dalszy plan. Przyjdzie czas na wyjaśnienia – uznali. Teraz liczyło się tylko zdrowie taty, którego już następnego dnia przewieziono do szpitala w Barrie. tam już czekała na niego nowo poślubiona żona, która od tamtej chwili nie odchodziła od jego łóżka na krok. Julia teoretycznie nic do tej kobiety nie miała, a jednak jej obecność irytowała ją do granic. Chciała pobyc z ojcem sam na sam, porozmawiać z nim, a tymczasem ta baba tkwiła przy nim nieustannie. Nie mówiąc już o mamie, bo dla niej wiadomość o ślubie okazała się silnym ciosem. Nie spodziewała się, że jej były mąż tak szybko znajdzie sobie pocieszycielkę, której na dodatek postanowił się oświadczyć. Zawsze myślała, że ich miłość jest wyjątkowa i przetrwa najgorsze zawierowania. Nawet rozwód miał tu niczego nie zmienić. Jak bardzo się pomyliła. Wobec tego uznała, że jej obecność w szpitalu byłaby absurdalna i nie na miejscu.

Pierwszego dnia po operacji zastali go przytomnego. Nawet usiadł na łóżku. Wprawdzie mówił wolno i powoli, ale był z nim kontakt. Poza pytaniami o samopoczucie nie poruszali innych, drażniących tematów. Nie-

stety – transport z miasta do miasta sprawił, że stan ojca nagle uległ pogorszeniu. Przestał mówić, był z nim jedynie kontakt wzrokowy. Leżał płacikiem na łóżku i mając otwarte oczy, tylko na nich patrzył.

– Tato, jak mnie rozumiesz, mrugnij dwa razy – powiedziała do niego następnego popołudnia. – W ten sposób się porozumiewali, choć ojciec gasł na ich oczach w zastraszającym tempie.

Lekarze poinformowali ich, że Antoni miał kolejny udar, nie dawali mu dużych szans na przeżycie, twierdząc, że co mogli zrobić – już zrobili. Obie z Toską nie wierzyły, że to się dzieje. Tata, obojętnie, czy kłócił się z mamą, czy nie, był dla nich całym światem. Zawsze mogły liczyć na jego pomoc i cenne rady, kochały go tak mocno.

Z zamyślenia wyrwało Julię pukanie do drzwi. Siedziała akurat w biurze, próbując skupić się na pracy, której w ostatnich dniach nagromadziło się podwójnie.

W drzwiach ujrzała główną księgową.

– Pani Julio, mamy problem – oznajmiła, wchodząc do pomieszczenia z gradową miną, z tekturową teczką pod pachą.

Spojrzała na nią, unosząc brwi.

– Problem? – powtórzyła. – Proszę usiąść.

Mówiąc to, wskazała wzrokiem krzesło.

Tamta usiadła, założyła nogę na nogę. Miała na sobie ołówkową szarą spódnicę i białą koszulę z kołnierzykiem.

– Termin płatności minął, a nie wpłynęły pieniądze – zaczęła pani Dolores bez ogródek. – Zamówili ostatnio ogromną partię, a wpłacili tylko niewielką zaliczkę.

Julia potrząsnęła głową.

– Kto?

– New Power – odparła pracownica.

– Jak to termin? Przecież zawsze płacili gotówką!

– No, tak – przyznała. – Ale ostatnio szef zgodził się dać im towar na termin płatności.

– Oliwier? – krzyknęła. – Zgodził się?

– Pytałam, czy pani o tym wie. Powiedział, że tak.

Julia pobladła, próbując wygiąć wargi w uśmiechu. Nie chciała podważać słów męża, więc tylko zrobiła głupią minę i zapytała:

– Wysłaliście ponaglenie?

– Tak, dwa razy.

– Długo się opóźniają?

– Prawie dwa tygodnie... Najgorsze, że musimy zapłacić za części. Inaczej nam ich nie wydadzą.

– Przecież firma ma pieniądze. Proszę wziąć z kasy – odparła z nutą pretensji w głosie.

Kobieta poczerwieniała, chciała coś powiedzieć, ale zaczęła się jąkać.

– No, tak... Tylko że... to zamówienie było tak ogromne...

– Chce pani powiedzieć, że w kasie jest pusto? – przerwała jej, zaciskając energicznie długopis.

– Przecież handlujemy z Niemcami, Szwajcarią, Kanadą... Nie tylko z jedną firmą!

– Tak, ale...

– Ale co? – przeszła rozmówczynię wściekłym spojrzeniem. – Jest jeszcze coś, o czym nie wiem? – zagrzmiała.

Tamta oblizwała wargi i przełknęła ślinę.

– Niemiecki kontrahent nagle się wycofał. Nie wiemy dlaczego.

– Co? – Twarz Julii poczerwieniała. Zerwała się z krzesła i podbiegła do okna.

– Mój mąż o tym wie?

– Jeszcze nie. Pojechał na montaż. Dowiedziałam się o tym przed chwilą.

– Jak mogłeś zrobić to bez mojej wiedzy? – krzyczała, nie mogąc opanować wściekłości.

Mąż przyglądał jej się najpierw zmieszany, następnie oparł ręce o krawędź biurka, nie wiedząc, co powiedzieć. Zwiesił bezradnie głowę.

– Zaufałem im – odparł głucho. – W ostatnim czasie zaprzyjaźniliśmy się, mieliśmy przecież wspólne plany...

– Plany! – wycedziła drwiąco. – Masz teraz swoje plany!

– Może niepotrzebnie się martwimy. Zadzwoń do nich i ponaglę. Muszą zapłacić, do cholery!

– A jak ich do tego zmusisz? – Przyglądała mu się, nie kryjąc wściekłości, stojąc obok z założonymi na piersiach rękoma. – Przystawisz im pistolet do głowy?

– Tak, żebyś wiedziała! – odciął się. – Histeria tu nic nie da. Trzeba działać rozsądnie. Pojedziemy do nich. Przy okazji zapytamy o zdjęcia.

– Właśnie! – syknęła. – Od początku mieli na nas plan! Mówiłam ci o tym wiele razy, ostrzegałam! Śledzili mnie, a ja głupia myślałam, że coś mi się roi w głowie!

– Naprawdę?

Wyprostował plecy, patrząc na nią z niedowierzaniem.

– Jesteś pewna?

– Teraz tak, a wtedy miałam wątpliwości. Poza tym... zaczęłam się nimi interesować. Odkryłam jeszcze coś.

Przyglądał jej się w dalszym ciągu, jego twarz zmieniała kolory.

– Kojarzysz taki niepozorny znaczek na ich ubraniach?

Zaprzeczył krótkim ruchem głowy.

– Wyszyty srebrną nitką piorun. To symbol przynależności do pewnej grupy. Jestem więcej niż pewna, że to sekta!

– Dlaczego w takim razie nic mi nie powiedziałaś?

– Próbowалам, ale wciąż byłeś poza domem! Ciągłe coś się działo. Poza tym nie miałam pewności, a ty byłeś nimi taki oczarowany! – rzuciła oskar-

życielsko.

– A teraz masz? – spytał.

– Teraz tak! – oświadczyła dobitnie. – Tylko co dalej? Jeśli to naprawdę sekta, to wdepnęliśmy w niezłe bagno.

Spojrzał na nią tak dziwnie, że przeszył ją dreszcz. Było w jego wzroku coś niepokojącego.

– Boję się – wyrwało jej się nagle z ust. – A jeśli okaże się, że nas oszukali?

– Nawet tak nie mów!

Oliwier chciał podejść i ją objąć, ale odruchowo zrobiła krok w tył.

– Nie, błagam! Musimy coś zrobić! Najlepiej jedźmy tam, i to już!

Agencja New Power zajmowała całe piętro błękitnego wieżowca w samym centrum Toronto. Dotarli tam dwie godziny później, pokonując w nerwowym transie liczne korki, zatory i roboty drogowe. Czas dłużył im się nie miłosiernie, a w piersiach Julii serce tłukło się ze strachu i wściekłości, która rozrosła się wręcz do niewyobrażalnych rozmiarów. Wyobrażnia z sekundy na sekundę podsuwała jej do głowy coraz czarniejsze scenariusze. Nie wiedzieli, czego mogą się spodziewać po tej wizycie, mieli jednak świadomość, że jak tego nie wyjaśnią, sytuacja może całkowicie wymknąć się spod kontroli lub ich nieprzyjemnie zaskoczyć.

Już na wejściu dostrzegli krągłą, apetyczną blondynę, która siedziała w recepcji i anonsowała szefostwu każdego klienta. Nad jej ozdobioną tapirem głową wisiało ogromne, wytłoczone złotymi literami logo firmy. W dalszej części korytarza dostrzec można było brązowe drzwi poszczególnych pomieszczeń, w których mieściły się biura, lokale socjalne i sale konferencyjne.

– Państwo do kogo? – spytała, nie wstając nawet, taksując ich podejrzliwie wzrokiem. Oboje wyglądali na zdenerwowanych.

– Do szefa! – odparł Braun krótko i niecierpliwie.

– Proszę!

Kobieta podsunęła im pod nos jakiś papier.

– Należy najpierw wypełnić tę ankietę!

– Chyba żart! – wycedziła Julia, jednocześnie obrzuciła ją piorunującym spojrzeniem.

– Takie są procedury, droga pani! – odparła sekretarka, wydymając uszminkowane wargi, trzepiąc firankami sztucznych rzęs.

– Mam gdzieś te wasze ankiety! – ryknęła Julia i zdecydowanym ruchem zgmiotła kartkę, rzuciła ją pod nogi, wprowadzając tamtą w osłupienie.

– Proszę zaczekać! Nie wolno tam wchodzić! – Próbowała ich jeszcze zatrzymać, ale zlekceważyli jej zalecenia i bez zgody ruszyli przed siebie.

– Z drogi, bo nie ręczę za siebie! – wycedziła Julia przez zaciśnięte zęby, gdy tamta szarpnęła ją za rękaw bluzki.

Kobieta cofnęła się przerażona, chciała chwycić za słuchawkę telefonu, ale powstrzymała ją zdecydowanym ruchem ręki.

– Nawet się nie waż, suko! – syknęła.

Blondyna stanęła jak wryta, nie wiedząc, co zrobić. Patrzyła tylko, jak dwoje młodych, zdeterminowanych ludzi taranuje bramkę i wchodzi na niedozwolony teren.

Oliwier ruszył w ślad za żoną, choć on lepiej znał ten rewir i wiedział, w którym pokoju mogą zastać szefa. Był tutaj przecież wiele razy, a teraz ta głupia blondyna udawała, że go nie zna.

Sarknął gniewnie już na samą myśl.

Wdarli się do biura bez uprzedzenia i wcześniejszego pukania, zastając tam inną blondynę, tę ze zdjęć, która tym razem siedziała na kolanach grubasa. On trzymał jej rękę w głębokim rozpięciu bluzki, podczas kiedy ona majstrowała przy jego rozporku. Na ich widok skoczyła jak oparzona.

Boss Jack zrobił się czerwony jak indor, zerwał się z krzesła, otworzył usta, chcąc coś powiedzieć.

– Co to ma znaczyć, Jack? – Oliwier cisnął na biurko błękitną kopertę. – W co wy gracie, do jasnej cholery?

Tymczasem jego żona dopadła do blondyny i robiąc szeroki wymach, plasnęła ją z całej siły w twarz. Sytuacja zaczęła wymykać się spod kontroli.

– Ty wywłoko! Naprawdę myślałaś, że uwiedziesz mojego męża? Spójrz lepiej na siebie! – ryknęła rozjuszona.

Siła uderzenia sprawiła, że tamta zachwiała się nad podłogą, na jej policzku wykwitła w sekundzie czerwona pręga.

– Jack! Zabierz stąd tę wariatkę! – krzyknęła. – Kto to jest?

– Nie wiesz kto? To zaraz ci powiem, ty szmato! – Młoda Braun się nie hamowała. – Do pięt mi nie dorastasz, wywłoko!

– Oliwier! Uspokój swoją żonę! Co to najście ma znaczyć? – wydukał wreszcie Jack, jednocześnie nacisnął czerwony przycisk na aparacie telefonu.

Oliwier w odruchu wściekłości chwycił za krawędź rzeźbionego mebla. Zacisnął na nim palce aż do białości. Szarpnął nim, nie panując nad sobą.

– Zaufałem wam, a wy co? Dałem wam towar na kreskę. A teraz te zdjęcia. W co wy gracie, do jasnej cholery? – powtórzył rozjuszony.

– Opanuj się, usiądź! Porozmawiajmy spokojnie.

– Spokojnie? – Z niedowierzaniem spojrzał na cynicznie uśmiechającego się grubasa.

Niemal w tym samym momencie w pokoju pojawiło się czterech ochroniarzy. Uzbrojonych, w czarnych kombinezonach z logo firmy na rękawach. Ich widok sprawił, że nagle szef nabrał pewności siebie. Patrząc w oczy Oliwierowi, zaśmiał się kpiąco.

– Młody jesteś, musisz się jeszcze wiele nauczyć!

– Odpowiedz mi na pytanie. Co z pieniędzmi i co ma znaczyć ta koperta?

– Przykro mi, ale nie mam wam w tej sprawie nic do powiedzenia – oznajmił sarkastycznym tonem, wprawiając jedno i drugie w osłupienie. Potem skinął na swoich ludzi.

– Wyprowadźcie ich. Państwo już skończyli wizytę.

– Jack! Wytłumacz się! – zaprotestował Braun. – Kiedy nam zapłacicie za fakturę? Muszę wiedzieć!

– Jaką fakturę? – Grubas zrobił urągliwą minę. – Masz na myśli ten nic niewart papierek?

Oliwier pobladł w sekundzie, nogi mu zdrętwiały.

– O czym ty mówisz? Podpisałeś kwity, wziąłeś towar, dużo towaru!

– Jakiego towaru? – spytał tamten bezdusznym, wypranym z emocji głosem. Nie zareagował, tylko z drwiącym uśmiechem przyglądał się, jak siłą wyciągają z biura Brauna. Ten jeszcze się miotał, próbował oswobodzić, ale ochroniarze zakleszczyli go w żelaznym uścisku.

– Nie podaruję ci tego, Jack! Puszczę tę waszą firmę z torbami! Obiecuję! W odpowiedzi usłyszał tylko sardoniczny, tępy śmiech.

– Ciekawe kto kogo? – mruknął kpiąco. – Nawet nie wiesz, z kim zadarłeś.

– Nie daruję ci ani jednego dolara! Oddam sprawę do sądu! – wołał jeszcze Oliwier, ciągniony siłą przez całą długość korytarza.

Tuż za nim szarpała się z jakimś innym gorylem jego żona. Wymachiwała rękami, gryzła, kopała i wyrzucała z siebie niczym karabin maszynowy pojedyncze, obraźliwe słowa.

– Skurwiele! Bandyci! Oszuści!

W odpowiedzi na te wyzwiska potężny drab zakrył jej usta dłonią. Szarpnął równocześnie za włosy i wykrzywił głowę.

– Chętnie bym się z tobą zabawił, laleczko! – wycodził jej lubieżnie do ucha.

W odpowiedzi na tę obleśną propozycję podciągnęła wolne kolano i wycelowała z całej siły w krocze.

Zawył z bólu i zacisnął mocniej paluchy na jej włosach. Teraz ona syknęła.

– Zostawcie ją! – wydarł się Oliwier, widząc, co się święci.

Brzydal nie zareagował na jego protesty, z zacięciem i jakąś dziką furią pchnął Julię przed siebie.

Potem wyrzucili ich jak psy na ulicę i zatrzasnęli przed nosem ogromne szklane drzwi. Poszarpani, upokorzeni, odarci ze złudzeń, powlekli się w stronę zaparkowanego przed budynkiem auta, nie rozumiejąc ani trochę z tego, co się właśnie wydarzyło.

Następnego dnia, a była to ponura, deszczowa sobota, dwudziestego czwartego września dwa tysiące piątego roku, odszedł na zawsze Antoni Ostrowski. Stało się to pod sam wieczór, w obecności Łodzi, która była z nim do samego końca. Nie zdążył już nic powiedzieć, ale otwarte szeroko oczy, reagujące niemal na każdy dźwięk zdawały się mówić same za siebie. Tośka, nie zważając na obecność kobiety ojca, której zresztą nie trawiła, przyjeżdżała do szpitala codziennie, domagając się od pielęgniarek dodatkowej uwagi, taranując przejścia i wypełniając sobą każdy szpitalny zakamarek. Julia poprosiła pewnego dnia Leokadię, aby zostawiła ich na chwilę samych, ta, zagryzając usta, szarpiąc rękę męża wystającą spod koca, wstała niechętnie i wyszła na korytarz.

– Tato, błagam! Pomóż mi, bo zwariuję! – powiedziała wówczas do niego łamiącym się głosem. – Jeżeli mnie rozumiesz, mrugnij tak jak cię kiedyś o to prosiłam. Zadam ci pytanie. Jeśli zgodzisz się ze mną, mrugnij dwa razy. Jeśli nie, mrugnij tylko raz! Proszę!

Jego oczy nie zmieniły się, nadal były otwarte i wpatrzone w sufit. Nie zraziło jej to wcale. Równocześnie wydało jej się, że jego palce się poruszyły nieznacznie.

– Powiedz mi, czy mam odejść od Oliwiera? Oszukał mnie po raz kolejny! Straciliśmy przez niego dużo pieniędzy! Kto wie, czy nie będziemy musieli zamknąć firmy.

Spojrzała na niego z nadzieją, a on zrobił to, zamrugał tylko raz, a ona odetchnęła z ulgą.

– Uważasz, że pieniądze nie są najważniejsze, prawda? Tak, tatusiu?

Zamrugnął dwa razy, a ona z wdzięczności uściskała i pocałowała jego rękę. Łzy ciekły jej po policzkach, gardło zakleszczyło się ze wzruszenia.

– Dziękuję, tatusiu, tego teraz potrzebowałam! – szepnęła przez ściśniętą krtań – Wiem, że kochasz Oliwiera jak własnego syna. Ja też go kocham, tylko teraz tak bardzo się boję! On nie zrobił tego celowo, uległ jedynie złudzeniom, dał się omamić słodkimi obietnicami jak dziecko, ale to nie jest zły człowiek!

Zwiesiła głowę.

– Chciałabym mu znów zaufać, tylko to takie trudne...

Kiedy Antoni ponownie zamrugnął dwa razy, jego córka wybuchła szlochem. Położyła głowę na jego piersi i wsłuchiwała się w rytmiczne, ale słabe bicie. Tak bardzo potrzebowała tego wsparcia, gdyby tata mógł tak jak wtedy objąć ją ramieniem i przytulić, szepnąć do ucha kilka kojących słów. Ech! Jakie to życie bywa przewrotne – pomyślała z żalem o tym, co minęło bezpowrotnie. Ból zacisnął okolicę mostka, ale ona mimo wszystko czuła jakąś ulgę. Teraz nie miała już żadnych wątpliwości. Bez względu na to, co się wydarzy, zostanie z mężem i razem przez to przejdą, bo taka jest wola taty.

Siedziała, chlipiąc przy ojcu jeszcze kilka minut, aż przyszła pielęgniarka, chcąc sprawdzić, czy zeszła kroplówka. Za nią wsunęła się niepostrzeżenie Łodzia, znów zajęła krzesło przy łóżku, co Julia tym razem przyjęła ze spokojem.

Może ona naprawdę kocha ojca? – przyszło jej nagle do głowy. Przecież gdyby było inaczej, nie siedziałyby tutaj całymi dniami.

– Idę na dół, do automatu. Przynieść pani kawę? – zaproponowała.

Kobieta spojrzała na nią zmęczonymi oczami, w których poza wdzięcznością coś się jeszcze tliło. Może nadzieja?

– Naprawdę, mogłabyś?

– Biała czy czarna?

– Czarna – odparła tamta, spojrzała na leżącego bezradnie ojca i znów zanosła się szlochem.

Tata zawsze chciał, aby go skremowano, co też uczyniono. W Kanadzie nie było obowiązku pochówku prochów, dlatego na razie postanowiły trzymać urnę na zmianę raz u jednej, raz u drugiej.

Dziwne, bo Lodzia nie walczyła z nimi o prochy. Może wiedziała, że i tak stoi na pozycji przegranej. Wypłakała już chyba wszystkie łzy, wcześniej, zanim jej mąż odszedł na zawsze, zniosła wiele upokorzeń ze strony jednej i drugiej córki, które nie szczędziły jej przykrości. Julia zmieniła do niej nastawienie dopiero dzień przed śmiercią. To właśnie wtedy zaczęła bardziej empatycznie podchodzić do tej zagubionej istoty, która tak naprawdę niczego nie chciała poza uszczęśliwieniem siebie i ojca. Już po pożegnalnej uroczystości w domu pogrzebowym Lodzia zaprosiła obie córki ukochanego mężczyzny do swojego mieszkania, twierdząc, że ma im coś do przekazania.

Jakże się zdziwiły, kiedy kobieta wyciągnęła z szuflady podpisaną przez rodzeństwo Ostrowskich ugodę.

– To należy do was – oznajmiła wówczas, wręczając im teczkę z dokumentem.

Oszołomione, sprawdziły jej zawartość.

– Niesamowite! – rzuciła Tośka. – Zdążył to jeszcze zrobić, jakby wiedział, że zaraz...

– Nie kończ! – przerwała jej starsza siostra. – Widocznie tak musiało być.

To wydarzenie całkowicie zmieniło nastawienie do tej nieszczęśliwej kobiety, która została nagle sama w tym wielkim, obcym świecie. O ile wcześniej myślały, że Lodzia chce tylko wykorzystać ojca, a także stała się przyczyną rozwodu rodziców, to w tym momencie dostrzegły swój wielki nieakt.

– Wracam do Polski – oświadczyła gorzko. – Bez Antoniego Kanada jest niczym. Nic tu po mnie. – Objęła je smutnym, dojmującym spojrzeniem, po czym dodała jeszcze: – Nie wiem, czy wiecie, ale Antoni planował powrót do Polski. Myślę, że byłoby dobrze, gdyby jego prochy spoczęły w rodzinnym grobie w ojczyźnie.

Podniosły, zdumione, wzrok. Ta prośba wydała im się nieco bezczelna. Przynajmniej tak pomyślała Antonina. To w końcu one o tym zdecydują. Już otworzyła usta, aby powiedzieć coś niemiłego, kiedy siostra powstrzymała ją szarpnięciem ręki.

– Ma pani rację – odezwała się Julia po chwili namysłu. – Tata pragnął z całego serca wrócić do Polski. Marzył o tym od pierwszego dnia, kiedy tu wylądował. Myślę, że trzeba wypełnić jego wolę.

Tośka spojrzała na nią, ciskając jej w twarz piorunami złości. Jednak nie zaprzeczyła tym stwierdzeniom.

Tymczasem Lodzia rozejrzała się bezradnie po mieszkaniu.

– Tutaj jest pełno rzeczy Antoniego. Ubrania, buty, ulubione płyty... – zaczęła wymieniać. – Chciałabym, abyście je zabrały. Należą do was – dodała cicho, dusząc w sobie napływającą falę żalości.

– No nie wiem... – Młodsza córka potrząsnęła szopą brązowych loków. – Co my mamy z tym zrobić? Proszę je sobie zatrzymać, myślę, że tata by tego chciał.

Starsza siostra popatrzyła na nią z aprobatą.

– Dziękuję – szepnęła wdowa drżącymi ze wzruszenia wargami. – Wasz tata... – bąknęła niepewnie. – Kochałam go już wtedy, kiedy pracowaliśmy razem w Stowarzyszeniu...

Spojrzały na nią, nie kryjąc zaskoczenia.

– Nie! – Potrząsnęła głową, rozsypując nad czołem grzywkę z kasztanowych włosów. – Wówczas nic nas nie łączyło poza relacjami czysto zawodowymi.

Niemal jednocześnie wypuściły z ulgą powietrze z płuc.

– Niemniej kochałam go już wtedy do szaleństwa... – wyznała, patrząc im prosto w oczy. – Więc kiedy pojawił się w restauracji po latach... Był taki zagubiony... – wydukała, spuszczając wzrok nieco zawstydzona. – Ale wtedy też nic... Dopiero potem, kiedy zadzwonił do mnie z Kanady... Nic mnie już nie mogło zatrzymać. – Przełknęła ślinę, usiłując pohamować płacz. – Teraz już wiecie – rzuciła głucho.

Zapadła niezręczna cisza, Tośka wbita w fotel nie mogła z siebie wydusić słowa. Chyba nie takiej prawdy oczekiwała.

Julia chrząknęła niepewnie.

– To kiedy pani wraca do Polski? – spytała, chcąc rozładować napiętą atmosferę

– Jeszcze nie wiem... ale jak najszybciej. Za miesiąc, może dwa. Muszę tylko pozamykać tutaj swoje sprawy.

Nie odezwały się, nie próbowały odwieść jej od tego postanowienia, obie wiedziały, że ta decyzja jest najszusznieszą z możliwych.

Rozdział 37

Kilka dni później zwołano w firmie Czysta Woda zebranie. Mieli się wstawić przedstawiciele wszystkich istniejących w zakładzie działów i zdać sprawozdanie z aktualnej sytuacji. Julia zgromadziła w sobie wszystkie siły, aby tego dnia zwlec się z łóżka, ubrać się, umalować i stawić na miejscu. Ostatnie wydarzenia wyssały z niej całą energię, wypłuły jak wydmuszkę, dlatego każda czynność wymagała teraz od niej ogromnego wysiłku i zaangażowania. Mimo iż obiecała sobie porozmawiać z mężem, dojść z nim do porozumienia, nadal tego nie zrobiła. Przez ten czas prawie ze sobą nie rozmawiali. Dobrze, że mama zajęła się Laurą, w jej stanie byłoby to niemożliwe.

– To na pewno depresja – zawyrokowała Alina, siedząc z zięciem przy porannej kawie w niemal grobowej, ponurej atmosferze. Rudi, popiskując cicho, leżał u ich stóp. Biedak tęsknił za swoim panem, który pewnego dnia przestał być obecny w jego psim życiu. – Powinniśmy zabrać ją do specjalisty. Bez leków sobie nie poradzi.

– To wszystko moja wina! – odezwał się łamiącym głosem Oliwier. – Gdybym był bardziej ostrożny, gdybym jej słuchał, nie doszłoby do tego.

– Jest aż tak źle? – Teściowa przyjrzała mu się badawczo.

Twarz zięcia pokryta była kilkudniowym zarostem, zmęczona i zapadnięta. W oczach czaił się lęk. Kiwnął głową, oplatając drżącymi palcami kubek z kawą.

– Gorzej niż źle – podsumował gorzko. – Zaraz będzie zebranie, dowiemy się więcej. Z tego jednak, co już zdążyłem ustalić, nie wygląda to dobrze.

– Czyli co?

Mężczyzna przełknął ślinę, zerknął na Ostrowską, nie kryjąc jednocześnie zawstydzenia.

– Okazało się, że wpięli się w system alarmowy. Mieli dostęp do wszystkich kamer monitorujących produkcję, poznali szczegół po szczególe. Od najmniejszej śrubki, po rurki, złączki i obręcze... Wszystko, rozumie mama?

Potrząsnęła głową z niedowierzaniem. Rozwód, sprzedaż domu, śmierć Antoniego, a teraz jeszcze to.

Oliwier zacisnął palce na kubku.

– Skurwysyny! – syknął wściekle.

– Co to oznacza? – bąknęła niepewnie.

– Przejęli w ten sposób większość produkcji, największych kontrahentów z Niemiec i Szwajcarii... Kanady zresztą też. A do tego jeszcze to zamówienie, które nas dobiło. Fakturę podpisali, ale zanim ściągniemy pieniądze, o ile w ogóle ściągniemy... – zachnął się. – Rozumie mama?

Zaprzeczyła krótkim ruchem głowy.

– Nie – odparła. – Nie ma na nich innego sposobu? Jakoś ich przymusić?

– To nie jest takie proste, jak mama myśli. Dopiero teraz widzę swój błąd. Zaufałem im, a oni mnie zwiedli jak małe dziecko. Mieli nas na oku od dawna, szukali haka, którego mogliby później wykorzystać przeciwko nam. Szantaż czy coś w tym rodzaju...

Alina westchnęła ciężko.

– I co teraz?

Wzruszył ramionami.

– Nie wiem... Zebranie zadecyduje o wszystkim. Niedługo dowiemy się, czy jest jeszcze na czym budować coś nowego, czy trzeba się zwijać.

– Aż tak? – jęknęła głośno.

– Obawiam się, że tak – odparł głucho.

New Power to sekta. Julia miała rację. Nie jestem ich pierwszą ofiarą. Oczywiście podam ich do sądu, ale sprawa będzie się ciągnęła latami. Oni mają świetnych prawników, są pozbawieni skrupułów, trochę to jak walka z wiatrakami. Przez ten czas trzeba żyć i płacić rachunki.

Teściowa przytaknęła, spijając z dna filiżanki ostatni łyk. Długo nad czymś myślała, następnie przykryła dłonią rękę zięcia.

– Nie przejmuj się. To tylko pieniądze. One nic nie znaczą, wiesz przecież. Najważniejsze jest zdrowie i wasza rodzina. Miłość zwycięży wszystko, poza tym... – prychnęła lekko – życie mnie nauczyło, że nie ma sytuacji bez wyjścia. – Spojrzała mu prosto w oczy, wlewając w nie ogrom nadziei i wiary. – Nie martw się, synu, wszystko będzie dobrze. Wszystko się jeszcze ułoży.

Uśmiechnął się z wdzięcznością. Takich słów teraz właśnie potrzebował.

– Dziękuję, mamó – bąknął cicho, nie kryjąc wzruszenia.

Sprawozdania z poszczególnych działów tylko potwierdziły przypuszczenia. Firma była na skraju bankructwa. Należało szybko się zwinąć, by nie brnąć w kolejne długi i zobowiązania. Na szczęście dobrze się miała sprzedaż detaliczna, do której New Power nie zdążyła się dobrać. Z tej drobnej sprzedaży mogli liczyć na to, że zostaną pokryte bieżące wynagrodzenia dla pracowników, czynsze i pozostałe opłaty. Z pozostałych ocalałych zamówień oddadzą za części. Większość samochodów była, niestety, wzięta w leasing, a to oznaczało, że nic z nich nie zostanie, jedynie oni obciążeni zostaną dodatkowymi kosztami.

Postanowili, że oficjalne zamknięcie firmy nastąpi za trzy miesiące, bo tyle wynosił okres wypowiedzenia dla zatrudnionych ludzi. Zarząd spółki żywił tylko nadzieję, że ten czas ich nie pogrąży i będą w stanie wypłacić wszystkie zobowiązania.

Julia widziała wyraz twarzy tych wszystkich kobiet zatrudnionych w kadrach i na produkcji, kiedy poinformowali ich o swoich decyzjach. Poru-

szenie ogarnęło cały zakład, zaczęły się żarliwe dyskusje, niektórzy snuli różne domysły, plotki na wiele niezręcznych tematów lotem błyskawicy rozniosły się po całym terenie. Żal zdusił ją aż do bólu, a gorycz zalała gorzkim smakiem. Pożegnała się z zespołem i rozbita, przygnieciona porażką, ukryła się jeszcze w swoim biurze. Potrzebowała teraz samotności i ciszy, potrzebowała poukładania myśli i chociaż jednej dobrej wiadomości. Ale tej nie spodziewała się zbyt szybko.

Wracali do domu w żałobnych nastrojach, nie rozmawiali ze sobą. Oliwier zerkał na nią od czasu do czasu, prowadząc, nieco chaotycznie, auto.

– Może pojedziemy coś zjeść na miasto? – odezwał się w pewnej chwili.

Obrzuciła go zniesmaczonym, oburzonym spojrzeniem.

– Życie nam się rozsypało, a ty myślisz o żarciu! – fuknęła pod nosem.

– To może napijemy się w domu? – zaproponował bezradnie po raz drugi. – Mama zajmie się Laurą.

Gradowa, wściekła mina i zaciśnięte w kreskę usta były odpowiedzią na jego propozycję.

Zaciskając nerwowo palce na kółku kierownicy, nie odezwał się więcej. Gdy tylko weszli do salonu, Julia skierowała kroki do ich wspólnej sypialni i zamknęła się w niej na długie godziny.

Spała niespokojnie już od dłuższego czasu, kiedy przyśnił jej się ojciec. Właściwie to poczuła go obok siebie, jakby siedział na krawędzi łóżka i gładził czule jej włosy. Podniosła powieki, gdy lekki jak muśnięcie wiatru dotyk prześlizgnął się po jej twarzy. Zobaczyła go przed sobą, uśmiechającego się nieznacznie.

– Obiecałaś, że mu wybaczysz – zdawały się mówić jego oczy – pamiętasz?

– Tak, tatusiu! – szepnęła poruszona, chciała coś jeszcze dodać, ale jasna postać rozplynęła się w mroku sypialni.

Obróciła się na drugi bok, ale sen już nie przychodził. Słowa ojca drażyły jej mózg i nie dawały spokoju. Wreszcie wstała, zwinęła rolety, stwierdzając ze zdumieniem, że za oknem jest jasno.

Ile spałam? Która jest godzina? – myślała, kierując kroki do łazienki.

Po raz pierwszy od wielu dni poczuła w sobie siłę. Tak, miała ochotę napić się kawy, zjeść, a nawet pobiegać. Kiedy wyszła spod prysznicą i wytarła się ręcznikiem, chwyciła za tubkę z balsamem do ciała. Nabrała na dłoń niewielką ilość i rozprowadziła ją po szczupłych, zgrabnych udach, płaskim dotąd brzuchu i nienaturalnie nabrzmiąłych piersiach.

W pierwszej chwili nic do niej nie dotarło, dopiero w drugiej stanęła przed lustrem, patrząc z niedowierzaniem na swoją sylwetkę. Zaczęła analizować. Nie miała okresu od dwóch miesięcy, jednak ostatnie wydarzenia nie pozwoliły jej zastanawiać się nad tym faktem. Piersi miała nienaturalnie zaokrąglone, zaboląły, kiedy je nacisnęła. Każdego ranka wstawiała, odczuwając przeróżne dolegliwości: mdłości, alergię na zapachy, jednak nie połączyła tego z niczym.

– Nie! – jęknęła błagalnie. – Tylko nie to!

Upięła włosy w kitkę, wklepała w twarz krem, wsunęła się w dres, chwyciła torebkę i zbiegła na dół. Aromat świeżo palonej kawy roznosił się po kuchni, w której krzątali się oboje: mąż i mama. Laura pewnie już była w szkole.

– Wstałaś nareszcie! – ucieszyła się Alina. – Zrobić ci kawy?

Omiotła ich nieobecny spojrzeniem.

– Jesteś blada, dobrze się czujesz? – zaniepokoiła się rodzicielka.

– Zaraz wrócę! Muszę coś załatwić! – oznajmiła, ściągając z szafki kluczyki do auta i wybiegając z domu.

Zeszła na dół, nie zastając tam nikogo, za to w garnku na palniku pyркаł wywar do zupy. To oznaczało, że mama była gdzieś w pobliżu, pewnie poszła po włoszczyznę do ogrodu, którą uprawiała w wygospodarowanym

w tym celu kąciku niemal od chwili przeprowadzki tutaj. Zrobiła sobie herbatę i usiadła w jadalni przy stole. Rudi podniósł się z dywanu w salonie, poczłapał w jej stronę i trącił ramię pyskiem.

– Cześć, piesku! – odezwała się czule, pochylając się nad domagającym się uwagi zwierzakiem. – Dobrze chociaż, że ty jesteś, stary przyjacielu.

Słowa sprawiły, że znów coś sobie przypomniała i głos uwiązł jej w gardle.

– Zjem śniadanie i pójdziemy sobie na spacer, dobrze?

Szczeknął w odpowiedzi, jakby zrozumiał jej intencje. W tym samym momencie usłyszała kroki zbliżającej się rodzicielki. Odwróciła głowę.

– Jesteś, nareszcie! – odezwała się Alina. – Martwiliśmy się o ciebie.

– Niepotrzebnie – mruknęła. – Wszystko już w porządku.

Matka nie skomentowała jej ostatniego zachowania, podeszła do zlewu, opłukała jędrne, soczyscie zielone liście lubczyku, następnie oczyściła korzeń marchewki i pietruszki.

– Nie ma to jak swoje warzywa! – sapnęła pod nosem, nie zwracając na córkę uwagi.

Julia przyglądała jej się badawczo. Dopiero teraz zauważyła, że od śmierci taty mama mocno schudła.

– Mamo, co u ciebie? – podjęła po chwili. – W tym momencie dotarło do niej, że nie ona jedna w tym domu cierpi.

– A co ma być? – zachnęła się w odpowiedzi Ostrowska. – Po staremu!

Zaśmiała się jakoś gorzko, nie zostawiając śladu złudzeń, że jej smutno i źle.

– Jestem w ciąży – wypaliła bez wstępu, chcąc to z siebie jak najszybciej wyrzucić.

Alina zdążyła właśnie wrzucić oczyszczoną włoszczyznę do wywaru, zadźwięczała odkładana pokrywka, wydając z siebie radosny, obiecujący dźwięk.

Odwróciła się przodem do córki, na jej twarzy widoczne były emocje. Nagle, w jednej sekundzie, spochmurniała.

– Mam nadzieję, że nie zrobisz głupstwa i urodzisz to dziecko? – spytała z naganą.

Julia podniosła głowę, marszcząc gęste łuki brwi. Odpowiedziała mamie powściągliwym uśmiechem. Potem nabrała głęboko powietrze w płuca.

– Nie zrobię – odparła na długim wydechu. – Nie mam zamiaru. Nie tak mnie przecież wychowałeś.

Rodzicielka odetchnęła z ulgą, wyciągnęła ramiona w jej stronę.

– Tak się cieszę, córeczko!

– Ja w gruncie rzeczy też – wyznała cicho. – Na początku nie chciałam tego dziecka, byłam przerażona, ale teraz...

– Teraz?

– Uważam, że przyszło w samą porę, aby na gruzach odbudować nowe życie.

– Mądra dziewczynka – skwitowała matka z uznaniem, z błyszczącymi od łez oczami. – Wszystko się jeszcze ułoży, zobaczysz...

– Wiem, mamo... Ale teraz muszę coś zjeść. Jestem głodna jak wilk. Nie jadłam chyba ze trzy dni...

– To zjemy razem – zaproponowała Alina. – Usmażę jajecznicę.

– Doskonale.

Patrząc na mamę uwijającą się radośnie przy kuchennych szafkach, rozmyślała nadal. Nie powiedziała tego jeszcze nikomu, ale od kilku dni układała w głowie plan. Teraz musiała wdroić go w życie. Zawsze była uparta i odważnie dążyła do celu. W tym przypadku nic nie uległo zmianie.

– Oliwier pojechał do pracy? – spytała.

– Tak, a później odbierze Laurę ze szkoły! – odpowiedziała wesoło Alina.
– Rozmawiałaś już z nim?

– Nie, jeszcze nie. – Julia upiła łyk herbaty.

– Na pewno się ucieszy!

Dźwięki krzątaniny trwały, skwierczała na patelni pokrojona w kostkę kiełbasa i cebula, obiecujący zapach dotarł też do jadalni.

– Mamo, chciałabym polecieć do Polski.

Dłonie Aliny zawisły w powietrzu, znieruchomiała.

– Teraz? Dlaczego?

– Jeśli nie pojedę teraz, to kiedy? Chciałabym pochować tatę w rodzinnym grobie, zmówić nad nim modlitwę i odwiedzić dawne kąty. Potrzebuję tego. Zostawię Oliwierowi upoważnienie do pozamykania wszystkich spraw związanych z firmą, nie chcę w tym uczestniczyć. Zbyt wiele by mnie to kosztowało...

Matka chrząknęła znacząco. Położyła na stole korkową podstawkę, na niej ustawiła gorącą patelnię. Julia wstała, by przynieść talerze i chleb.

– Rozumiem... – przytaknęła, przyglądając się w zamyśleniu córce. – Oczywiście, chcesz, abym pojechała z tobą?

– Tak! Ja, ty, Tośka i Laura. Pojedziemy we cztery. Rozmawiałam już o tym z siostrą. Jest chętna! Ona też pragnie spełnić taty marzenie o powrocie do ojczyzny. To bardzo ważne dla nas wszystkich. To będzie niezwykła, sentymentalna podróż! – wykrzyknęła rozemocjonowana.

Alina rozłożyła porcje jajecznicy na talerze, wyjęła z koszyczka kromkę świeżego pieczywa, posmarowała ją masłem, następnie znów się zamyśliła.

Prawda była taka, że i ona chciała tego od dawna. A teraz, kiedy oszedł Antoni i przyniotły ją problemy dzieci, to pragnienie stało się jeszcze silniejsze. Nie miała już domu, który tworzyli wspólnie z mężem, a najpiękniejsze wspomnienia zostawiła w Polsce, w Lipowie. Dziś, z perspektywy czasu, uznała, że właśnie tam znajduje się jej miejsce na ziemi, ale aby się ostatecznie o tym przekonać, musiała tam wrócić. I właśnie nadarzała się ku temu okazja.

Będąc na piętrze, dostrzegła Oliwiera siedzącego na ławce w ogrodzie. Zgięty wpół, z podpartą na łokciach brodą, przyglądał się bawiącej nieopo-

dal Laurze. Ta w towarzystwie Rudiego urzędowała wyścigi, czasem dosiadała go jak konia, a on dzielnie kroczył przed siebie, niosąc na karku jej drobne ciało. W tym momencie pojawiła się też Alina. Ubrana w dres i adidasy, z małym plecaczkiem na ramieniu, zawołała wnuczkę, proponując jej spacer. Ta chętnie się zgodziła i zaraz we troje, bo bokser do nich również dołączył ruszyli przez las w kierunku płynącego nieopodal strumyka. Julia uznała, że oto nadszedł odpowiedni moment, aby wreszcie porozmawiać z mężem. Od kilku dni obserwowała, jak szamoce się on z własnymi myślami i za wszelką cenę usiłuje znaleźć rozwiązanie dla ich problemów.

Dni stały się już chłodniejsze, dlatego założyła na siebie luźny sweter, zaparzyła dwa kubki herbaty i udała się do ogrodu. Dźwięk stawianych naczyń na stoliku sprawił, że mężczyzna drgnął, odwrócił głowę, napotykając uważne spojrzenie żony.

Zdziwiła go jej obecność. Ostatnio cały czas go unikała i mimo jego usilnych starań, aby dojść do porozumienia, wciąż odtrącała te żalosne próby nawiązania kontaktu.

– Julia?

Nie mówiąc nic, usiadła obok, chwyciła go za rękę i przyłożyła do brzucha. Następnie wyczekująco zajrzała mu w twarz.

Patrzył na nią z niedowierzaniem, w jego oczach rozszalała się burza kolorów.

– Naprawdę? – spytał drżącym głosem.

– Naprawdę – szepnęła przez ściśnięte gardło.

Mężczyzna jęknął głośno, potem dla odmiany roześmiał się i porwał żonę w ramiona.

– Cieszysz się? – spytała, chcąc się upewnić.

– Jak możesz pytać? – zawołał z oburzeniem. – To najlepsza rzecz, jaka mogła nam się teraz przytrafić!

– Wiesz... też tak myślę – powiedziała. – Potrzebowałam na to dużo czasu, ale właśnie zrozumiałam, że pieniądze są ważne, ale nie najważniej-

sze. Cenniejsze od bogactwa są miłość, zrozumienie i wzajemny szacunek. To, co się stało, miało na celu pokazać, czy naprawdę się kochamy, czy będziemy w stanie wybaczyć sobie popełnione błędy. Przecież nic nie dzieje się bez przyczyny, prawda?

Kiwnął głową, wsłuchując się w jej żarliwe słowa.

– Widocznie musieliśmy tego doświadczyć, aby otrzymać od życia lekcję pokory. Wierzę jednak w to, że jeszcze odbudujemy nasze życie, o ile oboje tego pragniemy...

– Jeszcze pytasz? – odparł oburzony. – Byłem u prawnika, powiedział, że sprawa nie jest beznadziejna. Mamy szansę odzyskać pieniądze, ale to potrwa!

W odpowiedzi objęła jego twarz i zajrzała mu głęboko w oczy.

– To już się nie liczy. Sprzedajmy ten dom i wyprowadźmy się gdzieś daleko. Jak najdalej od tego wszystkiego, co nas podzieliło!

Przyglądał jej się z coraz większym zdziwieniem. Ona jednak nie zamierzała na tym poprzestać.

– Sprawdziłam już, że w Nowej Szkocji nieruchomości są o wiele tańsze, dzięki temu łatwiej staniemy na nogi. Zamieszkamy nad samym oceanem, będziemy wiedli dobre, szczęśliwe życie, będziemy każdego ranka pić kawę na tarasie, spoglądając na spokojny albo dla odmiany wzburzony Atlantyk. Czyż nie będzie cudownie? Albo ryby od rybaka! Przecież uwielbiasz smażyć ryby, krewetki i kalmary!

– Prowincja Nowa Szkocja? – powtórzył. – Jesteś pewna?

– Tak. Nic nas już tutaj nie trzyma. Pozamykajmy sprawy i wyprowadźmy się stąd! Jak najszybciej!

Westchnął ciężko. Wstał, zrobił kilka nerwowych kólek po ogrodzie, zanim znów usiadł. Nie mógł opanować emocji.

– Jesteś szalona! – skwitował z uznaniem. – Moja kochana, szalona żona!

– Co w takim razie odpowiesz swojej kochanej, szalonej żonie? Zgadzasz się? – spytała, głaszcząc go z czułością po zarośniętym policzku. – Tak poza tym czas się ogolić, drogi mężu – dodała ze śmiechem.

– Kocham cię, wariatko! – odparł wzruszony do łez. – Jeśli ty tego chcesz, pójdę za tobą wszędzie!

Uśmiechnęła się nieznacznie, musnęła wargami jego usta.

– W takim razie... zacznijmy od sypialni – wymruczała – Chcę się do ciebie przytulić, poczuć jak dawniej twoje ramiona i znów się w nich zapomnieć.

Rozdział 38

Stado wrzeszczących wron obsiadło gałęzie drzew porastających gęsto teren cmentarza przy ulicy Ogrodowej w Łodzi. Pięły się po nich zwoje zielonego bluszczu, oplatały gęsto konary i sięgały wyżej, ku rozwartym nad ich głowami wykrzywionym ramionom. Mleczna mgła wisiała ponad ziemią, otulała swą gęstą zawiesziną groby, tworząc wokół nich niepowtarzalną, nieco niepokojącą scenerię.

Stali tam już od dłuższego czasu, pochyleni nad płytą, na której kilka tygodni temu Tadeusz zlecił kamieniarzowi wyryć imię i nazwisko swojego syna. Jeszcze niedawno z nim rozmawiał, pił weselną wódkę, uczestniczył w ceremonii zaślubin, a tu taki cios. Do tej pory nie mógł uwierzyć w to, co się stało, a także pogodzić z tak szybkim odejściem własnego dziecka. Miał jeszcze tyle marzeń, planów, pragnął wrócić do ojczyzny...

– Jesteś wreszcie w domu, Antoni – odezwała się Alina łamiącym głosem, wyrywając teścia z zamyślenia. – Dokładnie tak, jak tego chciałeś.

– Dziękuję wam za to – odezwał się Ostrowski. – Nawet nie wiecie, ile to znaczy dla niego, dla niej i dla mnie.

Wskazał wzrokiem na porcelanową fotografię Stefanii, która patrzyła teraz na nich wszystkich, lekko się uśmiechając, z wyraźną atencją i wdzięcznością.

Zofia podeszła do męża i uściśniła jego przedramię. Zerknęła na niego, potrząsając ze zrozumieniem głową.

Tośka zapaliła znicz i postawiła na płycie, łzy żalu i tęsknoty spływały po jej policzkach.

NIGDY O TOBIE NIE ZAPOMNIMY – brzmiała wzruszająca sentencja, którą kazały tu nanieść, zanim prochy ojca zostały złożone w odpowiednim miejscu. Teraz przynajmniej wiedziały, że jego droga właśnie się zakończyła. I to w punkcie, gdzie planował zacząć swoje życie od nowa. Ironia losu – pomyślała, spoglądając dyskretnie na drugą żonę ojca. Ta nieustannie chlipała, ocierała łzy i pociągała nosem. Miała na sobie czarny, żałobny strój, a ten dodawał jej lat i powagi. Nie mogły jej jednak nie powiadomić, miała prawo być tu i oplakiwać śmierć męża tak samo, jak wszyscy pozostali. Julka, ściskając rączkę Laury, nie była w stanie nic wykrztusić. Nie płakała, wspomnienie ostatniej rozmowy jak cień wrosło w jej serce i nadal kłuło, rozrywając boleśnie.

– To my już pójdziemy – odezwała się Weronika, szarpiąc stojącego obok męża. – Wpadnijcie do nas, zapraszamy! – zwróciła się do bratowej i do jej córek. – Mój dom stoi dla was zawsze otworem! – dodała, składając każdej po kolei szczere kondolencje.

– Dziękuję, Weroniko – odparła Alina, uśmiechając się oszczędnie. – Damy ci znać.

Na samym końcu siostra Antka podeszła do Leokadii, wyciągnęła ramię, uścisnęła jej dłoń, okazując tym samym współczucie. Tamta odwzajemniła ten miły gest.

Chwilę później druga żona zdecydowała się podejść do pierwszej. Dziwna to była scena, nieco zaskakująca i smutna zarazem. Jednak w tym niespodziewanym pojednaniu znalazło się miejsce na zrozumienie i szczerść.

– Przykro mi... – wychlipała Lodzia – Wiem, jak bardzo go kochałaś.

– Ty też... – wydukała oszołomiona Alina. – Obie kochałyśmy.

– Musisz jednak wiedzieć, że do końca byłaś dla niego bardzo ważna – wyznała. – Twój cień tkwił między nami, choćbym nie wiem jak się starała...

– Wybacz mi! – jęknęła Ostrowska, obejmując Lodzię. – Wybacz, proszę...

– To ty mi wybacz...

Wtuliły się w siebie i wyplakiwały w ramionach żal, ból i tęsknotę za ukochanym mężczyzną.

Córki przyglądały się temu zajściu w milczeniu, zmieszane, ze ściśniętym gardłem.

– Odwiedźcie mnie w Warszawie, proszę – zaproponowała, wprowadzając Alinę w konsternację.

– Dobrze, bardzo chętnie – zgodziła się, bo nagle dotarło do niej, że wspólne porozumienie pozwoli im szybciej pogodzić się z odejściem ukochanego.

Mgła już zaczynała rzednąć, kiedy wymieniły się numerami, pomachały sobie na pożegnanie, zanim ostatecznie rozeszły się w przeciwnych kierunkach.

Do Lipowa dotarły następnego dnia autobusem. Miały już za sobą wizytę u babci Aldony, za którą raczej nie przepadały. Ta zrzędliva, hipochondryczna osoba wydała im się obca, choć samotna i nieszczęśliwa. Mimo początkowych wzruszeń i miłego przyjęcia nie obyło się bez karcących pogadanek i kąśliwych uwag. Opuściły jej mieszkanie z ulgą.

Alina, idąc utwardzoną drogą od przystanku, nie wierzyła jeszcze w to, co się działo. Wdychała nasiąknięte porannym deszczem powietrze, spoglądała na szerokie, pocięte w paski pola, na których stały rozkraczone, mrużące nieustannie, elektryczne słupy. Stada wróbli siedzące na drutach świergoliły zacięcie, ścięta przed ogródkami mijanych domostw trawa pachniała swojsko. Trajkotały ciągniki wyjeżdżające z podwórek, wiejskie gospodynie z załadowanymi siatkami wracały ze sklepu. Raz po raz padały serdeczne powitania.

– Święty Duch Pana Boga chwali! – dobiegł do ich pleców uniesiony głos.
– To naprawdę pani, pani Alino?

Odwróciła się. Za nią stała Zawiałowa. Antek dość często kupował u niej prosiaki. Postarzała się kobiecina przez te lata, choć twarz mimo siatki zmarszczek nadal wyglądała znajomo.

– Patrę z okna, patrę i nie wierzę. Musiałam więc czym prędzej wyjść z domu. Myślę sobie, ona czy nie ona? W sumie nic się pani nie zmieniła, pani Alinko! Dalej piękna, wytworna, prawdziwa dama! – wydała z siebie cichy, przejmujący okrzyk, a serce Ostrowskiej zabiło z poruszenia.

Następnie uściskały się jak stare dobre znajome, Alina z dumą zaprezentowała jej swoje dwie dorosłe córki i wnuczkę, po czym obiecały sobie wspólną kolację przy wódeczce.

Dalej szły zadowolone, wypełnione radością i nadzieją.

Domek stał milczący, nienaruszony, choć bezlitosny czas nagryzł go swoim ostrym zębem. Pociemniał, lekko się zapadł, jakby chciał wzbudzić tym samym większą żalność i smutek. Dach pokryty papą poszarpał wiatr, a okiennice osunęły się na zawiasach. Przerośnięta trawa za siatką sięgała niemal kolan, brama szerniała, furtka zaszła rdzą. Słońce akurat wzniosło się ponad horyzont, oświetlając swoim czystym światłem część przedniej elewacji wykończonych gankiem. Serce Aliny zabiło z przejęcia, gdy usłyszała tkliwy śpiew szumiących brzoź porastających teren, gdy do jej nozdrzy dotarł znajomy swojski zapach drewna i zaplatanych w gąszczu chwastów ziół. Po spróchniałych stopniach weszła na zaproszony liściemi taras, następnie wyjęła z kieszeni pęk dzwoniących radośnie kluczy. Dziewczyny stały na dole i przyglądały jej się badawczo, śledząc każdy jej ruch.

Alina wsunęła się do pachnącego wilgocią wnętrza jeszcze zalanego półmrokiem. podbiegła do jednego okna, potem do drugiego i trzeciego, rozwarła na całą szerokość skrzypiące okiennice. Jasne, ostre światło wlało się do wnętrza, odkrywając przed nią poszczególne sprzęty i meble, które służyły im przez wiele szczęśliwych lat. Fotele, kanapa, ława, stół i krzesła... Szafki kuchenne, kredens, nawet obrazki, które zakupiła kiedyś na bazaru. Stare, zżarte przez mole narzuty, pościel i zastawa. Niektóre rzeczy nadawały się już tylko do wyrzucenia, niemniej wszystko, co było, stanowiło pewną nieocenioną wartość.

W tym momencie spłynęła na nią słodka, kojąca myśl. Była już pewna.

Z rozognionymi z przejęcia policzkami wyszła na taras, kiwnęła na dziewczęta, ruchem ręki zapraszając je do środka.

Rozejrzały się po wnętrzu, z zakamarków pamięci wyłoniły się dawne sceny z dzieciństwa, wpędzając je naraz w jakąś senną nostalgię. Pies, ludzie, muzyka, ognisko, zabawa...

– Dziwnie tutaj jakoś... i brudno – odezwała się Laura – Trzeba posprzątać.

– Tak, koniecznie – przytaknęła w zamyśleniu Julia, spoglądając na zgromadzoną przez lata grubą warstwę kurzu.

Zerknęła na Tośkę, która podniosła z podłogi zaginioną przed laty zabawkę – drewnianego konika z grzywą i ceratowym siodełkiem.

– Znalazłam – oznajmiła. – Znalazłam go, a tyle czasu go szukałam! Nazywałam go Gniadek, pamiętasz?

– No, pewnie! – Oczy Juli zaszklily się ze wzruszenia. – Okazuje się, że każda z nas coś zgubiła i coś odnalazła – rzekła w zamyśleniu. – Na tym to chyba polega...

Kiedy ponownie wyszły na taras, zastały mamę opartą o poręcz balustrady, wpatrującą się w zamyśleniu w szumiące pod ogrodzeniem brzozy. Z sąsiednich domostw dochodziło szczekanie psów, z pobliskiego stawu rechot żab.

Patrząc na nią, obie już wiedziały, co chciała im przekazać. I nawet nie żywiły o to żalu, miała przecież prawo do własnego życia. Obie były już dorosłe i zmierzały do celu własną drogą. A jednak zrobiło im się jakoś miękko na duszy i smutno.

Zupełnie jakby odczytała myśli córek, bo odwróciła się i ze ściągniętą twarzą, z iskrzącymi od ekscytacji oczami oznajmiła:

– Wróciłam do domu.

W tym samym momencie jakiś ptak zafurkotał w zaroślach, robiąc nie mały hałas, wzbil się w górę i poszybował wysoko, w przestworza. Wszystkie trzy odwróciły głowy ku przecierającemu się, błękitnemu niebu, na któ-

rym jeszcze przez moment widać było czarny punkcik, lecz ten za chwilę zniknął im całkowicie z oczu. Każda droga zaczyna się kiedyś i kończy. Każdy koniec jest początkiem czegoś nowego.

KONIEC

Rąbień, 25 lutego 2023 roku

Podziękowania

Kiedy kilka lat temu zapadła decyzja o napisaniu tej historii, nie przypuszczałam, że saga tak bardzo odmieni moje życie.

Ta piękna droga okazała się niezwykle doświadczeniem, ale też stała się okazją do poznania wielu wspaniałych ludzi, zacieśnienia relacji, a także współpracy z nowym wydawnictwem.

Dzięki Blance, która jest wnuczką powieściowej Stefanii, a bohaterką trzeciej części mogłam nie tylko dowiedzieć się o jej rodzinie, ale też przejść przez burzliwy okres wojennej i powojennej Polski aż do czasów współczesnych. Otwierając przede mną zdobyła się na wielką szczerłość, co uważam za akt odwagi, ale też wielkiego zaufania. Dało mi to możliwość opisanie tej historii prawdziwie, bez zbędnego koloryzowania

Dziękuję Blanko za to wyróżnienie. Czuję się zaszczycona. Mam nadzieję, że nasza wspólna podróż trwać będzie nieprzerwanie dalej.

Wydawnictwu Skarpa Warszawska dziękuję za kolejne spełnione marzenie o wydanej książce, piękną oprawę, nowe możliwości i cudowną współpracę z całym zespołem.

Dziękuję całej Blogosferze, recenzentom i bibliotekarzom za ogromny trud włożony w promowanie polskiej literatury.

Dziękuję Zaczytanej Ewelce za bezcenną obecność, żywiołowość, a także za projekt Pogaduchy u Ewelki, dzięki któremu możemy z Blanką połączyć siły i dzielić się z Czytelnikami wrażeniami z dwóch jakże różnych stron świata.

Dziękuję moim kochanym dzieciom za wsparcie, miłość, cierpliwość i wyrozumiałość. Mojej nieocenionej siostrzyczce Iwonce, której ostatnie

słowo liczy się najbardziej.

Dziękuję Jarku, że jesteś, a także za kolejną, wspaniałą podróż do Kanady i możliwość spotkania Blanki i jej męża. Wioli i Arkowi za przyjaźń, wspólnie spędzony czas i wielkie zrozumienie w tych najsłabszych momentach.

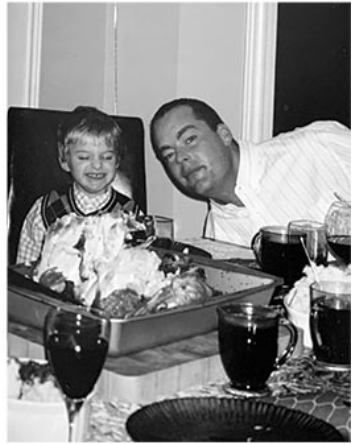
Dziękuję sąsiadce Iwonce i jej córce Ali za ostatnie czytanie, czujność, uwagi, a także ogromne wsparcie w mojej pisarskiej drodze.

Dziękuję wspaniałym dziewczynom: Ewie Krawczyk, Agnieszce Ferraretto, Zosi Matusiak, Iwonce Nikodemskiej, Anecie Jałocha za obecność, zaangażowanie i ogromne wsparcie. Moim koleżankom po piórze Wioli Piaseckiej, Kasi Kieleckiej, Ewie Maćkowiak za inspirujące rozmowy, dodawanie sobie nawzajem otuchy i wiele cennych rad.

Dziękuję Ci, drogi Czytelniku, że jesteś ze mną i towarzyszysz mi w tej czasem trudnej pisarskiej drodze, za wiele ciepłych słów uznania, za poczucie, że to co robię ma sens.

Do zobaczenia na kartach kolejnej powieści!





Przypisy

[1] Tak potocznie mówiło się kiedyś o fajansie z fabryki Włocławek.